



**VALDEMAR
BALDHEAD**

KONKWISTA

**VALDEMAR
BALDHEAD**

KONKWISTA

„*Conquista* (Konkwista) — określenie
stosowane w odniesieniu do podbojów...”

Encyklopedia Popularna, PWN, wyd. VI,
Warszawa 1982



WYDAWNICTWO POLONIA · WARSZAWA · 1989

Opracowanie graficzne:

Adam Jońca

Redaktor:

Renata Kmiecik

Redaktor techniczny:

Jolanta M. Osińska

Korekta:

Zespół

© Waldemar Łysiak, Warszawa 1988

ISBN 83-7021-058-9

Wydawnictwo Polonia, Warszawa 1988

Wydanie II.

”Nie ma lepszej odtrutki niż przygodowość historii, trwający ledwie na jej powierzchni taniec śmierci z prawdą podstawowych zasad”.

Miklosz Szenkuthy, *Wyznanie i teatr lalek*

I. W imieniu bękartów

Biały człowiek szedł wzdłuż wysokiego płotu fabryki. Lewą ręką trzymał smycz złego psa, prawą zaczepił na pasku dobrego karabinu, tym ruchem, jakim strażnicy kładą dłonie na paskach karabinów obciążających ramiona. Mijając dół, do którego obsługa fabrycznej kuchni wysypywała śmieci, przyspieszył i odwrócił nos. Fetor bijący z tej dziury w ziemi był silny, lecz węch psa był silniejszy. Dog szarpnął smycz i zjeżył sierść, wpatrując się w coś, co nagle pojawiło się wśród chwastów na krawędzi dołu. Był to wylot tłumika. Strzał nie zabrzmiał głośniejsz niż pstryknięcie palcami. Kula weszła w wyszczerzony pysk i rzuciła zwierzę na płot.

Z dołu wygramolił się czarny człowiek i podszedł do białego człowieka, cały czas mierząc mu w brzuch. Zabrał białemu człowiekowi broń i pchnął go w stronę bramy. Cuchnąca czeluść wyrzuciła na powierzchnię kilku innych czarnych ludzi z bardzo dobrymi automatami w dłoniach.

Od strony gór wiatr przynosił drobiny dławiącego pyłu, a busz był zbyt niski, żeby powstrzymać to świństwo. Można było tylko czyścić podniebienie plując żółtą śliną, która skwierczała na ziemi jak rzucona na rozpaloną blachę.

Gdy Timma przychodziła do Bride'a wieczorem, to znaczyło, iż sama chce zarobić. Gdy przychodziła o innej porze, to znaczyło, że zarobić chce porucznik Takebo, albowiem kochać się w Matabele można było tylko po zmierzchu, kiedy spało potworne słońce; reszta doby służyła czynnościom, które nie wyciskają potu, takim jak sjesta lub interes, chyba że ktoś był członkiem klasy niższej od

uprzywilejowanej i musiał harować w spiekocie. Timma, Takebo i Bride nie musieli.

Ona była dziewczyną z plemienia Moronga, którego kobiety mają w Afryce najwyższą cenę, gdyż ich piersi, zadki, dłonie, usta i krocza wprawiają czarnych i białych mężczyzn w stan erotycznego delirium z talentem nie do podrobienia przez samice innej krwi. Pracowała w burdelu "Kokos" dla korpusu dyplomatycznego i dziennikarzy akredytowanych w Matabele. Robiła za darmo tylko jedną rzecz: była łączniczką między Bride'em a Takebo (dzięki temu miała etat w "Kokosi", nie zaś w podrzędnym burdelu dla wszystkich).

Porucznik Takebo-Otuma-Ganda-Wulelehutu (lub podobnie), daleki siostrzeniec wiceszefa policji w kraju Tanga, był oficerem tejże policji biorącym łapówki od kogo tylko się dało, zaś wynagrodzenie dodatkowe od Bride'a.

Andrew Bride był stałym korespondentem "New York Timesa" w Matabele, posiadającym przewagę informacyjną nad gronem kolegów z innych redakcji i agencji. Tą przewagą był porucznik Takebo-Otuma-Ganda itd.

27 marca rano Timma przysłała do apartamentu Bride'a w hotelu "Lew" i została u niego przez całą godzinę, żeby agenci Narodowego Bezpieczeństwa, którzy mogli ją obserwować, pomyśleli, iż robi z jankesem "luluputu" (w narzeczu Moronga). Zawsze tak postępowała przynosząc wezwanie od Takebo i zawsze wykorzystywała tę godzinę na kąpiel w łazience Bride'a. Łazienka Bride'a miała dwie zalety: była lepsza od sanitariatów w domu "Kokos" i była jedynym u Bride'a pomieszczeniem, w którym nie działały aparaty do podsłuchu. Jeśli Bride nie miał akurat kaca, był wyspany i w humorze, a klimatyzacja nie była zepsuta - zdarzało się, że pukał do łazienki i chociaż był dzień, robili z Timmą coś, o czym faceci z NB myśleli, że jest właśnie robione. Ale zdarzało się to rzadko, Bride bowiem był mężczyzną rozsądnym i uważał, że w jego

wieku nie należy przesadzać z seksem, zwłaszcza gdy się już przesadza z alkoholem.

Tego samego dnia po południu Bride zawitał do kasyna "Słońce Afryki" i grał przez dwie godziny w pokera z umiarkowanym pechem. Około 19-ej udał się do w.c., wyszedł przez okno na drabinkę pożarową, zszedł na dziedziniec towarowy i w ciasnym przejściu między dwiema piramidami pustych kartonów po piwie i whisky stanął przed Takebo. Powitał go pytaniem:

- Co jest?

- Jest duży numer, który rząd trzyma w tajemnicy, ale długo nie utrzyma, bo ambasady szybko się zorientują. Duży i drogi - odpowiedział Takebo.

- Dla mnie za drogi, właśnie się zgrałem - burknął Bride, udając, że ma zamiar odejść.

Takebo znał te sztuczki, więc nawet się nie uśmiechnął, tylko podał cenę tonem subiekta, którego nic nie może wyprowadzić z równowagi:

- Sto dwadzieścia dolców.

- Te dwadzieścia to za co?

- Za spadek kursu waszej waluty. Od wczoraj doleć stoi pięć kendów niżej.

- Nie moja wina, tylko zasranej gospodarki...

- Bride, nie pieprz, bo będziemy tu stać do rana i moja bomba przestanie być atrakcją. Któryś z twoich kumpli może też dostać cynk i puści ją w świat pierwszy! - przerwał mu Takebo. - Kupujesz czy nie?

- Kupuję, ale policzę sam. Startuj.

- Wczoraj dokonano napadu w prowincji Harel... - zaczął Takebo.

- Gównu mnie to obchodzi, ani centa!

- Na zakłady Tanga Mining Co.

- Front Wyzwolenia Ludu?

- A któż by inny?
- Okay, dziesięć dolców. Co się stało?
- Stało się rozpieprzenie centrali zasilania i kilku taśm produkcyjnych. Co najmniej dwa miesiące postoj.
- Trzy dychy. To wszystko?
- Nie, nie wszystko. Zastrzelono całą dyrekcję i kilku twoich rodaków.

Bride zagwizdał cichutko i szepnął:

- Masz już tę forszę, stary, mów dalej.
- Ochrona była bezradna - kontynuował Takebo - tamci wzięli zakładników i zastawili się nimi. Zrobili swoje i zwiali w góry, jak zawsze, ale nowość polega na tym, że uprowadzili zakładników ze sobą. Dziewiętnastu ludzi, samych białych, inżynierów i techników. Co najmniej połowa to wasi, kilku Holendrów, Anglik, Francuz, Szwed i jakiś żółty, chyba z Korei Południowej. Szantażują rząd...

- ... Czym?

- Chcą kupić forsy i wypuszczenia z pierdła swoich tatusiów, mamus, ciotek i pociotków. W razie niespełnienia żądań co miesiąc zabijają jednego zakładnika.

Bride sięgnął do kieszeni, odliczył dwanaście dziesięciodolarówek, dodał jeszcze dwie, pomyślał: "Jesteś tani, gnojku", wręczył pieniądze porucznikowi, wrócił tą samą drogą do kasyna i za pół godziny był już w ambasadzie, skąd przekazał do ojczystego kraju (a konkretnie do Central Intelligence Agency) szyfrowany meldunek z adnotacją: "Dajcie to naczelnemu NYT możliwie szybko, bo mnie wywali z roboty!".

29 marca, o godzinie 11-ej przed południem, w "Owalnym Pokoju" Białego Domu spotkało się czterech częstych bywalców tej komnaty: prezydent, sekretarz stanu, sekretarz obrony i szef CIA. Po

omówieniu kilku inicjatyw niezbędnych dla zapewnienia pokojowej równowagi sił poprzez uzyskanie militarnej przewagi środków, sekretarz obrony przeszedł do tematu "Tangaland", pytając dyrektora Centralnej Agencji:

- Co można zrobić, James, żeby uwolnić naszych ludzi?

- Nic - odpowiedział James Fosterman.

- Panowie, powinniśmy coś zrobić... - wtrącił się prezydent, rozpaczliwie próbujący sobie przypomnieć, gdzie leży Tanga, w północnej, środkowej czy południowej części Afryki.

- Nie należy robić nic! - powtórzył szef CIA. Spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a on im wyjaśnił:

- Tanga to jedyne prozachodnie państwo na północnym obrzeżu Republiki Południowo-Afrykańskiej, nasz łącznik między Pretorią a Zairem i grupą byłych kolonii francuskich. Wszystkie inne państwa graniczne RPA, zwane przez komunistów frontowymi, to satelici lub kryptosatelici Moskwy. W przypadku utracenia Tangi, nad północną granicą RPA zawisłby jednolity czerwony młot.

- Bardzo oryginalne rozumowanie, James - wszedł mu w słowo sekretarz stanu. - W Tandze pojawili się antyrządowi rebelianci, których prezydent Nyakobo nie umie wziąć za pysk, to po pierwsze. Po drugie: jeśli Tanga padnie, to my jesteśmy tam do tyłu. Po trzecie: nie powinniśmy kiwnąć palcem, by zażegnać tę groźbę. Po czwarte: ja za cholereę nic z tego nie rozumiem!

- Przestań mi przerywać, Malcolm, a zrozumiesz - wycedził Fosterman i od tej chwili kontynuował bez zakłóceń. - Nyakobo to facet cholernie czujny i przebiegły. Tylko dzięki niemu Tanga nie stała się "państwem frontowym", podczas gdy wszędzie dookoła lewicowi rebelianci wydmuchali rządy prozachodnie. Dubeltowy klucz do sukcesu lub do porażki w tej grze to armia i policja. Jeśli odpowiednie działania dywersyjne, spiski, zamachy i kontrzamachy, rozłożą policję i wojsko, państwo staje się bezbronne i wówczas w

każdej czerwonej gazecie na kuli ziemskiej możesz przeczytać, że "rewolucja znowu zwyciężyła". Nyakobo w szatański sposób zapobiegł erozji sił wojskowych i policyjnych. Stworzył trzy policje, które kontrolują społeczeństwo, ale przede wszystkim siebie nawzajem. Każda z nich rekrutuje się z członków innego z trzech największych plemion Tangi. Formalnie armia mogłaby się zbuntować i wystrzelać wszystkie te gliny, lecz armia również składa się z trzech kawałków, z trzech dywizji plemiennych, które wzajemnie się nienawidzą i on tę nienawiść podgrzewa, a do tego rodziny kadry oficerskiej muszą mieszkać w obozie policyjnym obok jego pałacu, co stanowi rodzaj luksusowego więzienia i stałego wyroku śmierci z zawieszeniem dla rodziców, żon oraz dzieci.

- Genialny skurwysyn! - mruknął sekretarz obrony, mocniej akcentując słowo wyrażające dezaprobatę, kosztem słowa wyrażającego podziw.

- Owszem, Nyakobo to skurwysyn - zgodził się szef CIA - ale to nasz skurwysyn i trzeba mu pomagać. A pomoc mu można nie wtrącając się. Cały ten Front Wyzwolenia Ludu wisi mu, to około stu ludzi w przygranicznych górach, skąd czasami się wychylają, robią jakiś skok, jak ten ostatni, po czym wieją. Pchła.

- Castro w pewnym momencie miał mniej... - zauważył sekretarz stanu.

- Ale Batista był idiotą i dał się zjeść jak baran, a ten czarnuch to lis. Owa FWL jest mu nawet na rękę, służy jako straszak i motor napędowy pomocy finansowej z RPA.

- James... - wtrącił się ponownie prezydent. - Jeśli oni spełnią groźbę i zaczną mordować co miesiąc...

- To Nyakobo bardzo się ucieszy, bo zrobią z siebie oprawców, a w dobie, gdy świat ma już terroryzmu dość, będzie to propagandowy punkt dla niego na wielu estradach, z ONZ włącznie.

- Zrozum, James, że nie możemy patrzeć z obojętną miną jak

eksterminuje się naszych obywateli, nie możemy nic nie zrobić...

- Będziemy protestować, drzeć szaty i liczyć punkty na naszym koncju i koncju naszego sojusznika, a to nie jest nic, panie prezydencie, to bardzo dużo, to dużo więcej niż życie kilku inżynierów z mieszanej spółki amerykańsko-europejskiej, którzy wybrali się do Tangi na własną odpowiedzialność. Zapewniam pana, iż rząd holenderski, francuski czy angielski również nie wyśle komandosów.

Prezydent przerzucił papiery na swym biurku i zdecydował:

- Przejdźmy do spraw związanych z kampanią wyborczą w Argentynie.

W kwietniu tangalandzcy partyzanci dotrzyli słowa - zabili jednego z zakładników i rzucili jego przedziurawione ciało na równie dziurawą szosę B-12 nie opodal Kariduomo. Tym pierwszym był czterdziestodwuletni Holender, inżynier Kreist. Pech zabójców polegał na tym, że inżynier Kreist przybrał sobie to nazwisko dwadzieścia lat wcześniej, to jest wówczas, gdy opuścił swą rodzinę i rodzinny dom, zrywając z nim kontakty, ponieważ i jedno i drugie, a także rodowe nazwisko, urażały liberalne poglądy europejskiego młodzieńca z generacji buntowników roku 68. Pieniądze chciał robić własnym wysiłkiem i zrobił, chociaż o wiele mniejsze niż te, które porzucił uciekając z domu i które mógłby mieć przez cały ten czas bez żadnego wysiłku. W istocie człowiek ów nazywał się van Hongen i był jedynym prawołożnym dzieckiem holenderskiego "króla stoczni", właściciela ponad trzydziestu procent holenderskich sklepów, magazynów, polderów, kwiatów, rafinerii, banków i nieruchomości, największego niderlandzkiego rekina kapitalizmu, Jensa van Hongena II.

Na wiadomość o okrutnej śmierci marnotrawnego syna, za którym

wciąż tęsknił i na którego powrót czekał z zaciętością patriarchy-tyrana, co nie poniży się do prośby, nawet jeśli pod kamienną maską krwawi mu serce - stary van Hongen dostał zawału; granitowe serca również pękają, wszystko zależy od siły uderzenia i od wieku; van Hongen II miał 69 lat. Ratowano go najlepszą medycyną, jaką dysponuje Zachód i lekarze przysięgali, że na życie pozagrobowe będzie musiał jeszcze długo czekać. Jednakże w tydzień później nastąpił drugi atak i ten był ostatni. W ciągu sześciu dób między dwoma zawałami van Hongen podpisał tylko jeden dokument: swój nowy akt ostatniej woli. Poprzedni testament czynił jedynym spadkobiercą Arie van Hongena III, czyli inżyniera Kreista. Kreist nie miał żony ani dzieci, stary van Hongen był wdowcem i nie posiadał rodzeństwa, w sumie więc nie miał nikogo, komu mógłby zapisać czwarty pod względem wielkości prywatny majątek w zachodniej Europie. Tak przypuszczał, lecz mylił się, chociaż był człowiekiem, który mylił się bardzo rzadko i ta właśnie cecha stanowiła fundament jego fortuny. Z błędu wyprowadził go osobisty sekretarz i doradca finansowy, niemiecki prawnik Loederer. Herr Loederer przypomniał swemu mocodawcy prześliczną platynową blondynkę, hostessę linii Lufthansa, rozkoszną Gaby, która z tak słodkim uśmiechem pytała: "Ausspucken oder schlucken, mein Bar?", że van Hongen II zwariował dla niej przed dwudziestu z górą laty na kilka wieczorów podczas parodniowej serii spotkań z finansistami zachodnio-niemieckimi w Hamburgu. Fraulein Gaby nie zdołała "ausspucken" wszystkiego, czym ją obsypał holenderski "Miś": urodziła małego niedźwiadka i dostała kupę forsy na odczepne. Gdy zginęła w katastrofie samolotu, dziecko adoptowali bezdzietni małżonkowie, których nazwisko nie interesowało van Hongena. Dopiero gdy Loederer przypomniał mu tamten romans, stary człowiek poczuł się zainteresowany i szepnął:

- Otto, znajdź tego chłopca i przywieź. Jeśli umrę, zanim go

odszukasz, to powiedz mu, że wszystko jest jego, ale dopiero gdy pomści brata. Niech przeleje krew zabójców, krew za krew! Tą krwią odziedziczy wszystko, ona dopiero uczyni go moim synem, a nie sam fakt, że kiedyś van Hongen przespał się z jego matką. Zrozumiałeś?

- Tak, panie prezesie.

- Nie wiem, gdzie go szukać, ale wiem, że to nie będzie łatwe...
Zrób wszystko, co można!

- Poradzę sobie, panie prezesie.

- Oby rychło... Jeśli ja będę już w piachu, zrób tylko trzy rzeczy: powiedz mu, co on ma zrobić, otwórz mu konto i daj mu adres starego Jervisa, niech u niego szuka pomocy. Jervis ma zażyłość ze wszystkimi służbami specjalnymi Brytyjczyków, może pomóc... Ty będziesz płacił, ale całą resztę musi zorganizować on sam i musi wziąć w tym udział, ma udowodnić, że jest van Hongenem, czyli mężczyzną! Niech sam rozmawia z Jervisem lub z kimkolwiek zechce, niech się zwróci o pomoc do samego diabła, byleby spełnił moje żądanie. Ty płac za wszystko i kontroluj jego ruchy, lecz nie pomagaj w niczym. Jeśli stwierdzisz, że wyrzuci forszę na inny cel, przerwij zabawę i daj mu kopniaka... Będziesz dysponentem majątku aż mój syn dokona zemsty, a później już tylko jego doradcą, tak jak byłeś moim... jeśli on cię przy sobie zatrzyma. Byłby głupcem, gdyby się pozbył ciebie, w wielu sprawach byłeś genialny, Otto, przez tyle lat nie miałem ci nic do zarzucenia...

- Dziękuję, panie prezesie - wymamrotał Loederer, chyląc głowę nisko jak przy powitaniu.

- Sformułuj nowy testament z warunkiem, w ten sposób, żeby nie mógł go obejść lub obalić... "Zemsta jest moja, mówi Pan", tak mnie nauczono, ale sam nauczyłem się, że trzeba pomóc Bogu, gdy się pragnie, aby udzielił nam pomocy... Chcę ich krwi za krew Ariego!...
Przynieś mi to jutro do podpisu.

Od prawieków młodzież tworzy formację dwuczłonową - dzieli się na głupią i trochę mniej głupią. Fritz Grahl należał do drugiej z tych kategorii, a nawet więcej, był sprytny. Ale nie od razu, sprytu bowiem człowiek uczy się jak wszystkiego, jak kłamstwa, hipokryzji lub profesji, wszędzie obowiązuje rutyna.

Mały Grahl był mało sprytny i miał niewiele szczęścia. Los obdarzył go matką, która spadła na ziemię z wysokości kilku tysięcy metrów, dwojgiem przybranych rodziców, którzy zmarli w łóżkach od przyziemnych chorób, oraz awersją do wysiadywania w szkole. Ze szkoły i z domu dziecka (a później z domu poprawczego) uciekał kilka razy, mimo że po każdym przyłapaniu staranniej go pilnowano - to był spryt. Powrót za kratę - to był brak szczęścia. Między ucieczkami a powrotami włóczył się, kradł (sam lub jako członek młodzieżowych gangów), obżerał i głodował, bawił i płakał, sprytniał, dorósł i przystojniał. Najdłuższe "między" wynosiło dwa lata, po czym znowu wpadł razem z jakąś bandą, lecz z braku dowodów Grahla jako jedyne musiano wypuścić.

Dorosły Grahl był bardzo sprytny i miał sporo szczęścia. Pracował jako kelner, jako pomocnik sutenera w hamburskiej dzielnicy Sankt Pauli, jako krupier w nielegalnym kasynie w Monachium i jako płatny kochanek leciwych dam, biorąc przy okazji udział w brudnych interesach, lecz nie jako ich motor, tylko jako trybik. Wszyscy ludzie, dla których pracował, prędzej czy później łądownali za kratami, on zaś nigdy nie zobaczył więzienia od wewnątrz, co zawdzięczał właśnie temu rodzajowi inteligencji, który nazywany jest sprytem, i tym dobrym siłom, które nad nim czuwały, a które noszą wiele nazw, od "anioła stróża" począwszy, na opatrności zaś skończywszy. Mając zaufanie do swego szczęścia, czekał na fortunę. Wielu tak czeka, lecz niezbyt wielu jest wybranych.

Loederer znalazł go w Monachium, dwa miesiące po rozmowie z van Hongenem, co dowodziło, iż van Hongen nie mylił się nazywając swego sekretarza geniuszem i jeszcze tego, że bundesbiurokracja może być równie przekupna jak celnicy i sędziowie piłkarscy całego globu. Loederer, który nie brał łapówek, gdyż sam je dawał, wywodził się z tej biurokracji, rozkaz był dla niego rzeczą świętą. Wiedząc już z kim ma do czynienia, tylko w jednym przekroczył dyrektywę zmarłego; postraszył bękarta, mówiąc na zakończenie:

- To wszystko. Z dniem dzisiejszym, jeśli tylko wyrazi pan chęć, ma pan otwarty rachunek na realizację zadania. Jeśli spróbuje pan sprzeniewierzyć choćby drobną część tej gotówki, wynajęci przeze mnie ludzie zabiją pana! Czy to jasne, panie Grahl?

Przez cały kwadrans, długi jak lata marzeń o cudzie, który zdarzy się pewnego dnia, Fritz Grahl słuchał tego człowieka z pobladałą twarzą i półprzymkniętymi powiekami, najdrobniejszym gestem nie dając poznać, czy się cieszy, czy uważa propozycję za głupi żart, czy też ma to wszystko gdzieś. Kiedy padło ostatnie zdanie, uniósł powieki i wbijając wzrok w przybysza powiedział wolno i cicho:

- Pan się przejęzyczył, nie nazywam się Grahl. Nazywam się van Hongen, Friederich van Hongen. Czy to jasne, panie Loederer?

Komendant Okuma Garo siedział w cieniu skalnego występu, palił hawańską cygaretkę i myślał. To ostatnie różniło go od jego ludzi, którzy nie mieli dyplomów ani świadectw szkolnych, gdyż nie chodzili do szkół; myślenie przychodziło im z wielkim trudem i nigdy nie mogło przyjść na dobre. On miał dyplom Sorbony i potrafił myśleć, lecz nie potrafił sprawić, żeby wszystkie myśli były wesołe - komendant Garo od pewnego czasu nie mógł odpędzić zgryzoty. Siedział i mocował się w myślach z brakiem odpowiedzi na

pytanie: "Dlaczego te skurwysyny nie reagują?!"

Problemem, który go trapił, było zjawisko bezproduktywnego ubywania zakładników. Rozwalił już trzech, w kwietniu Holendra, w maju Amerykanina, w czerwcu Brytyjczyka. Żołnierze prezydenta Nyakobo podnieśli rozstrzelanych z asfaltu i przetransportowali do odpowiednich ambasad. Lecz odpowiednie rządy nie kiwnęły palcem, aby zmiękczyć Nyakoba i zmusić go do pertraktacji. Upiorna cisza, owo parszywe uczucie dowódcy żaglowego statku, kiedy mijają dni i tygodnie całkowicie bezwietrznej pogody, a bezradność i niepokój frustrują umysł i bebeczy.

Jedynie prasa światowa zajęła się trójką rozwalonych nieszczęśników, choć nie można było powiedzieć, iż zajęła się po macierzyńsku - raczej po macoszemu, na czwartych lub jeszcze dalszych kolumnach, których czytelnikami są ludzie mający czas do stracenia. Pierwsze kolumny okupowała wzajemna do siebie wrogość państw islamskich (wyrażana za pomocą kulomiotów, rakiet i bomb), burdy w Libanie oraz inne lokalne kłótnie ery bezwojennej, bilansowane tysiącami nagłych zgonów. Drugie kolumny zajmowała kronika katastrof i klęsk żywiołowych, których ofiary liczone w setkach. Trzecie kolumny lubowały się w terroryzmie mierzonym już tylko dziesiątkami pechowców. Dopiero na czwartych kolumnach znajdował trochę miejsca pospolity bandytyzm, drobne awarie i pojedyncze zabójstwa, sensacyjny bilon niewart tłustej czcionki.

Jako inteligent Garo rozumiał, że eksterminowanie wszystkich zakładników od jednego zamachu przesunęłoby go na trzecie kolumny gazet, a przy pewnej dozie szczęścia (gdyby akurat trafił na wyjątkowy dzień posuchy w ogólnoswiatowym szlachtowaniu) na kolumny drugie. Ponieważ jednak cechą prawdziwej inteligencji jest sceptycyzm, zimna kalkulacja i nie nazbyt przesadna wiara w uśmiechy losu, Garo uznał, że nie ma co liczyć na cud, czyli na to, iż dokonana przezeń zbiorowa rozwałka trafi akurat na jednodniowy

urlop w codziennym kanibalizmie gatunku. Nadto zdał sobie sprawę i z tego, że ekspedując wszystkich zakładników hurtem na tamten świat, momentalnie pozbawi się atutów i będzie goły niczym bankier bez kapitału. Wniosek jaki z tego wypływał nie krzepił komendanta, lecz był jedynym mającym sens: trzeba uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Inna sprawa, że żadnego sensu nie miało wysilanie przez komendanta Garo mózgownicy. Cała ta burza myślowa, kłębiąca się pod jego bawelnianą fryzurą, mogłaby w najlepszym razie zyskać miano ćwiczenia typu "sztuka dla sztuki"; jej praktyczna bezużyteczność zasadzała się na fakcie, iż Garo nie miał prawa podejmowania decyzji, bez względu na to, jakie wnioski wypłyną mu z szarych komórek, mógł tylko wykonywać rozkazy. Ci zaś, którzy dawali mu rozkazy, już dawno podjęli decyzję, że liczba zakładników będzie się zmniejszała z szybkością jeden na miesiąc i nie widzieli żadnej potrzeby przyspieszania tempa; brak reakcji ze strony rządów był wpisany w scenariusz ułożonej przez nich gry. Ich jedyny problem nazywał się: Nelina, ale Garo nie wiedział o tym. Wszakże okoliczność, iż dowódca FWL nie wszystko wie i rozumie, była bez znaczenia. Nikt nie powiedział, że komendant Okuma Garo ma być wszechwiedzący i rozumieć, dlaczego robi to, co robi.

Prezydent Nyakobo Alanda Eebanumi nie zawsze był prezydentem. Najpierw był wiecznie głodnym oberwańcem z przedmieścia Matabele, później żołnierzem brytyjskich wojsk kolonialnych, następnie podoficerem, wreszcie zaś - gdy Tanga w ramach lansowanej przez ONZ mody na dekolonizację uzyskała niepodległość - oficerem armii tangalandzkiej, w której awansował do stopnia pułkownika-szefa służb wewnętrznych. Szefowie państwa zmieniali się z piorunującą szybkością, gdyż za każdym

razem stanowisko to przywłaszczał sobie przedstawiciel jednego z trzech najpotężniejszych plemion, co od razu przyprawiało o antyrządową nerwicę członków dwóch pozostałych szczepów. Aż przyszedł moment, kiedy owa trójca zaklinczowała się krzyżowo do stanu zupełnego pata, z czego skorzystał pułkownik Nyakobo, wówczas już szef Narodowego Bezpieczeństwa, przejmując władzę. Ponieważ wywodził się z maleńkiego plemienia Ourima, na tangalandzkiej szachownicy nic nie znaczącego, był nolens volens akceptowany przez trzech plemiennych gigantów, których starszyzna rozumowała tak: lepiej, aby rządził ten "karzeł", niż któryś z dwójki naszych konkurentów; niech rządzi do czasu, gdy urośniemy w siłę i wyeliminujemy tamtych oraz jego. Lecz on nie dał im czasu: z pomocą broni palnej wyekspediował wszystkie starszyzny do krain plemiennych bogów i zaprowadził skuteczny terror, rządząc według zasady, której nazwę poznał w angielskich szeregach: "dziel i rządź". Nie wymagał, by go kochano, pragnął tylko, żeby wszyscy się go bali. I tak było - wszyscy żyli strachem jak powietrzem, słońcem i wodą, nieustannie wymachując chorągiewkami i transparentami, klaszcząc rytmicznie i uśmiechając się radośnie do wtóru chóralnych okrzyków na cześć "Jego-Ekscelencji- Wielkiego-Wskrzesiciela-Ojczyzny-Dobroczyńcy-Narodu-Umiłowanego-Opiekuna-Kobiet-Dzieci-Młodzieży-i-Starców-Ojca-Wszystkich-Ludów-Tangi-Budowniczego-Pokoju-i-Pomyślności-Zwycięskiego-Lwa-Afryki-Niezastąpionego-Generalissimusa-Prezydenta-Nyakobo-Alandy-Eebanumi!".

Odplacał tę miłość jak Zeus, zapładniając szeregi tangalandzkich kobiet. Wprowadzane były nago do sypialni półboga przez kogoś z pałacowej ochrony lub służby (obie te formacje składały się wyłącznie z członków plemienia Ourima) i jeśli był to debiut nałożnicy na tangalandzkim Olimpie, zaczynał się zdziwieniem lub przerażeniem, w zależności od tego, jaką która dysponowała

odpornością. Musiała się położyć na macie i wsunąć pod solidną, wyściełaną safianem deskę, zawieszoną na takiej wysokości, iż sutki muskały safian. Na tej desce spoczywał podczas kopulacji tors "Umiłowanego-Opiekuna-Kobiet", co ratowało damę przed zmiążdżeniem: Nyakobo powetował sobie głodówkę lat dziecięcych eskalacją obżarstwa do stu sześćdziesięciu kilogramów wagi; uczynił to z łatwością, gdyż był przez naturę zbudowany jak mamut.

Sam kochał tylko jedną osobę na całym ziemskim poletku Pana Boga, swoją córkę Nelinę, prawdopodobnie dlatego, iż nawet skończony bydlak musi mieć do kochania prócz siebie jeszcze kogoś, aby móc żyć. Spłodził ją (w czasach, w których nie używał safianowej deski i nosił mundur brytyjskiego podoficera) z białą służącą w domu rodezyjskich plantatorów. Dziewczynka miała kolor nadmiernie rozcieńczonej mlekiem kawy i była ósmym cudem świata. Jako pułkownik odebrał ją matce. Jako prezydent umieścił swój klejnot w najbardziej ekskluzywnej szwajcarskiej szkole dla młodych dam, z internatem prowadzonym przez zakonnice, gdzie mulacką urodą wpędzała w kompleksy grono książęcych, hrabiowskich i bankierskich córek.

Gdy FWL wyłożyła trzecią przedziurawioną kartę na asfalt tangalandzkiej szosy, Nyakobo uświadomił sobie, że jest taki sposób, jeden jedyny, za pomocą którego można go złamać. Wezwał odpowiednich ludzi i rozkazał przywieźć Nelinę ze Szwajcarii w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. W życiu bywa czasami jak w filmie: spóźnił się zaledwie o kilka godzin.

"Jest czas wojny i czas pokoju" głosi stare pismo, ale czas czasowi nie równy. Przeszedłszy na emeryturę po czterdziestu latach wyteżonej pracy w brytyjskich tajnych służbach, Stanley Jervis miał sześćdziesiątkę piątkę i chociaż na zdrowie zbytnio się nie uskarżał,

nie mógł oczekiwać czterdziestu dla równowagi spokojnych lat, setkę przekracza się tylko na Kaukazie. Wiedział od innych, że najgorszy jest pierwszy rok - człowiek czuje się pusty, niepotrzebny, odrzucony, istne pudełko na śmietniku, a swoboda wysypiania się, czy realizowania hobbistycznych zamiłowań, nie rekompensuje utraconej aktywności. I tak właśnie było, tylko jeszcze gorzej. Więc kiedy w parku do jego ławki pod starym dębem (nazywanym "Karol", gdyż przed stu laty siadał pod nim Karol Marks) zbliżył się młody człowiek o świdrujących oczach i wyseplenił prośbę o pomoc, Jervis nie kazał mu iść do diabła. Nawet coś takiego mogło być rozrywką; mała bezczelność, lecz skracająca dzień, a dni zrobiły się dla Jervisa nieznośnie długie.

Młodzieniec poprosił o drobiazg: o kilkudziesięciu superkomandosów, super-bronń, super-sprzęt transportowy, słowem o super-organizację awanturniczej wyprawy na Czarny Kontynent. Gdyby ktoś trzeci, na przykład jakiś ukryty za drzewem podglądacz, wysłuchał tego koncertu życzeń, wzięłby młodego człowieka za wariata. Lecz Stanley Jervis nie mógł tak pomyśleć, był bowiem jednym z nielicznych ludzi w Anglii, którzy zdołaliby spełnić wszystkie te żądania, gdyby tylko chcieli to zrobić, o czym ktoś musiał główniarza poinformować. Szczeniak kaleczący angielszczyznę złym akcentem dobrze wiedział kogo zaczepia. Jeśli nie psychiczny, to kto, prowokator? Mało prawdopodobne, lata doświadczeń nauczyły Jervisa, iż do takiej roboty nie kieruje się ledwo wyrosłych z krótkich majtek cudzoziemców. Zadrwił bez drwiącego tonu:

- Rozumiem, mój chłopcze. "Psy wojny" stały się szkolną lekturą i pan profesor kazał ci odrobić terenowe ćwiczenia z Forsytha.

- Nie, panie Jervis - odszczeknął młody człowiek. - Sam wymyśliłem sobie tę zabawę!

- Ale dlaczego taką tanią? Nie stać cię na coś kosztowniejszego, z

większym rozmachem, na przykład podbój Marsa czy Wenus?

- Stać, panie Jervis, odziedziczyłem tyle milionów dolarów, że mógłbym kupić pana, ten park, tę dzielnicę i jeszcze by mi zostało na pierwszy prywatny wypad w kosmos. Ale interesuje mnie tylko jedno - zakopanie tych gnojów do piachu!

- Dlaczego?

- Dlatego, że zabili mojego brata.

- Rozumiem, bardzo to dobrze o tobie świadczy. Zabili już trzech... który był twoim bratem?

- Holender. Panie Jervis...

- Tak?

- Pomoże mi pan?

- Nie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że on nie był moim bratem.

- Zapłacę panu! Ile pan żąda? Proszę wymienić sumę, wszystko jedno jaką! Rozumie pan? Wszystko jedno!

- Rozumiem, chłopcze. Tylko widzisz, gdybym się najął do pracy, wszystko jedno jakiej, straciłbym emeryturę, nie wolno mi już zarobkować.

- Pan kpi!

- Nie da się ukryć. Ale cóż chcesz, z psychicznym trzeba psychicznie.

Młodzieniec spurpurowiał, gniew poderwał go z ławki i wyrzucił mu z ust warknięcie:

- Wesolej emerytury, panie Jervis! Przepraszam, moja wina! Z psychicznym trzeba psychicznie, a ja rozmawiałem z panem serio! Pomyliłem się!

- To nie ty - uśmiechnął się Jervis - to ten cwaniak, który cię do mnie skierował. Pozdrów go ode mnie.

- Za późno, proszę pana, ten cwaniak właśnie poszedł tam, gdzie

pan wylądowałby już czterdzieści kilka lat temu, gdyby on wówczas panu nie pomógł. Nazywał się tak jak ja, van Hongen.

Czterdzieści kilka lat temu cichociemnego Stanleya Jeryisa zrzucono na terytorium Holandii, miał robić antyniemiecki sabotaż. Wpadł w ręce gestapo i zegnał się z życiem, gdy zdarzyło się coś na kształt cudu: wykupił go z tych łap za astronomiczną sumę młody przemysłowiec Jens van Hongen. Jervis wiedział, iż van Hongenowie w ten sposób, finansując ruch antyhitlerowski i ratując skazańców, zmazywali grzech, kolaborację swych fabryk z przemysłem okupanta, by mieć po wojnie alibi, lecz to nie miało dla niego znaczenia - nic nie miało dlań większego znaczenia niż jego własne dwukrotne życie, pierwsze zafundowane przez rodziców, drugie przez holenderskiego nababa. Spojrzał młodzieńcowi w twarz z taką miną, jakby dopiero go ujrzał i rzekł:

- Brakuje ci dwóch rzeczy: dobrego akcentu i dobrego wychowania. Mogłeś przedstawić się od razu, oszczędzilibyśmy sobie głupich słów.

- Mogłem - wzruszył ramionami Fritz. Jervis podał mu rękę.

- Przyjdź za tydzień, dostaniesz odpowiedź.

Kiedy został sam, przez chwilę zastanawiał się, dlaczego syn van Hongena mówi po angielsku z nalotem niemieckim zamiast holenderskiego. Potem wstał i nim ruszył alejką do wyjścia, uderzył pieszczotliwie końcem laski w pień dębu, mruczając:

- Masz rację, Karolu, możemy być starzy i mimo to jeszcze komuś potrzebni. Ale tylko w tym masz rację. Cześć!

Lord Benton-Howley nie należał do ludzi, którzy skarżą się na brak zajęć, przybywało mu ich każdego dnia z postępem nieomal geometrycznym. Obszar jego zawodowych obowiązków rozrastał się tak szybko, że nawet komputery nie mogły wytrzymać tego tempa i

przeciwnik coraz bardziej wymykał się spod kontroli.

Gdy lord Benton obejmował swój urząd z ramienia zwyciężkich konserwatystów, jedynym prawdziwym kłopotem była IRA. Później doszedł terroryzm palestyński, Baskowie (ETA), Bretończycy i Korsykanie, międzynarodowa sieć niemieckiej RAF, włoskich Czerwonych Brygad i francuskiej Akcji Bezpośredniej, ponadpaństwowe ugrupowanie Carlosa, wreszcie zaś Irańczycy, Ormianie, Ustasze, Sikhowie, Kurdowie i Tamile, neofaszyści i neoanarchiści, frakcje palestyńskie i mściciele z Mossadu, agenci partyzantek południowo- i środkowoamerykańskich, nie mówiąc już o tylu bojowych grupach z Libanu i jego okolic, że nawet Albert Einstein miałby kłopot z ich policzeniem. Edgar Benton-Howley nie mógł się w tym wszystkim połapać, chociaż jako szef brytyjskiego sztabu do walki z terroryzmem, szef, któremu podlegały SAS (Special Air Service - jednostki interwencyjne), wywiad MI-6, kontrwywiad MI-5, Scotland Yard i tajne służby, miał taki właśnie obowiązek. Mógł tylko na posiedzeniach rządu sprawiać wrażenie, iż panuje nad obszarem swego działania, co się nazywa robieniem dobrych min do złych gier. Jak każdy człowiek rozsądny, któremu przyszło sprawować wysoką funkcję, coraz częściej powątpiewał czy jest właściwym człowiekiem na swoim stanowisku. Kojąco działała nań świadomość, że szefowie analogicznych resortów w innych krajach są podobnie lub jeszcze bardziej zagubieni we mgle.

Nie mając czasu na kino, teatr, lekturę i wyścigi psów, zbyt mało czasu dla staruszków rodziców oraz dla żony i dzieci, a tylko trochę więcej, chociaż zupełnie za mało w stosunku do marzeń, dla panny Lucille Goodward, lord Benton nie mógł nie mieć czasu dla człowieka, z którym przepracował ponad trzydzieści lat, wypił Tamizę whisky, wsadził kilkudziesięciu szpiegów, zmienił rządy w kilku dzikich krajach i zarobił niejeden order. Etońsko-oxfordzka kindersztuba wykluczała brak czasu dla takich przyjaciół, toteż

Stanley Jervis został wpuszczony do gabinetu jego lordowskiej mości nie zdążywszy wypalić w poczekalni papierosa.

Przez pięć poprzednich dni Jervis dowiedział się wszystkiego o Fritzu Grahlu, odbył rozmowę z Loedererem i rozważył tę rzecz, którą miał do rozważenia, tak głęboko, iż mógł wyłożyć to, z czym przyszedł, w sposób maksymalnie oszczędny, logiczny i precyzyjny. Perfekcyjność jego retoryki nie zapobiegła wszakże temu, iż słuchającego Bentona nasza ponura myśl o sklerozie i jej szkodliwym wpływie na ludzi, nawet tak niegdyś zrównoważonych jak Stanley. Wyraził to w elegancki sposób:

- Nie, Stan, daruj, lecz... Nie, nie, wykluczone! Rząd Jej Królewskiej Mości nie może obecnie podejmować takich inicjatyw. Sytuacja międzynarodowa jest skomplikowana i napięta, podobne ryzyko... Zresztą spójrz: Amerykanie też nie mają zamiaru nic robić, Holendrom nawet nie przeszło to przez głowę, ich ruch pacyfistyczny zakrzyczałby ich na śmierć. Wiesz, co to jest dzisiaj zarzut pod tytułem: "spowodowanie nowego ogniska konfliktu"? W dobie, gdy czerwoni i kolorowi mają trzy czwarte głosów w ONZ? Gdy Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze jak zaprogramowany automat feruje wyroki tylko przeciw Zachodowi? Gdy Światowa Rada Pokoju ma tak dowcipną definicję tego, co jest pokojowe, a co antypokojowe, że nawet gdyby nasz premier zamienił się w białego gołąbka, a nasza armia rozbroiła do ostatniego karabinu, to i tak bylibyśmy dla nich stadem krwiożerczych bestii pragnących wykończyć ludzkość?

Jervis idąc tu ani przez chwilę nie łudził się, że uzyska łatwe "tak"; był przygotowany do walki i na wszystko miał gotową odpowiedź:

- Ed, wydaje mi się, że źle zrozumiałeś. Wcale nie zamierzam wpakować Zjednoczonego Królestwa w kabałę polityczną. Całe przedsięwzięcie miałoby charakter prywatny. Nie kosztowałoby nas ani pensa, van Hongen płaci za wszystko. Ludzi znajdę sam, sprzęt

również, na wolnym rynku można kupić nawet supermyśliwcę F-16. Chodzi tylko o to, by rzecz została uzgodniona z Matabele przez odpowiednie czynniki z naszej strony. Bez zgody i bez współdziałania władz tangalandzkich jest niewykonalna, nie można wpięprzyć się obcesowo na ich terytorium, jeśli się nie chce strzelać do ich żołnierzy.

- Słusznie - zgodził się Benton - to byłaby agresja.

- Dlatego chcę mieć ich zgodę. Sam nie mogę się o nią zwrócić, jestem człowiekiem z ulicy, nie chcieliby ze mną gadać.

- Kto według ciebie ma to załatwić, premier czy któryś z ministrów? - spytał cierpko Benton. - Stan, zrozum, że to właśnie byłoby upolitycznieniem imprezy. Rząd nie zechce się w to pakować, tym bardziej, że nie ma już nikogo do ratowania, jedyny Anglik został zabity, a w przypadku niepowodzeń, co jest zawsze możliwe, oraz gdyby rzecz się wydała, czego również nie można wykluczyć, szkody polityczne mogłyby być katastrofą!

- Rząd nie musi się w to pakować, można to załatwić jakimś tajnym kanałem, na przykład służb specjalnych...

- No proszę, i już jesteśmy w domu! - sapnął Benton. - Chcesz mnie w to zrobić? Nie ma jak stara przyjaźń! Boże, strzeż mnie od przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam!

- Z wrogami radziliśmy sobie obaj, Ed, i bardzo często udawało nam się tylko dlatego, że nie odtrącaliśmy sposobów półlegalnych - przypomniał mu Jervis. - Tajne środki i tajne kontakty są w tym fachu dekalogiem, wiesz to równie dobrze jak ja, nie udawaj dziewczycy! Panowie ministrowie również o tym wiedzą. Gdybyś nie korzystał z metod tajnych, uznaliby cię za niedołęgę i przenieśli w stan spoczynku, szukając kogoś lepiej rozumiejącego sens tej roboty.

Dłoń jego lordowskiej mości wykonała ruch zwany potocznie gestem zniecierpliwienia. - Z tym jest tak, mój drogi, jak z kradzieżą, złodziejem zostaje ten, którego złapano. Gdy moja tajna

gra przynosi korzyści, to jestem dobry na moim stanowisku. Lecz jeśli któraś zakończy się wpadką, będę nieodpowiedzialnym, łamiącym prawo awanturnikiem politycznym i własna partia bez wahań rzuci mnie na żer publiczności, by uratować swoje szanse w kolejnych wyborach!

- Sam powiedziałeś, że to robisz, a robisz to, bo musisz to robić, Ed, choć nigdy nie masz gwarancji sukcesu, zawsze istnieje ryzyko. W tym przypadku ryzyko jest minimalne, korzyści zaś mogą być duże. Jeśli wyprawa się nie uda i jeśli nawet zrobi się o tym głośno, będzie to prywatny krach grupy inicjatorów i najemników, bo przecież umowy z Matabele nie podpiszesz, nie zostanie żaden ślad twojej ręki. Jeśli zaś skończy się sukcesem, to na szalę tegorocznych wyborów będzie można rzucić argument o tym, iż torysi nie pozwalają bezkarnie zabić ani jednego Anglika, proszę bardzo: rząd Jej Królewskiej Mości ukarał morderców! Przypomnij sobie o ile procent wzrosła wasza popularność w efekcie wygranej wojny o Falklandy! Ujądaniem z niektórych ław ONZ-tu nikt się nie przejął, czymże jest w polityce opinia zewnętrzna wobec wewnętrznej! Tamto oblicza się decybelami przemijającego hałasu, to zaś głosami wyborców, milordzie!

Szef brytyjskich służb specjalnych spojrział na zegarek bez szczególnej ostentacji, po czym zakonkludował:

- Nic z tego, tracisz czas. Dla pocieszenia sprzedam ci coś, o czym nie wiesz. Nawet gdybyś mnie urobił, nie mógłbyś wysłać tam ludzi, Nyakobo nie zezwoliłby na to. FWL jest mu potrzebna dla represji i dla propagandy, a do tego ów czarnuch chce zamknąć kraj. Od mojego agenta w Matabele wiem, że za kilka dni władze wstrzymają nawet ruch turystyczny i skasują ostatnią misję Franciszkanów. To tyle, Stan. Mam nadzieję, że znajdziemy kiedyś czas, aby się wspólnie napić. Wybacz, jestem spóźniony.

W dwa dni potem szef afrykańskiej sekcji sztabu lorda Bentona (były radca prawny ambasady brytyjskiej w Matabele) zameldował, że o pilną i całkowicie tajną rozmowę prosi jego lordowską mość adiutant prezydenta Nyakobo, pułkownik Oubu, który właśnie przyleciał do Anglii incognito, jako nigeryjski przemysłowiec. Benton oniemiał.

- Wiesz, czego chce, Denis?

- Prosić o pomoc, szczegółów nie znam, sir. Błaga, żebyśmy zachowali najdalej posuniętą dyskrecję, nawet ich ambasada nie może się dowiedzieć, iż on tu jest.

W tym momencie lord Edgar Benton-Howley pomyślał coś, o czym już wiemy: iż życie czasami przypomina film. Uśmiechnął się. Gdyby znał scenariusz tego filmu, w którym - nie mając o tym pojęcia - grał już rolę, odechciałoby mu się śmiać.

W istocie Nelina Nyakobo nie różniła się od swych koleżanek szkolnych nawet barwą skóry, bo one po "holidays" na karaibskim wybrzeżu lub w Miami przywoziły ciemniejszą opaleniznę niż jej naturalna karnacja. Mentalność, świadomość, jaźń, psychika, wnętrze, bez względu na nazwy - wszystko było u córki prezydenta koktajlem genów afrykańskich i wpływów europejskich. Cudowny obiekt nie tylko dla podrywaczy i erotomanów, lecz i dla uczonych próbujących zgłębić odwieczny sekret: co dominuje, czarna magia genetyki, czy biała alchemia edukacji i warunków środowiskowych.

W zwyczajną nastolatka leży robienie wielu dziwnych rzeczy, ale to, co robią najchętniej, to marzenia. Każda jest księżniczką i dużo wcześniej nim zacznie marzyć o wielkich pieniądzach i stałych orgazmach, marzy o księciu z bajki, coraz rzadziej hollywoodzkiej, w większości przypadków estradowej: księżę ma łysy lub brodaty łeb

gwiazdora pop-music, cholernie szybki samochód i fantastyczny jacht, a koleżanki umierają na zazdrość widząc nowy ciuch, zwycięski uśmiech i w ogóle cały szpan księżniczki-marzycielki. Nelina marzyła tak do momentu, gdy ją porwano. Skuta kajdankami z ramą żelaznego łóżka na bezokiennym poddaszu, zaczęła marzyć o księciu Jamesie Bondzie, który zjawi się jak karzący piorun, zbije porywaczy, a ją uwolni i weźmie w ramiona, żeby pocałować i nic więcej, gdyż była dziewicą z tych dziewic, co nie tęsknią do utraty dziewictwa, bojąc się tego jak każdej drastycznej nowości.

Porywacze, którzy przytknęli jej do ust i do nosa chustkę z płynem usypiającym, kiedy na szkolnej wycieczce udała się do toalety w górskim schronisku - nie budzili przerażenia. Byli uprzejmi, nie krzyczeli na nią i nie robili brzydkich min. Młoda kobieta, która przynosiła jej pokarm i duży nocnik, w innych okolicznościach budziłaby odruchową sympatię. Pierwszy strach szybko zastąpiła nuda, mimo książek, których porywacze mieli w bród. Dopiero gdy przypomniała sobie, że kidnaping polega też na obcinaniu porwanym palca lub ucha, znowu zaczęła się bać.

Jej cerberzy nie czuli żadnego strachu. Akcja się udała, rozkaz został wykonany, nie zostawili żadnych śladów, reszta była siestą, na której końcu majaczyły przyrzeczone nagrody. Zdziwiający, jak często boją się nie ci, którzy powinni się bać, bo skazano ich u zarania, wcześniej niż popełnili grzech.

Zgodnie z otrzymaną instrukcją pułkownik Oubu przez godzinę spacerował po londyńskich antykwariatach. Dwa psy Bentona zdążyły w tym czasie uzyskać pewność, że nikt inny go nie obserwuje. W sklepie ze starą porcelaną pułkownik wykazał całkowity brak zainteresowania dla kunsztu miśnieńskich geniuszy, wszedł na zaplecze, a stąd schodami do piwnicznego gabinetu w

stylu braci Adam, gdzie czekał nań szef brytyjskich służb specjalnych.

Prośba o pomoc była prośbą o znalezienie i uwolnienie (siłą lub złotem) porwanej przez nieznaną bandytów córki prezydenta.

- Dlaczego zwracacie się właśnie do nas? - zapytał Benton. Pułkownik odsłonił dwa pułki mlecznobiałych zębów:

- Tradycyjna przyjaźń między naszymi krajami...

- Po co pan to pieprzy?! - przerwał Benton, chwilowo nie zamierzając być wzorem lorda. - Pracujemy w identycznym fachu, rozmawiamy prosto, jak łobuz z łobuzem. Tradycyjną przyjaźń możemy potłuc o kant dupy, nigdy jej nie było, a teraz jest gorzej niż kiedykolwiek. Wyrzuciliście ze stolicy dwóch korespondentów naszych gazet. Nasza ambasada ma ciągle kłopoty z dostawą prądu. Kontrakt na budowę elektrowni w Yahala, o który starały się nasze firmy, został przyznany Belgom, a koncesję na poszukiwania geologiczne w okręgu Keya daliście Amerykanom. Mało?

- Jego Ekscelencja Pan Prezydent może odebrać koncesję Belgom... - wymamrotał skonfundowany pułkownik.

- Nie mam co do tego wątpliwości, jego ekscelencja jest tak potężny, że mógłby odebrać Panu Bogu prawo do świąt Bożego Narodzenia! - zgodził się Benton w tym samym ofensywnym stylu, który przyjął jako metodę. - Zzera mnie ciekawość, dlaczego nie potrafił sam odebrać swojej córki kidnaperom?

Oubu milczał, hamując gniew.

- Powiem panu z jakiej przyczyny wybraliście nas. Francuzi skompromitowali się w Nowej Zelandii, jankesi w Iranie i w Libanie, a Włosi i Niemcy na własnych podwórkach. Wśród wszystkich tych amatorów, którzy próbują okiełznać terroryzm, amatorszczyzna Brytyjczyków jest najbardziej zbliżona do profesjonalizmu, bo jak dotąd w miarę skuteczna. I jeszcze uchodzimy za facetów, którzy tu i tam mają dobre kontakty, co odpowiada prawdzie. Oto powód!

Trochę trudniej znaleźć mi odpowiedź na inne pytanie: dlaczego mielibyśmy wam pomagać?

Oubu wstał i wycisnął przez zęby:

- Tak czy nie?

- Tak - odparł Benton.

Uczył to z olimpijskim spokojem, jakby rzecz była dawno już uzgodniona. Pułkownik stał przez chwilę z głupią miną i usiadł.

- Tak - powtórzył Benton. - Wszystko jest kwestią ceny...

- Dostaniecie kontrakt na elektrownię i każdą ilość złota, nie będziemy się targować!

- Cieszy mnie to, pułkowniku, nie lubię się targować. Pieniądze wykluczam, dżentelmeni o nich nie mówią. Spełnimy prośbę pana prezydenta bezpłatnie, ze względu na tradycyjną przyjaźń między naszymi krajami. Z tego samego względu jego ekscelencja prezydent Nyakobo zezwoli grupie komandosów, anonimowej, lecz mającej nasze błogosławieństwo, wejść na terytorium Tangi i wytłuc bandytów, którzy zamordowali brytyjskiego obywatela.

Pułkownik zbaraniał. Przelknął grubą porcję śliny i wykrztusił:

- Myśli pan o FWL?

- Uhhh... A propos, wasza propaganda nazywa ich komunistami. Czy tak jest w istocie? Proszę być szczerym.

- Diabli wiedzą - burknął Oubu. - Lewicowej lub lewackiej retoryki używa dziś każdy kto macha pistoletem, bo cóż bardziej chwytliwego niż hasło "rewolucji" i "wyzwolenia ludu"? Wszędzie jest jakiś lud, który od czegoś można wyzwalać, u was także. Czerwone Brygady nazywają się czerwone, a są takie czerwone, jak ja jestem biały. Masakra na dworcu w Bolonii była dziełem faszystów, którzy podpisali się w swym oświadczeniu dla gazet lewą ręką...

Benton pomyślał, że ten czarnuch wcale nie jest taki głupi jak powinien być, a pułkownik kontynuował: ...Może są sterowani z Europy, może z dalekiej Azji, z Arabii lub Ameryki Południowej, a

gdybym usłyszał o Antarktydzie, też bym się nie zdziwił, w tej branży nic już nie może mnie zbulwersować. Jeśli chodzi o cenę, którą wyznaczyliście...

- O warunek, panie pułkowniku, warunek darmowej pomocy - poprawił go Benton.

- Tak... więc jeśli chodzi o ten warunek, to jest on... Tangijczyk zawahał się, szukając słowa. Anglik natychmiast mu pomógł:

- To jest on sine qua non, pułkowniku!

- Jest kłopotliwy...

- Zgadzam się, jest on tylko kłopotliwy, podczas gdy najbardziej eufemistyczny termin, jakim można nazwać przedsięwzięcie, które my musimy wykonać, żeby uzyskać z ust prezydenta łatwe "tak", brzmi: "operacja o najwyższej skali trudności". Dlatego chcemy uzyskać podwójne "tak", drugie w sferze gospodarczej. Elektrownie przestały nas interesować, pragniemy zastąpić jankesów w okręgu Keya. Chodzi o to, by wasz prezydent nie przedłużył kontraktu z Amerykanami i dał nam wyłączne prawo do wierceń w tym rejonie oraz do eksploatacji złóż, jakie tam odkrywamy.

- Za to samo Ameryka obiecuje nam pożyczkę większą niż wszystkie dotychczasowe wzięte razem...

- Funt jest dziś mocniejszy niż dolar, pułkowniku, pożyczka z banków londyńskich stanie się bardziej atrakcyjna. To samo można rzec o gratyfikacji dla pośrednika... Mógłby to być ktoś, kto stoi przy prezydencie. Ten ktoś nie napracowałby się w tym celu, prezydent bez nalegań powie "tak", gdyż chce uratować swoje dziecko. Jestem tego pewien, więc nie czekając, już dzisiaj podejmę pierwsze działania. Wstrzymam je, gdy udzieli odmowy. Chciałbym znać decyzję możliwie szybko, czas gra przeciw nam.

- Jeszcze dziś skontaktuję się z prezydentem - rzekł Oubu.

- Co?! - krzyknął Benton - prezydent jest tutaj?

- Prezydent jest w Matabele, nigdy nie opuszcza pałacu.

- Więc jak?

- Przez telefon.

Jego lordowską wyższość zatkało, najwyraźniej uległ przedtem złudzeniu oceniając tego czarnucha, którego iloraz inteligencji trącił debilizmem.

- Pan oszalał! Zapyta go pan przez telefon, podając szczegóły?! Czemu nie sprzeda ich pan od razu dziennikarzom i szpiegom, efekt będzie ten sam, rozmawiać z prezydentem przez telefon to tak jak rozmawiać z nimi!

- Nie - uśmiechnął się pułkownik - oni nie znają narzeczy plemienia Ourima, a tym bardziej szyfru, którym posługuje się tylko dwóch ludzi, prezydent i ja.

Gdy Anglik straci zimną krew, głupio się unosząc, czuje potem wstyd. Gdy jest to oxfordczyk, dżentelmen i arystokrata - wstydzi się potrójnie. A gdy na domiar w pojedynku z barbarzyńcą nie on śmieje się ostatni, to jest koniec Imperium Brytyjskiego. Biały bwana usłyszał na skroniach własne tętno jak dudnienie tam-tamów.

Tej samej nocy (z 28 na 29 czerwca) prezydent Nyakobo powiedział "tak" szyfrem wydestylowanym z narzecza Ourima, pułkownik Oubu przedyskutował z Bentonem szczegóły, o których można już było (po owym "tak") rozmawiać i jego lordowska mość udał się do domu, ale nie do tego, do którego lubił się udawać; była trzecia nad ranem, a ponieważ sen, choćby krótki, jest dla organizmu rzeczą niezbędną, kazał się odwieźć do domu, w którym dzielił sypialnię z żoną.

Zbudzony około siódmej, "doładował akumulator" drzemiąc w fotelu awionetki, która o 2.10 wylądowała w stolicy Irlandii Północnej, Belfaście. Z lotniska odebrał go major Greenwood, szef tamtejszych

oddziałów SAS, prześladowca i wróg numer jeden Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

Do roku 1976 terroryści spod znaku IRA cieszyli się niemal zupełną bezkarnością. Zabijali lub okaleczali strzałem w kolano każdego, kto był przez nich podejrzewany o współpracę bądź sympatyzowanie z brytyjskim okupantem, wysadzali w powietrze bary i samochody, wymuszali “dobrowolne składki na walkę wyzwolenczą”, bądź też zbierali dobrowolne składki na walkę wyzwolenczą etc. W roku 1976 rząd brytyjski posłał do Belfastu niewielki oddziałek SAS, stu dwudziestu wyborowych komandosów pod dowództwem kapitana Greenwooda. Jako że członkom IRA nie groziło wcześniej prawdziwe niebezpieczeństwo, ich konspiracja była amatorszczyzną, toteż zawodowcy z SAS poradzili sobie bez trudu, “rozpieprzając” całą organizację “z marszu”. Dwa lata potrzebowała IRA, by się odrodzić i to w kształcie profesjonalnym, w czym pomogły jej międzynarodowe ugrupowania terrorystów. Swoją “come back” ogłosiła wielkim hukiem, wysadzając w powietrze jednego z najważniejszych obywateli Anglii, wuja księcia Filipa (małżonka królowej), lorda Mountbattena, i na deser osiemnastu brytyjskich żołnierzy. Greenwood zużył sporo czasu, by zainstalować w IRA parę “wtyczek”, lecz gdy już to uczynił, w ciągu zaledwie dwóch lat (1982-83) aresztowano trzystu członków organizacji i zlikwidowano dziewięćdziesiąt sześć magazynów z bronią. Odpowiedzią IRA była nowa reorganizacja i podminowanie zjazdu konserwatystów w Brighton ładunkiem wybuchowym o takiej sile, iż premier Albionu, pani Thatcher, tylko cudem uniknęła śmierci. Greenwood natychmiast wszczął kroki odwetowe i w ten sposób irlandzka karuzela ciągle była w ruchu, dostarczając wrażeń jej uczestnikom, jak również czytelnikom prasy i oglądaczom telewizyjnych “newsów”.

W pancernym aucie Benton spytał:

- Wszystko w porządku?

- Yes, sir - odpowiedział Greenwood.

- Niczego się nie domyśla?

- Nie wygląda na to, sir. Ale to się może w każdej chwili zmienić. Desygnowałem najlepszych, lecz w takiej grze nigdy nie ma gwarancji. Nawet to, co mówię, że wszystko jest w porządku, nie musi już być prawdą, chociaż było nią godzinę temu. W każdej sekundzie on może się zorientować, mógł uczynić to przed dwoma minutami, a ja jeszcze o tym nie wiem.

- Miejmy nadzieję, że fortuna jest wciąż przy nas, majorze - mruknął Benton.

- Mam taką nadzieję, sir, lecz upieram się przy tym, co już postulowałem: najwyższy czas kończyć! Nalegam na to, sir! Przeciągając, być może złowimy jeszcze parę płotek, ale to nie warte ryzyka, możliwość utraty wszystkiego rośnie. Poza tym taki numer w środkach masowego przekazu jest nam pilnie potrzebny, zarówno ze względów prestiżowych, jak i przez wzgląd na moich ludzi, trochę komplementów podniosłoby ich morale, psychicznie bardzo wzmacniając. Najlepszym motorem sukcesu jest sukces, oni czują jego głód. Proszę pana o decyzję, sir!

Benton chciał odpowiedzieć: Do pana należy wykonywanie rozkazów, majorze, filozofować pan nie musi!, lecz ujął to krócej:

- Decyzja brzmi: nie.

- Tak jest, sir!

Zapanowała chwila ciszy, ilustrowana taśmą podmiejskich widoczków, które przesuwały się za szybami z antyzamachową szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Benton włożył do ust papierosa i nie przypalając rzekł:

- Decyzja ta jeszcze dzisiaj może ulec zmianie. Przyjechałem właśnie po to, aby rozstrzygnąć. Za kilka godzin wszystko się wyjaśni... Czy tu zawsze jest tak duszno w czerwcu?

- Nie, sir.

- Przez jaką dzielnicę jedziemy, majorze, protestancką czy katoliczką?

- Protestancką, sir.

- Więc można uchylić szybę?

- Nie, sir. W tym wozie szyby się nie otwierają.

Benton cofnął dłoń szukającą korbki na drzwiach i sięgnął po zapalniczkę.

Właściciel olbrzymiego zajazdu przy drodze między Portdown i Armagh (czterdzieści mil na południowy zachód od Belfastu), połączonego z warsztatem samochodowym, stacją benzynową i sklepem z częściami do różnych pojazdów - nazywał się Sean O'Relly. Kierowcy zatrzymujących się tu ciężarówek, od których parking pękał w szwach, nazywali pocziwca "Old Sean". Kiedy do tego człowieka podszedł jego pracownik, mówiąc: "Szefie, jakiś facet chce gadać z panem" i kiedy "Old Sean" spojrzał temu facetowi w twarz, zrozumiał wszystko - wilk może po raz pierwszy widzieć dubeltówkę, a wie, co ona znaczy. Benton - z tą samą szybkością pojmując, iż tamten odgadł - wysylabizował szeptem:

- Nie rób głupstw, zabijesz własne dzieci! Są w moich rękach. Najbardziej tajemniczy człowiek Ulsteru, legendarny za życia, budzący wśród protestantów grozę (nazywali go "Bestią", podczas gdy katolicy mówili o nim: "Mściciel" lub "Mesjasz", zaś ludzie Greenwooda: "Boy number one"), naczelny wódz Irlandzkiej Armii Republikańskiej, Thomas Sean Karnock - zadrzał.

- Kto mnie sypnął? - spytał półgłosem.

- Judasz.

- A ty kto?

- Kapłan, do którego Judasz przyszedł. Nie stójmy tu, chodźmy

porozmawiać.

- Co mogę wziąć? Szczoteczkę...
- Nie będzie ci potrzebna w twoim pokoju.
- W jakim moim?
- Tutaj. Najpierw porozmawiamy u ciebie, nie u mnie.
- Jakaś różnica?
- Jakaś.

Na piętrze przez jedną ścianę ze szkła widać było salę restauracyjną zajazdu, przez drugą zielone, wznoszące się po horyzont pasma łąk. Daleko, przy kępie drzew, widniały zabudowania farmy. Karnock zdjął ze ściany lornetkę i wbił w nią ślepią. Potem chwycił za telefon, wykręcił numer i ze słuchawki dobiegły go zimne, przejmujące lękiem słowa:

- Tu Greenwood, "Chłopcze numer jeden". Nie rób w portki, masz jeszcze czas. Na razie nic im się nie stało, reszta zależy od tego, czy wykażesz rozsądek.

"Chłopiec numer jeden" odwrócił się do Bentona i powiedział:

- Nie!
- Przepraszam, co nie? - zdziwił się Benton
- Nie idę na to!
- Na co?
- Nie zrobicie ze mnie Judasza, nie będę z wami współpracował!
- A kto ci to proponuje? Współpracowników szukam wśród orłów, a ty jesteś wełniany baran, dałeś się wykołegować jak kmiot!

Karnock zwiesił głowę.

- To prawda... Czego chcesz? Bo przecież chcesz czegoś!
- Chcę się dogadać. Inaczej już dawno byś mieszkał w pierdłu, a z tobą twoi najlepsi ludzie. Znamy większość z nich, dlatego nie proszę cię, byś sypał.
- O co chodzi?
- O to, żeby do końca roku nie padł ani jeden strzał i nie wybuchła

ani jedna bomba.

- Nawet gdy protestanci będą szarpać naszych?

- Nie będą, a jak spróbują, Greenwood da im taki wycisk, że odechce się im nawet myśleć o tym.

- Co w zamian?

- Bardzo dużo. Nie zostaniesz aresztowany, nie przymknę też twoich kapitanów, tylko trochę płotek, żeby ucieszyć prasę i rząd. Możesz zwać do Dublina, możesz zejść do nowego podziemia, zrób sobie operację plastyczną, ochrzcij nowym imieniem, rób, co chcesz. Rodziny, twoją i twoich kolesiów, zatrzymamy i na Boże Narodzenie wyekspedujemy do Eire jako prezent gwiazdkowy. Ale tylko wówczas, jeśli tatusiowie okażą się grzeczni.

- Tak nisko upadłeś, że z dzieci robisz zakładników? - prychnął Karnock.

- Jeszcze nie tak nisko jak ty! Ty z dzieci robisz nieboszczyków! - odciął się Benton. - Bomba w domu towarowym Harrodsa zabiła troje! Wiesz, co sobie wtedy pomyślałem? Że jest w tym wszystkim jakaś cholerna niesprawiedliwość. Wy mordujecie bez żadnych hamulców, a my nawet po złapaniu nie możemy was wysłać na szafot, bo w tym kraju nie istnieje kara śmierci! I wymyśliłem coś takiego: karetka policyjna wiezie twoją rodzinę na posterunek, szofer parkuje, wysiada i wchodzi do budynku, a tu nagle wielkie "bum"! Obok wozu policyjnego eksplodował samochód-pułapka, z obu maszyn zostało wspomnienie. Bombę podłożyli ci z Irlandzkiej Armii, bo to ich sposób. Pech - zamiast glin wyleciała w powietrze rodzina wodza. Co o tym myślisz?

Sam, paplając to, myślał: "Cholera, nie zrobiłbym czegoś takiego, nawet gdyby to była jedyna rzecz mogąca uratować mi życie". Karnock wiedział o tym:

- Nie zrobiłbyś tego!

Przez chwilę patrzyli na siebie, jakby próbując twardość wzroku, i

każdemu przemknęła ta sama myśl, że są jak syjamscy bracia, sens ich żywotów jest wzajemnie przez los uzależniony, cóż by robili jeden bez drugiego? “Londyński skurwysyn” i “ulsterski bandzior” darowani sobie przez Boga, żeby nie powtarzać wegetacji milionów szarych mrówek i zachować na starość wspomnienia jak dwa erotyczne sny.

- U Harrodsa to był przypadek, boleję nad tym do dzisiaj! - rzekł Karnock. - Z premedytacją nie zabiłbym dziecka. Ty również nie zrobiłbyś tego, nawet wówczas, gdybym ci odmówił w sprawie, z którą przychodzisz, a o której jeszcze nie wiem, bo to, czego zażądałeś dotąd, to tylko broszka. Mów, czego chcesz?

- Ktoś porwał w Szwajcarii córkę tangalandzkiego prezydenta, Nelinę Nyakobo. Chcę wiedzieć kto, i gdzie ona jest teraz.

- Idź do jasnowidza, czemu gadasz z irlandzkim powstańcem?

- Bo irlandzcy powstańcy, chociaż zżymają się, gdy prasa porównuje ich do terrorystów i bandytów z innych części świata, mają dobrą sieć kontaktów ze wszystkimi, od maronitów i szyitów, poprzez RAF i AD, aż do Basków, Tupamaros i Sendero Luminoso. Kup tę informację nie oglądając się na koszty, dostaniesz każdą potrzebną ilość funtów! Zrób to szybko, to jest robota na wczoraj!

Karnock znowu odwrócił się w stronę łąk i powiedział, kładąc rękę na szybie:

- Założmy, że mi się uda, że obaj dotrzemy warunków i minie ten rok. Co dalej?

- To samo, od nowa zaczniemy grę “w policjantów i złodziei”. Jeśli wpadniesz drugi raz, to chyba wpadniesz na dobre, bo tym razem ja mogę nie mieć już interesu do ubicia.

- Jeśli wpadłbym drugi raz - powiedział Karnock cicho - to byłby ostatni raz, nie dlatego, że ty nie miałbyś interesu do ubicia, lecz dlatego, że musiałbyś mnie zabić “przy próbie ucieczki” lub “podczas stawiania oporu”, bo bałbyś się, że przed sądem ujawnię nasz

dzisiejszy kontrakt.

Żegnając Greenwooda i wydając mu świeże rozkazy, Benton zakończył rutynowo:

- Są jakieś pytania?

- Jedno, sir. Dlaczego pan to zrobił?

- Dlatego majorze, iż listopad jest miesiącem wyborów. Gdybyśmy teraz aresztowali "Chłopca numer jeden", w ciągu następnych miesięcy IRA wysadziłaby w powietrze pół Londynu, a gruzy tych rumowisk pogrzebałyby szansę mojej partii. Pańskiej chyba też, należy pan do torysów?

- Nie sir, lecz zawsze oddaję na nich swój głos.

- To ładnie z pana strony, majorze. Postaram się, by o tym pamiętano przy kolejnej liście awansów.

Stanley Jervis nawet nie marzył, iż zdawkowe słowa Bentona, o wypiciu czegoś w wolnej chwili, tak szybko zamienią się w krew i ciało, a dokładniej w koniak "Camus" i w zgodę na rozpoczęcie operacji.

- Z tym Holendrem rozmawiaj sam, on nie może wiedzieć o moim istnieniu, przynajmniej chwilowo, potem się zobaczy - rzekł Benton.

- Niech uruchamia swoje konta, będziesz potrzebował na instrumenty i grajków. Myślisz o kimś?

- Jest jeden człowiek jakby stworzony do tego, lub raczej był, bo niewiele w nim zostało z homo, a jeszcze mniej z sapiens - odparł Jervis.

- Jeśli uda się go reanimować, to będzie połowa sukcesu. On sam zmontuje sobie orkiestrę.

- Gdyby mu trochę zabrakło, dam wam kilku wyrzutków z SAS, którzy nie siedzą tylko przez moją miękkość serca oraz przez pamięć na ich dawne zasługi.

- Twoja wspaniałomyślność w niczym nie ustępuje twojej miękkości serca - zakpił Jervis, pociągając łyk koniaku.

- Wypchaj się, gangsterze, podły oprawco ruchów wyzwolenicznych trzeciego świata! - parsknął Benton, uradowany, że już za godzinę spotka Lucille Goodward. - I powiedz temu holendersko-szwabskiemu krezusowi, że najpierw musi sfinansować uwolnienie miss N. Bez tego nie będzie miał afrykańskiej wycieczki, chyba że uda się tam przez biuro turystyczne.

- Ciekawostka, Ed, tego jeszcze nie grano w naszym fachu.

- Czego?

- Bękart uratuje bękarta, same bękarty, gdzie nie spojrzeć! To tak, jakbyś, psiakrew, grał talią, w której jest aż dwóch jokerów - burknął lekko zawiany Jervis, wychylając kieliszek do dna.

II. Orkiestra

Alkoholizm jest okropną rzeczą. Kogoś, kto miałby w tym względzie wątpliwości, przekonałoby jedno spojrzenie na białego dżentelmena, któremu ściany kamienic pomagały sunąć naprzód uliczką londyńskiej dzielnicy Soho w lipcowy wieczór pełen mgły, mżawki i niewesołych skojarzeń. W brudnym powietrzu sylwetka tego człowieka wyróżniała się tylko bardziej intensywną szarością, a jedynym jaśniejszym punktem był złoty zegarek, błyszczący we mgle jak latarnia dla zabłąkanych łodzi. Ten błysk podniecił dwóch kolorowych dżentelmenów, którzy wyskoczyli nie wiadomo skąd i bardzo niegrzecznie poprosili białego, aby im oddał błyskotkę. Ale to nie był dobry pomysł, bo posiadacz kawałka cykającego złota prędeziej by zzuł ostatnie buty niż ów zegarek, będący dlań symbolem lepszych, pełnych chwały czasów, jedyną zaporą oddzielającą jego człowieczeństwo od stanu całkowitej pijackiej zwierzęcości. Postanowił bronić swego skarbu. Wykonał dwa chaotyczne ruchy, typowe dla ludzi, którym alkohol odebrał koordynację gestu, następnie przyjrzał się dwóm leżącym brązowym dżentelmenom, którzy głośno jęczeli, gdyż ich ciała, zbyt gwałtownie zetknięte z krawężnikiem, przysparzały im fizycznych cierpień, i wznowił swój zacięty marsz tym samym płynnym ruchem kołyszącego się na wietrze sitowia.

Kłopot z czterema kondygnacjami klatki schodowej w czynszówce, która była meta, okazał się niczym wobec niemożności trafienia kluczem w dziurkę od zamka. Po kilku minutach pijak zmógł i tę przeszkodę, wtoczył się do mieszkania i zamrugał oczami na widok trzech mężczyzn siedzących w fotelu wyściełanym resztką sztruksowego obicia, włosiem oraz zardzewiałą sprężyną, która

wyrwała się na wolność. Uporczywe mruganie scalilo intruzów w duet, a potem w jednego i wówczas właściciel lokalu przemówił:

Cześć, Stan!... Ouuupps. Pardon... Jak tu... wlażesz?

- Przez drzwi.

- A jak... otworzyłeś?... Ouuupp!

- Spinką od krawata - wyjaśnił Jervis.

Owszem, można... - zgodził się pijak i nie widząc nic lepszego w zasięgu wyciągniętej ręki, usiadł na podłodze. - Dawno się...ouuupp! pardon!... nie tego... nie widzieliśmy.

- Cztery lata, Armandzie.

- Kazałeś mi iść precz... tak, ouuupp!... Aleja nie... nie tego... nie jestem świnia... nie pokażę ci drzwi...

Jervis sięgnął po leżącą na stole butelkę, w której zachowała się resztką wody mineralnej i podał pijakowi, mówiąc:

- Skończ z tą czkawką! Pokazałem ci wówczas drzwi, bo taki miałem rozkaz, a przedtem zrobiłem wszystko, żeby mój szef odwołał inny rozkaz, wsadzenia cię do pierdła!

Pijak turlnął pustą butelkę w kierunku Jervisa i wyszczerzył zęby:

- Przyszędłeś się tym pochwalić... ouuupp!... sacrebleu!... czy z innego powodu?

- Z innego - rzekł Jervis, widząc, że rozmówca nie nadaje się jeszcze do rozmowy. - Pokłóciłem się ze starą, możesz mnie przenocować?

Tamten czknął i zakasłał od śmiechu:

- To emeryci też się tak... tego... obrażają jak młode małżeństwa?

- Sam widzisz.

- Zawsze mówiłem, że jak ktoś... chce zawrzeć tak zwany z w i ą z e k, to niech lepiej idzie do fryzjera, żeby mu obciął pałę!... Ouuupp!... Rozwiązujemy stadło na bank, czy tylko na jedną noc?

- Na jedną, do jutra złość mi przejdzie.

- I nie masz lepszych adresów?

- Pod lepszym byłoby mi wstyd.

- Aaaa! Przed... ouuupp!... przed tak zwanym wyrzutkiem społeczeństwa nie musisz się rumieniść, jasne! W hotelu też byś nie musiał.

- Wybiegłem z domu wściekły, nie pomyślałem o forsie. Ale jak chcesz, mogę iść.

- Zwariowałaś?... To jest właściwe miejsce... ouuupp! pardon!... Przytułek wyrzutek, tranzyt frustratów, łajba śmieciarzy... Nie masz pojęcia, Stan, ile kurew spędziło tu jedną noc! Poszukaj w lodówce, najwyższy czas opić święto zmartwychwstania stosunków między zasłużonym obywatelem a człekokształtnym!

Pośród baterii mineralnych wód (na wszystkich piętrach przedpotopowej lodówki) Jervis odszukał butelkę szkockiego alkoholu, myśląc: "Damned, jak tak dalej pójdzie, to mnie wsadzą na odwyk kliniczny, zanim cokolwiek uda mi się zorganizować!... Musi się udać! Ostatni taki numer w moim życiu, dzięki niemu wiem, że jeszcze jestem!"

Dla ludzi cierpiących na nadkwasotę żołądka lub kamienie nerkowe nazwa Vichy to coś bardzo przyjemnego - woda mineralna i sól Vichy kojarzą się z ulgą. Lecz dla osobników, którzy cierpią na nadpobudliwość pamięci o czasach Hitlera (jest ich coraz mniej, to gatunek wymierający) Vichy cuchnie. Tak się nazywało satelitarne państewko francuskie III Rzeszy w ciągu czterech lat (1940-44) - królestwo kolaborantów, azyl pseudopatriotów, ściek szumowin kalających trójkolorowy sztandar.

Blaise Vocourt był sekretarzem jednego z ministrów faraona Vichy, marszałka Petaina. Gdy Francję wyzwolono, Francuzi przystąpili do ostrych porachunków z vichystami. Było to pasją prawie wszystkich obywateli, prawie wszyscy bowiem splamili się

kolaborantwem lub quasi-kolaborantwem (w tej dyscyplinie Francja pobiła rekord Europy, deklasując konkurentów) i jako świeżo upieczeni patrioci musieli szybko uwiarygodnić siebie samych wobec własnych sumień, własnych sąsiadów oraz własnej mody na patriotyzm, a gorliwość neofitów nie zna granic. Blaise Vocourt miał szczęście, gotówkę i paszport na nazwisko Lerocque, dzięki którym udało mu się zwać na Czarny Kontynent. Zatrzymał się aż w Rodezji.

Armand Lerocque, owoc ślubnego związku tatusia z Rodezijką Dianą Tinner, w wieku osiemnastu lat wstąpił w szeregi południowo-rodezyjskiej armii, z zamiłowania, gdyż uwielbiał broń i krew. Jako członek elitarnej formacji komandosów brał udział w walkach, które rząd Salisbury toczył w Rodezji i Niasie przeciwko nieposłusznym Murzynom. Gdy w roku 1965 Ian Smith jednostronnie proklamował rodezyjską niepodległość, a Londyn uznał to za "bunt przeciwko koronie", Lerocque, w stopniu porucznika, obwieszony kilogramem medali za "honor i męstwo", zdezerterował do Kapsztadu, nie przez solidarność z Londynem, tylko z mamoną: sławny Mike Hoare ("Crazy Mike"), niekwestionowany "leader" wszystkich afrykańskich "psów wojny", rekrutował w Kapsztadzie najemników za lepszą gotówkę. Armand wziął udział w wielu przedsięwzięciach, które jedni nazywają awanturniczymi, a inni haniebnymi, w zależności od punktu widzenia, poniżej równikową część Afryki spenetrował jak sień we własnym domu, bił się u boku takich asów jak Denard, "Juju" Steiner i Borella, aż wreszcie sam stał się super-asem wartym każdej ceny. Z ogniska rodzinnego wyniósł zamiłowanie do wody mineralnej, przez co w środowisku "dzikich gęsi" nosił przydomek "Mineral man", skrócony później do czteroliterowego "Mine" (mina), co też było prawdą, bo wejście mu w drogę i wejście na minę kończyło się dla nieostrożnego dokładnie tym samym.

Wpadł w roku 1970, gdy władze nigeryjskie uporały się z secesją Biafry i poczęły cementować ogólnonarodową jednogomyślność za pomocą plutonów egzekucyjnych. Z celi skazańców wyjął porucznika ("bakszyszem" dla straży więziennej) brytyjski agent, Stanley Jervis. Od tego czasu Lerocque pracował dla Anglików na afrykańskim obszarze Commonwealth of Nations. W 1978 ściągnięto go do Londynu jako instruktora oddziałów SAS tworzonych z myślą o aktywnym zaangażowaniu Wielkiej Brytanii na rzecz tych państw Czarnego Kontynentu, którym jeszcze nie przeszła sympatia do niej. Jako wzorowy dydaktyk awansował na kapitana i otrzymał wyróżnienie pod postacią szwajcarskiego wyrobu zegarmistrzowskiego z grawerowanym napisem "merituous in duty". Był na fali wznoszącej.

Zgubiła go jedna z namiętności; miał ich cztery: do pieniądza (ktoś rzekł o nim, iż "sprzedałby własne sumienie, gdyby je posiadał", co było przesadą - powiedział to jego wróg), do wody mineralnej, do francuskich przypraw i do nieletnich dziewcząt o czarnym kolorze skóry. Londyn półmetka lat osiemdziesiątych roił się od imigrantów z tropikalnych stref, Lerocque miał bogaty wybór. Przyłapany na igraszkach z czarną uczennicą, może by się uratował, lecz sprawę rozdmuchała jedna z kobiecych organizacji do zwalczania samców. Gdy wywalono go na bruk, utopił swój żal w wodzie ognistej, z którą od tego czasu zdradzał mineralną, co stało się jego piątym hobby. Był na fali opadającej do ścieku.

Wtedy zjawił się Jervis. Obudziło ich przed południem strzelanie dziurawego tłumika. Zimną wodę, popękane mydło i ręcznik jak agregat czyszciciela butów Jervis zniósł ze spokojem, a kiedy napomknął, o co mu chodzi, usłyszał:

- Więc to jest ta ż o n a, nie mogłeś mi jej wczoraj przedstawić?
- Nie mogłem, byłeś kompletną dętką.
- Teraz też jestem, mam drańskiego kaca.

- No to jesteśmy podobni, możemy się zrozumieć.

- Wątpię - burknął Lerocque - ludzie o twoich przesądach nie mogą zrozumieć, że dwunastoletnia Murzynka jest dojrzałą kobietą, siedemnastoletnia to leciwy grat, a uprawianie miłości z trzydziestoletnią to nekrofilia, jakbyś rznął seniorkę domu starców!

- Armandzie, zostawmy przeszłość i daruj sobie te dowcipy - poprosił Jervis.

- Gównu, dowcipny jestem tylko na fleku, a nie podczas kaca! To nie był żart! Zostałem przez was skrzywdzony, a teraz przyłazisz, bo nie chcecie swoimi rączkami wyciągać jakichś pieprzonych kasztanów z pieprzonego ognia! O to idzie!

- Nie tylko o to. Również o to, żeby cię wyciągnąć z gnoju.

- Pocałuj mnie w dupę, wasza wielbność! Reedukować możesz małe dziewczynki, które mają duże skarbonki w krocach, ja jestem niepoprawny! Moja skarbonka ma większą pojemność, poniżej tysiąca funtów miesięcznie nie budzić!

- To się przebudź, bo dostaniesz tysiąc funtów za każdą dobę. Lerocque wytrzeszczył oczy i usiadł na składanym łóżku.

- Coś ty powiedział?!...

- Że będziesz bardzo bogaty.

- Albo bardzo nieżywy! Tyle się płaci samobójcom.

- Tyle się płaci Iacocce, Placido Domingo, Felliniemu, a von Karajan...

- Co to za gnojki?

- Geniusze.

Lerocque przeciągnął się, najpierw ramiona, potem kąciki warg, co oznaczało uśmiech.

- Miło z twojej strony, Stan... Jaką zaliczkę dajesz?

- Dziesięć tysięcy...

- To już bardzo miło, zaczynam się cieszyć, że masz kłótliwą żonę.

- ...i nieograniczony, lecz kontrolowany przeze mnie fundusz na

zorganizowanie zespołu. Ludzie do twojego uznania.

- Jeszcze moment i zacznę beczeć jak dziecko. Chyba wiesz, że inne dzieci, te, które znam i które mógłbym zaprosić na wspólną zabawę, to obraza ludzkości i cierń w sercu Pana Boga, nie mówią grzecznie paciorków, nie robią siusiu do nocniczków, wrywają muszkom skrzydelka...

- Bardzo dobrze.

- Aaaa, jeśli tak... Kiedy płacisz?

- Jak tylko przyjmiesz warunek numer jeden.

- Słucham cię, dobroczyńco.

- Od tej pory, od zaraz, przestajesz pić! Zapomnisz o alkoholu, jedna kropla zrywa nasz układ, nawet herbata z rumem! Po skończeniu operacji możesz się zachlać na śmierć.

- Zrobione, słowo skauta! Wystarczy?

- Tak.

- To ci wystarczy?! Znasz pijaków? Żartujesz...

Jervis zaprzeczył ruchem głowy. Lerocque podszedł do niego, patrząc nieufnie.

- A jeśli skaut...

- To będzie martwym skautem, nie mogąc znieść wyrzutów sumienia popełni samobójstwo.

- Czy wiesz, jak trudne jest popełnienie samobójstwa? - roześmiał się Lerocque. - Kiedyś tego spróbowałem, u Negrów, w celi śmierci...

- I nikt ci nie pomógł, biedaku...

- Pomógł mi jeden facet. Wyciągnął mnie z tego kibla do pracy u siebie, a potem do Londynu, i zanim kopnął mnie na śmietnik, dał mi zegarek. Nigdy mu tego nie zapomnę.

- Staraj się, wdzięczność to piękna cnota. Ale mówiłem o tym, że wcześniej nikt ci nie pomógł skończyć z sobą.

- No, nie...

- A widzisz. Samemu jest rzeczywiście trudno. Lecz gdy ktoś

wyciągnie pomocną dłoń... Nie masz pojęcia, jak łatwe jest harakiri, gdy człowiek może liczyć na skautowską solidarność.

Uśmiech z twarzy Lerocque'a spęzł, zamieniając się w grymas oznaczający zrozumienie.

Fritz van Hongen (eks-Grahl) wynajął sobie lokum nad Tamizą w wielogwiazdkowym hotelu „Savoy”, w którym jednodobowy rachunek przewyższał pensję proletariusza. Swego czasu sam pracował w czymś takim jako kelner (dość krótko, między sutenerowaniem a krupierowaniem), teraz inni pracowali dla napiwków od niego. Bojąc się o agentów Loederera, nie szastał pieniędzmi i nie zamienił w hulakę; miss Catherine, obsługująca elektroluks, wydzierżawiała mu swój młody kuperek na kwadrans w porze sprzątań, więc trudno było to zauważyć. Z Loedererem kontaktował się regularnie przez telefon i czekał na Jervisa. Doczekał się w tym samym dniu, w którym Stanley Jarvis zademonstrował swoje mistrzostwo w realizowaniu haseł ruchu abstynenckiego.

Złożywszy wizytę w banku Rotschilda przy New Court, gdzie van Hongen otworzył Jarvisowi rachunek w oparciu o swoje konto, poszli na spacer przez City i wówczas młody spacerowicz dowiedział się od starego, że ekspedycję afrykańską warunkuje „problem miss N.”, a stary od młodego, iż ten zamierza wziąć udział w wyswobadzaniu prezydentówny.

Być może nie trzeba jej będzie odbijać, lepiej byłoby wykupić - zauważył Jarvis. - Ale najpierw musimy się dowiedzieć skąd i od kogo.

- Prędzej czy później się pan dowie.

- Prędzej. Później mnie nie zadowala.

- Tak jak mnie nie zadowala samo finansowanie tej operacji i czekanie aż wykona ją grupa obcych mi bohaterów.

- Pański udział nie będzie potrzebny, panie van Hongen.

- Panu może nie. Wołają ojca było, abym się osobiście zaangażował.

Jervis przystanął, zmuszając van Hongena do tego samego.

- To nieprawda, mój panie. Rozmawiałem z Herr Loedererem i wiem, jak sprawy wyglądają. Pańskiemu ojcu chodziło o to, aby jego syn pomścił śmierć brata...

- A ponieważ bez uwolnienia panny Nyakobo - przerwał mu Fritz - nie mamy wstępu na terytorium Tangalandu, to wszystko, co dotyczy tej Murzynki, jest integralną częścią odwetu, do którego zobowiązał mnie mój ojciec pod groźbą utracenia praw spadkowych!

- Ciekawa interpretacja... - mruknął Jervis.

- Jedyna, jaką może pan przyjąć, jeśli i wy nie chcecie utracić praw do tego skarbu! Nie jestem idiotą, panie Jervis, więc się domyślam, iż pańska wdzięczność dla mojego ojca za to, że uratował panu życie, to trochę mało, aby Brytyjczycy angażowali się w taki numer. Potrzebujecie mojej forsy, lecz macie własną korzyść na widoku. Nie chcę jej znać, to nie mój biznes, ale nie odstąpię od tego, co do mnie należy, łącznie ze sprawą dowództwa.

- Jakiego dowództwa? - zdziwił się Jervis.

- Dowództwa grupy operacyjnej, wyprawy czy jak pan tam chce to nazwać.

Przez chwilę maszerowali milcząc. Jervis zatrzymał się po raz drugi, przy witrynie sklepu myśliwskiego, pełnej wiatrówek, dubeltówek i sztucerów. Odbicia twarzy tych dwóch ugrzęzły w płataninie polerowanego metalu i lśniących nowością kolb.

- Czy umie pan posługiwać się jakimkolwiek rodzajem broni palnej? - spytał Anglik.

- Nie - padła odpowiedź. - Ale to chyba nic trudnego. Nacisnąć spust i mieć celne oczy lub celną rękę...

- Myli się pan, to naiwność kinomanów. Bez długotrwałego

treningu i kilkuletniej praktyki, zakładając, iż tak jak większość mężczyzn nie jest pan urodzonym "pistolero", przeżyłby pan strzelaninę tylko w jednym miejscu, na strzelnicy. Ale może umie się pan bić w stylu judo, kung-fu, karate lub jakimś podobnym?

- Niestety, nie...

Jervis wiedział o tym. Wiedział, że nawet jako członek bandy włamywaczy Fritz stał na czatach, gdyż nie nadawał się do jakichkolwiek operacji mięśniowych prócz seksu, a jako sutener stracił szacunek, gdy pobiła go prostytutka. Ale dopiero teraz, złośliwie pytając, dowiedział się, że van Hongen ma odpowiedź na wszystko:

- ...Panie Jervis, byłoby absurdem sądzić, że mój ojciec pragnął, aby dokonana przeze mnie "vendetta" polegała na własnoręcznym świniobiciu. Nie o to mu chodziło, bym podrzynał gardła moimi rękami, ćwiartował, dusił lub przewiercał łożowiem, lecz bym dopadł morderców i wydał rozkazy. Proszę się nie obawiać, dowództwo wojskowe zachowa szef pańskich bandziorów, w tej materii nie będę się wtrącał. Lecz w innych sprawach rezerwuję sobie przynajmniej głos doradczy, a gdy uznam to za konieczne, decydujący. Na tej wojnie ja będę królem, on tylko marszałkiem. Musi pan to akceptować, lub poszukam innych wykonawców...

Stojąc przed szybą, spojrzeli sobie w odbicia twarzy i Jervis dostrzegł, że dziwnym przypadkiem jedno oko tamtego nakłada się na soczewkę lunety sztucera, jakby mierzył...

Stację samochodową Monroy&Sons w Richmond łatwo odszukać, każdy mieszkaniec tej dzielnicy wskaże kierunek. Lerocque był tu przed kilkoma miesiącami, ale mało pamiętał, bo wcześniej opróżnił butelkę płynu nie należącego do mineralnych. Zapamiętał jedynie, iż facet, którego wówczas odwiedził, eks-podwładny Lerocque'a w kilku afrykańskich kampaniach, potraktował byłego dowódcę jak

sukinsyn. Mimo to chciał się znowu z sukinsynem zobaczyć, chociaż od tamtej pory nienawidził Greków.

Dimitris ("Rolls Royce") Kanetopouliu zajęty był właśnie anatomią ciężarówky Leyland. Ujrzawszy Armanda, wziął w czarne od smarów dłonie kawałek szmaty, jakby chciał je wytrzeć, lecz nie wytarł, tylko warknął:

- Już ci powiedziałem, że cię nie lubię, czego tu szukasz?!

Wrogość Kanetopouliu miała swoje źródło we wzgardzie, jaką syn Hellady czuł do preferencji erotycznych francuskiego wielbiciela negro-nastolatek. On sam był za młodych lat, na rodzinnej ziemi, kimś, kogo we Włoszech zwą "papagallo", a kto u Greków określany jest trafnym terminem z gwary rybackiej: "kamaki", co znaczy "harpun" - podrywaczem bogatych pań, gnających zewsząd na Peloponez i na wyspy Morza Egejskiego. Ten typ sportowej prostytucji można uprawiać mając harpun na miarę sprzętu wielorybników oraz upodobanie do mączej cery balzakowskich dam, co automatycznie oznacza wstręt do czarnych dzikusek w wieku przedpoborowym. Drugą miłością "Rolls Royce'a" były samochody, a to, że nie został konstruktorem, jak marzył, tylko mechanikiem, spowodowała pierwsza miłość. Mąż turystki nakrył go z nią i poległ od noża, a Kanetopouliu musiał wiać; w ten sposób afrykańskie komando, którym dysponował Stanley Jervis. wzbogaciło się o kierowcę jeepów.

Wysłużwszy sobie nienaganną harówką obywatelstwo brytyjskie, Dimitris przeszedł do cywila i nie zrobił w nim kariery polegającej na zmianie zaszeregowania klasowego, albowiem każdy wypracowany przez niego funt stawał się łupem bukmacherów. Kiedy Lerocque zawitał doń pierwszy raz i Kanetopouliu ujrzał groźnego niegdyś komendanta w stanie szmaty, która prosiła o drobną pożyczkę (niewątpliwie na alkohol), mógł wreszcie powiedzieć coś, co zawsze pragnął wyrazić gestem zgiętego łokcia:

- Nie lubię cię, Lerocque, płyń!

Teraz to powtórzył, lecz tamten nie odpłynął, tylko wpatrywał się w Dimitrisa, jakby zastanawiając: dać w mordę czy nie dać? Grek położył jedną dłoń na francuskim kluczu i chociaż spostrzegł, że tym razem "Mina" jest trzeźwy, zakpił:

- Dla pijaków nie mam na jałmużnę!

- Na nic nie masz, jesteś goły - rzekł Francuz - ale możesz mieć. Tylko nie tutaj. Wybierz się ze mną w podróż, a wrócisz z forszą.

- Dość już podróżowałem...

- Chyba nie bardzo dość, bo robisz za smolucha, a nie za szefa. Jadąc ze mną dostałbyś tyle, że procent od kapitału pozwoliłby ci kupić cały ten kram. Jeszcze dziś możesz dostać trzysta funtów na papierosy, drugie trzysta na zapalniczki... i kilka setek na czekoladowego lizaka, powiedzmy, że razem tysiąc na to, co lubisz. Fakt, że mnie nie lubisz, jest wobec tego szmalu bez znaczenia.

Dimitrisa zamurowało. Znał "Minę" i wiedział, że nie należy on do zartownisiów. Przypomniawszy sobie, że przed pierwszym musi zwrócić sześć setek panu Coolmanowi i że nie ma pojęcia, skąd tę forszę wytrzasnąć. A tu jak znalazł, ciemny interes z żabojadem... Nigdy! No tak, lecz jeśli nie zorganizuje sześciu stów, przyjdą chłopcy Coolmana... Na samą myśl poczuł drętwienie karku. Może to opatrność, iż ten parszywiec...

- Nie chcę mieć do czynienia z glinami - szepnął.

- Gliny są po naszej stronie, to operacja rządowa, za którą stoi SAS.

- Gdzie?

- Daleko.

- Jaka szansa wyniesienia głowy?

- Taka, jak zawsze, spytaj Pana Boga. "Rolls Royce" - wzruszył ramionami Francuz.

- Ile dostanę za całość?

- Jeszcze nie wiem. Ale wiem, że nie umiesz liczyć do tyłu tysięcy.

Sam dałem się namówić, bo chcę być wreszcie bogaczem. Zrozum, to jest...

Obok nich wyrósł jak spod ziemi Monroy-junior.

- Pan sobie czegoś życzy? - spytał Lerocque'a.

- Ten pan życzy sobie ode mnie - powiedział głośno Dimitris - proszę się nie wpieprzać!

Monroy-junior zsiniał, jak uderzony w policzek.

- Co?!... Co takiego?! Do roboty, Kanetopol, ale już! Grek wręczył mu szmatę nasiąkniętą smarami, wytarł dłonie o jasny garnitur bossa, dobył z kieszeni ostatnie pięćdziesiąt funtów, wetknął je w butonierkę bossowej marynarki, powiedział: "To na pralnię, Monroydże", i opuścił warsztat, zanuciwszy "hymn" plutonu porucznika Lerocque'a: „I'm gonna let nobody turn me round, turn me round, turn me round...” ("Nikommu nie pozwolę się rolować").

"The Elephant", hotel z barem i z dyskoteką koło Waltham Abbey, w trzy lata od startu zdobył renomę międzynarodową; było w złym tonie nie wdepnąć tu odwiedziwszy Londyn. Gigantyczny neon, ukazujący afrykańskiego słonia, górował nad kompleksem - bezmgiełną nocą widać go było z wysokich pięter City. Dom szefa leżał kilkaset jardów od "Elphant-Disco", przedzielony golfowymi trawnikami. Wyglądał niczym pałac z epoki późnowiktoriańskiej, choć budowano go w tym samym roku i z tych samych materiałów, co kombinat słodkiego życia.

Harvey Downbridge, właściciel firmy, dziesięć lat wcześniej zastępca Lerocque'a w oddziale do specjalnych zadań (podporucznik H. D. "Beatles"), nie miał już wiele wspólnego z przydomkiem, gdyż bujne włosy a la "chłopak z Liverpoolu" zamienił na front typu "wysokie czoło" obok starannie pielęgnowanej fryzury, zaś upodobanie do organów Hammonda i syntezatorów Mooga (grał na

nich w szkolnym zespole rockowym) znalazło swój finalny akord w stworzeniu "akademii pop-music" (tak mówiła reklama nad głównym wejściem) - "The Elephant". Był to poważny interes i Harvey też musiał być poważnym kapitalistą.

Firmę zamykano, gdy nadchodził brzask, przez co Downbridge sypiał od szóstej do dwunastej lub nawet czternastej. Tego dnia śnił, iż siedzi z kumplami przy ognisku, dookoła busz i czarne afrykańskie niebo, z rąk do rąk krąży manierka napełniona bimbrem i słycać chóralne wykonanie piosenki Gaya Carryowena "I'm gonna let nobody turn me round", którą jeden z nich wzbogacił o kilka nieprzyzwoitych zwrotek, aby mocniej krzepiła i dłużej utrzymywała w marszu. Potem zrobiło się cicho, lecz melodia wciąż przenikała sen, gdyż ktoś ją gwizdał. Downbridge patrzył na żłoczone płomieniami gęby i nie mógł znaleźć gwizdającego, odwrócił się więc ku posterunkom, lecz uczynił to zbyt gwałtownie i się przebudził. Na zegarze była dziesiąta. Lekki wiatr wzdymał kotarę w uchylonym oknie, puszczając do pokoju światło. Zmrużył oczy i nastawił uszy. Zza okna dalej płynęło "I'm gonna let nobody turn me round!...". Pierwsza fraza, ciągle od początku. W Afryce oznaczało to sygnał, tak gwizdali hasło i odzew, jeśli Lerocque nie ustalił akurat znaczeń słownych.

Zerwał się z łóżka i wybiegł na balkon. Pod nim sterczeli na trawniku, z zadartymi do góry głowami, "Mina" i "Rolls Royce".

- Neeeeee! - ryknął. - Duch ojca Hamleta! Boże chroń królową i mnie biednego, ja zwariuję! Czy to wy?!

Nie czekając na odpowiedź sfrunął po schodach i wpadł na nich z impetem szarżującego bawołu.

- Moje żebra! - jęknął Grek, próbując się wyswobodzić z powitalnych uścisków.

- Kupię ci nowe! - zarechotał Downbridge. - Chłopaki! Sto lat minęło! Co słycać?!

- To, co zawsze - odparł Lerocque, spoglądając wokół - jedni mają, a drudzy chcą mieć.

Słyszał, że "Beatles" wylądował miękko ("ma lokal, jakąś knajpę po drugiej stronie Tamizy..."), ale że aż tak miękko! "Knajpę! Matko Boska z Lourdes, czego ja tu szukam?!"

Oprowadzając kumpli po swoim królestwie Harvey Downbridge czuł szczególną radość, jak nigdy uprzednio, chociaż niejednemu już wybałuszył ślepią takim obchodem. Ale z innymi nie cierpiał od moskitów i skorpionów, nie lizał ran, nie płakał i nie zdychał przez brak wody, z innymi, gryząc piasek w zębach, przeklinając los, pełznąc pod gradem kuł, we własnej i cudzej krwi - nie modlił się, by milionerska bajka nagrodiła ten szcurzy żywot. A z tymi dwoma robił wszystkie te rzeczy i dzielił tamto marzenie. I tylko jemu się udało! Czekał na ich zazdrość, ogarnęła go pełnia szczęścia.

Siedząc przy firmowym koktajlu z owoców, zdziwiony, że Lerocque nie chce wypić czegoś mocniejszego, opowiedział im o tym, jaką cudowną ma rodzinę, jakie fantastyczne dziwki, samochody i układy, i jakim rajem jest to wszystko, dzień po dniu, oby trwało tysiąc lat!

- Zostałeś wybrańcem bogów - westchnął "Rolls Royce". - Nic tu po nas, kapitanie.

Downbridge zamrugał powiekami.

- Niech to!... Wy przyszlście z czymś, a ja, dureń, gadam i gadam, i nie daję wam dojść do słowa! Co jest, chłopaki?

- Nic nie jest - mruknął Lerocque, wstając. - Przyszliśmy towarzysko, pójdziemy już.

W oczach "Beatlesa" pojawił się udawany gniew:

- "Mina"!

- Jestem mina rozbrojona, wysłali mnie na zieloną trawkę.

- Nie zagaduj! O co chodzi?

- Pan kapitan chciał ci dać kilka stów na czekoladowego lizaka...-

uśmiechnął się “Rolls Royce”. - Ja mogę ci obiecać tylko widokówkę z czekoladowych krajów.

- Skąd?
- Stamtąd.
- Stamtąd, co wtedy?
- Mniej więcej.
- Jakiś piknik?
- Ummm.
- Duży?
- Zależy dla kogo.

Downbridge podniósł się i wyszedł na taras, z którego widać było całe jego imperium oblane lipcowym słońcem. Wodził oczami po budynkach, polach golfowych i reklamach, przejechał palcem marmur balustrady, pomyślał: “Pieprzę to wszystko! o Jezu!” i odwróciwszy się. przyjął postawę na baczność:

- Panie kapitanie, podporucznik Harvey Downbridge melduje się do służby!
- Spocznij - odpowiedział Lerocąue.

Położona na stole kartka wciąż była czysta; coś, co wydawało się im łatwe - stworzyć wykaz eks-kompanów do ewentualnego zwerbowania - okazało się zadaniem trudniejszym, niż przypuszczali. Armand wiedział, że duet braci Clayton jest w Montrealu. Dimitris słyszał, że Gurta wsadzono do ciupy we Włoszech. Harvey niczego nie wiedział i niczego nie słyszał, lecz zrobił sugestię, że jeśli komuś zależy na chłopakach zdolnych do wszystkiego w dawnym afrykańskim stylu, to ten ktoś powinien się zająć smarkaczem, który pracuje jako “bramkarz” w “Elephant-World”, nosi takie nazwisko, iż zęby próchnieją przy wymawianiu, a w pięściach ma taką nitroglicerynę, że łobuzom wypadają najzdrowsze zęby. Christox... Christescox...

Lord, help me! Inni “bramkarze” nazywają go “Chris”.

Wojciech Krzysztofeczko miał dwadzieścia siedem lat i był dwuletnim poddanym królowej. Urzędników Albionu, od cła i biura imigracyjnego poczynając, a na Scotland Yardzie i urzędach zatrudnienia kończąc, wyzwalał z przysłowiowej flegmy żądaniem bezwzględного respektu dla pisowni swego nazwiska; wymowę traktował z większą tolerancją. Jako student drugiego roku historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim i mistrz judo, wyjechał do Londynu, by bronić barw; zwyciężył, wszedł na podium, wysłuchał Mazurka Dąbrowskiego i poprosił o azyl, gdyż monarchia podobała mu się jako system; parafrazując Churchilla mógłby to sformułować: “Monarchia jest najgorszym z ustrojów, ale wszystkie inne są jeszcze gorsze”. Obywatelstwo zmienił, by ułatwić sobie zdobycie stałego zatrudnienia, lecz trafił na wyż bezrobotnych i na niechęć pracodawców do młodych ludzi o irytująco sztywnych karkach, w efekcie czego lądował na bruku. Rekordową liczbę dniówek przepracował w stacji benzynowej pod St. Albans (kilkanaście mil od Waltham Abbey). Aż do dnia, gdy zobaczył tam dziewczynę w wielkim słomkowym kapeluszu, jaki posiada ogrodnik na XIX-wiecznych sztychach.

Dziewczyna nie miała umalowanej twarzy, nie nosiła nagiego biustu pod sukienką i nie kręciła tyłkiem na widok mężczyzn; była na bakier z modą, taka ostatnia w klasie. Szła od Hatfield. Tuż przy stacji minął ją gang ryczących harleyów. Trącona łokciem przez ostatniego, wywróciła się do rowu. Chuligan podniósł dziewczynę, założył sobie na kask jej kapelusz, coś mówił, ona próbowała się wyszarpnąć, lecz wepchnął ją do przyczepy motocykla, a drab siedzący mu za plecami położył otwartą brzytwę na jej policzku i obaj z hukiem dogonili kompanów. Dwadzieścia takich maszyn zatarasowało podjazd.

Szefowej hordy, zwanej “subkulturą młodzieżową” lub “patologią

społeczną” (do wyboru), wódz tych czarnych, nabijanych żelazem kurtek bez rękawów, w miejsce których przeżyły się muskularne tatuaże, tych półnagich torsów z rowerowymi łańcuchami i okularów jak soczewki diabła - nie widział sceny z dziewczyną w słomkowym kapeluszu, gdyż pochłonął go dialog z agentem. Brodą, fryzurą i nonszalancją przypominał Krissa Kristofersona, strojem - tak jak reszta bandy - “Piekielnych aniołów”, a w jego słowach brzmiał akcent kalifornijski,- wzmocniony gumą do żucia i rytmicznym falowaniem szczęk.

- Tatusiu - zapytał - ile to kosztuje?

- Co, proszę pana? - jęknął gospodarz stacji, choć już umarł ze strachu.

- Pytam o benzynę. Pewnie mniej od tego... - odpowiedział herszt i musnął zapalką szyldzik z przekreślonym na krzyż płomieniem w czerwonym kółku.

Syk palącego się drewnienka wyleczył agentowi gardło:

- Panowie nie muszą płacić! Polak, lej! Na mój koszt!

Usłyszawszy rozkaz, Wojtek włączył dystrybutor i wsadził końcówkę węża w opróżniony kubek po wodzie do mycia szyb. Napełniając go, zawołał:

- One moment, papa!

Chwilę później podniósł, wylał zawartość hersztowi na łeb, i nim któryś z tamtych zdążył się ruszyć; wzniecił zapalniczką ogień na pęku oleistych szmat.

- Chcesz zobaczyć, ile to kosztuje? - spytał.

- Fuckin...! - charknął jankes, plując gumą i łapiąc powietrze ustami ryby. - Człooo-wieku!

- Człowieku... - rzekł pompierz, zbliżając ogień do człowieka skąpanego w benzynie -... puśćcie ją!

- Kogo?!

Herszt obejrzał się; nie musiał tego robić, bo motor z przyczepą

wjechał na płytę dystrybutora, prawie go dotykając. Typ w słomkowym kapeluszu wieńczącym kask zadzwił, wskazując Polakowi kolegę z brzytwą trzymaną przy policzku dziewczyny:

- Twój towarek?... Możemy ci ją oddać za tydzień, albo już, tylko że porcjowaną! Główkę zapakujemy oddzielnie...

Z pistoletu kończącego benzynowy szlauch wystrzelił strumień żółtej cieczy, oblewając wszystkich pasażerów harleya. Teraz tłący się na szmacie ogień powędrował ku nim, wraz z propozycją:

- Zaczynaj. Może zdążysz. Liczę do trzech. Raz... Facet na tylnym siodełku upuścił brzytwę, wyjąc:

- Rick!... Ja nie chcę, nie chcę!!... Odjedź stąd!!!... Chryste, ten wariat nas podpali!... Ruszaj, ruszaj!!!

Dziewczyna wyskoczyła z przyczepy, a “wariat” ostrzegł:

- Zgaś, pęta, bo nastąpi wybuch!

Facet przy kierownicy zgasił motor. Dłoń mu się trzęsła jak chorym na drżączkę, twarz miał z papieru śmierdzącego benzyną.

- Złaź i wypchnijcie ten szmelc - zakomenderował Wojtek. - Reszta gaz do dechy, żebym was tu więcej nie widział!

Odszedł z dziewczyną. Nie miał już w ręku szlauchu i płonących szmat, więc kilku rzuciło się za nim; łamiąc jeden nos i jedną szczękę wybił waleczność z kudłatych łbów.

Miriam (19 lat) cuchnęła benzyną, przechodnie oglądali się za nimi. Wojtek wynajmował pokój kilkaset jardów od budynku stacyjnego; pozwoliła się tam zaprowadzić, milcząc przez cały czas, zamknęła się w łazience na pół godziny, wyszła owinięta w ręcznik i poprosiła o suszarkę. Wziął od gospodarza i spytał, czy może pomóc; suszył jej długie włosy, rozplatając mokre pasemka, co obojgu zdawało się pieszczotą.

Spotykał ją w każdy poniedziałek. Zamiast kina czy tańców, był to długi, powolny marsz brzegami rzeczki Colne; nigdy już nie zaprosił jej do siebie, mówił do niej “pani”, a ona do niego “pan”. Osierocona

przez rodziców dawno temu, mieszkała u starej kobiety, która była jej krewną i która nie opuszczała łóżka; renta sędziwej damy musiała starczać na wszystko, więc nie starczała na nic. Gdy się o tym dowiedział, zaczął im wysyłać pocztą oszczędzone zarobki, i aby je zwiększyć, przyjął w “Elephant-Disco” drugi etat sprzątacza. Przekazy były anonimowe, lecz Miriam domyśliła się, a on rozumiał, że nie jest to dla niej tajemnicą. I nigdy nie rozmawiali na ów temat.

Była Kopciuszkiem i do bajki brakowało tylko, że on nie był księciem. Gdyby dorwał tych, co ogłosili, że pieniądze nie dają szczęścia!... Czuł bezradność, a to jest najbardziej parszywe uczucie dla mężczyzny. Lerocque zgodził się warunkowo i rzekł do “Beatlesa”:

- Pogadaj z nim.

Było to naturalne, tylko Downbridge, jako pracodawca Krzysztofeczki, mógł mu zaproponować odlot do nikąd. Dał mu etat pewnej nocy, gdy banda pijanych rockersów wszczęła bitwę z “bramkarzami” “Elephant-World”. Draństwo było w przewadze, porządkowi pękali, budzie groziła apokalipsa. Nagle wśród szalejącej hołoty pojawił się demon, jak karzący anioł wymodlony u boga dyskotek, i zaczął pracować. Widowisko było godne filmu, Downbridge i jego personel stali się publicznością. Ciała rockersów fruwały niczym pershingami, nie pomógł łańcuch, kastet i nóż. Potem ryk policyjnych gablot i karetek, rozmowa z dziwnie zamyślonym, odzywającym się monosylabami chłopakiem, i wziął go na “bramkarza”.

Nie lubił zadziory, sam nie wiedział dlaczego, ten Polak, zimny i zamknięty w sobie, nie dawał się polubić. Downbridge'a dziwiło, iż nie rwie dziewczyn, co czynili inni spod “bramek”, choć regulamin tego zabraniał, ale “Beatles” przymykał oczy. Pedalstwo było tu wykluczone, kazał śledzić chłopaka i dowiedział się o Miriam. Dla takiej dziewczyny, z urodą jakby schowaną w cieniu, lecz gdy już się

ją zauważyło, to... do czorta, sam straciłby łeb! A ten gówniarz tylko z nią spacerował wzdłuż rzeki, trzymając za rękę, żadnych krzaków i chat, podszczypywań i migdaleń, jak brat z siostrą, paranoja! Odkąd pozwolił mu zarabiać przy sprzątaniu, na randki został tylko poniedziałek, a "Beatles" i tak czuł zazdrość. Lecz ten kozak mógł się im przydać, więc poprosił go do biura dyskoteki.

- Usiądź, chłopcze.

- Nie jestem dla pana chłopcem, panie Downbridge.

- Jesteś moim pracownikiem.

- To nie daje panu praw do traktowania mnie bez szacunku.

- Ty chyba nie chcesz być moim pracownikiem! - syknął Downbridge. - Mogę ci w tym pomóc natychmiast!

- Może pan. Ale to niczego nie zmieni. Zrobiło się cicho od gniewu.

- No dobrze, jak mam się do pana zwracać?... Panie "Chris"?

- Proszę bardzo.

- No więc... panie ..Chris". chciałbym się dowiedzieć, czy pan trzymał w ręku broń? Myślę o broni palnej.

Tak. Służyłem dwa lata w wojsku, jako spadochroniarz. Strzelałem z broni krótkiej i z pistoletu maszynowego.

- Kałasznikow?

- Tak.

- Ciężka zabawka, choć dobrze bije. A UZI?

- Demonstrowano nam jeden egzemplarz. Strzelaliśmy z czeskich małuchów.

- Sokół. Skorpion, coś takiego...

- Skorpion.

- Okay. Czy chce pan zarobić bardzo dużo pieniędzy, panie ...Chris"?

- Tak. Ale nie w każdy sposób. Co miałbym do zrobienia?

- Pojechać ze mną i z moimi kolegami do bardzo ciepłych krajów, wystrzelić tam trochę pestek, wrócić i zainkasować tyle forsy, ile nie

zarobią wszyscy moi "bramkarze" przez sto lat.

Człowiek wychowany na Trylogii Sienkiewicza uściślił swoją wątpliwość:

- Czy to bardzo brudny interes, panie Downbridge?

- Według Biblii każdy interes, który polega na zabijaniu, jest brudny.

- Według mnie ci, których należałoby zabić, stanowią większość, proszę pana, ale muszę wiedzieć, czym zasłużyli na śmierć ludzie, do których miałbym strzelać.

- Okrucieństwem wobec pojmanych przez siebie zakładników. Mordują niewinnych ludzi i będą mordować dalej, jeśli nie zdołamy im przeszkodzić.

Wojtek popatrzył w okno, za którym wielki neon pulsował jak ogarnięty czkawką robaczek świętojański w cyrkowym stroju. Zrozumiał, że to może być brudny pieniądz i przemknęło mu przez myśl autoszydercze: "Pecunia...". Coś za coś, darmo nie ma nic w tym gnojowisku - Miriam za wolność, którą już i tak pożegnał dla Miriam. "Beatles" wrzucił drugi bieg:

- Teraz dostałbyś tysiąc zaliczki, przy końcowym rozliczeniu ponad sto... nie wykluczone, że bardzo ponad.

A gdybym...

- To może się przytrafić każdemu z nas. Wówczas twoja wypłata będzie dla osoby, która wskażesz. Rozumiem, iż dobiliśmy targu. - Dobijemy, jak otrzymam pięćdziesiąt tysięcy funtów przed wyprawą.

- To niemożliwe, panie "Chris"!

- Więc nie dobiliśmy targu.

"Beatles" poczuł, że ogarnia go taka złość, iż mogły przywalić szczeniakowi, gdyby nie strach przed skontrowaniem; Lerocque pękłby ze śmiechu usłyszawszy o pięćdziesięciu tysiącach. I nagle dotarło doń, że tych kilka zer, to dla jednych majątek, a dla innych,

to śmieszna suma; zostawi tu miliony, a kto wie, czy wróci? Przegrać z takim gówniarzem?

- Oni nie dadzą, lecz ja dam panu te pięćdziesiąt tysięcy z własnego zaskórniaka, jak tylko złoży pan... nie, nie przysięgę, obietnicę, że...

- Że oddam?

- Chodzi o coś innego. O dyscyplinę wojskową, której musi się pan podporządkować, panie "Chris", rezygnując z praw dżentelmena. To nie Buckingham-party, tam nikt nie będzie się z panem cackał, a panu nie będzie wolno stroić fumów, obrażać się i żądać Wersalu.

- Wiem. Bez obaw, panie Downbridge, jako żołnierz zniosę to. "Beatles" otworzył szufladę, przeliczył banknoty, rzucił na biurko pięćdziesiąt tysięcy funtów i wstał.

- Do widzenia. Teraz wyjadę. Za kilka dni, jak tylko wrócę, pojedziemy na miejsce zbiórki. Proszę przez ten czas zlikwidować swój tutejszy układ, długi, zobowiązania i temu podobne.

- A rewers? - spytał Krzysztofeczko. - Muszę panu podpisać, że oddam po powrocie, lub że należy się panu z moich pieniędzy, jeśli mnie zabiją.

"Nikommu tak chętnie nie przysoliłbym w dziób, jak temu szczeniakowi - pomyślał Downbridge - ale to jest ostatni człowiek, od którego pragnąłbym pisemnego potwierdzenia".

- Powinniście wiedzieć, szeregowy "Chris" - burknął, sięgając po cygaro - że w wojsku nie żąda się gwarancji na piśmie, tylko wypełniania rozkazów. W tył zwrot i odmaszerować!

Montreal w samo południe jest tak piękny jak każde miasto o tej porze, jeśli akurat nie ma chmur, deszczu lub strajku, tylko jest niedziela, słońce i nieróbstwo. Dla braci Clayton przedostatnia lipcowa niedziela była najszcześniejszym dniem w życiu.

Bliźniacy Jim i Joe Claytonowie, eks-sierzanci z afrykańską prze-

szością (spółka Jervis-Lerocque), musieli wiać do Kanady, gdyż używali spluw nie tylko na wojnach, zbyt często i w nader wątpliwej "obronie własnej". Ojczyzna lodowisk miała dość hokeistów, a mało rewolwerowców - kanadyjski "król drewna". Frank Klubie, zakontraktował śmiercionośny duet jako "body-guards" i nie żałował tego do momentu, gdy córki zaszły mu w ciążę. Mary i Lilian też były bliźniaczkami; miały wdzięk mlecznych krów, a mogły przebierać wśród książąt, gdyż pieniądz zawsze jest śliczny, lecz upodobały sobie Jima i Joego, inkasując dubeltowy "stan błogosławieństwa" od swej straży przybocznej, co w ojcu wyprodukowało stan kompletnej furii.

"Big Boss" szybko się opanował, gdyż nerwy konta nie powiększają, tylko rujnują organizm, i jak zwykł był czynić od dnia narodzin swych pociech - dał im upragnione lalki, rezygnując z "rzucenia ścierw rybkom na papu". Prezent wymagał urzędowych potwierdzeń, z czym był kłopot, bo Clayton-brothers okazali się protestantami. Zmienili wyznanie, lecz to zabrało tydzień drogocennego czasu; dalsza zwłoka groziła kompromitacją, nie pomogłyby najobszerniejsze białe suknie. Tymczasem proboszcz u Świętych Męczenników oznajmił, że ślub może się odbyć za miesiąc, potrzeba bowiem trzech niedziel na zapowiedzi! - Słuchaj, klecho! - rzekł "król drewna". - W ciągu czterech lat nie uzbierałeś na nowy dom katechetyczny. Ja ci go postawię w pół roku, to będzie pałac. Plus remont obu dzwonnicy. Ślub ma się odbyć jutro! Albo poszukam innej parafii, gdzie rachunek sumienia nie wojuje z rachunkiem ekonomicznym!

Znalazłszy się w polu przyciągań dwóch magnesów, z jednej piekło, z drugiej niebo, ksiądz wyciągnął ręce na obie strony; znalazł rozwiązanie.

W ten sposób bracia Clayton dopadli największe ze szczęść, jakie mogą stać się udziałem facetów ochrzczonych niegdyś przez

złośliwego kumpla: “Last moments bad luck Co.” - “Spółką pechowych ostatnich chwil” (gdy ewakuowano pluton w ogniu, helikopterami, będąc już na drabince upuścili swój bagaż; przez wiszący most z bambusów, nim się urwał, zdążyli przebiec wszyscy, prócz Jima i Joego; w Pretorii jedna karciana noc dała im fortunę, lecz przy pożegnalnym rozdaniu zdjęto im nawet zegarki, etc.. etc.). Oto zaczynał się ich ślub z bliżej im nie znaną liczbą lasów i tartaków, fabryk meblowych i papierniczych, nie mówiąc już o gotówce ucieleśnionej w dwóch pannach, które wielu przeraziłyby tuszą, lecz Claytonowie, kościste mikrusy, mieli pociąg do rubensowskich ciał.

Przed rozpoczęciem mszalnego obrządku ksiądz wygłosił pierwszą zapowiedź, dodając rytualne: “Gdyby ktoś wiedział o przeszkodach...”. Drugą zapowiedź dał po fragmencie z Ewangelii, a przed kazaniem. Mówił o niezłomnym pielęgnowaniu cnót i bezbożnym uprawianiu łajdactw, sięgając po przykłady do zamierzchłych epok. Klubica, antysemitę z czeskim rodowodem, zawsze wnerwiało, iż księża każą mu naśladować Żydów, bo wszystkie te przykłady miały gudłajski rodowód, ale tym razem myślał o swoich córkach i nie docierała doń paplanina z ambony.

Było już blisko końca wykładu, kiedy przed świątynię zajechał chevrolet, z którego wyskoczyło dwóch spóźnionych. Schody do wejścia pokonali w susach, lecz tuż za przedsionkiem stawili im opór wyelegantowany tłum, skręcili więc na bok, pełznąć wzdłuż ścian i szukając jakiegoś kanału w tej masie. Co kilka metrów stawali na palcach, wytężali wzrok i znowu darli plecami tynk, nie zważając na sykanie deptanych.

Bogobojny cytat uwieńczył kaznodziejskie dzieło i wtedy proboszcz ogłosił trzecią zapowiedź, wraz z nieodłącznym: “Gdyby ktoś wiedział...”. Teraz już mógł się zwrócić do dwóch par kłęczących przed ołtarzem, lecz raptownie z balkonu zagrzmiął bluźnierczy

dźwięk, takt melodyjki, która nie miała prawa gościć w tych murach, jak przysłowiowy diabeł, co ogonem dzwoni na mszę świętą. Kilkaset zdziwionych oczu uniosło się do góry; bracia wstali z klęczek. Aż ich zatkało: przy organach siedział podporucznik Downbridge i rznął: "I'm gonna let nobody turn me round"! Gdy zakończył, Joe Clayton podbiegł do księdza.

- Ja znam przeszkodę! Nie rozróżniamy tych babusów, to bliźniaczki, a one nie potrafią nas rozróżnić, więc za każdym podejściem dymamy inną, Sodoma i Gomora, psiakrew!

- Synu, co ty mówisz?! - jęknął ksiądz.

- One dla kawału zamieniają się imionami albo łachami, proszę księdza, no więc to wszystko jest burdel do kwadratu, skąd bym poznał, który bachor jest mój? Ja, proszę księdza, olewam taki interes! No nie, Jim?

Kościół zatrzęsł się od gremialnego śmiechu, Downbridge ryknął: "Sierzancie Clayton, stulić japę, kierunek zakrystia, marsz!", bracia odrzyknęli: "Yes, sir!", a stojący obok półprzytomnego Klubica Dimitris szepnął:

- Niech twoi ludzie nie robią żadnych głupot, bo mój ołów wskoczy ci do żołądka przez pępek! Idziemy, cel: zakrystia, marsz!

W zakrystii Klubie otrzymał drugie kazanie, którego nie mógł zlekceważyć. Mówił doń "Beatles":

- Panie Klubie, ubolewam, że spotkał pana publiczny afront, nie będę jednak taił, iż z punktu widzenia moich interesów jest to okoliczność sprzyjająca, bo tak liczni świadkowie uniemożliwiają pańskim psom sięgnięcie do spluw. Po naszym odejściu proszę nie wychodzić stąd przez kwadrans, chyba że marzy się panu krew, wokół jest pełno moich wilków, jatką narobiłby pan sobie złej reklamy. Mam pełną świadomość, iż potęga, jaką pan dysponuje, umożliwia panu zamknięcie szos i lotnisk, obstawienie hoteli, portów i każdego centymetra granic. Ale to byłoby samobójstwo. Od

tej chwili do końca krótkiego już życia stałby się pan zwierzyną łowną, nie przespałby pan jednej godziny bez lęku, moi rozkazodawcy to ludzie, którzy mogą rąbnąć każdego, choćby posiadał armię sług, mieszkał w Białym Domu i nigdy z niego nie wychodził. Ma pan tylko jedną możliwość uniknięcia kuli, trucizny, bomb w samochodach i łazienkach lub śmiertelnego stresu od zaszczucia się świadomością, że jest pan żywym trupem - zapomnieć. Niech pan odpuści, to najlepsza rzecz, jaką może pan teraz zrobić. Good bye.

Dwa dni po utraceniu przez braci Clayton (znowu w ostatnim momencie) szansy na zamożność, władze zakładu penitencjarnego Folcino-Basso (północne Włochy) otrzymały teleks z rozkazem, by więźnia numer 26380, Geoffreya Gurta, przetransportować do ciupy w Mediolanie. Geoffrey (dla swoich "G.G.") po występach w afrykańskim "Gangu Lerocque'a", został kierowcą w paneuropejskiej firmie przewozowej i uprawiał szmugiel. Nakryty przez francuskich celników, rozbił za pomocą swego TIR-a graniczny szlaban, zwiął do Włoch, przebił zaporę policyjną (niszcząc kilka wozów patrolowych i raniąc dwóch funkcjonariuszy), po czym za całość dostał dziewięć lat, w tym pięć o zaostrzonym reżimie.

Minąwszy Malanetta, opancerzony furgon, którym wieziono "G.G.", napotkał znak objazdu i skręcił w górską drogę, wijącą się serpentynami po zboczach Monte Piro. Na jednym z zakrętów kierowca ujrzał makabryczny obrazek: wbite w siebie fiat i karetka pogotowia, kłęby pary z chłodnic, ubabrany krwią trup, dalej dwaj ludzie w białych kitlach obok noszy z pacjentem; jeden z nich trzymał flakon, od którego przewód kroplówki biegł choremu do ramienia, drugi wyl:

- Pomóżcie!!!

Kierowca furgonu spojrział na siedzącego obok strażnika; ten zaklął:

- Wszyscy diabli!... To może być podstęp! Na kursach opowiadało nam takie numery gagatków, że w filmie byś nie zobaczył! Daj gaz!

- Gino, czyś ty zwariował?! To jest karambol, nie widzisz?! - pisnął szofer. - Tam umierają ludzie! Chcesz ich zostawić?

Sanitariusz podbiegł i nie zważając na broń wymierzoną w jego brzuch, zawołał:

- Czyście ogłuchli?!

- Przewozimy więźnia, nie wolno nam brać nikogo, regulamin!

- Wsadź sobie w dupę regulamin, ten człowiek umrze, jeśli zaraz nie znajdzie się na sali operacyjnej! To brat prokuratora Balucci. Podziękuję wam za to!

Strażnik nie ustąpił:

- Czekaście na inny samochód...

- Inny samochód?! Do osobowego nosze nie dadzą się wsadzić, a wy zmieścicie! To palec boży, Bóg zesłał wasz wóz!

- Gino! - wtrącił się szofer - jeśli chcesz go mieć na sumieniu, to ruszam, ale...

- Dobra - powiedział strażnik - weźmiemy tylko chorego...

- On musi mieć kroplówkę! - zaproponował człowiek w białym kitlu.

- Basta! Powiedziałem, tylko on, kroplówkę będzie trzymał któryś z moich. Ruszajcie się wolno, bo nie spuszczałem was z oka, a palca ze spustu!

W pudle więziennej furgonetki, obok Gurta przykutego do metalowych szyn, siedziało dwóch strażników. Jeden pomógł wciągnąć nosze, drugi wziął flakon i natychmiast zatrzasnęli drzwi, a wóz ruszył jakby asfalt miał pod nim wybuchnąć. Cała trójka przyglądała się leżącemu, z którym było źle: oddychał ciężko, przez zęby lub przez zamocowany do uszu śmierdzący tampon na nozdrzach; lewą dłoń i prawie całą rękę miał obandażowaną; w połowie

przedramienia spod bandaży wychodził przewód kroplówki.

No i co? - powiedział szofer - od razu wiedziałem, że to nie twój film, Gino.

- Od razu?

- Jasne, że od razu. Bo taki numer, jakżeś myślał, jest dobry tylko z karetkami, które przewożą gotówkę. Możesz je wysadzić lub ostrzelać, nie ryzykujesz nic. Ale jak twój kumpel siedzi w środku, to nie pójdziesz na chama, bo on mógłby kofnąć, lepiej sposobem, w pierdłu albo w szpitalu... Mamma mia, zobacz!

Z zarośli okrywających stok wylała się horda owiec, asfalt zapiszczał dzięki hamulcom, a szoferkę nappełnił stek brzydkich wyrazów. Koncert na dzwonki, pobekiwanie i krzyk pasterza dookoła unieruchomionego furgonu miał w sobie coś dantejskiego. Okryta bandażami dłoń ścisnęła gumową gruszkę z żółtym płynem, ten powędrował rurką do kroplówkowej cieczy i flakon w rękę strażnika wypuścił gaz, od którego więźni i funkcjonariusze momentalnie stracili przytomność. Człowiek z chemicznym filtrem na nozdrzach podniósł się, otworzył drzwi i czekał, aż przybiegną jego kumple, by wziąć Gurta; użyli do tego noszy. Za zakrętem stał helikopter.

26380 obudził się w śmigłowcu. Dano mu pić.

- Co jest?! - spytał. - Kto wy jesteście?... Do cholery, co jest grane?!

Człowiek, który siedział obok, miał garnitur w prążki, nieludzko barwny krawat i jeszcze bardziej nieludzko zimną mordę. Ten człowiek powiedział:

- Nic nie mów.

- Bo co?!

- Bo zlecisz.

Wylądowali pod Genuą. W porcie, przy nadbrzeżu, Gurt zobaczył Jervisa i zrozumiał. Jervis podał facetowi w tęczowym krawacie walizkę, proponując:

- Chodźmy na jacht, jeśli chce pan sprawdzić. Jest dokładnie tyle, ile umówiliśmy.

- Więc jest o sto tysięcy za mało - rzekł krawat.

- Nie rozumiem...?

- Dodatkowe koszty. Anglika. Trudno je było przewidzieć. Nie musi być forsa, czek wystarczy.

Jervisem zatrzesło. Ale nie próbował się stawiać, wiedział, iż mafia tego nie lubi.

Mieszkanie sir Stanleya Jervisa było czymś na kształt muzeum afrykańskich masek, sam zapach budził u gościa nastroj nostalgiczny - tak pachniała jego młodość. Gospodarz poczęstował go herbatą, wysłuchał i zakpił:

- Myślałem, że będzie symfoniczna, a kroi się kameralna...

- Co mogę na to poradzić? - westchnął Lerocque. - Chłopaków rozniosło w cztery strony, część węża trawę od spodu, nie jestem wskrzesicielem. I tak mam kilku z samego czuba.

- No to masz czub, ale nie masz bazy. Dam ci kilka parszywych owiec z SAS, co ty na to?

- Przyjrzę się im. Mogę wziąć pierwszy gatunek, pętałów mi nie trzeba.

- Pętałów nigdy nie było w tej formacji, nie pleć głupot. Mam też ofertę specjalną, dwa modele klasy lux. Potrzebujesz lekarza?

- Nie. Nic mnie nie boli.

- To konował numer jeden w tym kraju, zna się na wszystkim. Formalnie chirurg, lecz również okulista, laryngolog, gastrolog...

- Skoro nalegasz, obetnę sobie kciuk, albo zatruję żołądek, może być?

Jervis pokiwał głową, jak belfer nad niesfornym uczniem.

- "Mina", jesteś wkurwiony, stadko ci się rozpierzchło, ale to

jeszcze nie tragedia, stworzysz nowy big band. Chcę ci w tym pomóc, więc nie pajacuj, tylko słuchaj.

- Słucham, imponuje mi taki sportowiec, co jednego dnia gra w baseball, rzuca dyskiem, rwie sztangę, bije rekordy w trójskoku, na kortach deklasuje Lendla i jest mistrzem nart w przerwie między partią szachów a skokiem z trampoliny. Od razu poznać profesjonalistę!

- To Harold Marie-Morgan.

Lerocque zmrużył oczy i uruchomił pamięć, ale bez sukcesu.

- Cholera, gdzieś już słyszałem to nazwisko...

- Wszyscy słyszeli. Mija osiem lat, jak stanął przed sądem, bo pewien aktor wykorkował mu na stole operacyjnym. Rzecz zwyczajna, tylko ktoś złożył donos, iż szanowny pacjent rznął panią Morgan bez zgody pana Morgana, a ten mu się odwdzieczył skalpelem. Wyrok był uniewinniający, lecz odium zostało, pan doktor wyleciał z ekskluzywnego szpitala i zawędrował do przytułku, bo tylko tam dano mu etat. Później się odrodził, miał kumpla we władzach lekkoatletycznych, został lekarzem ekipy olimpijskiej. Jak u naszych skoczków wykryto doping, to zrzucili wszystko na niego i teraz jest spalony kompletnie, bez praw wykonywania zawodu. Chce szukać szczęścia w Australii, więc dlaczego nie miałby pojechać do Afryki i to za gruby szmał, w towarzystwie, które nie będzie na niego pluło? Masz coś przeciw? Przypomnij sobie, ilu chłopaków utraciłeś w buszu tylko dlatego, że nikt z was nie umiał im pomóc?

- A ten drugi model specjalny? - zapytał Lerocque.

- To jest coś ekstra, chłopie! Nazywa się Clint Farloon. G. I. w oddziałach amerykańskich na terenie Niemiec. Zdezerterował i siedzi w kiciu, ale w naszym!

- Jak to w naszym?

- Prysnał do Rotterdamu, tam się zamelinował w komunie

młodzieżowej, potem przeskoczył na Wyspy i został szefem gangu motorockersów, ale coś im się nie układało. Oni lubili gwałcić, on się temu sprzeciwiał, była jakaś afera z dziewczyną na stacji benzynowej, lecz w końcu poszło nie o to, lecz o nazistowski szmelc, który chcieli nosić. Zerwał swastykę jednemu z tych gnojów, tamten go uderzył i skończyło się na tym, że cała banda dostała w pierdol od swego przywódcy, i to jak, kilku dotąd nie rozgipsowano! Pomyśl, jeden przeciw...

- Superman - zgodził się Lerocque - trudno będzie go kupić, w komiksach zarabia większy szmal.

- Nie chcesz go?

- Czy ja coś mówię?... Za co siedzi?

- Za to, że pobił angielską przyszłość narodu, mówiłem... Damy mu propozycję nie do odrzucenia: albo jedzie z tobą, albo spełniamy żądanie Amerykanów, którzy chcą ekstradycji. Być może ten chłopak nie boi się niczego, ale tego musi się bać. Byłby skończonym idiotą, gdyby wybrał amerykański sąd wojskowy.

Clint Farloon ("The Amber" - od bransolety z bursztynu, którą nosił) nie był idiotą. Był nawet inteligentniejszy od wielu Europejczyków, z profesorami włącznie, gdyż znał się na baseballu, którego zasad żaden Europejczyk nie może pojąć. Do tego był bardzo dobrze zbudowany, kochał muzykę rockową i dziewczyny, których uroda i kondycja w niczym sobie nie chcą ustąpić, ale najukochańszym jego konikiem była niezależność wydzwignięta na poziom trudny do zaakceptowania przez wielu ludzi: przez jego ojca, przez belfrów i w końcu przez wojskową starszyznę. Farloon wiecznie z czymś zrywał i skądś uciekał - był to człowiek w biegu odwrotowym, przez co nie należy rozumieć cofania się, tylko wyzwalanie. Rozumiał (być może zrozumiał to w londyńskim

więzieniu), że za kratą nie będzie ani dziewcząt, ani sprzętu hi-fi, ani możliwości opuszczenia tego, co mu się akurat nie podoba, więc się zgodził, choć ten rodzaj ucieczki przed armijną Temidą też był wędzidłem. Miało to analogię z kwadraturą koła: uciekał przed żołdakami do żołdaków, gdzie też będą rozkazy i dryl, to go wcale nie cieszyło. Ale było to lepsze od "pierdła"; wszystko było lepsze od pierdła, w którym człowiek taki jak on musiałby umrzeć, sam lub zakatowany przez strażników, bo jego charakter wypowiedziałby im wojnę śmiertelną.

Zawieźli go na rezerwowy poligon SAS, gdzie grupa Lerocque'a przechodziła forsowny trening. U wejścia do baraku zderzył się z facetem, który kiedyś oblał go benzyną i chciał podpalić. W dobie, gdy boks jest nudny jak fach masażystów, taka bójka mogłaby przyprawić o euforię najbardziej wymagającą publiczność: grad potężnych bomb, błyskawicznych uników, kontry i zasłony, karate przeciw karate, atak non-stop, mordercza młócka bez jęków, bez słów i bez triumfów, gdyż żaden nie upadł, jakby obaj wrosli w ziemię. Po kilkudziesięciu sekundach rozdzielono zakrwawione koguty i Lerocque spytał:

- O co poszło?

Dyszeli, w sercach mając nienawiść, a w oczach śmierć.

- Szeregowy Farloon! - ryknął "Mina". - Pytam was! Przyjmijcie postawę na baczność!

Clint lekko się rozprostował, splunął krwią i odrzekł:

- Ten frajer ma łeb podobny do kanistra benzynowego, chciałem mu napęłnić, sir!

- Co?!... Szeregowy "Chris"! O czym on gada?!

- O benzynie, sir! Ma łeb jak gąbka skąpana w benzynie, chciałem mu ją wyżąć.

Lerocque przygryzł wargi.

- Dobra, panowie kpiarze, wasza sprawa. Odtąd za taki numer i za

każdy inny przejaw niesubordynacji będą obcinał żołąd, a w krańcowym przypadku zastrzele! Teraz zaś obaj pozycja kuczna, ręce przed sobą, skokami do tamtego drzewa, marsz!!! Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, raz--dwa, raz-dwa!...

Przy drzewie usłyszeli:

- Wróóóó! Skooo-kiem, marsz!! Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, raz--dwa!...

Skacząc na ostatnich nogach uważali, by nie dać się wyprzedzić i mieli świadomość, że to skautowski kretynizm, a nienawiść rosła w nich przez to jeszcze bardziej. Kilkadziesiąt ostatnich jardów było męką. Łapiąc tlen w rytm odbić, Clint wycharczał:

- Za-bi-ję-cię-skur-wy-sy-nu-jak-tyl-ko-wró-ci-my-stam-tąd!

Odpowiedź brzmiała:

- Nie-bę-dę-mógł-się-do-cze-kać-i-przy-nio-sę-ci-ka-nis-ter na grób!

Ujrawszy go z siniakiem i z dwoma plastrami w miejscu, gdzie miał rozciętą skórę, spytała:

- Co to jest?

- To?... Nic, to drobiazg...

- Pan ciągle z kimś walczy.

Próbował się uśmiechnąć.

- Takie fatum. Spotkałem tego Amerykanina ze stacji benzynowej... i wymieniliśmy poglądy na swój temat. Oberwał tak samo.

- Czy on pana prześladowuje?

Teraz uśmiechnął się bez wysiłku, bo rozśmieszyła go myśl, którą zawarł w odpowiedzi:

- Nie, jedynym człowiekiem, który mnie prześladowuje, jestem ja sam.

Oczekiwała, że poprowadzi ją nad Colne, lecz on chciał możliwie

szybko zrzucić swój ciężar:

- Muszę pani coś powiedzieć...

- Tak...?

- To jest nasze ostatnie spotkanie.

Nie rzekła nic, nie zrobiła żadnego gestu - jej oczy patrzyły na niego z ciepłym spokojem, jakby nic nie poczuła.

- Muszę wyjechać na pewien czas. nie wiem jaki, miesiąc, dwa. trzy. może więcej... Dość daleko... Nie będę mógł stamtąd pisać... I nawet nie wiem, czy wrócę, chociaż bardzo bym tego pragnął... I mam do pani prośbę, Miriam.

- Tak?

- Chcę, żeby pani to ode mnie przyjęła, to jest pięćdziesiąt tysięcy funtów. Ja ich nie będę potrzebował, a pani się przydadzą. Błagam, proszę je wziąć. Nie miałbym co z nimi zrobić...

Wyjęła mu z rąk kopertę i włożyła ją do torebki tak naturalnym ruchem, jakby zwracał jej należność, a przy tym ani na moment nie zdjęła oczu z jego twarzy.

- Dziękuję - szepnął.

Nie wiedział, co teraz powinien zrobić, a ona wzięła jego dłoń w swoją i pociągnęła go w stronę miasta. Szli milcząc, tak jak wówczas, gdy miała włosy mokre od benzyny. Weszli na piętro, do jej pokoju, w którym słychać było przez ścianę chrapliwy oddech starej damy. Zasłoniła okno kotarą, podeszła do niego i wtuliła się z drżeniem w jego ramiona, jakby chciała się przed czymś ukryć. Paralizujący lęk, którego nie doświadczał z innymi kobietami, rozplynał się w dziwnym szumie, w którym myśl nie mogła już niczego zahamować, a strach Miriam przed pierwszym mężczyzną, który musiała zabić w obawie, że gdyby On nie wrócił, nie zrobiłaby tego już nigdy, zamienił się w uległość nie do opanowania. Tak się ludzie dowiadują o bezbrzeżnej nad nimi władzy ciąż.

"Bus-station" był tym fragmentem angielskiego pejzażu, który

chciał wbić sobie w pamięć i zabrać. Pocałował Miriam w dłoń i pierwszy raz zobaczył jej łzy drgające na koniuszkach rzęs. Przepuszczając innych do wejścia autobusu, usłyszał:

- Jestem twoją żoną, a ty jesteś moim mężem. Pamiętaj o tym i wróć.

Stał przyklejony do szyby, wpatrując się w sylwetkę Miriam, coraz mniejszą i mniejszą, a kiedy stracił ją z oczu, uprzytomnił sobie, że zapomniał jej powiedzieć to jedno słowo, którego wcale nie trzeba było mówić, ale miał do siebie żal.

Dzień, w którym Jervis odwiedził kwaterę główną nowego "Gangu Lerocque'a", wypadł nazajutrz po ostatnim wolnym dniu dla zgrupowanych. Był to 18 sierpień.

Kwaterna mieściła się w willi, którą przesłaniał szpaler wysokich drzew, w połowie drogi między rezerwowym a stałym poligonem SAS. Był to teren zamknięty.

Stary człowiek przyjechał w towarzystwie młodego, który elegancją lalusia z męskich żurnalów wkurzyłby obsługę każdego poligonu. Był to Fritz van Hongen.

Zastali lokatorów w parterowym "dining-roomie", podczas odprawy. Lerocque, który przewodniczył, chciał ją od razu skończyć, lecz Jervis zasygnalizował podniesioną ręką, iż prosi o kontynuację i usiadł w fotelu przy drzwiach, a Fritz stanął obok, gdyż dla niego zabrakło miejsca. Tematem był szturm w warunkach nocnych, z kilkoma wariantami ubezpieczeń grupy czołowej; referował Downbridge, kreśląc linie i punkty na bristolu. Jervis miał to przerobione za młodych lat, więc ani myślał wytężyć słuch, interesowały go sylwetki pochylonych nad stołem. Przeliczył, z braku czegoś lepszego do roboty: "Mina", "Rolls Royce", "Beatles", "G. G.", bracia Clayton, Polak, doktor, Amerykanin Farloon, czternaście

“parszywych owiec” z SAS, w tym “Szeryf” Brian Nortolt, żywa legenda tej formacji, oraz pięciu ochotników z oficerskiej szkoły spadochronowej (najnowszy “prezent” lorda Bento-na), wśród nich instruktor, porucznik Kevin Haltrey. Dwudziestu ośmiu ludzi, nie licząc gówniarza, który stał przy fotelu i był pracodawcą wszystkich.

Kiedy Lerocque zamknął odprawę, Jervis podszedł do niego, lecz nim zdążył wygłosić powitalną formułkę dla “oddziału” (jedną z tych dziarskich, absolutnie nieodzownych w wojsku, które wchodzą w krew nawet ludziom tak inteligentnym jak on), ujrzał nad drzwiami plakat; przedtem nie mógł go dostrzec, gdyż siedział obok drzwi. Jałowe pejzaże afrykańskich stepów, błękitne niebo, roztańczeni Negrzy z kólkami w uszach, a w środku ręcznie kaligrafowany napis:

”BIURO TURYSTYCZNE «RAJ».
WSTĄP DO NAS,
WYBIERZ SIĘ DO DALEKICH KRAJÓW,
SPOTKAJ INTERESUJĄCYCH LUDZI
I ZABIJ ICH!

Kierownik sekcji reklam wycieczek pogrzebowych,
James Rambond,
nieślubny syn Rambo i Bonda”.

Miał ochotę zakląć. W innych warunkach nie przekraczałoby to jego poczucia humoru, lecz tu wzbudziło gniew; plakat mógł być (choć nie musiał) symptomem dwóch negatywnych zjawisk: mało poważnego stosunku do bardzo poważnych zadań, i nazbyt dokładnej u wszystkich wiedzy o tym, gdzie pojadą, choć na ten temat rozmawiał tylko z Lerocque'em. Przywitał “chłopców”, przedstawił im Fritza van Hongena i zapytał “Minę”, czy mogą zostać sami, a gdy już zostali we trzech (on, Fritz i Lerocque),

pokazał plakat:

- Czyje to gówno?!

- Moje - odpowiedział dziwny głos.

Sir Stanley z trudem się wstrzymał od przetarcia oczu, gdyż zupełnie nie wierzył w krasnoludki. Na dywanie pod oknem siedział w pozycji "joga" człowieczek mały jak gnom lub arabski džinn. Wszystko, co posiadał, było staromodne (garnitur, drucziane okulary, krój kołnierza i kapeluszczyk wciśnięty na skroń), a zarazem tak schludne, iż kurdupłowaty osobnik miał wygląd przedmiotów nie używanych.

- Kto to jest? - zdumiał się Jervis.

- Jestem Humphrey Bogart. "Casablanca" - wyjaśnił kurdupel.

"To ja jestem Ingrid Bergman" - pomyślał Jervis i wbił gniewny wzrok w "Minę":

- Co on tu robi?!

- Przynosi mi fart - zapewnił Lerocque, studiując ornamentykę dywanu.

- Czyś ty zwariował?!

- Nie... Daj spokój, Jervis. To Kenneth Lorning, mój kumpel, jedyny, jakiego mam, biorę go ze sobą, bo przynosi mi szczęście...

- Chcesz go zabrać?!...

- Wszędzie chcę go zabrać, bez niego nie jadę... Stan, wierz mi, to naukowy mózg, był profesorem, wykładał filozofię...

- Filologię, trójkolorowy pawian - poprawił okularnik. - Wy, Francuzi, macie dwa łby, ale tylko ten w gaciach nadaje się do czegoś. Mais, en tout cas, je fadore, mon cervelle d'oiseau.

Jervisa w takim stopniu szokowała absurdalność sytuacji, że byłby rad, gdyby to wszystko okazało się złym snem.

- Kapitanie Lerocque! - wygłosił z emfazą człowieka umundurowanego, chociaż nie miał munduru. - Proszę powiedzieć temu bydlakowi...

Kapitanie Lerocque! - przerwał obiekt konfliktu. - Proszę powiedzieć temu pedałowi, iż nie jest moją winą, że nikt go dziś nie wydmuchał od tylca, więc dlaczego ja mam za to cierpieć? Niech się wyładuje na kimś innym.

Jervis pochylił twarz ku kapitanowi, szepcząc:

- Słuchaj, czy to świr?

- Nie - odszepnął Lerocque - on po prostu uważa, że wszyscy Anglicy są pedałami. Przestań zwracać na niego uwagę, to nieszkodliwy zrzędus.

- "Mina", albo ty zwariowałeś, albo on, tak czy owak mam dość tej komedii! Wyrzuć go, jeśli nie chcesz, żebym go zastrzelił!

- Lepiej wsadź sobie lufę w tyłek, będziesz miał orgazm! - poradził mu gnom, wstał i wymaszerował z pokoju krokiem obrażonego monarchy.

Lorninga nazywali później "Casablanca". Jervis, choć denerwował go "ten polip" (takiego określenia użył w rozmowie z Bentonem), w rzeczy samej czuł zadowolenie, był bowiem przesądny; "jeśli ów typ rzeczywiście jest dla Armanda szczęśliwą maskotką - myślał - to w porządku, szczęście stanowi nieodzowny przyrząd na takich koncertach, niczym pulpit pod partyturę".

Przybył tu, by zarządzić stan gotowości bojowej do koncertowego preludium. Wiedział już, gdzie się znajduje Nelina Nyakobo. Za trzy dni start!

III. Baśń czekoladowej królowy

Dokładnie wówczas, gdy “Mina” zaczął zbierać swój “big band”, Thomas Sean Karnock zaczął zbierać potrzebne mu wiadomości, lecz o ile koszyk tamtego powoli się napelniał, koszyk “Chłopca numer jeden” wciąż pozostawał pusty. Pertraktując w Dublinie z emisariuszami ormiańskiej, wymierzonej przeciw Turkom ASALA (chodziło o pomoc w zamachu lub przynajmniej w “rozpracowaniu” tureckiej ambasady), w La Valetta z Sikhiem (zamach na samolot indyjskich linii lotniczych) i w Atenach z agentem Dżihad Islami (broń i kanały przerzutów) - Karnock starał się delikatnie, mimochodem, zahaczać o Nelinę Nyakobo, lecz napotykał zdziwione spojrzenia i pojął, że ta ciekawość w sprawie, która nie dotyczy omawianych problemów, może drogo kosztować. Był to spacer po bardzo cieniuchnej lince i każda kolejna próba czyniła ją cieńszą.

Znerwicowany między młotem a kowadłem, gdy od kowadła nie dało się podczas rozmów wyludzić niczego, Karnock uznał, iż czas na kolejną rozmowę z młotem. Wrócił do Belfastu, zadzwonił i zgodnie z instrukcją wszedł do taksówki numer 606, która pojechała za miasto, w las. Tam czekał Greenwood.

- Niczego się nie dowiedziałem - rzekł “Boy number one”.
- To się dowiedz - padło w odpowiedzi.
- Mała możliwość. Wystawiam się na cholerne niebezpieczeństwo, nie wiem, czy już nie wzbudziłem podejrzeń...
- To twój kłopot. Z naszej strony grozi ci to samo, lecz różnica polega na tym, że my już założyliśmy ci pętlę, a oni dopiero mogą to zrobić, więc lepiej uczynisz bardziej się bojąc nas.

Karnock akceptował logikę tego rozumowania, lecz wbrew niej

większą trwogą napawali go sojusznicy i partnerzy z ponadnarodowej siatki terrorystów. Wyłożył to z czym przyszedł:

Mogę dać wam pewien cynk, który jest szansą...

- Daj, zobaczymy - odpowiedział Greenwood.

- W Action Directe jest pewna kobieta...

- To pewnie w tej kobiecie jest Action Directe. bo Francuzi ich skasowali!

- Nie, nie - zaprzeczył Karnock gestem i słowem - aresztowano tylko ich sztab, i to też nie cały, organizacja istnieje. Zresztą to nie ma znaczenia, chodzi o tę kobietę, o której się mówi, że wie wszystko o wszystkich... Ma prawie sześćdziesiąt lat, a może już ma więcej...

Greenwood machnął ręką zawiedziony:

- Wymyśl coś lepszego! O "Babci" vel "Mamie" czyta się w gazetach. Najstarsza wśród wszystkich terrorystów Europy, legendarna "Maman", zabytek, na który policja francuska czatuje bez skutku, a raczej czatowała, bo oni już nie wierzą w jej istnienie! Paryż twierdzi, że to mit. Naszym eksportowym towarem jest "potwór z Loch Ness", ich prasa co roku odgrzewa "Babcię". Szukasz głupiego, Karnock?

- Człowieku, ona istnieje!

- No to ją daj!

- Za pięć dni do Londynu przyjeżdża człowiek ze sztabu Action Directe. Bernard Derouge, rozmawiać z Tamilami...

- To prawdziwe nazwisko?

- Z takim ma paszport.

Greenwood potarł wąsy, jakby chciał je przygłodzić lub skryć wyraz zadowolenia na wargach.

- Dałeś sobie szansę, Karnock. Życz nam wszystkiego najlepszego. a może ominie cię wszystko, co najgorsze.

Bernard Derouge nie niepokojony opuścił lotnisko Heathrow, pogadał z emisariuszami Tamilów i przed odlotem do Paryża umówił się na randkę z kokietującą go kelnerką hotelowej restauracji. Szampan, który podano im do łóżka, nosił nazwę "Veuve Cliquot". lecz winien się zwać ..Soporifique" - "Nasennym".

Aeroplan do Paryża odleciał bez pana Derouge; ten w momencie odlotu znajdował się wewnątrz willi, której podziemia przypominały ilustracje z książek o pracy świętych inkwizytorów - nagi, skatowany i okradany ze złudzeń (chodziło o złudzenia na temat bólu i granic wytrzymałości, zaczerpnięte z dziecięcych lektur o Indianach i z młodzieżowych lektur o bohaterach awangardy rewolucyjnej). Znącał się nad nim sadysta, członek specjalnego oddziału północnoirlandzkiej policji RUC (Royal Ulster Constabulary). Wkrótce przyszedł drugi funkcjonariusz tej jednostki i ujrawszy makabrę, zapytał: - Czy on musi tak wyć?

- Nie musi, widocznie to mu odpowiada. Woli wyć zamiast mówić.

- A może ty traktujesz go nieprzepisowo, niedemokratycznie i nielegalnie, łamiąc zasady humanitaryzmu?

- Ależ skąd! Na razie złamałem tylko kilka paragrafów kodeksu postępowania śledczego, zacząłem łamać Habeas Corpus Act i mam zamiar łamać konstytucję, humanitaryzmu nie tykam.

- Dzięki Bogu, już myślałem, że chcesz go skrzywdzić - powiedział ten, który przyszedł, wyjmując scyzoryk i otwierając w nim korkociąg. - Czytałem niedawno książkę jednego podróżnika. Facet opisuje, jak Indianki któregoś z plemion traktowały jeńców. Miały zwyczaj wciskania w penis kolca, a potem wyjmowały go. Opowiedz to temu panu, może to go rozśmieszy, bo wygląda smutno.

- Tak myślisz?.... A jak to go nie rozbawi?

- To przeczytam jakąś inną książkę do śmiechu...

Podporządkowanej RUC Lotnej Jednostce Wsparcia (HQMSU) dano w mass-mediach nazwę “brytyjski szwadron śmierci”, odkąd wyszło na jaw, że jej członkowie trudnili się “bezprawnym eliminowaniem” irlandzkich terrorystów (mordercze strzelaniny zamiast aresztowań). Zgodnie z regułą, po przecieku i skandalu urządzono maskującą czystkę, w wyniku której kilku “chłopców” trafiło do rezerwy, a stąd do “Biura Turystycznego «Raj»” (udział w tangalandzkiej wyprawie miał być dla nich kwarantanna, aż uspokoi się opinia publiczna; nawet Jervis nie wiedział, iż wśród “parszywych owiec” od jego lordowskiej mości jest kilku z HQMSU). Północnoirlandzka Special Branch (tajna służba vel służba bezpieczeństwa RUC) kontynuowała działalność, szkoląc swe antyterrorystyczne grupy w koszarach Ballykinlar. Stamtąd w końcu pierwszej dekady sierpnia wyruszyło nad Sekwanę trzech turystów, którzy mieli wdzięk bogatych utracjuszy. kamery video i paszporty, wobec których francuskie służby specjalne nie mogły żywić podejrzeń. Dla całkowitego kamuflażu wesołą trójkę ulokowano w zbiorowej wycieczce biura “Europe-Tour”.

Dzień przed opuszczeniem Paryża i powrotem do domu ów tercet spędził włócząc się paryskimi uliczkami. Na jednej z nich weszli w bramę kamienicy, która pamiętała Rewolucję Lipcową. Drzwi do mieszkania numer 9 wyposażone były w kawałek metalu, na którym grawer umieścił godność Mme Renaud, przemiłej staruszki, patronki bezdomnych kotów i głodnych ptaków. Znano ją w całej dzielnicy i kochano, gdyż widok ludzi pokroju Mme Renaud, zawsze uśmiechniętych i życzliwych, ozdabia codzienność, tak jak kwiat upiększa parapety ruder; patrząc na tę kobietę wielu przestawało źle myśleć o bliźnich i bać się starzenia. Jeszcze więcej było takich, którzy dzięki Mme Renaud uwolnili się od wszystkich nieszczęść, gdyż posłała ich do nieba za pomocą wybuchowych ładunków w

samochodach, w pudełkach i w walizkach eksplodujących wśród gęstego tłumu, ale o tym wiedzieli tylko jej pomagierzy. Trzem Anglikom dopisało szczęście, nie musieli użyć pistoletów z tłumikami, zastali "Babcię" samą. Jeden z nich znał francuski jak Francuz i na pytanie: "Kto tam?", odrzekł: "Towarzystwo Ochrony Zwierząt, Madame. Ktoś skarży panią o dręczenie kotów...". Rzucili ją na tapczan, plecami do góry, aby jednym ruchem można było wbić krzyczące usta w plusz.

- "Mamo" - powiedział ten, który znał francuski - Bernard, czyli Janek umarł, gdyż ty go wydałaś.

- Łgarstwo!... Czego ode mnie chcesz?!

- Informacji... Łgarstwo? Mamy kilka dowodów, zobaczymy, jak je przyjmą twoi kumple.

Starą porwał chichot, który przerodził się w kaszel.

- Możecie mnie pocałować!

Zrozumieli, że szantaż jest na nic, trzeba było zrobić coś mniej eleganckiego: jeden z nich przytknął żarzący się pet do łokcia staruszki. "Maman" zemdląła. Po przebudzeniu filmowali ją długo z trzech kamer i zmusili do połknięcia ogromnej pastylki, a potem kazali uważnie słuchać. Perswadującym był "Francuz":

- Możemy się tak bawić do oporu, aż nie zostanie ci centymetr surowej skóry, i powiesz nam wszystko, bo nie jesteś ognioodporna. Czy nie lepiej pójść na kompromis, który ciebie uchroni od bólu, a nas od poczucia winy? Żądamy tak mało, prawdziwy drobiazg. Jedno pytanie, gdzie jest córka prezydenta Tangi, nic więcej. Z Derouge'a chcieliśmy wycisnąć tylko twój adres, a on, gdy się już rozgadał, powiedział nam i o tym, że pannę Nyakobo porwali korsykańscy terroryści na czyjś rozkaz lub za czyjeś pieniądze, lecz nie znał jej aktualnego miejsca pobytu. Ty nam to powiesz. Widzisz, jak mało? Nie interesuje nas Action Directe, nie jesteśmy Francuzami, jeśli uda się wam rozpieprzyć cały ten kraj, będziemy

bić brawo z tamtej strony Kanału. Daj nam tylko adres panny N. i zapomnij o nas, nigdy już nie wrócimy!...

Mme Renaud zrozumiała, że gdyby chcieli szkodzić Action Directe, nie przysliby do niej; wystarczyłoby obserwować budynek i tych, którzy składają tu wizyty. "...Oni naprawdę chcą mademoiselle N. Brytyjskie świnię!... Kompromis? Z czym? Nie z nimi, z własnym sumieniem, z ideałami rewolucji społecznej, z nieugiętością członka proletariackiej awangardy, ze sztandarem anarchizmu... Mon Dieu, to tylko stare, zmęczone słowa, za którymi trwa nałóg jak narkotyk, wieczny płomień, choć minęło tyle lat... Hasła bez zwycięstw, sukcesy mierzone liczbą trupów, monotonia krwi i pustka niespełnionych marzeń, żeby choć światełko na krańcu tego tunelu!... Zaprzecić się i zdradzić, czy zdechnąć jak przypalany szczer?... Ale zdradzić kogo? Tych Korsykańów, tak beznadziejnie głupich, że nawet Jean, członek zaplecza szerokiego sztabu, niech mu ziemia będzie ciężką za to, że przysłał tu kanalie, nawet on wiedział... Cóż to za zdrada! A jednak zdrada... Ile jeszcze zostało, dziesięć, dwadzieścia lat? I więcej nic... Męczeństwo dla korsykańskich głupków lub dla tej czarnej dupy o lśniącej młodością skórze?... Chcą ją uwolnić czy zabić? Raczej uwolnić, to zbiry najęte przez Nyakobo, z SAS lub z MI-5... Można ich zresztą wykiwać, sprzedając kit..."

"Francuz", jakby wyczuł, pogroził jej palcem:

- I nie kłam! Sprawdźmy to, co powiesz, w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jeśli nas wykolegujesz, oddamy te zdjęcia Surete, żeby mogli cię zidentyfikować. Lub odnajdziemy cię sami dzięki tej pastylce, która już emituje sygnał i będzie to czyniła przez cały tydzień, aż roztopi się jej powłoka, panczyk z trudno rozpuszczalnych tworzyw. Nie można tego wysrać, wyplukać lub zwymiotować, twój żołądek zespolił się z nią, chyba że uwolni cię od niej chirurg, a inny chirurg wyroluje filmy, zmieniając ci twarz.

Dwie takie operacje w twoim wieku...

Z pastylką to był blef, nie było w niej nadajnika, lecz "Maman" nie mogła o tym wiedzieć, naukowcy robią dziś takie rzeczy... Dobięło ją miauczenie spod łóżka. ««Napoleon»». Kto go nakarmi, jego i «Minou» i «Piaff» i «Bolszewiczkę», która ma rodzić?... Beze mnie umrą!...». Ostatnia powstrzymująca ją rzecz, kobieca wściekłość, że wtargnęli aż w głąb jej ciała, sprofanowali samo wnętrze i przetyk, zadając gwałt gorszy od seksualnego, przestała ją uwierać, rozplynęła się w miauczeniu głodnych, futerkowych istot, których życie było jej tak drogie, tak bardzo związane z ową podświadomą czułością, jaką każdy człowiek żywi gdzieś w głębi serca dla cudu egzystencji.

W kwaterze głównej Centralnej Agencji Wywiadowczej w Langley szef tego interesu, James Fosterman, usłyszał z głośniczka:

- Niebieski, panie dyrektorze.

Niebieska linia służyła tylko do rozmów z prezydentem lub z sekretarzem obrony.

- Numer jeden, czy numer dwa, dziecinko?

- Numer dwa, panie dyrektorze.

- W porządku.

Wziął do ręki słuchawkę i nieomal krzyknął:

- Telepatia, Johnny! Cześć!

- Akurat o mnie marzysz? - spytał John Drews.

- Zgadłeś, akurat miałem do ciebie dzwonić.

- Jeśli jeszcze powiesz, że akurat miałeś dzwonić w sprawie "Tangaland", to obaj zapisujemy się do Towarzystwa Telepatycznego i niech robią z nas swoich gwiazdorów - parsknął sekretarz obrony.

Odpowiedziało mu milczenie, więc zrozumiał, iż się nie pomylił.

- Przyjedź, albo mnie zaproś - rzekł poważnym tonem.

- Czekam - powiedział ten, który umilkł. Gdy się już doczekał, oświadczył ministrowi:

- Anglicy kombinują coś z Tangalandem.

- Co?

- Nie mam jeszcze dokładnych informacji. Wiem, że adiutant naszego przyjaciela Nyakobo, pułkownik Oubu, złożył wizytę w Londynie.

- Nasz przyjaciel jest również ich przyjacielem, cóż w tym dziwnego? - Dziwne jest, że Oubu wybrał się tam jako handlarz czy przemysłowiec, w każdym razie posunął incognito do takiej perwersji, że nawet ambasador Tangalandu nie ma pojęcia, iż pan pułkownik rezyduje nad Tamizą i rozmawia z lordem Bentonem. Dziwić może również to, że te pogaduszki odbywają się w tajnych melinach MI-5.

- Tak, to rzeczywiście ładny bonus - zgodził się sekretarz obrony. - Benton, Benton...?

- Szef wszystkich służb specjalnych przeznaczonych do walki z terroryzmem. Benton-Howley.

- Ach tak. Czyżby Nyakobo chciał rozpieprzyć FWL przy pomocy Anglików?

- Nonsens. Mógłby to zrobić sam, ale najpierw musiałby chcieć to zrobić... John, teraz co ty masz dla mnie o tych czarnuchach?

- Nic nie mam, nie jestem twoim agentem, stary, z informacją tu nie przyjdę, to ty jesteś od informowania nas. Mogę tu przyjść tylko z pytaniem lub prośbą...

- Czego chcesz?

- Chcę wiedzieć, dlaczego wczoraj pan prezydent Tangalandu odmówił naszej firmie geologicznej przedłużenia koncesji. Chodzi o prace w Keya.

- Mam go zapytać o to?

- James, to nie są żarty, masz zapytać swoich agentów w

Tangalandzie.

- Muszę najpierw sprawdzić, czy ich jeszcze mam. On robi kolejny docisk śrub, wyrzuca białych, nowych nie wpuszcza. Zamknął granice, spora część korespondentów i handlowców dostała termin opuszczenia kraju. Rozwiązał cztery z pięciu szkół misyjnych, przepędził sto kilkadziesiąt zakonnic i tyluż zakonników, mam ci dalej wymieniać kto jeszcze dostał wilczy bilet? Przyrodnicy, turyści, myśliwi, spekulanci, mechanicy samochodowi, lekarze, trenerzy, szulerzy... Wszystko to pod hasłem "Czarne państwo dla czarnego człowieka", za którym stoi jego strach, bo białych nie można wziąć za pysk, tak jak wziął swoich czarnuchów. On uważa, że zbyt wielu białych kręci się po terytorium Tangi i że ich obecność, jeśli nie działalność, może mu złamać plemienną równowagę, na której wznosił fundament swych rządów. To wcale nie jest takie głupie, John, tam są agenci z różnych państw, może ta miotła dotknie naszych wrogów, ale to nic pewnego, jak to na loterii... Nie sądzisz, że twoi geologowie zostali wysiudani przez nią, przez tę samą czystkę, która obejmie ponad pięćdziesiąt procent "białego człowieka"?

- Nie. Wyczuwam dwie rzeczy. Musiało się coś stać, coś, o czym ty nie wiesz, a co skłoniło go do tych szaleńczych kroków. I musiało się stać coś jeszcze, coś innego, chociaż nie wykluczam tu jakichś powiązań, że cofnął nam prawo badań geologicznych.

- Jako telepata też coś wyczuwam, John. Że twoje aktualne hobby to geologia w tym tangalandzkim okręgu. Tylko nie wiem dlaczego. A chciałbym wiedzieć, bo kiedy narażam moich ludzi, wydając im rozkazy, i kiedy im płacę, wydając pieniądze z budżetu, który mi przyznał Kongres, pragnę mieć pewność, że czynię to, co powinienem czynić. Malcolm bez wątpienia zgodziłby się ze mną...

Pocisk został wymierzony celnie. Sekretarz stanu Malcolm Brown i sekretarz obrony John Drews żywili do siebie te same uczucia, jakie

można zaobserwować między psami i kotami, co nie było tajemnicą dla nikogo w Pentagonie, CIA oraz Białym Domu. Drews zrozumiał.

- Dobrze, pijawko. Nasze satelity wykryły uran w okręgu Keya.

- To rosyjskie satelity też, John.

- Dlatego chcemy tam być. Nie brakuje nam uranu. Rosjanie też go mają. Chodzi o przyszłość. To największe złoza, jakie zna świat. Ale trzeba potwierdzić na miejscu rozpoznanie satelitarne. Niech twoi agenci sprawdzą, czy wizyta Oubu ma z tym coś wspólnego. Mogą to zrobić?

- Ci, którzy zdemaskowali incognito Oubu, raczej nie mogą. Ale jestem w trakcie werbowania kogoś nowego. To prawdziwa perła. Wiadomość o tym, czy zechce dla nas pracować, dostanę dzisiaj lub jutro. Jeśli przyjdzie dobra wiadomość, twojemu hobby zrobi to bardzo dobrze, John.

Wielu ludziom szwajcarski krajobraz kojarzy się z obrazkami na czekoladzie "Suchard". I mają rację, widoki w tym kraju to pocztówki. Tak właśnie wyglądała miejscowość Le Cluse w kantonie Neuchatel. Asfaltowy strumień na płaskowyżu, jak czarna wstążka na zawiniątku w zielonym papierze, flankowana luźno rozrzuconymi willami w stylu Dobrobyt, który nikogo nie omija, a zatem i nie wyróżnia w owym społeczeństwie aż trzech języków i tylko jednego bohatera narodowego. co ma tę wyższość nad bohaterami innych państw, że nie można udowodnić jego rzeczywistej egzystencji.

Z początkiem lipca piętrowy domek ze spadzistym, czerwonym dachem, leżący na samym skraju osady, wynajął profesor Philibeaux, dla siebie i dla grupy studentów z jakiejś akademii sztuk pięknych. Każdego dnia ładowali stos farb, palet, blejtramów i sztalug na furgonetkę, i ruszali ku wzgórzom na "plenery". W domu

zostawała dwójka, by przygotować kolegom obiad. Jedynym obcym, który dotykał furtki, był listonosz.

Tego dnia listonosz minął ów dom, nie miał niczego dla artystów. Wkrótce potem ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła je kobieta, którą ogarnęło zdumienie na widok młodego mężczyzny w pstrokatym odzieniu. Trzymał kilka blejtramów z malowidłami.

- Jak pan tu wszedł?!

- Furtką.

- Furtka była zamknięta! Trzeba było dzwonić, a nie przeskakiwać!

Proszę pani, nigdy bym sobie nie pozwolił na coś takiego. Jestem nygus, to fakt, ale nie pod tym względem. Furtka była uchylona! "Bałwany, nie domknęli!" - przebiegło kobiecie przez głowę.

- Słucham! - powiedziała tak zimno, jakby mówiła: precz!

- Jestem Jean Marc Labriche. Chciałbym się zobaczyć z profesorem Philibeaux... To dla mnie bardzo ważna sprawa...

- W jakim celu?

- Proszę pani, ja... ja trochę bawię się w malarstwo... Chciałbym mu pokazać kilka moich płócien, żeby ocenił...

- Pana Philibeaux nie ma, proszę przyjść po południu.

- Dobrze, dziękuję pani. Tylko że...

- Co?

- Niech mi pani pozwoli zostawić te płótna. Przywiozłem je tu rowerem.

Kobieta zawahała się na moment i szerzej otworzyła drzwi.

- Proszę mi je podać.

Podawał kolejno, a ona ustawiała je w korytarzu, opierając o komo-
dę. Gdy ustawiła przedostatni bohomasz i odwróciła się, młodzieniec wszedł za próg, trzymając w wyciągniętej dłoni malowidło z przystanią na jeziorze Neuchatel. Kobieta powstrzymała wzgardliwy grymas, był to kicz. Pistolet w drugiej, ukrytej za płótnem dłoni sympatycznego intruza, wypalił. Pocisk przeleciał przez tłumik,

przez niebo nad żaglem jachtu i przez krtań oraz krąg szyjny kobiety, nie głośniejszy niż korek otwieranego termosu. Zabójca podtrzymał ciało i ułożył je na dywanie. Od strony klatki schodowej dobiegł go szmer, ktoś schodził. Ten ktoś zdążył sięgnąć pod marynarkę, lecz nie zdążył prawidłowo uchwycić rewolweru.

- Dwoma palcami! - szepnął morderca. - Połóż na schodach! Zrób to cicho! Jeden nerwowy ruch i zginąłeś!

Mężczyzna poruszał się jak na puszczonej zbyt wolno taśmie filmu, cały czas patrząc w twarz zabójcy i w wylot tłumika.

- Zejdź!

Zszedł, modląc się o życie myślami, które dławily mu oddech.

Zabójca (Lee Frost z HQMSU) wiedział od obserwatorów, iż z ekipy "profesora Philibeaux" tylko tych dwoje zostało w willi, lecz musiał sprawdzić; spytał rutynowo:

- Czy ktoś jeszcze spośród was jest w domu?

- Nie... nie ma... wszyscy pojechali... - wybełkotał tamten.

- Odwróć się i klęknij!

Mężczyzna zrobił, co mu kazano; był pewien, że otrzyma strzał w potylicę i zaczął błagać, lecz Frost przebił mu płytko skórę na karku rodzajem agrafy połączonej z pudełkiem, które miało kształt i wielkość paczki papierosów: najzwyczajniej przypiął pudełko do ciała człowieka, tak jak przypina się broszkę do sukni. Drugie pudełko, trochę mniejsze i z czerwonym guzikiem, wsunął pod nos jęczącemu, jak do powąchania, i rzekł:

- Na karku masz ładunek wybuchowy, małeńki, ale podciąłby czaszkę. Impuls elektryczny wysłany tym nadajnikiem uruchomi zapalnik na odległość kilkuset metrów. Idź do bramy, otwórz ją, potem otwórz drzwi do garażu i wróć tutaj.

Przez otwartą bramę wtoczył się, objechał dom i zniknął w garażu samochód osobowy. Siedziało w nim pięciu mężczyzn: Lerocque, van Hongen, Gurt i bracia Clayton.

”Mina” wziął klucz od kajdanek, który znalazł u mężczyzny noszącego śmierć przyszpiloną do karku, i z odbezpieczonym pistoletem ruszył po schodach. Był już blisko poddasza, gdy dogonił go Fritz. - Panie Lerocque, ja to zrobię!

- Pan wybaczy - odpowiedział ”Mina” - to zbyt niebezpieczne. Tam może się czaić któryś z tych Korsykanów.

- Moje ryzyko. Zresztą pan wie, że tam jest tylko ona, obserwowaliśmy ich, w domu został duet.

- Nic z tego, proszę zejść na dół!

Zamiast zejść na dół, van Hongen przeskoczył dwa stopnie w górę, tarasując Lerocque'owi schody.

- Panie Lerocque! Dotychczas nie wtrącałem się, strona czysto wojskowa jest pańską działką, nie może pan narzekać...

- Mogę - przerwał mu Lerocque - zajął pan podczas tej wyprawy miejsce jednego z moich chłopców, który przydałby mi się o wiele bardziej!

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać takich uwag! - odpowiedział van Hongen. - Pan zapomina, kim pan jest! Wykonawcą, który dostał ode mnie angaż, któremu płacę jak Krezus i którego mogę wyrzucić na zbitą mordę w każdej chwili, nawet teraz, a dowództwo wojskowe oddać komuś innemu, na przykład Gurtowi! Jeśli pan Jervis, z którym to ustaliłem i któremu też płacę, nie wyjaśnił tego w sposób wystarczająco klarowny, to wyjaśniam to panu tutaj, osobiście, i niech to będzie ostatni raz! Obiecuję, co już obiecałem w rozmowie z sir Jervisem: nie mam zamiaru uszczuplać pańskich kompetencji marszałka, oni wszyscy są pod pańskim dowództwem, ale panu nie wolno kwestionować moich praw monarszych, pan mnie podlega! Klucz!

Lerocque położył klucz na wyciągniętą dłoń van Hongena, zgrzyta-

jąc zębami.

- Niech pan chociaż weźmie pistolet...

- Żebyśmy się postrzelili w kolano? To wstyd, wiem, panie Lerocque, ale cóż mogę zrobić będąc takim antytalentem do spluw? Muszę ich unikać. Pamiętaj pan, co wyprawiałem na poligonie, lepiej nie próbujemy znowu...

Uśmiechnął się i pokonał kilka ostatnich stopni dzielących go od korytarzyka na poddaszu, gdzie czekała panna Nyakobo. Nie chcąc być wojownikiem, która miota ogień i przyjmuje ogień, chciał być wojownikiem malowanym, który zgarnia największy kawał tego, co się piekło na ogniu; wiedział, że laur nie przypada nadstawiającym bohaterko pierś pod kule, lecz umiejętnie pod ordery. Tak sobie o nim pomyślał Lerocque.

Różnica między ludźmi a zwierzętami jest żadna; można to przeczytać w księdze Kohelet *Starego Testamentu* lub zaobserwować. A jeśli tak jest w istocie, kobiety i tu przodują - posiadają instynkt. Przynajmniej niektóre; pozostałym brak zwierzęcego instynktu, dlatego źle kończą, omotane bądź uśmiercane, jak ta kobieta spod Ajaccio, którą piorun dosięgnął poprzez błękit wypacykowany nad przystanią jeziora Neuchatel.

Córka prezydenta Tangalandu posiadała instynkt. Zwykle kajdanki zaczepione o łóżko więziły jej przegub, lecz czasami skuwano Nelinie przeguby obu rąk, zalepiając przy tym usta taśmą do opatrunków, żeby nie mogła krzyczeć. Domyślała się wtedy, że coś na zewnątrz wzbudziło niepokój kidnaperów, ale jak każda ich czynność i to przeszło w rutynę, nie budząc żadnych emocji. Tym razem, gdy podszedł do niej Arnold (znała już imiona wszystkich porywaczy) i przylepił jej plaster na twarz, a potem skuł kajdankami drugi przegub, uczuła przyspieszone bicie serca i cierpięcie skóry,

jak w obliczu nagłego wybuchu lub jakby ziemia zaczynała drzeć. Tam na dole działo się coś niezwykajnego.

Biegły minuty, a ona wsłuchiwała się w ciszę, która była niezwykle ciszą, odmierzaną coraz gorętszym tętnem na skroniach. Dobiegł ją inny dźwięk, czyjeś kroki, najpierw wolne, potem szybsze, skrzyp schodów, a potem głos, zupełnie obcy i bardzo groźny, ale młody i przedziwnie piękny - taki głos miał posiadać księżę, którego ześle Pan Bóg, aby ją uwolnił. Strach, nadzieja i niepewność przerodziły się w chaos conocnych marzeń i w łomot myśli o cudownych zakończeniach ponurych klehd: "Aniele Stróžu, niech to będzie On!..."

Otworzyły się drzwi i ujrziała swego księcia. Pan Bóg ją wysłuchał: księżę był jeszcze piękniejszy niż miał być (fantastycznie elegancki, młody, blondwłosy i przystojny jak amant) - był najwspanialszym mężczyzną, jakiego widziała w życiu, w marzeniach i w kinie. Nelina Nyakobo posiadała instynkt, ale nawet instynkt może się potknąć; gdy jest sztorm, głupieją najlepsi z admirałów.

Młodzieniec podszedł do łóżka i delikatnie, jakby się bał sprawić ból, zdjął plaster z zarumienionej twarzy. Miał dotyk, od którego przechodził ją dziwny prąd, i cudowny uśmiech. Poczwała chęć, żeby ten uśmiech całować nigdy nie odrywając warg, Lecz nagle dotarło do niej, iż może się mylić, bo to nie wybawiciel, tylko nowy wśród tamtych... i było jej wszystko jedno! Zapytała:

- Kim pan jest?

- Dowódcą grupy komandosów, która przybyła tu, aby panią uwolnić. Nazywam się Friederich van Hongen.

- Mój tatuś zapłacił panu?

- Nie, miss Nyakobo. Pan prezydent mnie poprosił. Całą tę operację sfinansowałem z własnej kieszeni, posiadam największy majątek w Europie - odpowiedział, wkładając klucz do zamka.

Bajki miały przeistoczyć się w rzeczywistość, gdy tymczasem

rzeczywistość przeistoczyła się w baśń: to był prawdziwy książę! Zdjął metal z przegubów panny Nyakobo i począł łagodnie rozcierać czerwony ślad na jednym z nich. Zamknęła oczy i nie mogąc powstrzymać nagłego odruchu, przytuliła się. Ktoś stanął w drzwiach.

- Przedstawiam pani mojego zastępcę, kapitan Armand Lerocque, świetny żołnierz! - powiedział "dowódca grupy komandosów".

Prezydentówna zrobiła w stronę "Miny" wdzięczny dyg, jakiego nauczono ją w liceum dla dobrze wychowanych dziewcząt, a Lerocque pomyślał: "Do kurwy nędzy! Że też nie można kopnąć go w dupę, zrzucić z tych schodów i przyładować mu jeszcze raz tam na dole!".

Tam na dole trwał stan gotowości. "Profesor Philibeaux", z czwórka "studentów", wrócił po trzeciej. On, dziewczyna i dwóch mężczyzn zeskoczyli z furgonetki na podjeździe do garażu. Arnold wyszedł przed dom, zrobił powitalny gest oraz uśmiech, a potem cofnął się nie odwracając; nie widzieli, co obciąża mu kark. Chwilę później tych czworo było już w korytarzu, Arnold zamknął drzwi, a z luf Gurta i braci Clayton wystrzeliła śmierć. Dwa (dwie sekundy) razy cztery (trup) równa się osiem (kuł).

Nie wiadomo było, co zrobi szofer. Mógł podjechać do garażu (tam czekał Lee Frost), lecz otworzył maskę i zaczął sprawdzać silnik. Arnold krzyknął przez okno:

- Lucien!

- Zaraz! - odburknął Lucien, nie podnosząc głowy.

- Lucien, chodź coś zobacz! - powtórzył Arnold.

Lucien wszedł do domu, zobaczył obcego człowieka z pistoletem i nigdy już niczego nie zobaczył.

Arnold otrzymał rozkaz ściągnięcia trupów do piwnicy. Gdy zwlókł ostatniego, Gurt przycisnął czerwony guzik w nadajniku. Można było oszczędzić cenną zabawkę, strzelając do Arnolda, lecz nikt nie

chciał patrzeć mu przy tym w oczy, było to jasne bez słów, a za sprzęt płacił lalusz, dla którego ten wydatek nic nie znaczył.

Drugi samochód podstawił "Szeryf" Nortolt, który wraz z Dimitrisem ubezpieczał akcję od ulicy. Po kilku godzinach znaleźli się w Genewie, gdzie czekał na nich ambasador Tangalandu. Jego ekscelencja bezzwłocznie powiadomił władze Szwajcarii, że córka prezydenta Nyakobo, pod opieką kilku "body-guards", odleci nazajutrz via Kair do Matabele, i zażądał zgody na lądowanie specjalnego samolotu. Otrzymał ją natychmiast; Szwajcarzy chcieli mieć tę sprawę możliwie szybko za sobą (to jest poza granicami swej neutralności) i niczym nie urazić takiego Sezamu surowców jak Tanga, nic zaś nie wzbudziło ich podejrzeń, albowiem ich rząd był przekonany, że panna Nyakobo od kilku tygodni mieszka w ambasadzie.

Gdy zniknęła, podejrzewano raczej ucieczkę niż kidnaping, lecz sprawdzano i tę możliwość. Dyrekcja policji i dyrekcja szkoły co do jednego były zgodne: afery nie może nabrać rozgłosu. Wstrzymano przepustki i odwiedziny, chomikowano korespondencję uczennic, linia telefoniczna łącząca klasztor i internat ze światem uległa nagłej "awarii". Po dwóch dniach można to było odblokować. Nyakobo znał prawdę (ktoś zadzwonił do genewskiej ambasady, dał "cynk" i niczego nie tłumacząc, ani nie stawiając żadnych żądań, odłożył słuchawkę), a jemu bardziej niż komukolwiek niepotrzebny był rozgłos. Ambasador zawiadomił Szwajcarów, że rasizm kilku uczennic wywołał u Freulein-Mademoiselle-Signoriny Nyakobo nerwicę i skłonił do desperackiego kroku, że uciekinierka autostopem przedostała się do Genewy i że mieszka w ambasadzie, czekając, aż rozgniewany ojciec raczy coś postanowić na temat dalszych jej losów. Mass-media otrzymały wersję inną: uciekła, bo nie chciała się uczyć, a szkolny rygor wywoływał u niej napady szału. Lecz gdy któraś z filmowych gwiazd lub córek księcia Monaco ma

nowy flirt, wszystkie inne sensacje stają się blotkami i miss Nyakobo nie trafiła na pierwsze strony brukowców, a na stronach dalszych utrzymała się tylko przez jedną dobę. O to właśnie chodziło prezydentowi.

Noc van Hongen wykorzystał na brawurowy test. Chciał sprawdzić prawdomówność maksymy: "kuj żelazo...". Gdy ambasadę ogarnęła cisza snu, zapukał do jedynej osoby, która, jak sądził, nie będzie mogła zasnąć od tyłu wrażeń. Zgadł, uchyliła drzwi.

- Chciałem się tylko zapytać, czy wszystko w porządku. Dobrze się pani czuje?

Z całą pewnością nie wszystko było jeszcze w porządku, bo drzwi rozchyliły się na oścież, a królowna usunęła się na bok, przepuszczając go do komnaty. Później już wszystko było w porządku, królowna poczuła się bardzo dobrze.

Samolot, który ich zabrał tego dnia, wziął kurs południowy, lecz nad Morzem Śródziemnym skręcił i po międzylądowaniu w Gibraltarze odleciał na północ, do Londynu.

Adiutant prezydenta Nyakobo nazywany był przez swych kolegów (najpierw w wojsku, a później w NB) "kuloodpornym". Zanim dochrapał się galonów pułkownika, walczył w niejednej bitwie i w dziesiątkach potyczek, był w zamachach i w kontrzamachach, w ulicznych strzelaninach i w spiskach, setki kul świstały mu koło uszu, robiąc wokół próżnię, ochlapywała go krew ludzi, których mógł dotknąć dłonią nie rozprostowując łokcia - i nigdy nie został nawet draśnięty, co graniczyło z cudem (Nyakobo uczynił zeń swego psa, wierząc, iż taki pies przenosi na właściciela jakąś cząstkę błogosławionego daru; kuloodporność była senną erotyką wodza Tangi). Lecz nad Tamizą szczęście pożegnało pułkownika Oubu.

Był 25 sierpnia, gdy pułkownik jechał po Nelinę Nyakobo, żeby

zabrać ją do ojczyzny. Towarzyszył mu sir Stanley Jervis. Ich celem był myśliwski dworek w lasach prywatnej posiadłości lorda Bentona, około stu mil na południe od Londynu. Pancerny jaguar zrobił ów dystans w dwie godziny, z czego aż jedną czwartą zabrało ostatnich kilka mil po "cholerycznym" (jak kłął szofer) leśnym wertepie.

Trzysta jardów od rezydencji wertep zamienił się w asfalt i wyprowadził ich na dużą polanę, wokół której gęstniały drzewa. Do północnej ściany lasu przyklejony był dwór. Pośrodku karczowiska zamienionego w elegancki trawnik, stał helikopter, którego śmigło pracowało na wolnym biegu. Gości powitał major ze sztabu Bentona.

- Przyjechaliśmy po dziewczynę - oznajmił Jervis.

- Co takiego?... - zdziwił się major. - To jakaś...

- Został pan chyba uprzedzony! Lord Benton...

- Tak jest, sir, lecz jego lordowska mość zmienił rozkaz i przysłał helikopter po pannę Nyakobo. Ona się właśnie zbiera do drogi, czeka na nią dwóch oficerów...

Jervis nie mógł w to uwierzyć; rozmawiał z Bentonem przed trzema godzinami i gdyby ten chciał odwieźć prezydentównę na lotnisko za pomoce helikoptera, nie dawałby mu opancerzonego samochodu.

- Gdzie są ci oficerowie?

- W hallu, sir.

- Proszę tu na mnie poczekać, pułkowniku - mruknął do Murzyna.

- Zaszło jakieś nieporozumienie...

Jeden z oficerów, o których była mowa, słyszał tę wymianę zdań przez otwarte okno w hallu; strzelił wartownikowi w pierś i wraz z kolegą wybiegł przed dom. W drzwiach potrącili Jervisa, zwalając go z nóg, i galopem przebiegli trawnik. Nim ochrona zdążyła wyjąć broń, byli w helikopterze, który się podniósł jak zabawka na sznurku trzymanym czyjąś ręką w niebiosach i śmignął ku przeciwległej

ścianie lasu. Poszło za nim kilka salw, lecz od dalekich drzew również puszczono serię z broni maszynowej i dwaj ochroniarze uderzyli plecami o grunt. Jervis, klęcząc za balustradą, zobaczył, że pułkownik trzyma się samochodu i ma twarz wykrzywioną bólem.

- Na ziemię! - ryknął do niego, lecz huk kanonady zagłuszył słowa.

Oubu stracił pion i przewrócił się, uderzając o błotnik, po czym znieruchomiał. Był lekko ranny w bark, ból odebrał mu przytomność. W niecałą godzinę zabrał ich helikopter Special Air Service, wysłany przez lorda Bentona-Howleya.

Przeskakiwać stopnie schodów Jervis mógł w pamięci, ale już nie za pomocą nóg. Więc nie przeskakiwał, tylko biegł podpierając się laską - był to dla niego wyczyn. Biegł z szybkością, którą u człowieka starego może wyzwolić jedynie stres. W sekretariacie mignęła mu przed oczami nowa twarz, piękna niczym z okładki żurnala mód, i sforsował drzwi gabinetu jak tajfun, lecz tajfun o fali słabnącej, który po szaleństwach wśród koralowych wysp łapie resztki oddechu na bezkresie morza. Stał, nie mogąc uspokoić świszczących płuc, a lord Benton zrobił zdziwioną minę i wskazał mu folel: - Usiądź, Stan. Co ci jest?

- Nic mi nie jest, miałem trochę szczęścia, dlatego wyszedłem z twoich włości bez podziurawionych bebeczków! Oubu miał go mniej, a jeszcze mniej twoi ludzie, których wyniesiono w workach! Jak mogło do tego dojść, to jest coś niesamowitego! Z kim mamy do czynienia, że na własnym podwórku atakują nas...

- Uspokój się, stary - przerwał Benton - nic się nie stało.

- Nic się nie stało?!... Wróg zabawia się u ciebie w domu jak na strzelnicy, adiutant prezydenta Nyakobo cudem przeżył, a twoi chłopcy gryzą ziemię...

- Gryzą fistaszki lub frytki, Stan. Od ślepaków jeszcze nikt ni umarł. Jedyną prawdziwą kulę dostał pan pułkownik, ale jego żywot nie był zagrożony w najmniejszym stopniu, bo strzelał do niego

snajper, bardzo dobry snajper, mówią o nim w SAS, że potrafi odstrzelić jaja lecącemu komarowi. Właśnie o to chodziło, żeby odstrzelić jaja tangalandzkiemu komarowi...

Jervis poczuł, że robi mu się w przelyku zator; chciał spytać: Czy nie mogłeś mnie uprzedzić o tej maskaradzie?, lecz nie spytał, wyszedłby na głupca, uprzedzić znaczyło zepsuć, on też robiąc taki cyrk, nie uprzedzałby marionetek. Wykrztusił coś, co zabrzmiało równie głupio:

- Rozumiem... to znaczy, nic nie rozumiem...

- Widzisz - powiedział Benton - na razie oni są bardzo w porządku. Zerwali Amerykanom kontrakt na prace w Keya, gdzie my chcemy się wcisnąć...

- O kim ty mówisz? O jakich pracach? Co to ma wspólnego z naszym przedsięwzięciem? - spytał coraz mniej rozumiejący Jervis.

- To jest clou naszego przedsięwzięcia, Stan. Wybacz, że dopiero teraz ci to mówię...

- Co!?!... Clou naszego przedsięwzięcia to jest ukaranie morderców...

- Gównu. Ukarzemy ich, owszem, choćby z tej racji, że się nam opłaca. Dzięki temu nie musimy bulić. Rząd mógłby sfinansować tak kosztowną operację tylko w przypadku, gdyby była ona legalną i oficjalną, a legalną i oficjalną ona nie może być, więc Holender spadł nam z nieba. Ważniejsze od jego zemsty jest coś innego. Ta FWL siedzi na terenie sąsiadującym z gigantyczną skarbonką uranu. To jest okręg Keya. Dlatego właśnie Lerocque ma ich rozpieprzyć, żeby Keya nie zawładnął przy pomocy FWL czerwony sąsiad Tangi. Granica jest tam płynna, a to tereny przygraniczne, półgórskie, trudno dostępne, Nyakobo nawet nie próbował tam sięgnąć, bo w takim terenie łatwiej się bronić niż atakować, a jego żołnierze nadają się na pucybutów! Lerocque ze swoimi diabłami ma jakąś szansę...

Jervis słuchał tego wyводу mając otwarte oczy, które nic nie widzą, jak zamknięte, i myślał: “Damned! Więc to o to idzie gra! Po cóż było całe to namawianie, to pieprzenie mu, że na szalę wyborów mogą rzucić wizerunek władzy, która tak kocha społeczeństwo, iż nie puści płazem zamordowania któregokolwiek z Anglików? ...Oni mają w tym lepszy interes, a ja zrobiłem z siebie idiotę! Szósty krzyżyk i człowiek wciąż jest jak dzieciak z podwórka, naiwny głupol!... Lecz przynajmniej to już nie da się odkręcić... weszli do gry na całego, «Mina» będzie miał swój pożegnalny występ!... I ja swój ostatni punkt... To nawet lepiej, że gra toczy się o wyższą stawkę, punkt będzie więcej wart... na końcu coś dla ojczyzny...”. Powrócił uchem do słów Bentona:

- ... Zdziwiło mnie jedno. Niby jest dobrze, bo już powiedzieli: out! Amerykanom, tylko że jest za dobrze! Nawet nie czekali, aż uwolnimy córkę prezydenta, po co ten gwałt w rugowaniu jankesów? Nyakobo ma w tej chwili fobię wobec białych, być może to sprawę wyjaśnia, lecz jeśli to jedyny powód, to i nas może to spotkać...

- My mamy układ z Nyakobo, córeczka za wolną rękę.

- A jak on złamie układ, to co zrobisz, pójdiesz ze skargą i będziesz płakał przed haskim trybunałem, że Tangaland cię wyrolował? Gdyby dziś odfrunęła do Matabele, jutro on mógłby się na nas wypiąć, a ty mógłbyś mu naskoczyć...

- Rozumiem - szepnął Jervis, pełen podziwu - dlatego...

- Dlatego, że na księżniczkę wciąż czyhają jacyś zdesperowani bandyci, czego dowodem atak na moją posiadłość, nie możemy jej odesłać teraz. Musimy ją najpierw dobrze ukryć, a potem damy jej super-samolot i super-ochronę, którą będzie dowodził kapitan super- Lerocque. W ten sposób “Lerocque gang” wylądjuje w ich stolicy, a prezydent nie ośmieli się go zawracać, bo Matabele spleynęłoby krwią i nikt nie mógłby przewidzieć konsekwencji...

Kiedy raz już tam wejdą w charakterze przyjaciół, to zostaną, a on zadba tylko o to, by jak najszybciej wynieśli się w stronę gór, strzelać do czerwonych. Mądrze wyglówkowane, co?

Przy pożegnaniu sir Stanley zażartował:

- Zmieniłeś sekretarkę na ładniejszą, to miss Anglii?

- To super-miss, u mnie wszystko ma być super! - odbił piłeczkę dygnitarz, i zaraz zmienił ton: - Lucille Goodward, moja siostrzenica, jak widzisz nic zdrożnego, Stanley. Muszę się otaczać ludźmi, do których mam tysiąc procent zaufania, żeby nie było przecieków, bo z twojej inicjatywy wlałem na bardzo cienką linię!

Lucille Goodward przez kilka lat pracowała w sekretariacie londyńskiej firmy handlowej, dorabiając jako przyjaciółka bogatych przemysłowców. Robiła to z umiarem i dyskrecją, dzięki czemu nie traci się dobrej opinii. Lord Benton poznał ją na balu karnawałowym w Brytyjskiej Izbie Handlu Zagranicznego, poderwał na kolejnym balu, w Admiralicji, i nim dał jej etat w swoim sztabie, kazał ją “prześwietlić”. “Prześwietlenie” Lucille Goodward, jej rodziny, jej kontaktów i kontaktów jej rodziny, jak również przyjaciół, znajomych i ich kontaktów, nic nie wykazało. Raport “prześwietlaczy” streścił się we wniosku: “Unqualified”. Wśród dwóch podstawowych znaczeń tego słowa (“Bez zastrzeżeń” i “Bez kompetencji, bez kwalifikacji”) drugie nie miało żadnego sensu, gdyż panna Goodward prezentowała najwyższe kwalifikacje w tak zwanym “dawaniu dupy”, co stało się drabiną jej powodzenia. Natomiast pierwsze z owych znaczeń miało mniej sensu od drugiego, ponieważ panna Goodward przyjęła propozycję CIA.

Debiutancki meldunek miss Goodward stał się powodem, dla którego James Foster i John Drews zwołali tajną konferencję w pewnym budynku należącym do “Kowbojów”, o których (i o budynku

również) tak pisał swego czasu (17 listopada 1986) tygodnik "Time":

"Odkąd zaczęły się pojawiać informacje o tajnych transakcjach Stanów Zjednoczonych z Iranem, uwaga opinii publicznej zogniskowała się na ciągu pokoi w starym budynku biurowym - Old Executive Office Building - który sąsiaduje z Białym Domem. Z pomieszczeń tych korzysta starannie dobrany zespół krążących wciąż po całym świecie pracowników Rady Bezpieczeństwa Narodowego (NSC). Ta niewielka grupa, charakteryzująca się odwagą, zamiłowaniem do zuchwałych akcji i swobodnym stylem działania, uzyskała od ludzi dobrze zorientowanych w polityce miano «Kowbojów». Najwybitniejszym z nich jest Oliver North, prototyp współczesnego bohatera amerykańskiego, uczestnik wielu delikatnych misji..."

Gdy ujawniono tajny przepływ sprzętu wojskowego do Teheranu, a pieniędzy za to do antykomunistycznej partyzantki w Nikaragui, wybuchł skandal i pułkownik Oliver North stał się kozłem ofiarnym - otrzymał dymisję. Dla "Kowbojów" był to szok, ich pokład okazał się rozpaloną blachą, na której trudno tańczyć, a orkiestra nie przestała grać. I choć od tamtej wpadki minęło sporo czasu, każdy półlegalny krok budził obawę; bez tych kroków mogliby zwinąć majdan i wrócić do koszarowych ćwiczeń, gdyż ich zespół straciłby rację istnienia, więc dalej robili to, co musieli, lecz pozostała nadwrażliwość. Dwóch kapelmistrzów, Fostermana i Drewsa, przywitał krąg zimnych spojrzeń.

Szef CIA zakomunikował im najnowszą wiadomość z Londynu: Anglia szykuje wyprawę do Tangi i według wszelkiego prawdopodobieństwa jest to przedsięwzięcie, które godzi w interes Stanów Zjednoczonych.

- Trzeba je popsuć - dodał. - Pytanie: jak?

Czterech ludzi z NSC, śmietanka "Kowbojów", porozumiało się wzrokiem. Przemówił najstarszy wśród nich, kapitan Guccioni:

- Zanim odpowiem jak, panie dyrektorze, chciałbym zadać kilka pytań.

- Proszę bardzo.

- Czy wysłała ich rząd, ilu ich będzie, kiedy, któredy i czym pojadą?

- Kilkudziesięciu. Ilu dokładnie, trudno mi powiedzieć. Kiedy? Nie wiem, ale z pewnością w ciągu tygodnia, najwyżej dwóch. Któredy też nie wiem, ale wiem, dokąd, do okręgu Keya. I myślę, że tam trzeba uderzyć, bo na ich powstrzymanie jest już za późno. Owszem, byłby jeden sposób, przeciek do mass-mediów, lecz obaj, ja i pan Drews, wykluczamy tę możliwość. Chodzi o stosunki sojusznicze z Londynem, które taką publikacją narazilibyśmy na szwank. Czy wysłała ich rząd? I tak i nie. Tak, bo organizatorem jest wysoki funkcjonariusz rządowy i wezmą w tym udział ludzie z SAS. Nie, bo z formalnego punktu widzenia jest to prywatny biznes, awanturnicza inicjatywa grupy najemników. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy wie o tym cały ich rząd, część rządu, czy ów funkcjonariusz gra sam.

- A czy nasz rząd wie, z czym pan tu przyszedł? - zapytał Guccioni.

- Rząd to ja - odpowiedział Drews.

- Rząd to prezydent - poprawił go kapitan. Drews zastanowił się, jakich użyć wyrazów.

- Prezydent nie o wszystkim musi być informowany na bieżąco, ma kilka większych spraw. A "prywatną inicjatywę" Londynu można skontrolować taką samą "prywatną inicjatywą"... Padło pytanie: jak?

- Okay - mruknął Guccioni - teraz już mogę panom odpowiedzieć. Wiem jak. Jest sposób, który można, a właściwie trzeba zastosować.

- Świetnie! - ożywił się sekretarz obrony. - Miałem pewność, że na was się nie zawiodę. Widzisz, James!

- Trzeba posłać ten kraj do domu wariatów. Bo on jest ciężko chory. Na schizofrenię, którą jest nasz system. Ten system trzeba wyleczyć, a jeśli to się nie uda, to nie pomoże nam nic, żadna broń,

żaden zapal czy męstwo, nic!

- O czym on pieprzy?! - zdenerwował się Fosterman.

- O systemie, w którym demokracja cierpi na taki przerost, iż pożera siebie samą! - kontynuował twardo Guccioni. - O systemie, który zezwala, by każdy polityczny i wojskowy sekret stał się pożywką reporterów, papką mieloną w gazetach, w radiu i w telewizji! O systemie korodowanym przez samobójczy nałóg ujawniania wszystkich gier i wszystkich instrumentów władzy, wszelkich zamiarów i działań, co uniemożliwia jakiegokolwiek skutecznego ruchu poza granicami, przeciw wrogom!... To cud, że nad tym krajem nie powiewa jeszcze obcy sztandar! Boska opatrność, jak inaczej można to wytłumaczyć? I jak długo ten cud potrwa? Jak długo może zachować swą niepodległość państwo, w którym obie izby parlamentu kłócą się o każdą śrubkę, o każdy detal nowych systemów broni, tak jakby chciano, żeby wróg zaoszczędził na szpiegach i na projektantach rakiet? Czy może zachować siłę mocarstwo, w którym wywiad jest wciąż karcony przez Kongres i prezentowany przez pismaków społeczeństwu jako gangsterska szajka, zakon zbrodni, pieczara zbójców? Co można uczynić dla wolności na zewnątrz, dla zatrzymania czerwonego potopu daleko od naszych granic, jeśli każda akcja marines, nawet tak blisko jak w Nikaragui, w Grenadzie czy na Antylach, to "agresja"? Wolność słów u nas przerodziła się w autodestrukcyjny masochizm, odbieramy chleb propagandzie wrogów, nie muszą się wysilać, sami robimy sobie naga i tarzamy w smole i w pierzu! Czasem myślę, że ten koszmar może się jednak okazać zbawienny: Rosjanie, obserwując, jak to narasta, umrą kiedyś wszyscy ze śmiechu, a nam pozostanie tylko wykopać im groby i to będzie nasz triumf!

Sięgnął po papierową chustkę i wytarł twarz tak mokrą od potu, iż zdawało się, że na policzkach płyną strugi łez. Nikt mu nie odpowiedział, wszyscy wpatrywali się w stół. Kapitan zrobił z

wilgotnego papieru kulkę, wcelował nią do kosza i znowu zaczął mówić:

- Z przyczyn, które wymieniłem, "prywatna inicjatywa" na terytorium Tangi będzie samobójczym aktem dla jej autorów, bo prędzej czy później wyjdzie na jaw, tak jak wszystko. Mass-media określą to jako polityczny bandytyzm, wymierzony przeciwko dwóm krajom, przeciwko Anglii i przeciwko Tandze. Gdybym się tego podjął, skończyłbym jak Ollie North. Przez kilkanaście lat hazardował swym życiem dla ojczyzny. Ameryka podziękowała mu za to, plując nań i wyrzucając go na śmietnik. Teraz będzie tak samo, pan panie sekretarzu obrony i pan panie dyrektorze CIA, zapytani o mnie, wzruszycie ramionami: Kto to jest?... Tak będzie, bo ja podejmę się tego. Mój przyjaciel, pułkownik North, nauczył mnie przedkładać interes Stanów Zjednoczonych nad własną dupę.

Fosterman zapytał cicho:

- Czy pan już wie jak?

- Wiem. W Kenii mieszka pewien gość, przewodnik, spec od turystycznych safari. Dopóki można je było urządzać na terenach Tangalandu, tym zarabiał i żył się z plemieniem Buso. To czarni górale, bezpaństwowi, okupują trudno dostępny rejon, coś w rodzaju "Złotego Trójkąta" na granicach między Tanga a dwoma jej sąsiadami. Okręg, który panów interesuje, przylega do tego rejonu. Buso potrafią się bić, dowodem fakt, iż żaden kolonizator nie mógł ich "ucywilizować" lub oznakować swym piętnem. Anglia próbowała przez pół wieku. Zatańczą jeszcze raz z Anglikami, trzeba im tylko wmówić, że Londyn znów wyciąga łapy po ich wolność. I dać im zastrzyk nowoczesnych "kijów, z których leci ogień".

Kenneth Lorning ("Casablanca") porzucił katedrę uniwersytecką, gdy do sal wykładowych wdarł się szeroki strumień nowo

wyemancypowanych studentek z pokolenia Women's Liberation. Na pewnych kierunkach studiów płęć żeńska zdominowała męską, czego on ścierpieć nie mógł. Aczkolwiek wyrażał pogląę, iż małpę i kobietyę da się nauczyć prawie wszystkiego, ale nie chciał podejmować tego trudu. Rektorowi oświadczył, że “nie zamierza wypychać wiedzy paniom pod fryzurę, czyli w damskie figi, bo tam można wepchnąć tylko jedno”.

Obrażanie bliźnich nie zawężyło się u tego człowieka wyłącznie do dam, toteż pewnej nocy, pod ścianą londyńskiego baru, brać marynarska, którą określił brzydkim słowem (“mendy oceaniczne”, “glonojady”, “makrele-skurwiele” itp.), chciała go czubkami butów przerobić na filet. Wdał się w to monsieur Lerocque, który umiał walczyć i chociaż doznał cielesnych obrażeń, uratował Lorningowi żywot, a przynajmniej uchronił go przed kalectwem. Tak się poznali.

Podczas godzin treningowych “Gangu Lerocque'a”, to jest gdy Downbridge, Nortolt lub sam Lerocque ganiłi “chłopców” na poligonie SAS - w willi, w której ich zgrupowano, Lorning deptał poezję, pisząc traktat. Prozie gotów był przyznać pewną użyteczność, lecz na poezji nie zostawił suchych nitek. “Jest to bardzo wątpliwy gatunek literacki, Eden miernot i hochsztaplerów w tym samym stopniu, co malarstwo nowoczesne - pisał. - Zawsze znajdują w nim azyl ci, którzy nie mają niczego do powiedzenia, lecz chcą koniecznie, aby ich słuchano, ci, którzy pragną śpiewać, bo nie potrafią myśleć, którzy muszą błagować, ponieważ pisanie nastęrcza im trudność, którzy w wierszowanej formie chcą sprzedać to, czego nie można wmówić za pomocą prozy. Biało lub tęczowo rymowany bełkot służy jako maska intelektualnemu ubóstwu, a im bardziej wzniosłe lub zagmatwane są pienia, tym mniej należy się bać pytań o sens i znaczenie słów...”. W chwili, gdy przerwał, albowiem napadła go myśl, czy nie warto byłoby strzelić czegoś odwrotnego, dokopując prozie - wszedł Lerocque.

- Słuchaj, Ken, jest taka sprawa... Przerobiliśmy tę chałupę na śmietnik, czas sprzątnąć, wszyscy...

- Przyszedłeś prosić o akcept? Wyrażam. Miotły, kubły i ściery do boju!

- Tak, ale... chłopcy mówią, że jak wszyscy to wszyscy, że jak ty z nimi masz jechać...

- Nie pieprz! Kto tak mówi?

- Nortolt się uparł.

- Nortolt? On ci rozkazuje?

- Ken, to jest gość w porządku...

- Owszem, to jest gość w porządku. Tylko nie każ mu robić nic, przy czym musiałby myśleć, bo to tak, jakbyś kazał mańkutowi drapać się prawą ręką.

- Dobra, dobra! Gdyby to był facet bez mózgu...

- A czy ja mówię, że on nie ma mózgu? Głupota jest też sposobem używania mózgu. To cham!

- To oficer, który...

- Jego zmartwienie, ja mu nie wybierałem zawodu. Pozwól mi się skupić, mon cher, kończę traktat o rymopisach. Wieczorem dam ci go, ciekawe jak ocenisz. Kolację niech mi przyniosą tutaj, nie będę siadał do wspólnego stołu z takimi matołami jak Nortolt. Wiesz, dlaczego on wciąż się mnie czepia? Bo to mu przynosi ulgę. Wady wielkich ludzi są pociechą matołów.

Lerocque czuł do niego słabość, której nie umiał przezwyciężyć. Wobec innych był twardy jak diament. Przy rozdziale sprzętań dwójka "podpadziochów" otrzymała robotę najgorszą: Farloon miał wymyć w.c. piętra, Krzysztofeczko w.c. na parterze.

Szukając ściereki, szczotki i kubła "Chris" walczył ze sobą. "Lobby afrykańskie", a dokładniej staroafrykańskie ("G.G.", Kanetopouliu, bracia Clayton), wsparte przez futbolowych kibiców z SAS, wyrwało jeszcze jeden dzień wolny. Zbyt szybko pożegnał Miriam, mógłby to

teraz uczynić, ale już to zrobił, żegnać się znowu? Ile razy można się żegnać? Głupio. Lecz wykorzystując ów dzień, mógłby dotknąć jej piersi, przez które słyhać, jak bije serce... “Cholera, co robić?...”. Wlał wodę do kubła i ruszył na parter, polerować sracz. Ujrzał w nim Farloona sikającego na zamknięty sedes, na ściany i na podłogę.

- Skurwysynu! - jęknął. - Co robisz?!

- Szczam - wyjaśnił “The Amber”. - Kibel jest do szczania, benzyniarzu!

Wojtek z trudem się powstrzymał, by nie zdzielić go szczotką przez łeb. Wszedł na piętro, otworzył w.c. Farloona i rozpylił cały swój mocz poza muszlę.

Lerocque, gdy mu doniesiono, zwołał wszystkich.

- Jesteście wolni, obejrzyjcie sobie coś na video, panowie - rzekł. - “Beatles” przywiózł kilka nowych taśm, tak zaspermionych, że można dostać obłędu. Tych dwóch posprząta cały dom, cały! I nie będą mieli wolnego dnia, zostają tu. Rozejść się!

Posprzątali cały ten dom, Farloon parter, Wojtek piętro, i po pół klatki schodowej. Wyżymając ścierkę gniewnymi rękami, każdy widział krew tryskającą mu spomiędzy palców.

Adiutant prezydenta Nyakobo szybko się wykurował, miał bowiem silny organizm, powierzchowną ranę i opiekę lekarską z najwyższym znakiem jakości. Lord Benton poinformował go, że dla panny N. znaleziono nowy, super-bezpieczny schowek, z którego zostanie przewieziona na lotnisko, gdy przyjdzie na to czas. To drugie było prawdą, lecz pierwsze było kłamstwem; czekoladowa piękność ani przez moment nie opuściła leśnego dworku. Zostałaby w nim z chęcią do końca życia, pod warunkiem, że ani na chwilę nie opuści jej Fritz van Hongen, który jej towarzyszył. Większość czasu spędzali leżąc, nawet jedzenie podawano im do łóżka.

Wzajemną egzotyką ras, odmiennością zapachów i kolorów skóry, można byłoby tłumaczyć żądzę, lecz u panny Nyakobo miłość sięgnęła granic opętania, z pełną gamą przypisywanych temu zjawisku uczuć, od tkliwości w sercu i błogich wzruszeń w mózgu, aż po erotyczny głód gdzie indziej. Według ksiąg pisanych przez prelegentów od małżeństw i od związku dusz oraz ciał - tak kompletną miłość kobiety zdobyć można tylko za pomocą kompletu środków, wśród których seks gra podrzędną rolę, pierwszoplanową zaś kontakt psychiczny, tak zwana właściwa postawa samców, gdzie "duchowe ciepło", "rozumienie", "czułość" etc. pętają duszę, a to znaczy więcej niż opętanie ciała. W gniazdku owej teorii, uznawanej za pewnik, Fritz van Hongen stanowił kukułcze jajo, coś w rodzaju białego Murzyna, prostookiego Chińczyka lub Żyda niezguły, a miłość Neliny Nyakobo była jak ów owad (szerszeń czy truteń), który według praw aerodynamiki nie może latać, lecz lata. Albowiem Fritz van Hongen grał zimno. Pierwszy raz w życiu miał dziewicę i to dziewicę z gatunku wstydlivych, nie zepsutą fallicznymi rojeniami. Po wstępnych czułościach, których szybko zaniechał, urządził sobie egzamin z seksu, jak stroiciel, który chce sprawdzić swoją biegłość: czy potrafi surowy instrument przerobić na Stradivariusa. Nie operował sercem, tylko doświadczeniem nabytym w kontaktach z dziwkami. Powoli zmieniał rodzaje technik, figur i sposobów, od najprostszych do najbardziej wyrafinowanych, a potem perwersyjnych, oberwując z dumą eskalację seksualnego głodu partnerki, zaś jej szaloną miłość przyjmował bez zdziwienia, nie był bowiem wyznawcą teorii prelegentów (dosyć widział kobiet nieprzytomnie zakochanych w facetach, którzy regularnie okładali je pięścią). Wymądrzającym się, że duch góruje nad ciałem, tak jak trunek nad kawałkiem szkła, należy podać koniak w cynowym kubku i zapytać jak smakowało. Jervis, gdy dowiedział się od Bentona, zapytał:

- Jak mogłeś do tego dopuścić?

- Z całą premedytacją, mój starszku. Nie jestem z kamienia, nie będę stawał na przeszkodzie uczuciom młodych.

- Przestań się zgrywać! Jaki mamy w tym interes? Benton uśmiechnął się i poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Duży, Stan. Ten holenderski gnojek, którego naraileś, to złoty chłopak. Lerocque, Nortolt i ty lekceważycie go, a on robi więcej od was wszystkich. Najpierw zafundował nam Marsa, a teraz dołożył Wenus, dupcząc prezydentównę, i to jak! Panienska jest w amoku, "Love story" to przy tym nic! Na to liczyłem, doszłusowała do nas. Rozumiesz? Nyakobo jest nieobliczalną bestią, w Matabele wszystko może się zdarzyć. Ale mając takie lobby jak ona, nie musimy się bać. Lerocque będzie miał mniej kłopotów.

Ostatni wolny dzień "Gangu Lerocque'a" był ligową sobotą, a "chłopcy" chcieli zobaczyć derby Londynu; grał Tottenham z Arsenalem. Mecz zakończyły rytualne ceremonie sportowego święta: krwawy bój fanów obu drużyn na kastety, łańcuchy i noże. Gurt, bracia Clayton, czwórka z HQMSU i ośmiu chłopaków z SAS przyglądali się tym zawodom trzech drużyn (trzecią była policja) z większym ukontentowaniem niż zawodom dwóch drużyn na murawie stadionu. Dimitris odszedł, by kupić lody. Wracając trzymał cały ich pęk, jak bukiet kwiatów. I nagle ktoś mu je wytrącił na asfalt. Dwóch mężczyzn chwyciło go za ręce. Jeden powiedział:

- Cześć, "Rolls Royce", jak to miło zobaczyć cię w dobrym zdrowiu. Pan Coolman już się niepokoił, że wykorkowałeś i dlatego nie zwracasz mu forsy. Szukaliśmy cię wszędzie, a tu taki szczęśliwy traf...

Grek poczuł, że robi mu się słabo. Przed pierwszym miał zwrócić sześćset funtów bukmacherowi, u którego grał na kredyt, lecz

zaniechał. bo po co zwracać forszę, gdy się jedzie do Negrów bez gwarancji na powrotny bilet? Zlikwidował swój kąt i czuł się bezpieczny w kwaterze zespołu Lerocque'a, a tu taki nieszczęśliwy traf... Poszukał wzrokiem kolegów, lecz dookoła falował tłum. Szarże policji na rozbestwionych miłośników sportu wywoływały ryk, w którym wołanie o pomoc nie miało szans. Wtem jak spod ziemi wyrósł Jim Clayton.

- Co jest, "Rolls Royce"? Co oni mają do ciebie? To gliny?... Typ, który trzymał prawą rękę Kanetopouliu, włożył dłoń do kieszeni i zawarczał:

- Twój koleś nie oddaje długów! Musimy go tego nauczyć, masz coś przeciw?

- Gdzie tam! Dług to dług, święta rzecz, długi należy zwracać - uśmiechnął się Jim, szukając kątem oka swojej paczki, lecz w zasięgu wzroku był tylko anonimowy tumult.

- No to płyń, frajerze! - rozkazał mężczyzna z dłonią w kieszeni. Clayton spojrział na tę wypchaną czymś kanciastym kieszeń i nurknął w tłum. Dwójka gangsterów zaprowadziła ofiarę do zielonej Hondy i dłużnik wylądował w domu wierzyciela. Tam zaczęto go bić; bito aż Coolman uznał, że dość tej obróbki.

- Wisiałeś mi na sześć stów - powiedział. - Ale minął termin. Dochodzi procent, wybulisz cały tyśiąc. I dam ci nauczkę, śmierzdielu, bo jakby każdy tak mnie rolował, poszedłbym z torbami. Było sześć setek, złamiemy ci sześć palców, to ci dobrze zrobi na pamięć. Dag, zamknij okno.

Dag podszedł do parapetu. Przez okno wdzierало się upalne powietrze, zapach klombów i czyjś but, który uderzył go w twarz, odbierając zmysły. Drugi gangster sięgnął po broń, lecz nóż miotnięty przez Haltreya utkwił mu w nadgarstku, a Jim Clayton był już przy nim z uśmiechniętą buzią:

- Ten jest mój! Nazwał mnie frajerem... Długi trzeba zwracać...

Zbir trzymał swój przegub, jęcząc cicho. Clayton pogłaskał go po policzku.

- Biedny dzidziuś, zrobili mu dziurkę w rączce...

Głaszcząca dłoń zacisnęła się w pięść i huknęła jęczącego w podbródek. Jęk ustał, wierzyciel Jima Claytona stracił przytomność. Gurt, Haltrey, Kevin Shelm (z SAS) i drugi Clayton byli już w pokoju. Po nich wskoczył przez parapet Lee Frost, odwrócił się i krzyknął do Nortolta, który z resztą "chłopców" został na zewnątrz:

- Cacy, "Szeryfie"!

- Dobra, nie wrzeszcz tak! Co z "Rolls Roycem"? - odkrzyknął "Szeryf".

- Przewrócił się najeża i podrapał! Z taką gębą nie poderwie żadnej dupy!

Gurt schylił się nad Kanetopouliu.

- Coś ty zrobił? Upiłeś się i zamiast do fryzjera poszedłeś do rzeźnika? Gdzie ty masz rozum?

Wybuchnęli śmiechem. Frost najszczerzym, bo coś sobie przypomniał:

- W Hongkongu, jak służyłem u kapitana Ferzy'ego, urznęliśmy się i kapitan zaproponował, żeby jechać do burdelu na kurwy. Ale jak jechać, kiedy wszyscy ledwo stoją, a on nawet i to nie. A krzyczy: do burdelu!, do burdelu! Co było robić, wzięliśmy go na ramiona, w sztok był pijany, i mówimy, że do burdelu, a zanieśliśmy go do domu. Pukamy, żona otwiera, zła jak czort. Ten łaps ją za szyję, uwiesił się, cycki maca i woła zdziwiony: Marylin! To i ty tu jesteś?! Cholera, po co ci to, wracaj do domu!

Jedynym, który nie chciał się śmiać (jego goryle już nie mogli) był Coolman. Siedział za biurkiem, w fotelu, i patrzył jak Shelm i Haltrey strącając z komód starą chińską porcelanę. Zatrzymał ich XVII-wieczny obraz.

- To chyba Rubins - powiedział Shelm.

- Rubens, idioto! - poprawił Haltrey.
- Jesteś pewny?
- Nie za bardzo.
- To sprawdź.
- Nie mam zapalniczki.
- Ja ci pożyczę.
- W porządku, tylko mi szkoda tej ramy. Zobacz ile złota.
- Masz rację, nie można być takim barbarzyńcą. Wytnij ramę. Haltrey wyciął płótno, przypalił i rzucił na barokowy zegar. Joe Clayton pochylił się nad biurkiem, złapał Coolmana za nos, szarpnął i przewiózł po blacie na brzuchu. Bliźniak Joego ściągnął gangsterowi spodnie i majtki, a Gurt zabytkową szpadą posiekał mu tyłek.
- Teraz złamiemy ci kilka palców, śmierdzielu - rzekł Frost - będziesz miał lepszą pamięć. Ile to miało być? - On chciał sześć - powiedział Haltrey.
- Jak sześć to sześć, klient nasz pan. Jim, zamknij okno. "Szeryf" ma wrażliwe uszy.

Thomas Sean Karnock odetchnął po dziesięciu dniach; dziesięć dni od rozmowy z Greenwoodem, plus milczenie Greenwooda, znaczyło, że Greenwood dostał właściwy "cynk". Zgodnie z umową bomby poszły na urlop, trzeba było odczekać do końca roku. Zakonspirowany w Dublinie "Boy number one" przyjmował emisariuszy z Północnej Irlandii (gdzie próbowano wymknąć się spod nadzoru Greenwooda i RUC, rozpinając nową sieć podziemnych struktur) i razem ze swoimi współpracownikami układał strategię na przyszły rok. Zgodził się też udzielić wywiadu.

Nie grała w tym roli próżność, aczkolwiek "Mesjasz" cierpiał na nią jak każdy posąg. Mógłby udzielać kilku wywiadów dziennie, marzyli

o wodzu IRA szefowie wszystkich gazet i wszystkich stacji telewizyjnych. Lecz nie mógł, bo przez Bentona i Greenwooda znajdował się w zbyt delikatnej sytuacji, a gdyby rozkonspirowano go w Dublinie, miałyby jeszcze jeden kłopot wśród nadmiernej już liczby kłopotów. Zrobił wyjątek, który zrobić musiał. Chodziło o wywiad dla "Irish Times", emigracyjnej gazetki Irlandczyków w Kanadzie. Irlandzka diaspora stanowiła potężną bazę wpływów finansowych dla bojowników Ulsteru, a jako że najcieńszy strumień płynął z kanadyjskich sakiewek, należało rozruszać tamto towarzystwo, skłaniając je do wysupłania gotówki. Wywiad z legendarnym "Mesjaszem" mógł tu podziałać jak magiczna różdżka, co budzi śpiących ze snu.

Wysłannikiem "Irish Times", prześliczną blondynką o piegowatej buzi, zajął się najpierw kontrwywiad IRA i karnockowi ochroniarze. W końcu dopuszczono ją do świętego. Odebrała z nim cztery długie rozmowy. Podczas piątego spotkania autoryzował tekst i zgodził się, by zrobiła mu zdjęcie. Gdy udzielał wywiadów angielskim dziennikarzom, wiezionym doń w Belfaście z zawiązanymi oczami, miał dla zdjęć czarny, welurowy kaptur, lub raczej "kominiarkę" z dwoma wycięciami na wzrok; taki kaptur zapewniał rysom anonimowość, a sylwetce groźny charyzmat "żelaznej maski", demonizujący anioła odwetu; ten styl uwielbiają pochłaniacze gazet i wydawcy, którzy dbają o nakład. Teraz wyjął ów atrybut z walizki i wciągnął na głowę. Ona wycelowała w niego swój "Canon".

- Za każdym razem, gdy to wkładam, czuję się jak skazaniec - powiedział.- Takie coś zakładają idącym na szafot. Parszywe uczucie wisielców!

- Znam kilka bardziej parszywych uczuć - odpowiedziała, ustawiając przesłonę.

- Co na przykład?

- Na przykład parszywe uczucie zdrajców, albo kapusiów. Co wtedy

czuleś?

I nacisnęła spust migawki, zwalniając pocisk.

Gdy już miano go za trupa, bo leżał bez ruchu, Karnock jeszcze żył, tliła się w jego zakapturzonej głowie gasnąca świadomość. Tyle razy odbierał życie, iż śmierć spowszedniała mu jak papieros, który się gasi nie myśląc o tym. Nagle zrozumiał, iż śmierć to coś ważnego. Coś najważniejszego w życiu...

IV. Matabele

Być młodym - to znaczy nie być starym. Andrew Mamule (Andrzej Mamulewicz) miał lat 59, chociaż patrząc na niego i zgadując wiek, każdy by się wahał między czterdziestką a czterdziestką piątką. On sam uważał starość za chorobę bardziej dlań egzotyczną niż trąd lub śpiączka, wśród których żył szmat czasu.

Życiorys zdeterminowały mu wakacje 1939. Za prymusostwo w trzeciej podstawowej ojciec wziął go do Afryki; stary Mamulewicz, funkcjonariusz LMiK (Liga Morska i Kolonialna), wojażował na ów ład jako delegat Rzeczypospolitej. Wybuch wojny uniemożliwił im powrót. Gdy ojciec zmarł po dwóch latach na febrę tropikalną, rolę ojca zaczął pełnić pewien polski obieżyświat, szef agencji łowieckiej w Nairobi. Po wojnie Andrzej dostał wiadomość, iż matka oraz siostra zginęły w Powstaniu Warszawskim. Nie miał 26 lat, gdy kolejny zgon (szarżujący nosorożec stratował przybranego ojca) uczynił zeń spadkobiercą - został szefem firmy.

Przez dwadzieścia następnych sezonów sam polował i urządzał polowania na wszystko, co biega, fruwa, pływa, pełza i skacze w krajach afrykańskich. Był cenionym dostawcą podniet i trofeów dla łowieckiego high-life'u oraz zwierząt dla ogrodów zoologicznych i cyrków. W połowie lat siedemdziesiątych ta działalność straciła sens: przestała się opłacać - koszty górowały nad dochodami ze względu na antyłowieckie restrykcje (spowodowane międzynarodową akcją ochrony dzikich zwierząt, "Wild Life") i na tworzenie coraz liczniejszych parków narodowych. Wówczas Mamule zmienił profil swej agencji - zajął się turystyką. Przez kolejną dekadę urządzał fotograficzne safari dla "nadzianych" snobów. Gdy polski papież odwiedził Czarny Kontynent, Andrew

udał się do Zairu, wysłuchał homilii rodaka i rzucił wszystko w diabły: sprzedał agencję i zaczął odpoczywać. Odpoczywał czytając po polsku. Dzięki gazetom, które prenumerował przybrany ojciec, i dzięki książkom tego ojca, który stworzył największą prywatną polską bibliotekę od Przylądka Dobrej Nadziei do Morza Śródziemnego, kontakt Andrzeja z dźwiękiem polskich czcionek nigdy nie został zerwany, lecz teraz pochłoniął go nowy konik: czytał ów księgozbiór, wolumin po woluminie, ucząc się historii Lechistanu.

Dotychczas, chcąc nie chcąc, przerabiał historię Afryki. Był świadkiem (a zdarzało się, że mimowolnym uczestnikiem) dekolonizacji w wielu czarnych państwach. Później obserwował zadziwiającą rzecz - regułę: w każdym wyzwolonym kraju sytuacja pogarszała się z roku na rok, nawet tam, gdzie odchodzący kolonizator zostawił stan gospodarczego rozkwitu. Widział jak czarni bohaterowie walk o niepodległość, zdobywszy władzę, okazują się krwiopicjami swych narodów i sprowadzają swe państwa do epoki kamienia łupanego. Widział, jak czarni ludzie biją czarnych ludzi, jak dławią każdy opór, każdy sprzeciw i każdy rozpaczliwy jęk - widział masakry i eksterminacje - i rozumiał o ile to większy ból, bo swoi zawsze mocniej biją. Widział wędrówkę ludów, największy, permanentny exodus stulecia: jak wyzwoleni nieszczęśnicy przenoszą się z jednego wyzwolonego kraju do drugiego, z którego uciekają właśnie tamci wyzwoleni i jak hordy uciekinierów mijają się po drodze. I widział coś najgorszego - jak były kolonialne rządy białych ludzi jawią się czarnym ludziom utraconym rajem w porównaniu z rządami czarnych elit. Patrzył na to i było mu obojętne, tak jak historia własnego kraju. Lecz gdy usłyszał polskiego papieża i jałową długość emerytalnych dób wypełnił lekturami o Polsce, jej historia przestała mu być obojętna.

Guccioniego przyjął tak, jak przyjmuje się krewnych. Afrykański

ojciec Mamulewicza miał córkę. Córka uciekła z Włochem do Stanów i urodziła mu dziecko. Tym dzieckiem był kapitan Elvis Guccioni.

- Nigdy nie bawiłem się w wojnę - powiedział Andrew.

- Nigdy nie będziesz miał lepszej okazji. Skorzystaj - powiedział tamten.

- Nigdy nie chciałem się w to bawić. A na starość...

- Na jaką starość?

- Dobiegam sześćdziesiątki.

- A czujesz, że dobiegasz?

- No, niezbyt... Guccioni pokiwał głową.

- Tak sądziłem... Wiesz, jak ci się przyglądam, to ogarnia mnie przedwczesna zazdrość, ta myśl... czy w twoim wieku będę jeszcze drzewem, czy już drewnem...

Uśmiechnęli się obaj.

- Drogi chłopcze - powiedział Andrew - jest jeszcze jedno nigdy. Nigdy nie interesowałem się polityką, więc czemu teraz miałbym się angażować? Pieniądzy mam aż za wiele, wspomnień też dość, więc dla jakich...

- Dla tych Buso - rzekł kapitan. - Ty ich lubisz, masz wśród nich przyjaciół... To będzie gra o wielką stawkę, wybaczone, ale dopóki się nie zgodzisz, nie mogę ci powiedzieć... Anglicy pchają się tam, a wiedząc, co im grozi ze strony tubylców, którym kiedyś wyrządzili krzywdę, postarają się ich unicestwić...

- Tyle plemion zostało już unicestwionych i tyle będzie unicestwionych, tu ciągle ktoś kogoś unicestwia, nie zapobiegniemy temu - mruknął Polak. - Ale nie rób takiej miny, jeszcze nie odmówiłem, daj mi czas.

- Nie mogę, nie mam czasu, jest już prawie za późno!

- Tylko do jutra, muszę przespać się z tym. Rano dam ci odpowiedź.

Gdy Jervis zameldował Bentonowi pełną gotowość oddziału Leroque'a, usłyszał:

- Cieszę się, Stanley. I ja jestem gotów, załatwiłem wszystko, co do mnie należało. "Galaxy" czeka na lotnisku, z pełnym ładunkiem i z personelem pomocniczym...

Jervis zdążył się już przyzwyczać do niespodzianek ze strony lorda, lecz był pewien, że tym razem się przesłyszał.

- "Galaxy"?

- Owszem, "Galaxy". C-5 "Galaxy".

- Przecież to najcięższy typ transportowca!... Chyba że chcesz upchnąć chłopaków "przy okazji", z jakimś innym transportem...

- Nie, cały samolot dla was.

- Dla nas nawet średni transportowiec byłby Arką Noego dla pary kotów!

- Nie zapominaj o landroverach z ciężkimi karabinami maszynowymi, Stanley, do tego skrzynki z amunicją, kanistry z benzyną, suchy prowiant, od cholery konserw...

- Ależ, na Boga! "Galaxy" jest dla batalionu z ciężkim sprzętem, a Lerocque ma dwudziestu dziewięciu ludzi, plus panna Nyakobo i pułkownik Oubu...

- Pojedzie kilka osób więcej, Stan. Wspomniałem o personelu pomocniczym...

- Jakim pomocniczym?! Do czego?

- Myślę o kilku... no, kilkunastu geologach z odpowiednim sprzętem, których Lerocque zostawi na terenie uranonośnyrn. Ponieważ tym ludziom należy się ochrona, a nie chciałbym uszczuplać Lerocque'owi zespołu, musi zabrać kilkunastu... no, powiedzmy trzydziestu żołnierzy więcej. No i myślę o saperach do założenia pól minowych, postanowiono bowiem, iż obszar geologów

zostanie zabezpieczony na górskich przejściach od granic dwóch sąsiednich państw polami minowymi, co oznacza konieczność załadunku min i samochodów do ich przewiezienia... To jest zupełnie nowy rodzaj min, coś rewelacyjnego, małe jak konserwy, o potwornym rażeniu, każdą można zamienić w granat...

- To jest zupełnie nowy rodzaj wyprawy! - odezwał się sucho Jervis.

- Montujesz gigantyczną karawanę! Dodaj filmowców, burdel na kółkach z panienką dla każdego i Myszką Miki...

- Zrozum, Stanley, taka jest konieczność.

- Ale mogłeś wcześniej o tym poinformować! Nerwy Bentona eksplodowały:

- Nie mogłem! Raz, iż te decyzje zapadły późno i nie ja wszystkie podejmowałem, a dwa, że chodziło o najściślejszą tajemnicę! Tobie ufam, ale ten twój Lerocque ze swoim karłem i starymi koleżkami... Gdyby to wyszło na jaw!... Oni mają zgnoić FWL, mścimy śmierć Anglika, i jeśli nawet by się to rozeszło, w porządku, można przeżyć. Co innego numer, który mają wykonać "po drodze", to już większy kryminal, to cios w jankesów!... Lerocque'owi zagwarantuj, iż nie musi się obawiać, on i van Hongen sprawują pełne dowództwo nad wszystkimi, nad saperami, geologami i strażnikami geologów, nikt im nie podskoczy! Ale zadanie muszą wykonać!

- A co powie Nyakobo na widok tylu "mścicieli"?

- Nic, nie będzie liczył mścicieli, tylko gotówkę, jutro nasz bank wysła im pierwszą ratę nowej pożyczki. A gdyby coś nie grało, to panna prezydentówna wstawi się za narzeczonym...

- Za kim?!

- Za swoim własnym narzeczonym. Dzisiaj zaręczyła się z van Hongenem.

Jervis miał ochotę się uszczypnąć. Zamiast tego wspomniał o książkach, w których znajdował ten rodzaj zdumień, że ktoś musi się szczypać, by stwierdzić, czy ma do czynienia z cudzą głupotą, czy

z koszmarem sennym własnego chowu:

- Edgar... to wszystko zaczyna przypominać drugorzędną literaturę...

Jego lordowska mość nie zaprzeczył:

- Zgadza się, Stan. Tylko w drugorzędnych powieściach jest coś z tak zwanej prawdy życiowej. Wielka powieść, Joyce, Dostojewski, Proust i Mann, to czysty surrealizm, "grzebanie przez autora palcem we własnym tyłku". Wiesz, kto mnie tego nauczył? Pan eks-profesor Lorning. Jak o nim doniosłeś, rozkazałem, żeby mi przyniesiono kilka jego prac, w końcu muszę wiedzieć z kim się zbratał dowódca wyprawy.

Dowódców wyprawy było dwóch; drugi (a dokładniej pierwszy) nie tyle "zbratał się" z kimś, ile "znarzeczenił", chociaż wyglądało to nie tak, jak mógłby ktoś sądzić na podstawie kilku słów Bentona.

Wszystko ma kres: van Hongen, wyczerpawszy swój bank doświadczenia erotycznego i własną inwencję, tak iż "w te klocki" pozostawało mu tylko repetytorium z panną Nyakobo, te same rytuały spółkowania według tej samej choreografii - zrobił coś o odmiennym charakterze. W przeddzień wyruszenia do Tangi, zamiast rozbierać miss N., ubrał ją w naszyjnik, kilka pierścionków, bransolet i brosz, łącznie w kilo biżuterii z wysokokaratowego złota, brylantów, szmaragdów, szafirów i topazów, na koniec zaś w obrączkę z napisem: "Fritz Forever Your's My Love" (Twój na Zawsze Fritz, Moja Miłości).

- Dlaczego? - zapytała.

Pytanie było bez sensu, lecz brak sensu to przywilej pierwszych słów w przypadkach nagłych oszołomień.

- Dlatego, że cię kocham. I dlatego, że jutro wyjeżdżamy. I dlatego, że w twoim kraju będę musiał cię pożegnać. I dlatego, że potem...

- Co potem?

- Potem może spotkać mnie śmierć, bo ja i moi chłopcy nie idziemy na bal, darling.

W jej oczach pojawiła się wilgoć, co ładnie współgrało z drżeniem ust:

- Ta obrączka... Czy to znaczy, że się ze mną zaręczyłeś?

- Nie. Bez zgody twojego ojca nie ośmieliłbym się tego zrobić, zbyt go szanuję.

- Kłamiesz! - krzyknęła zawiedziona. - Wy nie macie szacunku dla Murzynów!

- Jeśli chciałaś mnie obrazić, sweetheart, to prawie ci się udało. Biali, którzy nie mają szacunku dla Murzynów tylko przez kolor skóry, nie mają szacunku dla siebie samych, to bydłeta. Są różni biali, tak jak są różni czarni. Myślę, że jest wielu czarnych, którzy pogardzają białymi tylko dlatego, że biali mają białą skórę.

- A ty masz jakiś powód, żeby szanować mojego ojca?! Przecież wcale go nie znasz! Gazety wypisują o nim tyle świństw...

- Gazety są od wypisywania świństw, to ich chleb. Nie znam twojego ojca, ale mam bardzo istotny powód, aby go szanować, pomijając nawet sprawy polityczne, obaj nienawidzimy komunistów. Ten powód to fakt, że on jest twoim ojcem.

Patrzyła na niego myśląc o tym, jaki dobry jest Bóg. Dał jej cudownego kochanka, anioła, geniusza i bohatera w jednym ciele, a jakby tego wszystkiego nie było dosyć, uczynił go najpiękniejszym z pięknych i najbogatszym z bogatych. Dla panny Nyakobo Fritz van Hongen był cudem.

Wierzyła w jego doskonałość, bo się jej podobał, tak jak "Mina" wierzył, że to pajac, bo mu się nie podobał.

Równie dobrą kawę z mlekiem robiła Guccioniemu matka, ale to było dawno. Mamulewicz sam przygotował śniadanie i sam je podał,

choć miał służących - robienie posiłków sprawiało mu przyjemność. Z tarasu jego rezydencji rozpościerał się widok na pola kawowe, za którymi majaczyła sylwetka Nairobi. Parne powietrze przylepiało fragmenty koszul do ciała, oddychać mogli dzięki śmigłom wentylatora. Gryząc i popijając jedzenie, kapitan nie przestawał myśleć o tym, co za chwilę usłyszy, lecz wciąż nie padało to słowo, na które czekał, ani to, którego się obawiał. Polak był zamyślony i spoglądał w przestrzeń nad ramieniem gościa, jakby wypatrywał czegoś w głębi pejzażu. Guccioni otarł usta serwetą i chrząknął:

- Przepraszam cię, Andrew, ale chciałbym wiedzieć... Mój czas mnie goni...

- Mój też. Poświęcam go moim książkom, ale nie wiem, czy zdążę je przeczytać - odpowiedział emeryt. - Widziałeś ile ich tam jest? Uczę się z nich historii Polski...

- Andrew, wybacz mi nachalność... Tak czy nie, decyduj! Mamulewicz jakby nie dosłyszał:

- Ty pewnie kiepsko znasz historię Polski?

- Co?... Tak, bardzo źle... Właściwie nic a nic, ale nie mówmy o tym...

- Opowiem ci jeden temat, żebyś mógł coś zrozumieć.

“Chryste! - pomyślał Guccioni - nie udało mi się go namówić! Anglicy wyruszają lub już są na miejscu, a ja tkwię tutaj i słucham pierdółek. Brakuje minut, a straciłem dwie doby! Bez niego nie mam szans, to koniec! O czym on gada, powinienem go przeprosić, pożegnać i wyjść. Ale po co? Teraz to już nie ma znaczenia, można tylko życzyć Anglikom jakiegoś kataklizmu. Albo złożyć Anglikom gratulacje...”.

Wyrwało go z tych rozmyślań jak głos echa słowo “Anglikom”:

- ...Anglikom rozbiory Polski były na rękę, bo wzmacniały siłę fryderycjańskich Prus przeciw Francuzom. W XIX wieku cała polityka Brytyjczyków wobec Polski to cholerne faryzeuszostwo! Na

Kongresie Wiedeńskim mówili piękne słowa o przywróceniu Polakom wolnego bytu, lecz kiedy przyszło do końcowych ustaleń, zaakceptowali jarzmo. Później były powstania moich rodaków, pragnących zrzucić kajdany Anglia za każdym razem okazywała nam retoryczną przychylność, podniecała do walki, robiła nadzieje, lecz po cichu wspierała zaborców. W czasie Powstania Listopadowego, w roku 1830, gdy polscy emisariusze jeździli do Londynu po pomoc, premier Anglii, lord Grey, uśmiechał się do nich i współczuł. Wiesz, co pisała wówczas żona rosyjskiego ambasadora w Londynie o tajnych stosunkach między panem Greyem a tłumiącymi powstanie Rosjanami? Pisała: "Lord Grey życzy nam poważnie i szczerze, abyśmy szybko zdusili ten bunt". No i zdusili. Anglik Richard Cobden wyraził wówczas pogląd, że "upadek Polski to triumf sprawiedliwości, bez którego historia nie dawałaby potomnym żadnego morału...". W 1863 wybuchło Powstanie Styczniowe. Znowu retoryczna życzliwość. Rzeczywisty stosunek tak określił jeden z najbardziej wpływowych polityków Anglii, lord Robert Cecil: "Niepodległa Polska to chimera!". Wykręcili wtedy numer szczególnie parszywy, twierdząc, że Polakom należy dopomóc, lecz musi to zrobić mocarstwo kontynentalne, bo Anglicy są potęgą morską, a Polska nie ma dostępu do morza, więc oni są bezradni, gdy zaś Francja chciała wszcząć wojnę z Rosją, zrobili wszystko, by to uniemożliwić, sparaliżowali wszelkie w tym celu poczynania Napoleona III! I później ambasador brytyjski w Petersburgu, Buchanan, podczas publicznych wystąpień przeproszał Rosję nawet za nędzne pozory propolskiej sympatii Anglików, nazwał je "błędem".

Mamulewicz nie mówił zbyt szybko i nie podnosił głosu, a jednak nadwerżył struny głosowe - ochrypl już po kilku zdaniach, z nerwów, za mocno przeżywał swój "speech". Urwał tylko na moment, by zwilżyć gardło resztką kawy.

- Pierwsza wojna światowa zwróciła Polsce niepodległość, lecz nie zwróciła sprawiedliwych granic. Zadecydował o tym jeden człowiek, jeden nienawidzący Polaków skurwysyn, brytyjski premier Lloyd George. Te granice ustalała w Wersalu Najwyższa Rada Sprzymierzonych i on tam prowadził straszliwie antypolską kampanię, forsował rozstrzygnięcia, które trudno nazwać inaczej jak polakożerczymi, wymusił na orędowniku polskich spraw, amerykańskim prezydencie Wilsonie, furę piekielnie Polskę krzywdzących decyzji. Odebrano nam rdzennie polskie terytoria i ograniczono dostęp do Bałtyku. Jeden cholerny Anglik!... Dwadzieścia lat później, gdy wybuchła druga wojna, mieliśmy z Anglikami układ sojuszniczy, a to nakłada obowiązek, którego niewykonanie jest zdradą. Zaatakował nas Hitler, a oni nie kiwnęli palcem, traktat o wzajemnej pomocy był dla nich kawałkiem papieru toaletowego!

Guccioni niewiele z tego mógł zrozumieć, znał jedynie nazwiska Wilsona i Hitlera. Ale nie to było ważne. Jego sytuacja przypominała sytuację faceta, który stoi na deskach szafotu, ma już pętlę na szyi i chce, żeby jak najszybciej się skończyło, a tu pojawia się gość w cylindrze, zaczyna coś czytać, przedłuża mękę czekania na śmierć... lecz powoli jego słowa docierają i skazaniec budzi się z koszmarnego snu: ten gość przywiózł ulaskawienie! To się nazywa: "wracać z dalekiej podróży". Kapitan pojął.

- Cały bieg mojego narodu do wolności był dla nich zawsze głównym - rzekł Mamulewicz. - Najlepiej sformułował to w imieniu wszystkich Anglików Lloyd George, mówiąc o polskich usiłowaniach: „Nędzne ambicje państw lenniczych”!

- Dziękuję ci, Andrew - powiedział kapitan - liczyłem na twoją pomoc.

- Nie ma za co. Nędzne ambicje państw nikczemnych domagają się kopa.

- Kiedy będziesz gotów?
- Już jestem gotów, spakowałem się nocą. Gdzie lecimy?
- Najpierw Pretoria, a stamtąd do Windhuk po broń. Dalej przerzucą nas helikopterem.
- Chcę zabrać jednego z moich byłych współpracowników, on również zna Buso.
- Weź nawet dziesięciu! - ucieszył się Amerykanin.

Deptać poezję i udowadniać jej niższość wobec prozy Lorning mógł bez końca, jednakże przerwał dzieło; końcem traktowania poetów okazała się myśl, że proza to jeszcze gorszy szmelc. Natychmiast przystąpił do flekowania prozaików, lecz tu bardzo szybko się zniechęcił, cóż bowiem za trudność wykpiwać tabuny grafomanów, półgrafomanów i ćwierćgrafomanów, wszystkich owych "ludzi pióra", którzy piszą radośnie, odkąd spostrzegli, a raczej odkryli, podobnie jak molierowski pan Jourdain, iż od dzieciństwa mówią prozą! Co innego zgnoić orła, któregoś z pieszczochów wyniesionych przez krytykę na sam czub parnasowej estrady, Manna lub Dostojewskiego... Dostojewskiego!

I oto w ostatnim dniu przed podróżą profesor Kenneth Lorning wrywał śp. Fiodorowi Dostojewskiemu liście z laurowego wieńca, tak jak martwej kurze wrywa się pióra i kłaki; pragnąc zdążyć przed odlotem (był bowiem pełen obaw, czy w afrykańskim słońcu mózg pracuje z właściwą, to jest z północnoeuropejską wydajnością) zapisywał kartkę po kartce drobnymi literkami, z których każda była jak ziarenko wystrzelonego śrutu:

"Balzak zagłębia w głąb duszy ludzkiej nie mniej głęboko (lub - oczywiście! - głębiej) niż Dostojewski, a jednak krytycy XX stulecia (ludzie z reguły bardziej mizerni intelektualnie od książek, którym rozdają klapsy lub wawrzyny) wynieśli tego Rosjanina na piedestał,

kosztem lepszych pisarzy. Warsztat Dostojewskiego, z pozoru tylko bez skaz, w istocie jest dość prymitywny, równie słaby (choć w inny sposób) jak u podobnie wielbionego Flauberta. Czasami naśladowanie wzorów stendhalowsko-balzakowskich jest u niego prostactwem, czasami przechodzi w kunszt - raz udaje się małpie lepiej, raz gorzej. Genialność osiąga w mamieniu, rzekomą wiwisekcją ludzkiej psyche, kuglarstwem «psychoanalitycznym» dla ubogich, i od ubogich myślą dostaje brawa, a jako że głupota i podatność na iluzjonizm są podstawowymi cechami gatunku, cała sala klaszcze. Dno zaś osiąga w sztuczności konstrukcyjnej i w rozwiązaniach formalnych. Kliniknym przykładem wszystkich tych grzechów jest *Idiota*, gdzie:

a) Dialogi są rozpisane tak, jakby były stenogramem z popisów recytatorskich (lub ćwiczeniami w akademii retoryki) - poszczególne osoby wypowiadają kwestie półtora-, dwu- lub trzystronicowe, przez co dialogi zamieniają się w wykłady, w gadulstwo nie realistycznego i nawet nie literackiego, lecz konferencyjnego typu. Jakby mówienie było zakazane, a przemówienia premiowane - rozmawiać między sobą można tylko z mównic.

b) Bohaterowie korzystają z każdej, najbardziej absurdalnej okazji (przypadkowe spotkanie w pociągu, na ulicy, w hallu), by wylewnie się sobie zwierzać, opowiadają całe epoki ze swojego życia i życia innych, co jest autorowi potrzebne dla sprzedania «curriculum vitae» każdej z tych postaci. Przeradza się to w nonsensowny jarmark, na którym ludzie zupełnie sobie obcy handlują własnymi i cudzymi życiorysami, przy czym ta pasja informacyjna wybucha w nich prawie bez wstępów - słowem: każdy napotkany człowiek jest od razu dobry, by mu opowiedzieć o sobie i o bliźnich. Potem już nikt nie jest obcy, bo wszyscy dowiedzieli się o wszystkich wszystkiego. Być może ta psychologiczna, socjologiczna i biologiczna bzdura

bierze się z rosyjskiej tradycji donosu, ale nawet to nie daje autorowi rozgrzeszenia, nawet wówczas absurdalną jest u tego “badacza ludzkiej duszy” intensywność i częstotliwość, z jaką obcy otwierają się przed obcymi.

c) Duże, samodzielne partie dzieła, autor nagminnie rozwiązuje w sposób głupio i przestarzałe teatralny: pod byle jakim pozorem skupia w jednym pomieszczeniu wszystkie (od głównych do marginalnych) «dramatis personae», tak jakby pragnął, żeby wszyscy statyści tworzyli widownię i mogli wysłuchać rozgrywki głównych bohaterów pointującej daną akcję. W części I jest to na przykład scena przyjęcia urodzinowego Nastazji Filipowny, w części II «nie zapowiedziane wizyty» mnóstwa obcych sobie ludzi w tym samym miejscu i w tym samym momencie (na przykład miłych i niemiłych gości w salonie rekonwalescenta, księcia Myszkina)...

Pisał tak szybko i tak mocno, że zdrętwiał mu przegub. Odłożył pióro kulkowe, zbliżył się do okna i spostrzegłszy, że na ławce siedzi „Chris” z książką, zbiegł do ogrodu. Usiadł obok Polaka i spytał:

- Co to jest?

- Książka - odparł Wojtek.

Lorning wyszczerzył zęby i już chciał warknąć, lecz oczy tamtego mówiły, że warknięcie napotka warknięcie i ciekawość, z którą Lorning przyszedł, nigdy nie zostanie zaspokojona, więc spytał znowu:

- Jaka książka, jeśli to nie sekret?

- Najlepsza ze wszystkich.

- Najlepszą ze wszystkich, młody człowieku, jest “Stary Testament”. Reszta to epigonizm i plagiat, z Szekspirem włącznie. Jak to się nazywa?

- Beniowski.

- Be... Benovsky... to autor?

- Nie, tytuł. Autorem jest Słowacki.

- Jeden sky pisze o drugim sky, to jakaś choroba lub obłąd, i na domiar jeszcze po polsku! Ale widzę w tym coś pozytywnego, że w Polsce pisze się książki...

- Tylko latem, proszę pana.

- A zimą?

- Zimą po ulicach spacerują białe niedźwiedzie, które trzeba odpędzać, na nic innego nie ma czasu.

Lorning próbował utrzymać się w konwencji:

- Takie trudne jest to odpędzanie?

- Dostyc łatwe, iloraz inteligencji białego niedźwiedzia ledwo przewyższa średnią u Anglików z uniwersyteckim wykształceniem.

Eks-profesor Lorning począł sapać jak człowiek po długim biegu, a kiedy odechciało mu się milczeć i sapać, spytał bez złośliwości:

- O czym jest ta książka?

- O wszystkim, tak jak "Stary Testament" - powiedział Krzysztofeczko - o wszystkim, co dotyczy człowieka, co ma wewnątrz i na zewnątrz, i o tym czego nie ma, i co chciałby mieć, to jedna z tych książek, w których fabuła się nie liczy, jest tylko pretekstem... Tutaj pretekstem jest podróż Polaka z misją do egzotycznego kraju.

- Zupełnie jak ty... - zauważył Lorning.

- Ja nie jadę z misją, lecz po szmal.

- Zabierzesz tę książkę ze sobą?

- Wszędzie ją zabieram, nie mógłbym bez niej żyć.

Od strony domu rozległo się wołanie, Lerocque szukał Lorninga:

- Ken, Kenneth, gdzie jesteś?!... Ken, odezwij się, do cholery!

Lorning wstał.

- Panie "Chris", dziękuję panu, pan pomógł mi podjąć ważną decyzję. Chociaż ten gość, który szuka swej maskotki, nie może beze mnie żyć i wszędzie zabiera mnie ze sobą, wciąż główkowałem, czy

nie wycofać się w ostatniej chwili pod byle jakim pretekstem, bo od tego idiotycznego przedsięwzięcia ważniejsze wydało mi się ukończenie eseju. Kopię w nim pewnego marnego pisarza, przed którym jednak należy klęczeć, a jak panu wiadomo kopanie z pozycji klęczącej jest rzeczą trudną, w każdym razie trudniejszą niż odpędzanie białych niedźwiedzi. Nie mając gustów Tarzana, nie chciałem znajdować się wśród samych małp. Lecz jeśli ktoś zabiera tam książkę, to co innego. Postanowiłem jechać.

I odszedł w kierunku wołającego "Miny".

Stojąc obok Bentona i patrząc na samolot, który unosił się w niebo pełne gwiazd, Jervis miał rozdwojenie uczuć. Był dumny: jak niegdyś, za dawnych dobrych czasów, wysłał "Gang Lerocque'a" w bój i teraz rozpoczynał się dlań etap odmładzającego podniecenia - czekanie na pierwsze wiadomości i na końcowy sukces lub gorycz przegranej, ów emocjonujący bezruch wpatzonego w kulkę ruletki, gdy czas zamienia się w nieskończoność. Drugim uczuciem był gniew wynikający z upokorzenia: on, inicjator akcji, gdzieś w trakcie przygotowań został wypchnięty zza kulis, stał się pionkiem, którego od czasu do czasu łaskawie o czymś informowano, rzucano mu jak obgryzioną kość kundlowi przestarzałe prawdy lub półprawdy, grano z nim komedię, w której zszedł do roli statysty lub może nawet arlekina. Ten samolot, który zniknąłby już, gdyby nie czerwone światła na krańcach skrzydeł, był jednym z dowodów. Benton, prowadząc półlegalną grę, typową dla szefa specjalnych służb, bo każdy człowiek na tym stanowisku musi podobne gry prowadzić, uzyskałby samodzielnie każdą broń z wyjątkiem rakiet międzykontynentalnych i każdy środek transportu z wyjątkiem lotniskowca oraz najcięższego typu samolotów transportowych - C-5 "Galaxy" posiadała tylko armia dla wielkich ćwiczeń lub działań w

konflikcie zbrojnym. A więc półlegalność, o której mówili na początku, gdy trzeba było walczyć, aby Benton podjął ryzyko, nie miała już miejsca - w sprawę zaangażowany być musiał rząd.

Lord Benton-Howley, stojąc przy boku Jervisa, z głową tak samo uniesioną do góry, myślał o Amerykanach. Prezydent Tangi zbyt pośpiesznie deportował ich geologów, to musiało wzbudzić czujność CIA. Jeśli przy tym w kołach rządowych znajduje się agent CIA... Z tej strony wyprawie groziło niebezpieczeństwo, lecz jaką formę mogłoby przybrać? „Kontrakcja zbrojna? Nonsens. Działania kanałem dyplomatycznym? Już by je podjęto. Dywersja ze strony wynajętych bandziorów? Też mało prawdopodobne. A choćby nawet! Jankesom w ciągu ostatnich kilku, lub kilkunastu lat, nic z tych rzeczy się nie udało, wszędzie poparzyli łapy, wszystko wieńczyła kompromitacja, jak w Iranie, gdy chcieli uwolnić personel ambasady. Cyrk kalek, fuszerka goni fuszerkę, czego tu się bać? Ma słuszność naczelny miesięcznika «Harper's», Lewis Lapham, pisząc, iż CIA to «teatr burleski», który zatrudnia «teatralnych komediantów», i że «kronikę wyczynów Agencji czyta się jak zapis komicznych improwizacji na temat sztuk Pirandella». Stanowczo, nie ma się kim przejmować”.

Gdy zniknęły czerwone lampy samolotu, Jervis i Benton pomaszzerowali przez płytę lotniska do swych aut. Noc pachniała samolotami, dotkliwy chłód stawiał kołnierze i upychał ręce w kieszeniach płaszczy.

- Co ci jest? - spytał Benton. - Masz taką minę, jakby cię bolał brzuch...

- Ty byś też miał taką minę, gdybym ja postępował z tobą tak, jak ty ze mną - odburknął Jervis.

- Stan, o czym ty gadasz?

- O tym, o czym ty nie gadasz. Najważniejsze rzeczy mówiłeś mi albo w ostatniej chwili, albo po fakcie, albo wcale! Wątpię, czy znam

choć połowę prawdy!

- No wiesz... Zrozum...

- Co mam zrozumieć, że robisz ze mnie durnia?

- Stanley, są rzeczy objęte tajemnicą państwową, a ty już nie należysz do służb... Mam obowiązek lojalności wobec...

- A obowiązek lojalności wobec człowieka, który wam to nagrał? Jego lordowska wysokość stanął i próbował przypalić cygaretkę, lecz wiatr był zbyt silny. Rzucił ją na beton.

- Co mam ci powiedzieć!?

- Nie mów wszystkiego, pewnie do rana byś nie skończył. Powiedz to najważniejsze.

Benton odwrócił się plecami w stronę wiatru i milczał, lecz Jervis już miał pewność, że to usłyszy.

- Stanley... jeśli rzecz się rozejdzie, to połowa ludności globu zwali się tam i nie zatrzyma tych hord nawet tysiąc pól minowych!

- Może się rozejdzie, ale to nie ja będę kablem, Edgar - rzekł Jervis.

- W porządku... wobec ciebie nie muszę... Oni tam nie lecą po uran! To znaczy nie tylko po uran, bo uran na pewno tam jest. Ale być może jest tam i złoto. Badania z satelitów nie dają w tym względzie pewności, odczyt może być błędny, ta technika to nowość, dopiero w powijakach, ale według naszych ekspertów na siedemdziesiąt procent tam jest złoto. Wiesz jakie? RPA ma roczny urobek rządu 670 ton, Rosjanie około 270, Indonezyjczycy około stu. W Keya, jeśli to rzeczywiście jest złoto, można wydobywać tysiąc ton rocznie! Jankesi chyba też o tym wiedzą i myślę, że też gadają tylko o uranie, nawet wśród swoich, gdy mówi się o Keya. To strach. Jak w 1986 wybuchła gorączka złota na Borneo, szturm dzikich kopaczy uniemożliwił przemysłową eksploatację...

- Na Boga! - jęknął Jervis. - Człowieku, dlaczego mówisz o tym dopiero teraz?! Zmieniłbym skład zespołu, a tak już za późno!

- Jak to zmieniłbyś?! - przestraszył się Benton. - O co chodzi?!

- Powinien z nimi lecieć jeszcze jeden facet.

- Kto?!... Mów!

- Ja. Wziąłbym sobie płuczkę, ze trzy sita, kawałek łopaty... Benton, który był już blisko zawału, odetchnął jak półtopielec wyciągnięty z głębin, powiedział bardzo brzydkie słowo i dopiero wybuchnął śmiechem.

Na wojskowym lotnisku pod Matabele "Galaxy" wylądował nocą 12 września. Dla debiutantów pierwszy kontakt z Afryką, której bali się niczym pieca hutniczego - rzeźwa aura - okazał się miłym zaskoczeniem; noc była jak te ciepłe europejskie noce, podczas których dziewczęta przestają być dziewczętami. Tylko stara afrykańska gwardia Lerocque'a nie miała złudzeń; ci, znając różnicę temperatur między dniem a nocą o tej porze, myśleli na widok ucieszonych debiutantów: "Poczekajcie, słońeczko da wam jeszcze w kość!".

Silne reflektory wyrwały samolot z mroku. Maszynę otoczył co najmniej batalion wojska z pochylonymi lufami, dwóch czarnych oficerów podbiegło bliżej. Rozmawiał z nimi Oubu. Przystawiono schodki i w galowej asyście na motorach podjechał mercedes, który miał zabrać miss Nyakobo. Pułkownik Oubu podał jej rękę, ona zaś odwróciła się ku van Hongenowi, mówiąc:

- Pojedziesz ze mną do pałacu.

Brzmiało to jak rozkaz, ton Neliny się zmienił odkąd poczuła ziemię, na której nie tylko z nazwy była prezydencką córką. Van Hongen jednym wyrazem dał upust zdziwieniu:

- Dlaczego?

- Chcę cię przedstawić, poznasz mojego ojca.

- Teraz, tak od razu?

- Od razu, tak będzie najlepiej. Tatuś mnie zapyta o te wszystkie rzeczy, które tam miały miejsce, a ze wszystkiego, co się tam stało,

ty jesteś najważniejszy. Uratowałeś mi życie i chcę, żebyś odtąd był moim życiem. Chcę mu ciebie pokazać.

Oubu potrząsnął głową:

- To wykluczone! Nie wyrażam zgody! Pan prezydent...

- Zamknij się, pułkowniku! - spiorunowała go głosem i wzrokiem. - Bez niego nie ruszę się stąd, może chcesz się ze mną szarpać?

- Zadzwoń do Jego Ekscelencji... - próbował nastraszyć ją Oubu.

- A do kogo zadzwonisz, kiedy ja poskarżę się ojcu na ciebie i poproszę, by wywalił cię ze służby? - zapytała.

Lerocque, którego Jervis uprzedził, że jeśli w Matabele będą kłopoty, to prezydentówna może pomóc je rozwiązać, ucieszył się na wiadomość, iż Holender jedzie z nią do prezydenckiego pałacu. Potem zaabsorbował go rozładunek broni, samochodów, zapasów i sprzętu. Pracowali pod "opieką" setek luf i dopiero gdy pułkownik wrócił ze stolicy, Lerocque uspokoił się. Na magazyn dano im wielki hangar, a do spania stertę brudnych sienników, których widok pozbawił Lorninga ostatniej kropli humoru:

- Tradycyjna tangalandzka gościnność, w dupę kopane czarnuchy!
- zapiszczał.

- Ken, przymknij japę, tu niejeden zna angielski! - syknął Lerocque.

- Wiem - ściszył głos "Casablanca" - dlatego tu przyjechałem, żeby ujrzeć i tę osobliwość. W Anglii jest pełno baranów mówiących po angielsku, tutaj są małpy, które mówią po angielsku, na Antarktydzie pingwiny dukają po angielsku, świat jest jak kieszonkowe ZOO, "Mina", wszędzie ktoś pierdoli od rzeczy po angielsku, a ja mam spać na tej ścierce wypchanej robakami, które nie znają żadnych języków, tylko rzną człowieka!

- Wodzu, zamknij gębę temu kurdupłowi - westchnął Nortolt - albo ja to zrobię!

Oczy Lerocque'a rozjarzył gniew:

- Kapitanie Nortolt, zrobić to pan może kupę w krzakach, i też

tylko wtedy, kiedy ja pozwolę! Poza tym może pan robić wyłącznie to, co będzie wynikało z moich rozkazów!

Szeryf zsiniał, dolna szczęka skoczyła mu do przodu, a usta wydeły się w grymas, który uczynił z jego twarzy pysk bestii. Kilku chłopców z SAS przerwało moszczenie swoich posłań; stanęli za Nortoltem: kamienne mordy, rozkraczone nogi, ręce opuszczone zbyt luźno; reszta, ci, których przerzucono do SAS z Royal Marines (Królewska Piechota Morska) i których Nortolt mało obchodził, a także "gang" HQMSU i "team" spadochroniarzy porucznika Haltreya, nie przerwali układania sienników. W ciszy rozległ się suchy trzask odbezpieczanego automatu, to "Beatles" wymierzył pistolet maszynowy w grupę Nortolta.

Lerocque mógł powiedzieć to, co powiedział, inaczej, nie obrażając "szeryfowego" honoru, lecz z rozmysłem powiedział tak, jak powiedział - pragnął Nortolta usadzić. "Szeryfowi" doskwierało, iż nie on, lecz "Beatles" jest numerem dwa, kiedy aż czternastu ludzi ze Special Air Service bierze udział w wyprawie. Teraz mógł się przekonać, że stoi za nim połowa czternastki - to "głosowanie" ucięło mu skrzydła. Lerocque podszedł do jego zwolenników.

- Chłopcy - powiedział - jak któryś z was użyje broni przeciw kolegom, to niech od razu potem kropnie się sam. Nawet gdyby uciekł na koniec świata, nic by mu to nie dało, z Londynu wysłano by ludzi, którzy mieliby odwet za zadanie, tak jak nas wysłano, żeby pomścić śmierć jednego Anglika. Lecz jeśli porucznik Downbridge pieprznąłby was serią ze swojej maszynki, na co ma ochotę, nikt nie powiedziałby mu złego słowa, bo nawet tak stojąc i milcząc robicie bunt. Nie róbcie tego nigdy więcej. Tu jesteśmy rodziną, nie trzymając się razem, jak bracia, zginiemy. Jeżeli będę musiał wam to kiedyś powtórzyć, powtórzę, ale już z pistoletu.

Po czym ryknął:

- Baczość!

Huk obcasów uderzył o ściany hangaru. Lerocque zlustrował wyprężone sylwetki i spojrzał na "Szeryfa".

- Kapitanie Nortolt. Wiem, iż jest pan najdzielniejszym żołnierzem Jej Królewskiej Mości i najbardziej niesubordynowanym, to drugie wywaliło pana z SAS. Tutaj, pod moją komendą, proszę kultywować tylko pierwszą z owych cech, inaczej każę pana zastrzelić. Zrozumiano?

- Tak jest, sir - odpowiedział Nortolt.

- Daj mu spokój, Armandzie - wtrącił się "Casablanca" - on jedyny spośród nas wróci stąd cało.

Nikt nie zapytał czemu, choć wszystkich ogarnęło zdumienie. Lorning wyjaśnił:

- Ten kraj, tak jak i cały ten kontynent, roi się od kanibali. Wszyscy pójdziemy na papu, ale jego żaden ludożerca nie mógłby przelknąć. Po pierwszym kęsie wyplują go na piasek.

Rechotali nawet kumple Nortolta z SAS, Lorning rozluźnił wszystkich. Lerocque, patrząc na śmiejące się gęby, pomyślał: "Tres bien. W marszu, czując wrogów, zintegrują się do końca. Najgorzej z tym Polakiem i z jankesem, ci dwaj sobie nie darują..."

Fritz naliczył osiem bram i osiem posterunków, przy których trzeba było stanąć i czekać, aż dowódca posterunku otworzy bramę i puści samochód. Za ósmą był podjazd, placyk przed schodami, marmurowy portyk z jońskich kolumn, złote drzwi i hali pełen strażników, gdzie zabrano Nelinę, a białego poddano rewizji. Następnie kazano mu usiąść i czekać. Po czterdziestu minutach zjawił się oficer i skinął nań ręką. Weszli do windy, która, gdy oficer przycisnął guzik - miast pionowo, ruszyła w poziomie i przeniosła ich na drugi kraniec parteru. Tam był inny hali, a w nim bramka spełniająca tę samą funkcję, co na lotniskach wykrywacz metali. Za

nią ponownie obmacano van Hongena i dopiero wówczas mógł wejść po schodach na piętro, do gabinetu “Jego-Ekscelencji-Wielkiego-Wskrziesiciela-Ojczyzny...” itd.

Był to pokój o wymiarach boiska do siatkówki, w którym bogactwo oblepiające jak winorośl każdy centymetr ścian mogłoby iść w zawody z drezdeńskim Zwingerem, gdyby tylko twórca tego sezamu miał dobry gust. Na tle owej niesmacznej “chinoiserie” wyróżniał się prostą formą zamknięty boks z pleksiglasu, w którym Fritz ujrzał pulpit pełen klawiszów, guzików, mikrofonów, lampek i słuchawek. Zrozumiał, że jest to centrum kontrolno-dyspozycyjne - elektroniczny mózg, do którego biegły wszystkie arterie państwa. Pilnowało go dwóch strażników z automatami. Dwóch innych warowało po obu stronach gigantycznego biurka, w którego przedniej ścianie widniał rząd otworów. Van Hongen domyślił się, że w otworach są lufy karabinów maszynowych.

Za biurkiem, w fotelu, którego oparcie wieńczył rzeźbiony lew, spoczywał tangijski kolos, niewiele mniejszy od Kolosa Rodyjskiego - dwumetrowy Negr, którego otyłość zdawała się mówić, iż został nadmuchany przez pompę hydrauliczną, gdyż bez niej człowiek nie może być taki. Patrząc na prezydenta i na ochroniarza, który nie był ułomkiem, widziało się różnicę dwóch czarnych opon: do najcięższej koparki i do osobowego samochodu. Van Hongen pomyślał: “Herr Gott! Jakim cudem ten wieloryb mógł spłodzić tak piękne dziecko?...”. Znad policzków przypominających dwie czarne piłki świdrował go podwójny laser: maleńkie, przenikliwe oczka, wwiercające się w twarz. Spomiędzy sinoczerwonych, wywiniętych i nabrzmiątych ust, dobył się głos o tonacji melodyjnej i łagodnej; Nyakobo mówił po angielsku:

- Witam. Proszę podejść i usiąść, panie van Hongen.

Na wprost biurka, w odległości trzech metrów, stało krzesło, w którego oparcie mierzyły dwa spośród czterech schowanych w

biurku ckm-ów. Biały, zanim usiadł, skłonił się, mówiąc:

- Dziękuję, panie prezydencie, to dla mnie zaszczyt.

- Chciałbym, aby pan mi pomógł... - rzekł Nyakobo.

- Byłby to dla mnie jeszcze większy zaszczyt - odpowiedział van Hongen.

- ...Aby pan mi pomógł rozstrzygnąć kwestię, nad którą się zastanawiam: czy to dla mnie zaszczyt, czy obelga, że uwiódł pan moją córkę?

Choć nie był zaskoczony, gdyż wśród kilku wariantów przewidział i ten, Fritz poczuł się głupio, sprawiła to obcesowość zaczepki. Wymamrotał, studiując własne ręce, które trzymał na kolanach:

- Nie czuję się winny...

- A kto jest tu winien, może to pan został uwiedziony przez nią?! Podniósł głowę i spojrzał prosto w ślepia Murzynowi.

- Winna jest tylko miłość, panie prezydencie, jeśli pan wie, co to takiego. Uczucie jak choroba, przed którą nie można się obronić.

Nyakobo pochylił się w przód, lecz tors uniemożliwił mu zawiśnięcie nad blatem biurka. Tembr jego głosu wciąż był melodyjny, tylko utracił łagodność:

- Wiem, co to takiego, z głupich filmów, panie van Hongen, a pan mi nie wygląda na głupca, więc proszę nie robić ze mnie idioty! To miała być przygoda, czy może zakład, że uda się zbałamucić moją córkę, czy też coś większego?

- Co, na przykład, panie prezydencie? - spytał cierpko Fritz.

- Na przykład chciwość, jeśli pan wie coś o tym.

Biały wybuchnął śmiechem. Nyakobo zacisnął paluchy jak czarne, przeleżałe banany, na poręczu fotela.

- To cię śmiesz, biały draniu?! - zaskrzeczał. - Rozśmieszę cię bardziej, dając rozkaz moim ludziom, by ucięli sobie z tobą flirt!

- Pańskie prawo - rzekł van Hongen. - Śmieszę mnie, iż podejrzewa pan o chciwość, o chętkę na jakiś posag, jednego z najbogatszych

ludzi globu. Formalnie jeszcze nim nie jestem, lecz jak tylko dokonam zemsty na zabójcach mojego brata, będę mógł kupić pół Afryki wydając ledwie część spadku, który mi zapisano! Dlatego pańskie podejrzenia mogą mnie tylko śmieszyć! Posag, to ja, ekscelencjo! I to posag lepszy od pożyczek z banków, które biorą tak lichwiarski procent, że cała Południowa Ameryka, część Azji, Afryka również, przez samą spłatę odsetek nigdy nie wydobędą się z kryzysu, cierpiąc na permanentne bankructwo! Gdybym zainwestował mój majątek w ten kraj, traktując to jako interes rodzinny, Tanga stałaby się mocarstwem tego kontynentu i zepchnęłaby Republikę Południowej Afryki w ką!

Nyakobo znowu położył plecy na oparciu fotela i świdrował oczkami swego rozmówcę.

- To oświadczyń? - spytał.

- To miłość i ambicja, ekscelencjo. W sumie: tak, oświadczyń!

- Miłość i ambicja?

- Owszem. Miłość i ambicja polityczna. Kocham Nelinę i nie jest to coś błędnego, wiem o tym, bo znałem dużo kobiet i potrafię rozróżniać zadurzenia od prawdziwych uczuć. To jest miłość na całe życie, a ja umieram ze strachu, że mogłaby należeć do kogoś innego, chcę mieć z nią ślub, dzieci i wspólną starość, na dobre i na złe, bez względu na to, jak pompatycznie to brzmi i w ilu głupich filmach pan to oglądał. Ale skłamałbym twierdząc, iż nie ma we mnie ambicji politycznych, głodu sławy. Jako jeden z nababów tego świata byłbym tylko jednym z anonimowych nababów tego świata, z szansą na wypolerowanie swego nazwiska jakimiś fundacjami i innymi duperelami. Lecz jeśli uczynię z Tangalandu mocarstwo, współczesność i historia będą o tym krzyczeć! Panu przypadłaby w encyklopediach i w podręcznikach godność założyciela dynastii. Tak, tak, czemu nie, monarchia to dziś coś bardzo modnego. Niech pan spojrzy na Europejczyków, nawet Hiszpania zafundowała sobie

dziedziczną monarchię... Ale to sprawy na jutro. Dziś chcę powiedzieć, że przy zawieraniu ślubnej intercyzy połowa mojego majątku zostanie przepisana na Nelinę. Proszę pana o nią!

Prezydent nic nie odpowiedział, przymknął powieki i zakluczył się sam ze sobą w hipopotamim ciele. Długo trwało nim mruknął, nie otwierając oczu:

- Mamy czas, panie van Hongen. Adiutant zaprowadzi pana do gościnnej sypialni. Good night.

Ze snu wyrwało van Hongena szarpnięcie. Obok łóżka stał oficer z pistoletem w dłoni.

- Wstawaj!

Ubrał się, o nic nie pytając. Murzyn zaprowadził go ku schodom, którymi zeszli do piwnic i rozpoczęli marsz długim podziemnym korytarzem. Wylot znajdował się wśród krzewów nad brzegiem jeziora. Czekala tam łódź z dwoma wiosłarzami, a na przeciwległym brzegu jeep. w którym był szofer i cywil o przeraźliwie białych oczach. Drogą pełną wybojów dotarli do asfaltowej szosy. Bezgwiezdna noc świszczała w płóciennej obudowie samochodu, piasek nawiewany szybkością atakował twarz, zmuszając do przemykania powiek. Zamigotały przed nimi czerwone światła posterunku, szofer zwolnił, a oficer, który siedział obok van Hongena, odbezpieczył broń i schował uzbrojoną rękę między oparciami przednich foteli. Cywil wręczył jakiś dokument żołnierzowi, który podszedł do samochodu. Tamten przyświecił sobie latarką, zwrócił przepustkę i pozwolił jechać dalej. Cywil i oficer spojrzeli na siebie, mieli w oczach triumf, a van Hongena ogarnął niepokój.

- Gdzie jedziemy? - spytał.

- Na lotnisko - rzekł cywil.

- Czy prezydent o tym wie?
- Który prezydent?
- Jak to który?! Prezydent Nyakobo!
- Prezydent Nyakobo przestał być prezydentem - wyjaśnił oficer. -
Od jutra będziemy mieli innego prezydenta.
- Co?! - zdumiał się Fritz. - Dopiero z nim rozmawiałem!
- To się stało pół godziny po tej rozmowie - rzekł cywil. - Nie mogło
się stać przedtem, to jest przed twoim przybyciem do nas,
chłopczyku, bo choć dawno już mogliśmy opanować pałac, lecz ty
byłeś nam potrzebny do czegoś innego. A dokładniej twoja armia.
- O co wam idzie?
- O garnizon na lotnisku. Lotnictwo jest ostoją tyрана, którego
władanie się kończy - przejął pałeczkę oficer. - Zachowują wobec
niego lojalność...
- I co, ja mam ich wybić?! - krzyknął van Hongen.
- Nie, my zaatakujemy lotnisko od zewnątrz... za niecałą godzinę -
cywil spojrział na zegarek z fosforyzującymi wskazówkami.
- Jest tylko jeden kłopot: nie zdążymy przedostać się do pasów
startowych tak szybko, aby uniemożliwić pilotom poderwanie
maszyn. Samoloty pójdą w powietrze i zrzucą nam na głowy oraz na
pałac grad bomb i pocisków, chcemy tego uniknąć. Hangar, w
którym koczuje twój zespół, jest równoległy do pasów startowych.
Położycie na nich ogień w chwili naszego ataku, to wystarczy.
- Nie!
- Nie mów: nie, bo będziemy musieli cię zabić! - warknął oficer.
- Ty chcesz pójść w głąb kraju, żeby porachować się z FWL, bo bez
tego wielkie pieniądze przejdą ci koło nosa. Wiemy o tym, twój
dialog z Nyakobo był przez nas podsłuchiwany. Nyakobo nie może ci
już pomóc, od nas dostaniesz zgodę. Ale coś za coś! Nie graj przeciw
sobie samemu, nie wskrzesisz tego tłuściocha, a nowemu
prezydentowi się narazisz. Bez ciebie też zdobędziemy lotnisko, lecz

bitwa się przedłuży, a w jej ogniu może spłonąć twój sprzęt, nie mówiąc o ludziach. Teraz władza to my, nie masz wyboru!

- Jeśli tak... - powiedział van Hongen - ... to rzeczywiście nie mam wyboru. Zrobimy to.

W bramie lotniska przepuszczono ich dzięki tej samej kartce papieru. W hangarze Fritz kazał Lerocque'owi aresztować całą trójkę, wezwał pułkownika Oubu i zameldował o wszystkim, dodając:

- Trzeba jak najszybciej odbić pałac, może pan dysponować moimi ludźmi!

Oubu uściskał mu dłoń.

- Proszę to zostawić nam, poradzimy sobie jakoś. Tych zbrodniarzy zabiorą moi żołnierze. Dziękuję panu.

I odszedł wraz ze swoimi żołdakami i z aresztowaną trójką.

- Co tu jest grane? - zdziwił się Lerocque, ziewając i trąc niewyspane oczy.

- Komedia - odpowiedział Fritz, też ziewając.

- Jaka, do cholery, komedia?

- Komedia autorstwa pana Nyakobo, pod tytułem: "Test na prawdomówność, czyli sprawdzanie zięcia" - uśmiechnął się van Hongen. - Ale to, niestety, nie pański rodak Moliere. Zwyczajny kicz.

W hotelu "Cecil Rhodes" w Windhuk zatrzymali się (Mamulewicz, jego przyjaciel Cadenas i Guccioni) dłużej niż planowano; Guccioni miał jakieś tajne spotkania, a Mamulewicz nie zadawał pytań, sądził, że chodzi o "pukawki" i o amunicję. Chodziło o coś innego - o ludzi. Kapitan powiedział mu w czym rzecz, gdy zakończył pertraktacje:

- Udało mi się, Andrew, zrobić coś, co wydawało się nie do zrobienia ze względu na czas, bo takich rzeczy nie robi się w tydzień. A jednak! Nasz człowiek z Kapsztadu znalazł mi

pośrednika, który zbierze komando zawodowych "łowców głów" w niespełna tydzień!

- Więc Buso nie będą ci już potrzebni? - spytał Mamule.

- Zaraz, zaraz, poczekaj! Pierwsza rzecz to moja i twoja niepewność, czy Buso w ogóle zechcą coś dla nas zrobić, nie możesz tego zagwarantować. A druga sprawa, że nawet jeśli zechcą i dostaną od nas broń w najlepszym gatunku, to jeszcze nie staną się zawodowcami, nie będą się mogli równać ze Special Air Service. Wiesz, co to jest SAS? Albo Paras? Albo Royal Marines? Powiem ci, to żywe wcielenie supermana. W każdej z tych formacji, a głównie w Special Air Service, zresztą do SAS przechodzą i Spadochroniarze i orły z Królewskiej Piechoty Morskiej, więc to się miesza, otóż w każdej z nich istotą jest trening wyselekcjonowanej grupy ochotników. I selekcja, i trening są tak mordercze, że przy każdej z faz odpada do pięćdziesięciu procent ludzi, choć ci, którzy odpadają, to przecież i tak asy w porównaniu z przeciętnym, dobrym żołnierzem. Reszta dostaje się w tryby nieludzkiej obróbki, zwanej "wykańczalnią" i szlifującej psychiczną oraz fizyczną "zdolność przetrwania" w każdych warunkach, do granic ekstremalnych. Po takim piekle oni potrafią wszystko. Znają wszystkie techniki wschodnich walk. Są zdolni do bicia się i do rozwiązywania zadań taktycznych po czterdziestoosmiokilometrowym marszu w ciągu siedmiu godzin, a więc po czterdziestoosmiokilometrowym biegu z pełnym oporządzeniem! Wyrwani ze snu, znają każdy detal wszystkich rodzajów broni zachodniej, azjatyckiej i Układu Warszawskiego. Jeżdżą na nartach, pływają, nurkują, skaczą i pną się po górach jak mistrzowie. Z taką samą celnością potrafią oddać strzał albo serię strzałów, gdy stoją, siedzą, leżą lub przewracają się, z konia, z samochodu prowadzonego za pomocą jednej ręki, z motocykla i kajaka rozhuśtanego na wodzie... Andrew, mógłbym tak długo. Ile szans ma z nimi plemię twoich czarnych przyjaciół?

- W tym pytaniu jest błąd - odpowiedział Mamulewicz. - Twój wzorek matematyczny nie uwzględnił jednego składnika, ale za to najważniejszego, więc całe równanie jest do kitu. Ten składnik nazywa się: teren. Dla jednych teren własny, dla drugich teren obcy. Prawidłowe pytanie powinno brzmieć: ile szans ma zespół białych w dzikim, trudno dostępnym terenie czarnych? Nie jest to pytanie zadane przez amatora, boja tam byłem, a ty nie, Elvis. Tam cała "zdolność przeżycia" tych brytyjskich geniuszy pól treningowych, razem z karate i strzałami nocą do ruchomego celu z motocykla prowadzonego nogami, może się sprowadzić do chęci przeżycia za wszelką cenę, do spierniczenia, choćby na czworakach, byle z całą głową.

Guccioni nie dał się przekonać, lecz klócić się nie zamierzał, byłoby to stratą czasu. Rzekł:

- Dobra, ale zgódź się, iż procent naszej szansy wzrasta, jeśli połączymy grupę zawodowych najemników z twoimi Buso...

- Jak to, połączymy?

- No... jeśli będą walczyć ramię w ramię przeciw Anglikom.

- Nie będą. Przyrowadź im tych najemników, a nasz procent nie wzrośnie, tylko spadnie. Jeśli czarni przyjmą nas trzech, to i tak będzie o jednego za dużo, o ciebie, Elvis, bo ciebie nie znają, będę musiał zdobyć ich zaufanie dla twojej osoby, a to nie jest rzecz prosta, u nich zaufanie zdobywa się latarni. Gdybyś im przyrowadził grupę białych zbirów, z mentalnością zbirów, to jest z bezczelnością i z rasizmem zbirów, z głodem seksualnym tej zbieraniny i z jej wszystkimi nawykami, wśród których traktowanie Murzyna jak psa jest rzeczą oczywistą i tej oczywistości nie można ukryć, Negr ją natychmiast wyczuwa - to byłby koniec. Ożeń proch z iskrą, na jedno wyjdzie.

- Więc...

- Więc osobno jedni i osobno drudzy. I to jest dobry układ, Elvis, bo

wtedy masz dwie szansę, a niejedną. Gdy zawiedzie pierwsza, druga stanowi odwód, jeszcze nie przegrałeś. Dobrze jest mieć podczas wojny klapę bezpieczeństwa.

Fritz znowu ujrzał Nelinę, gdy Nyakobo zaprosił go na obiad. Stół mógłby pomieścić kilkadziesiąt osób, a jedli we troje, toteż van Hongena dzieliło od prezydenckiej córki kilka jardów. Potrawy miały dobry smak, lecz on czuł się zawiedziony: myślał, iż uraczą go menu regionalnym, tymczasem serwowano europejską kuchnię. Nelina, nic prawie nie jedząc, wpatrywała się w talerz - demonstrowała złość, co van Hongen tłumaczył sobie postępowaniem ojca, który stawiał opór jej planom. Lecz prezydent, który pożerał jedzenie niczym wielki wóz do wywożenia śmieci, patrzył na córkę z miłością i to uspokajało Holendra, bo tacy ojcowie rzadko mogą się oprzeć kaprysom swych córek.

O "spisku" nie rozmawiali, jakby nocą nic się nie wydarzyło. Był inny temat, wyprawa. Holender poprosił o kilku tłumaczy, niezbędnych wobec różnych dialektów na prowincji tangalandzkiej. Nyakobo obiecał trzech plus "oficera łącznikowego, poliglotę, który zna wiele dialektów" (Jervis i Lerocque liczyli się z tym, że tangijskie NB wsadzi im do zespołu kontrolera-szpiega, było to wliczone z góry). Przy deserze van Hongen zapytał, czy mógłby swoich rannych, jeśli będą ranni, odtransportowywać do szpitala rządowego w Matabele.

- Rannych się dobija! - zarechotał Nyakobo ustami białymi jak śnieg od kremu.

- Nie u nas - rzekł Fritz.

- Nawet rannych wrogów?

- No... to zależy...

- Humanitaryzm z podwójną moralnością, co?! - rozrechotał się

jeszcze mocniej Murzyn. - Biała dżentelmeneria! Humanitaryzm selekcyonowany...

- Panie prezydencie...

- Ależ tak, tak, wcale nie odmawiam! Oficerom mogę nawet udostępnić moją prywatną klinikę, jeśli tylko nie boją się czarnych łapiduchów i transfuzji czarnej krwi.

- Oni wszyscy, prócz mnie, boją się czegoś innego. Chodzi o ewentualne amputacje...

- A pan czemu się nie boi skracania kikutów?

- Bo mam podwójne obywatelstwo, niemieckie i holenderskie, nie zaś brytyjskie.

- To jakaś różnica?

- Owszem. W Anglii wysokość rent jest uzależniona od tego, ile cali liczy sobie kikut. Dlatego oni proszą, aby wasi lekarze, jeśli zajdzie taka konieczność, nie robili dużych cięć.

Prezydent wytarł usta serwetą, która zdjęła resztki kremu i uśmiech.

- To oczywiście żart...

- Nie, to nie jest żart - odpowiedział van Hongen. Nyakobo wpatrywał się w gościa tak zdziwiony, jakby ujrzał maskarę z kosmosu. Potem zdjął go śmiech niczym grzmot armat, aż się zapluł, a kiedy mu przeszło, promieniał całą twarzą:

- Panie van Hongen, jestem panu wdzięczny! Jak pan wie, czyszcze teraz Tangaland z nadmiernej liczby białych, co nie wszyscy dobrze rozumieją. Jutro mam przemówienie do narodu, w którym wspomnę i o tym. Mój naród nie lubi martwych przemowień, ja też. Opowiem im tę anegdotkę o kikutach, żeby mogli lepiej poznać raj białych, do którego niektórzy nazbyt tęsknią. Kapitalne! - klepnął się po udach. - No i powinienem być panu wdzięczny jeszcze za coś. Za to, że uratował pan mój największy skarb, radość mojego serca i mojej duszy. I powinienem panu dziękować. Ale za co mam panu

dziękować? Pan ją uwolnił i natychmiast zniewolił! Zwrócił mi pan dziecko, które zamiast o mnie, myśli tylko o panu!

- Ona pana bardzo kocha, ekscelencjo - rzekł Fritz - ale inaczej.

- Dzisiaj w ogóle mnie nie kocha, wciąż się ze mną kłóci, niegrzeczny bachor!

Czułość w głosie najedzonego prezydenta ośmieliła Nelinę:

- Tatku, czy ja i Fritz możemy się przespacerować?

- Gdzie?

- Do ogrodu.

- Idźcie do diabła, bachory, a ja pójdę się zdrzemnąć - kiwnął ociężałym łbem Nyakobo.

Ogród pałacu przypominał dżunglę, pełen tropikalnych roślin i gęstw, które trzeba było omijać, narkotyzujących zapachów i głosów afrykańskiego ptactwa; van Hongenowi zdawało się, że to ogród z bajek.

- O mnie kłóciłaś się ze starym? - spytał.

- Nie. O te dziwki, które trzyma w pałacu. Zwłaszcza o jedną, która się uważa za jego żonę i chce ze mnie zrobić popychadło, ale to się jej nie uda! Zagroziłam, że nie podejść do stołu, jeśli ona usiądzie z nami!

- I wygrałaś. Ty zawsze wygrywasz. Przytuliła się do niego.

- Pocałuj!

Pocałował, rzucił okiem za siebie, sprawdzając, czy nikt ich nie śledzi, uniósł jej szaty, przycisnął ją do gładkiego pnia i rozpiąwszy swój błyskawiczny zamek dał popis mistrzostwa, na widok którego śledzący ich agent wpadł w seksualny amok i zaczął się onanizować, nie spuszczać z nich wzroku.

W Stanach Zjednoczonych są najwyższe gmachy na kuli ziemskiej. Z wysokiego piętra takiego budynku świat jawi się niczym wybieg

dla robactwa i łatwiej podejmować decyzje o mrówkach bliskich i dalekich, glob jest jak laboratorium, w którym regulamin upraszcza każdą czynność, od badań do sprzątań, myśl przestaje się gubić w nadmiarze labiryntów i wpadać w zasadzki zwątpień, które czynią słabym. Jednak John Drews, stojąc pod niebem, przy oknie gabinetu należącego do pomieszczeń pewnej spółki handlowej, nie mógł się wyzbyć wahań. Towarzyszył mu prezes owego przedsiębiorstwa. Obaj czekali i to czekanie było pracą nadliczbową, po godzinach, panowała bowiem noc i do obu tęskniły w domach żony, nigdy niepewne, czy małżonek poświęca się tak dla kariery, czy dla sekretarki, oby wszystkim sekretarkom zarosły krocza!

Człowiekiem, na którego czekali, był szef CIA, James Fosterman. Spóźnił się kilka minut. Drews od razu przystąpił do rzeczy:

- James, kapitan zameldował z Windhuk, że ma grupę "żołnierzy szczęścia", zawodowców...

- Moment, John! Kim jest ten pan? - przerwał dyrektor CIA.

- Avery Goldween, prezes tej spółki, przecież ci mówiłem! Goldween uśmiechnął się i chciał podejść do Fostermana, lecz ten odwrócił się ku Drewsowi.

- Mówiłeś, iż mamy się tu spotkać, nie wiedziałem, dlaczego akurat tu, lecz uszanowałem twój kaprys! O tym, że będzie nas trzech, nie mówiłeś nic!

- James, to nieporozumienie... Myślałem...

- No to źle myślałeś!

- Panowie, jeśli przeszkadzam... - wtrącił się Goldween. Fosterman, ciągle ignorując tamtego, spytał Drewsa:

- O czym on wie? O wszystkim?

- No... tak... James, to jest mój zaufany człowiek! I to człowiek, który może nam bardzo pomóc.

Na Fostermanie nie zrobiło to wrażenia.

- O co chodzi?

- Już mówię, tylko usiądź, nie będziemy stać, to zajmie trochę czasu.

Fosterman oparł się pośladkami o biurko, tak iż pół siedział na krawędzi, pół stał. Drews i Goldween zajęli miejsca w fotelach.

- Myślałem o tym, co będzie - rozpoczął Drews - jeśli nasza hipoteza okaże się błędna, to znaczy jeśli skok Anglików nie jest akcją na tereny uranonośne Tangi, lecz ma za cel po prostu zemstę na partyzantach...

- Ma taki cel - rzekł Fosterman - ale jest on tylko przykrywką dla tamtego celu. Dawno skończyły się czasy, kiedy kanonierki brytyjskie pojawiały się tam, gdzie skrzywdzono jednego Anglika, żeby go pomścić. To było sto lat temu, ale królowa Wiktoria już nie żyje, Drews, a politycy są mniej romantyczni, o czym wiesz. Dowiedz się jeszcze czegoś: mam już agenta, a dokładniej mój agent w Matabele ma swojego człowieka wewnątrz tej ekspedycji i znam jej skład. Obok facetów z bronią jest tam grupa naukowców, w każdym razie na takich wyglądają. Jak myślisz, przyjechali po to, żeby robić badania anatomiczne na zwłokach terrorystów z FWL?

- W porządku - powiedział sekretarz obrony - co prawda nie jest to dowodem, tylko jeszcze jedną przesłanką, ale nawet gdyby było tak, jak przypuszczasz, problem, który chcę postawić, wcale się nie zmienił. Zamierzałem cię spytać: co robimy, jeśli oni nie wejdą na teren uranonośny, bo nie będzie ich interesował? Ale spytam inaczej: co robimy, jeśli nie wejdą na teren uranonośny, bo Guccioniemu i tym Buso uda się rozpieprzyć Anglików? Na jedno wychodzi: co robimy, jeśli tam nie wejdą?

- A co chcesz zaproponować?

- Żebyśmy wykorzystali okazję.

- Jaką okazję?

- Guccioni ma już grupę najemników, ale to mała grupa. Można ją powiększyć do dużego oddziału i zająć Keya, a następnie postawić

Nyakobo przed faktem dokonany i wymusić na nim koncesję dla naszych firm. Wiem, że wymagałoby to olbrzymiego szmalu, na oddział, na broń, na transport i na łapówki dla dworaków Nyakobo. Pan Goldween chce to sfinansować, pokryje wszystkie koszty!

Fosterman odepchnął się pośladkami od biurka, stanął przed Drewsem i rzucił mu w twarz:

- Dość!... Ten kapitan miał rację, nasz kraj toczy choroba. Nie tylko dlatego, że wszystko, co tajne, jest ujawniane i że Kongres stara się uczynić prezydenta eunuchem bez jaj. Także dlatego, iż ludzie twojego pokroju, skończeni głupcy, stanowią rząd! Szubrawcem mógłbyś sobie być, wielu z nas jest, ale głupota w tym fachu to śmierć siły politycznej państwa! Teraz, gdy mamy tyle kłopotów, chcesz zrobić prywatny numer grożący wojną i to z kim! Tak!... Ty durniu, wywołałbyś wojnę dyplomatyczną między nami a Anglikami tylko po to, żeby wykroić sobie w Keya złotonośną działkę!... Myślałeś, że się nie dowiem, co to za uran wykrył tam satelita Pentagonu? Już sam fakt, że myślałeś, iż ja się nie dowiem i że próbowałeś mnie wykiwać, świadczy o tym, jakim jesteś idiotą! Przyjmij do wiadomości, że nasza przyjaźń zdechła. Przyjmij też do wiadomości, że całą tę rozmowę nagrałem na magnetofon, który mam pod marynarką, więc nie próbuj kopać mi dołków, bo zdejmę cię ze stanowiska w ciągu dwudziestu czterech godzin, a Kongres postawi cię w stan oskarżenia za sprzedanie tajemnicy państwowej temu handlarzowi złota, który chce sobie odkuć to, co stracił na spekulacjach srebrem z braćmi Hunt! O tym, co i jak należy zrobić w Keya, kiedy już nie będzie tam Anglików, zadecydują inni, gdy przyjdzie na to czas, ty się z tego wyłącz i tylko życz Guccioniemu dobrej pogody!

Odwrócił się do Goldweena:

- A ty, cwaniaczk, rób dalej swój złoty interes z Południową Afryką i nie wpięprzaj się do Tangi. I milcz! Jeśli puścisz parę z gęby na

temat Guccioniego lub złóż w Keya, to tak jakbyś skoczył przez to okno. Jeden wyraz, komukolwiek, zapamiętaj, j e d e n, a drugiego nie powiesz już nigdy, ja się o to postaram!

Wychodząc chciał trzasnąć drzwiami, lecz wewnątrz zawiasów były hamulce do łagodnego przemykania i ten zamiar się nie powiódł.

Na styku nocy i ledwie szarzejącego dnia, w różowej poświacie, której błyski przenikały niebo, czyniąc zeń dwukolorowy obrus Pana Boga, poboczem Matabele sunął długi wąż samochodów. Wśród ludzi jadących samochodami Bride miał swojego człowieka, od niego dostał wiadomość, kiedy wyruszają. Lornetka, którą obserwował kolumnę maszyn, była dobrą lornetką, dawała mu przybliżenie wysokiego rzędu, lecz dystans był tak duży, iż w jej szklach sznur samochodów zdawał się bezgłośną procesją metalowych widm, sunących w ciszy przedporanka, i tylko obłoczki pyłu wydobywające się spod kół przywracały realność tym zjawom. Bride wiedział, że jeśli człowiek, który był jego wtyczką, wykona zadanie, jakie zlecił Fosterman, Anglicy zawrócą w pół drogi.

O tej samej porze, na tej samej półkuli, w dużym ceglanym budynku, którego zabytkowość, mierzona wiekiem i walorami artystycznymi, budziła podziw równy współczesnej jego randze, mierzonej siłą oddziaływania na świat, młody oficer zameldował się u starszego oficera, przepisowo salutując. Ów starszy spytał:

- Czy Mano jest gotów?
- Tak jest! - padła odpowiedź.
- Niech przystąpi do trzeciej fazy. Kiedy masz z nim kontakt?
- Jutro będzie na nasłuchu.

- Niech potwierdzi gotowość współdziałania wszystkich trzech plemion.

- Tak jest.

- To wszystko. Możecie iść.

Wracając do swego pokoju młodszy oficer uświadomił sobie, że od tej chwili jego los spoczywa w rękach Murzyna, którego nigdy nie widział na oczy. Lubił ryzyko, lecz ta loteryjność wydarzeń, na którą nie mógł już mieć wpływu, przyprawiła go o strach.

V. "Safari ya bwana Lerocque"

Na przedzie jechał opancerzony landrover, taki sam zamykał kolumnę. Pustkowie po obu stronach szosy nudziło i usypiało. W kilku samochodach rządził hazard karciany, bracia Clayton męczyli bez końca komputerową mini-grę "Puck-monster", której szaleństwo owładnęło nimi w Kanadzie, ktoś gryzł orzeszki, ktoś przeliczał swój żołąd na słodkie życie, Krzysztofeczko czytał, Lerocque studiował mapy, a Lorning myślał. Zaprzętnął swój mózg dylematem: dlaczego on, człowiek mądry, a nawet, co tu ukrywać, bardzo mądry, nie czerpie ze swej mądrości żadnego rozgłosu, nie cieszy się sławą i poważaniem, i nie chodzi w laurowych wieńcach nagród, tylko jedzie przez dziki kraj na końcu świata z bandą półidiotów i półzwierząt, podczas gdy głupcy zażywają rozkosznej nieśmiertelności w oparach kadzidel i pochwał, choć wcale na to nie zasłużyli? Exemplum: Andre Malraux, głupi jak każdy Francuz, Panie przestań już świecić nad jego grobem! Malraux potraktował w zenujący sposób Księgę Kohelet, gdzie Eklezjastes mówi: "Znalazłem jednego prawego mężczyznę pośród tysiąca, ale kobiety prawej w tej liczbie nie znalazłem". Zaprzeczył mu, popisując się przed de Gaulle'em, któremu wmawiał, że "jedyna naprawdę poważna część ludzkości to kobiety, bo one nie masakrują się nawzajem". Głupi lizus! Tak jakby świat się nie roił od Messalin, Agrypin, Katarzyn Medycejskich i rosyjskich, Elżbiet i rekinie mniejszego pokroju!... "Casablanca" nie miał wątpliwości (zrozumiał to już dawno), że najprzystojniejszą i najbardziej godną szacunku częścią płci odmiennej są prostytutki, w następnej więc fazie swych rozmyślań doszedł do wniosku, iż należałoby zdymisjonować Pana Boga i zastąpić kimś rozsądniejszym, choćby za to, że poraził AIDS-em nie

tylko pedałów i narkomanów, lecz i córy Koryntu. Ten etap lorningowego główkowania przerwał Lerocque, wstrzymując kolumnę i nakazując rozbić obóz noclegowy.

”Mina” ustalił z van Hongenem, że nie będą się zatrzymywać w miastach, jednak dopóki tylko się da, będą w nich uzupełniać zapas benzyny, albowiem w rejonie podgórskim stanie się to praktycznie niemożliwe (na powrót, trasą zupełnie inną, mieli zatankować w kopalni Tanga Mining Co.). Z obozu do miasteczka Hole było pięć mil; Lerocque wysłał tam Gurta i ”Beatlesa” z półciężarówką pełną kanistrów i dla osłony jeep z ”Rolls Roycem” i kilkoma ”chłopcami”. Wróciwszy do namiotu nie znalazł Lorninga, a gdy go zawołał, Jim Clayton rzekł:

- Szefie, przecież on pojechał z nimi.

- Jak to?

- Tak to, siedział w szoferce u Greka.

- Damned! - zaklął Lerocque, pełen niepokoju. - Znowu coś wykręci! Niech go!...

Po dwóch godzinach wrócili ”benzyniarze”. Spytał Downbridge'a:

- Gdzie profesor?

- Jechał z Grekiem. Lerocque podbiegł do jeepa.

- Gdzie profesor?!

- Przesiadł się na tamten wóz, wracał z nimi - odrzekł ”Rolls Royce”.

”Casablanca” zniknęła, co oznaczało, że został w mieście. Lerocque wziął dwa samochody i braci Claytonów z ich ludźmi, zostawił obóz pod komendą Downbridge'a i gnał do Hole, klnąc przez cały czas; towarzyszył mu oficer łącznikowy, porucznik Takebo-Otuma-Ganda-Wulelehotu itd. Minęła północ, gdy miejscowy komendant policji ustalił, że ”białego bwanę”, co miał czarny kapelusz, widziano w towarzystwie księdza Moko-Moko.

Zajechali pod niewielki, drewniany kościół, który wyglądał na

obskurną szopę i za taką dawałby się wziąć, gdyby nie dzwon na dachu i krzyż. Wewnątrz, w kiepskim świetle kilku lamp, falujący tłum czarnych, którzy swą aprobatę lub sprzeciw wyrażali za pomocą głośnych pomruków, kibicował dyspucie młodziutkiego księdza z “Casablanca”. Profesor, w drucianych okularach i bez kapelusza, wyglądał jak Gandhi wśród uczniów. Ksiądz się bronił, wiara na przemian w nim słabła pod wpływem retoryki białego, to znowu ją odzyskiwał, krzycząc:

- Nie, nie, nie! Kłamiesz, biały kłamco! Bracia, nie wiercie mu! On nie jest potomkiem Chrystusa, nie może być!

- Dlaczego nie mogę być? - spytał Lorning. - Tłumaczyłem ci już...

- Nie możesz - przerwał mu ksiądz - bo... bo Chrystus nie miał żony!

- A ty skąd to wiesz?

- Z Pisma Świętego!

- Drogi przyjacielu, Biblię już dawno uznano za zbiór bajd, pomyłek i przeinaczeń. Chrystus był rabim, czyż nie tak? Otóż niemożliwe jest, żeby ówczesny rabi nie miał żony. Po prostu nie mógłby się cieszyć takim autorytetem, jakim cieszył się Chrystus. Wesele w Kanie Galilejskiej to były zaślubiny Jezusa Chrystusa z Marią Magdaleną. Ich synem był Barabasz...

- Barabasz był łotrem! - zakrzyknął zdesperowany ksiądz.

- Eee tam! - machnął ręką Lorning. - Barabasz był synem Chrystusa, ale w przeciwieństwie do niego miał duszę pełną nienawiści do wrogów, przewodził ówczesnym partyzantom lub terrorystom, o wyzwolenie walczył nie słowem, lecz mieczem. Dlatego gdy Piłat dał Żydom wybór: Jezus albo Barabasz, wybrali wojownika.

Moko-Moko złapał się za kędzierzawą głowę i ryknął:

- Błuźniesz, łajdaku!

Salą (bo trudno było określić to “nawą”) wstrząsnął gniewny pomruk z wielu ochrypłych gardeł, a Lerocque, który przyglądał się

przez sznurki zwisające w wejściu, pełen zdumienia stwierdził, że ten agresywny bulgot, jak i grad złych spojrzeń oraz zaciśniętych kułaków, nie jest wymierzony w "Casablance", lecz w księdza! Lorning kontynuował, uciszwszy wrzawę ręką:

- Chrystus też wtedy nie umarł, mój drogi. Pamiętasz Nowy Testament? Jest tam scena, gdy ukrzyżowanemu podają gąbkę nasączoną octem i żółcią. Taką miksturę podawano niewolnikom na galerach, żeby podnieść ich sprawność, to był napój ożywiający! A tymczasem Chrystus napiwszy się go... od razu umiera! To oczywiste, że zamiast tej pobudzającej mieszaniny dano mu środek usypiający. I do tego nie połamano mu goleni, co zawsze czyniono krzyżowanym skazańcom. Wszystko w jednym celu: żeby mógł się obudzić, czyli zmartwychwstać, i odejść zdrowo. To był udany spisek jego zwolenników.

Ksiądz pochylił głowę, jakby przycisnął mu ją ciężar tej erudycji, i szepnął:

- To nieprawda! Mówisz, że odszedł... Gdzie odszedł? Z kim?

- Z Marią Magdaleną. Do Londynu, wówczas było to rzymskie Londinium. Żyli długo i szczęśliwie, płodząc dużo potomstwa. Jestem ostatnim ich potomkiem w prostej linii genetycznej.

- Na wszystko masz odpowiedź, szatanie! - jęknął ksiądz poprzez łzy.

- A ty byś jej nie miał - rzekł Lorning - gdybym cię zapytał, dlaczego dzień był taki upalny? Odpowiedziałbyś, że słońce to sprawiło. Prawda ma zawsze gotową odpowiedź.

Mówiąc to wstał. Tłum siedzący w kucki na udeptanej glinie, która była podłogą, zerwał się i zaczął tłoczyć do niego. Każdy z Murzynów miał w ręku gliniany dzbanek. Kładli te naczynia u lorningowych stóp, gdy nagle w Moko-Moko wstąpił lew. Zaczął kopać garnki, tłukąc je, rozlewając ich zawartość i krzycząc:

- Precz!... Precz z domu Pana! Precz antychryście i wy nieszczęśni,

oby nie było wam liczone, precz!!!

Pogrom naczyń wprawił Murzynów w amok. Rzucili się na księdza z pięściami i kopniakami; interwencja policjantów i chłopców z SAS uratowała go od ciężkich obrażeń lub czegoś gorszego.

Wracali w ponurym nastroju, czując wzajemną złość. Lerocque dał swojej uście:

- Byłoby tres, tres bien złamać ci kulas czy ukrzyżować, ale to już nie te czasy!... Cest damage, bo chyba tylko to mogłoby przemówić ci do rozsądku, "Casablanca"! Ale związać cię zawsze mogę, więc przestań robić takie numery!

Lorning nic nie odrzekł, głowa mu nawet nie drgnęła, wpatrywał się tępo przed siebie, w szybę samochodu.

- Słuchaj - zapytał Lerocque - czy oni zrozumieli coś z tego o czym gadałeś?

- Słowa rozumieli - mruknął Lorning - tu wszyscy mówią po angielsku. Sens to co innego, nie rozumieli nic.

- Więc czemu wściekli się na księdza? Cały czas byli po twojej stronie.

- Bo przedtem powiedziałem im, że jako wnuk Chrystusa rozmnażam wino i inne trunki metodą z Kany Galilejskiej. I rozmnożyłem, cholera, widziałeś, każdy przyniósł garnek bimbru, ale ten kretyn wszystko spaprał!

W reflektorowych smugach przed samochodem miotał się kłęb owadów, które ginęły na szybach, tak iż Lerocque musiał włączyć spryskiwanie i wycieraczki.

W przeciwieństwie do wielu innych plemion, zajmujących dużą część kontynentu lub rozrzuconych na znacznym obszarze, w licznych wsiach czy osadach, szczepek Buso miał tylko jedną wieś. Jedno miejsce dla wszystkich Busonów, potomków tajemniczego

plemienia, które przed wiekami wlokło się tu z odległych krain, z jakichś Lemurii czy innych zatopionych lądów, by osiąść w tych górach i z narodu stać się szczepem. Było to tak dawno, że nawet czarownicy nie umieli wywołać prastarych duchów, zaś uczeni albo nie mogli dotrzeć do skalnych gniazd albo spotykała ich śmierć w powrotnej drodze, bo podnóża tych gór zawsze spływały krwią. Pewne było, że "Synowie skał" zostali wyparci ze swych pradawnych siedzib; gwałt, któremu wówczas poddano łona ich kobiet, wlał w żyły Busonów krew rasy białej lub semickiej, dając im skórę jaśniejszą, orle nosy, cienkie wargi i brody, nie trzeba było uczonego, żeby to dostrzec.

Z nowej ojczyzny nikt już nie zdołał wypędzić Buso. Choć zachowały się wśród nich ślady matriarchatu (wyłącznie kultowe), stanowili plemię myśliwych i wojowników o niezrównanej sprawności, odepchnęli każdą najezdniczą falę, odcięli się od sąsiadów, nie dbając o przyjazne kontakty, ich górską forteca była enklawą i zarazem strażnicą, ryglowała skrzyżowanie kilku dróg, nie można jej było obejść, tak jak nie można było obejść Monte Cassino. Ten fakt sprawił, iż biała rasa poświęciła wiele wysiłku, by wykurzyć kluczników gór, ale był to stracony czas.

Mężczyźni Buso spiłowywali sobie zęby na ostry stożek, co zapewne niegdyś było oznaką ludożerstwa, teraz zaś totemicznym symbolem wojowników, który oznaczał ich duchowe pokrewieństwo z drapieżnymi zwierzętami o kłach ostrych jak końcówki strzał - waleczny wojownik był spokrewniony z tygrysem i lwem. Zatrute strzały dmuchaw i łuków stanowiły ich podstawową broń, do myślistwa i do wojen; mieli trochę starych strzelb po askarysach z Schutztruppe Lettow-Vorbecka, który zmagał się z Anglikami w 1917 roku niedaleko tych gór, oraz kilka springfieldów z okresu drugiej wojny światowej, lecz bardziej dla ozdoby i do robienia huku podczas plemiennych świąt. Od tajemniczych roślin typu

“strophantus hispidus” czerpali piekielną truciznę na groty strzał i na miotane z dmuchaw igły. Ów jad w ciągu kilku sekund przerywał działalność serca, bez względu na to, czy trafiony został człowiek czy słoń. Bali się tylko jednego stworzenia - był nim mały ptaszek, nietoperz lub owad, którego nazywali “nocnym duchem” lub “nocną śmiercią”, a który “napada po zmroku i gryzie”. Tym tłumaczyli epidemiczną w plemienu chorobę - ropne zapalenie płuc.

Największym szacunkiem otaczali ludzie Buso potomków swych królewskich rodzin; dawno utraciły one władzę, a społecznością plemienną rządził krąg starców i szamanów, lecz w tym szczepowym parlamencie latorośl eks-królewska (pra-pra-pra-prawnuki kacyków) reprezentowana była najliczniej. Krąg obradował wokół świętego głazu i gdyby nie to, że trzeba było siedzieć w kucki, można byłoby porównywać ów sejm z tureckim “dywanem”. Mamule oraz Julio Cadenas siadywali tak niegdyś, lecz dla Guccioniego była to nowość i bolały go ścięgna, nigdy w życiu nie kuczał długo, drętwiały mu nogi. I wciąż nie wiedział, czy uda się Busonów namówić. Wraz z tamtymi dwoma czekał na odpowiedź; zamiast tego szaman siedzący obok głazu-totemu raczył ich przypowieścią lub bajką:

- ...Nie kochał księżyca, ani gwiazd, ani chmur, ani drzew, kochał swą siłę. Miał siłę i miał pychę i miał nienawiść. Taki był damo...

Szaman mówił w swoim narzeczu i Guccioni nic z tego nie rozumiał. Jedno słowo obijało mu się wciąż o uszy, pochylił się więc ku Mamulewiczowi i spytał szeptem:

- Co to jest damo?

- Diabeł - odszepnął Polak.

- Diabeł? Po co on nam to gada?...

- Ciiii...! - syknął Mamule. - Obrazisz go nie słuchając! Czarownik, z głową uniesioną do góry i ze wzrokiem utkwionym

w wierzchołkach masywu, bardziej śpiewał niż mówił, przeciągając melodyjnie frazy:

- ...Miał swój dom, ale nie chciał kraść w swoim domu. Wyszedł na drogę i udał się nią tam, gdzie jego domu nie było. Teraz mógł kraść i czynić zło i krzywdzić. Taki był bowiem damo i taką miał duszę, złą jak bękart boga, który go stworzył. Hooooh. Krąg starszynny odpowiedział pomrukiem:

- Hooooh!

Czarownik ciągnął swój śpiew; jego trans nabierał mocy, a głos się wzmógł:

- ...Umiał biegać i skakać, i doganiać, i zachodzić, taki był damo. Był bękartem boskiego bękarta i był bardzo żarłoczny. Idąc drogą łapał zwierzęta i czynił je niewolnikami. Łapał ludzi i czynił ich niewolnikami. W końcu postanowił uczynić niewolnicą samą drogę. Złapał ją i uczynił niewolnicą. Hooooh!...

- Hooooh! - zabrzmiało echem w kręgu starców.

- ...Od tej pory droga służyła damo. Miał już zwierzęta i miał ludzi i miał drogę, ale nie miał żony. Damo zapragnął się ożenić. Droga powiedziała: chcesz poznać moją siostrę? Mogę cię do niej zaprowadzić. Zaprowadź mnie do niej, rzekł damo, a ja uczynię z niej moją żonę lub niewolnicę. Poszli razem na koniec drogi. Droga dobiegła kresu i pokazała: oto masz moją siostrę! Mój koniec to moja siostra! Damo powiedział siostrze drogi: teraz uczynię z ciebie moją żonę lub niewolnicę. Uczyni to, odrzekła siostra drogi, uczyni, niech zapadnie cisza. Damo chciał ją złapać, i złapał, i objął. Wziął w ramiona siostrę drogi, a ona przytuliła go do siebie. Damo spłynął krwią i przestał żyć. Siostrą drogi była śmierć. Bóg odetchnął i zapadła cisza. Hooooh!

- Hooooh! - przebiegł wzdłuż kręgu pomruk i nastąpiło milczenie.

- Co on takiego mówił? - zapytał Guccioni.

- Że diabeł idąc swoją drogą znalazł śmierć na jej krańcu - odpowiedział Mamule.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że znowu masz fart, bo Anglików spotka tutaj śmierć, to będzie koniec ich drogi.

Kapitan pomyślał, że jego fart objawia się afrykańską czkawką: znowu, tak jak przed kilkoma dniami, na to samo pytanie dostał odpowiedź baśniowym głędzeniem. “Czy tu nikt nie umie odpowiadać wprost, może to klimat? Jeszcze trochę i sam się tym zarazę, a wówczas w Stanach odeślą mnie do domu wariatów!”.

Z początku mieli pod kołami asfalt szosy B-12 (dziurawy, ale jednak asfalt), tej samej, na którą komendant Garo wyrzucał trupy zakładników z regularnością szwajcarskiego czasomierza (jeden trup co miesiąc). Połknęli bez żadnych przeszkód bardzo dużo mil i dopiero za drugim miastem, Tamuono, zjechali w bezdroża, gdzie trzeba było posuwać się wolniej, uważając na każdy jard. W Tamuono po raz ostatni zatankowali benzynę, dalej nie mogli liczyć na dystrybutor.

Płaskowyż, na którego horyzoncie majaczyły wierzchołki gór, osiągnęli 29 września. Nie był to dobry dzień. W południe Ron Boster (z grupy Haltreya), któremu Lerocque kazał rozdzielić bekonowe puszki (jedną na dwóch), zrobił głupi żart - złośliwie przydzielił ostatnią dla Farloona i Krzysztofeczki, udając, że nie wie, co obydwaj do siebie czują. “Chris” i “Amber” skoczyli sobie do oczu; tym razem Lerocque ukarał tylko Bostera, obcinając mu tygodniowy żołd.

Po południu ujrzeni niewielką osadę. Wyrastała przy styku trzech pokrytych zielenią kotlin. Wyżej, na płaskich zboczach, widniały gliniane murki pojedynczych domostw, w dole rzeka obejmowała półkolem zbiorowisko trzcinowych dachów i duży plac targowy. W powietrzu snuły się wąskie nitki dymów z ognisk, przecinane wyścigami ptactwa. Dalej rozciągało się pustkowie, aż po kres

widoczności wyjąłowane z życia ludzkiego. Lerocque przyglądał się przez lornetkę Murzynom na placu targowym, potem rozkazał zawrócić i skrajem płaskowyżu wyminęli osadę. Parę mil posuwali się wzdłuż potoku ściekającego do rzeki. Oślepiały ich promienie słońca, które świeciło prosto w twarz. Nagle usłyszeli pokrzykiwania i wchłonęli cuchnący aromat zbiorowiska ludzkiego. Za stokiem obrosłym krzewami spalonymi przez żar kryła się wieś. Tej nie mogli wyminąć.

Ludność wybiegła im na spotkanie, uśmiechając się, wrzeszcząc i robiąc pantomimiczne przedstawienie z przyjaznych gestów. Co najmniej połowę stanowiły dzieci. Zderzak pierwszego samochodu rozpychał tłum. Dzieciarnia czepiała się błotników, wskakując na wszystko, co wystawało o tyle, żeby można było postawić kawałek stopy, a gdy zaległa na maskach, kierowcy stracili widoczność. "Lerocque gang" miał to już przerobione w dawnych kampaniach afrykańskich i wiedział, jak się uwolnić. Kanetopouliu i "Beatles" cisnęli grad czekoladowych batonów na ziemię z obu stron kolumny, co w mgnieniu oka pozbawiło samochody pasożytów. Dzieciarnia rozpoczęła bitwę o słodkie "przepustki", wzniecając u stóp domostw tumany pyłu, a kierowcy przycisnęli gaz.

Niecałą milę dalej zatrzymała ich rzeka. Musieli ją przekroczyć, a nie wiedzieli gdzie, choć bliskość wsi mówiła, że bród jest niedaleko. Nadchodził zmierzch, "Mina" zdecydował się rozbić obóz. Nim strawa w kotłach uległa zagrzeniu, a namioty uzyskały sztywność pod wpływem lin, złożono im wizytę. Dwadzieścia kilka kobiet, a właściwie dziewcząt, usiadło na ziemi, kilkanaście jardów od skraju obozowiska, i spoglądało na nich nie robiąc żadnych gestów. Były czarne jak agat, zgrabne jak kariatydy i prawie nagie, z płócienną ni to spódniczką, ni przepaską na biodrach, z koliai nizanymi z muszel na szyjach, z mosiężnymi bransoletami na nogach i przegubach rąk. Już we wsi Lerocque miał złe przeczucia, widząc ich

urodę. Jeszcze się łudził, że przyszły tylko coś wyzebrać. Spojrzał na porucznika Takebo.

- Czego one tu chcą? Po co przyszły?

- Po luluputu. Chcą się z wami pieprzyć, dowódco - uśmiechnął się porucznik.

- Ich mężowie wysłali je tutaj?

- Nie, w tym plemienu mężatka stanowi prywatną własność swego męża i nie może łązić goła, ma spódnicę od pasa do kostek, po tym można ją odróżnić od dziewcząt, które są własnością wszystkich i mogą się różnić z kim mają ochotę. Teraz mają apetyt na was.

Lerocque odwrócił się. Za jego plecami stało kilkudziesięciu mężczyzn, wszyscy, z ekipą geologów włącznie! Kilkadziesiąt par oczu pożerało, rozbierało, gwałciło czarne piękności. Dziewczęta zaczęły wstawać. Miały leniwe, ociężałe ruchy, a ich przydymione oczy znały dobrze umiejętność wymownego spojrzenia. Zakaz nic by tu nie dał; spróbował powstrzymać amok inaczej:

- Proszę bardzo! - krzyknął. - Kto chce zdechnąć na AIDS, niech się bawi!

To ich zmroziło, wiedzieli, że Afryka jest wylęgarnią AIDS. Nie przewidział sprytu braci Clayton, którzy byli już w Afryce, cierpieli na męską odmianę nimfomanii i wiedzieli z gazet, gdzie zrodziła się AIDS. Jim skoczył do samochodu, przyniósł duże pudełko prezerwatyw, wyjął jedną dla siebie, a drugą podał bliźniakowi. Natychmiast otoczył go tłum klientów.

- Jim, daj jedną! Stary, i dla mnie, i dla mnie!

- Dwadzieścia dolców sztuka! - oznajmił Clayton.

- Zwariowałeś, skurwielu! - ryknął Frost. - Dwadzieścia dolców za jedną gumę?!

- To owiń sobie fiuta dwudolarówką, będziesz miał tańszy kondonik - poradził mu niewzruszony Clayton.

Znalazł nabywców, lecz raptownie jedna z dziewcząt podbiegła ku

nim i zaczęła gestykulować, wykrzykując coś, czego nie rozumieli. Lerocque spojrział na Takebo.

- One nie chcą kondonów - wyjaśnił porucznik. - Możecie to schować, nie godzą się na to. One tu nie przyszły po prezent lub napiwek. One chcą urodzić jaśniejsze dzieci, wodzu, to zwiększy ich ważność i godność, to tutaj chluba, duma i honor. To jest walka o pozycję we wsi...

- Nie tylko tutaj - wtrącił "Casablanca" - w każdym kraju i pod każdą szerokością geograficzną kobiety walczą o wyższą pozycję rozkraczając nogi. Nie musicie mieć kompleksów, poruczniku. Dupa to ich jedyny instrument w walce hierarchicznej i karierologicznej, czarne, białe, żółte, brązowe i czerwone, bez różnicy, różnić je może tylko regionalny folklor podawania sromu, ale to już wchodzi w zakres gimnastyki. Są skazane na ten oręż, innego natura im nie dała, to biologiczny handicap. Odkąd istnieje cywilizacja, nie narodził się ani jeden Leonardo lub Napoleon czy Einstein w spódnicy...

- Ken, stul dziub! - warknął Lerocque, przerywając tokowanie Lorninga.

Nie wiedział, co robić. Takebo wzruszył ramionami:

- Tu nie ma AIDS, wodzu. AIDS jest dalej na północ, zaczyna się jakieś tysiąc mil stąd. Ci tutaj żyją długo i zdrowo.

Lerocque uświadomił sobie, że może rozkazać prawie wszystko. Może gnoić za wzajemną antypatię tych dwóch, Polaka i Amerykanina. Może postawić obraźliwy szlaban przed Nortoltem. Może tłumić burdy, karać, nawet wieszać i rozstrzeliwać. Ale nie może powstrzymać stada głodnych samców. I siebie samego. To nie było w jego mocy.

Chwycił za przegub rozgestykulowaną Murzynkę i zaprowadził do swojego namiotu.

Mano (Huari-Loba-Guala-Mano) nie był afrykańskim wojownikiem (stereotypowe wyobrażenie to w tym przypadku facet z liśćmi wokół bioder, z oszczepem, łukiem i nagim torsem, w którym bije serce lwa), tylko afrykańskim bojownikiem (stereotypowe wyobrażenie: facet, który ma wokół bioder pas z komorami do nabojów, w jednej dłoni “rozpylacz”, a w drugiej niewielki “katechizm” z ideami i cytatami, oraz panterkę kryjącą tors, w którym bije dubeltowe serce lwa i lisa). Mano bezbłędnie mieścił się w ramach drugiego stereotypu.

Pochodził z plemienia Ourima i należał do psów prezydenta Nyakobo. Był (w randze kapitana) “inspektorem armijnym”, dogładcą i kontrolerem trzech dywizji plemiennych Tangalandu - sprawdzał lojalność kadry oficerskiej. Otrzymał duże uprawnienia: wolno mu było kaptować sobie konfidentów w sztabach dywizyjnych i spotykać się z nimi w ustronnych miejscach, gdzie składali mu donosy na swych kolegów i zwierzchników. Nyakobo był kontent z jego prac, dzięki niemu dowiadywał się, którzy oficerowie są “podejrzani”, którzy “niepewni”, którzy “wykazują małą gorliwość”, którzy “popadli w malkontenctwo”, a którzy “coś knują”. Wszystkich zadenuncjowanych bezzwłocznie dymisjonował przy pomocy takich środków jak “samobójstwo”, “wypadek przy czyszczeniu broni”, “wypadek drogowy”, “zniknięcie” lub “niestrawność”, co skutecznie wzmagало terror; strach oficerów, którzy jeszcze mogli żyć, po każdej czystce przeradzał się w paniczny lęk. Wszelako każda czystka powodowała luki w kadrze i luki te trzeba było zapełnić. Do tego również służył wywiad kapitana M. Zwolnione miejsca zajmowała młodzież, której lojalność on poręczył w oparciu o informacje swych konfidentów. Byłby to już obwód zamknięty, gdyby nie czujność prezydenta Nyakobo, który do najbardziej zaufanych ludzi czuł ograniczone zaufanie.

Działalność kapitana Mano również podlegała dyskretnej kontroli. Zajmowała się tym specjalna komórka policyjna, którą kierował major Behulu. Dopiero tutaj kółko się zamykało. Anglicy nazywają taki system ubezpieczeń: “police that polices the police” (policją, która kontroluje policję). Prezydent Nyakobo miał pewność, że jego mechanizm śmiertelnych degradacji i łaskawych awansów w wojsku zapewnia mu oparte na strachu i wdzięczności posłuszeństwo tego wojska, nie mówiąc już o tym, że dywizje wywodziły się z plemion zantagonizowanych między sobą, w sumie: armii nie należało się bać. Gdyby ktoś mu powiedział, że jest dokładnie na odwrót, bardzo by się zdziwił. Ale tego nikt mu nie powiedział.

Opisany wyżej aparat kontroli był tym prostym (lub skomplikowanym, patrząc z innego punktu widzenia) sposobem, za pomocą którego kapitan M. likwidował oficerów mogących się przeciwstawić jego planom i forował na oficerskie stanowiska ludzi skłonnych poprzeć jego plan. Plan był jeszcze prostszy (choć biorąc pod uwagę stopień ryzyka, system panującego terroru i podziały plemienne - bardzo skomplikowany przy przejściu z teorii do praktyki): zakładał eliminację prezydenta i zmianę ustroju społecznego państwa. Podobnie miała się rzecz z samym spiskowaniem: duża łatwość (Mano mógł bez podejrzeń spotykać się ze swoimi kiedy i gdzie chciał, formalnie były to spotkania z gronem szpiegów) i duże ryzyko (jeden zdrajca oznaczał koniec). Dlatego kapitan starannie dobierał udziałowców swej gry, w czym mu pomagał major Behulu. Ich dwóch dobrano wcześniej - uczynił to wywiad któregoś z sąsiednich państw (gdzie już panowała wolność i lud płakał ze szczęścia, a rząd martwił się tylko tym, że u sąsiadów nie jest tak samo), przy zastosowaniu rutynowych metod, praktykowanych przez wszystkie wywiady świata. Był to drugi obwód, autentycznie zamknięty. Ktoś lubujący się w metaforach mógłby rzec, iż jest to pętla na szyję Nyakobo.

Aby móc myśleć o jej założeniu, trzeba było dokonać rzeczy, którą wielu uważało za niemożliwą: pogodzić trzy zwaśnione plemiona, a dokładniej ich hierarchię. Stara hierarchia nie nadawała się do tego, zbyt mocno wrosły im w serca zadawnione urazy, nienawistna pamięć jest najcięższą z blokad. Starych kacyków należało przenieść do krainy ojców, którzy robili sobie na złość. W tym pomógł kapitanowi M. prezydent: obejmując władzę eksterminował każdą z trzech rodowych starszyzn. Niedobitków i ich potomstwo myślące tylko plemiennymi kategoriami wykończył "armijny inspektor" za pomocą swych donosów. Pozostała młodzież z rodzin mniej szlacheckich, która nie miałaby żadnych szans awansu, gdyby Nyakobo i Mano nie wykończyli arystokracji rodowej. W każdym z trzech plemion grono tych młodych wilków, u których ambicja przyćmiewała tradycję i pamięć, bez większych oporów poddawało się agitacji na rzecz zaniechania raz na zawsze waśni plemiennej, wyzwolenia narodu i stworzenia sprawiedliwego państwa, to jest takiego, w którym oni dorwą się do foteli i krzeseł prominenckich, i będą siedzieć przy kranach z forszą, władzą i sławą.

Lecz to - cicha umowa między plemionami o zakopaniu ostrzy wojennych - to był wstęp. Potem należało obalić prezydenta i zdobyć pałac, wyrzynając ourimowskie plemię gwardzistów. Zdrowy rozsądek mówił, iż jest to coś niewykonalnego z tyłu przyczyn, że lepiej w ogóle o tym nie myśleć. Każda z dywizji plemiennych dysponowała amunicją na godzinę walk. Żadna nie miała ciężkiego sprzętu. Nawet gdyby uderzyły razem na pałac, byłby to szturm samobójczy, gdyż gwardziści z plemienia Ourima dysponowali każdym sprzętem i nieograniczoną liczbą pocisków. Do tego teren przedpałacowy, od wewnątrz (dziedziniec, ogród, podjazd, etc.) i na zewnątrz (strefa forteczna i "pas nieprzekraczalności"), stanowił szachownicę zdalnie uruchamianych min (z dyspozytorki w pałacu) - wysadzając kolejne pola szachownicy można było zdziesiątkować,

zmasakrować i w końcu eksterminować dowolną liczbę fałszurmowych. Do tego koszary dywizyjne też podminowano. Do tego rodziny oficerów mieszkały w obozie stojącym na minach. Do tego korpus lotniczy składał się również z plemiennych ziomków prezydenta i mógł od strony niebios wkopać każdy bunt do grobu za pomocą bomb, rakiet i działek pokładowych.

30 września Mano zebrał spiskową elitę, zarządził ostateczne przygotowania do ataku i zapewnił, że nie wybuchnie ani jedna mina, a żaden samolot nie poderwie się z ziemi. Uwierzyli mu. Szczegóły omawiano przez kilka godzin. Na koniec jeden z oficerów spytał, myśląc o sąsiednim państwie:

- Czy ich armia będzie mogła nam pomóc?

- Tak, ale dopiero wówczas, gdy opanujemy pałac i utworzymy nowy rząd, który, jeśli znajdzie taka potrzeba, zaprosi ich. To konieczność uwarunkowana międzynarodowymi regułami gry politycznej - odparł Mano.

- A jeśli wówczas RPA zareaguje? Oni mogą...

- Oni mogą zesrać się we własne nogawki - prychnął kapitan.

- W razie czego bezzwłocznie wybuchną tam rozruchy przeciw apartheidowi i Afrykanerzy będą musieli zamienić się w strażaków gaszących własny dom. Niech tylko spróbują pogrozić nam palcem!

Okazało się, że pół mili od miejsca, gdzie rozbito nocleg, jest nie tylko bród, lecz betonowa szosa przez rzekę i przez moczary po obu brzegach. Nawet czołgi mogłyby pójść nią bez zamoczenia gąsienic. Lerocque wiedział, że armia Tangalandu nie prowadzi żadnych operacji tak daleko od Matabele, gdyż prezydent chce ją mieć pod ręką, więc był zdziwiony. Przecież nie wybudowano takiego "mostu" dla jednej, lub choćby kilku osad. Impossible! Spytał oficera łącznikowego:

- To wojskowa robota?

- Tak - uśmiechnął się porucznik.

- Nie przypuszczałem, że prezydent aż tak się troszczy...

- Prezydenta nie było wówczas na świecie. To dzieło Anglików. Bawili się tu z Niemcami w berka, mieli ciężki tabor i wielokrotnie musieli przekraczać nurt, więc wykonali tę przeprawę i zostawili posterunek.

- A skąd wzięli cement? Taką ilość!

- Od termitów.

- Od termitów?!

- Tak. Przywieźli tu ciężarówką dwa czy trzy kilkumilionowe roje. "Mina" słyszał co nieco o Lettow-Vorbecku, o jego Schutztruppe i o walkach z Anglikami podczas pierwszej wojny światowej. Termitiery widywał na szlakach swych afrykańskich przygód. Wiedział, iż termit wszystko, co popadnie, błyskawicznie obudowuje cementem zrobionym z ziemi i własnej wydzieliny; kiedyś w ciągu dwóch godzin banda termitów zamurowała mu w ten sposób buty, które wystawił przed namiot. Ale żeby całą drogę! Na mokradłach! Takebo wyjaśnił mu ten cud: groblę usypaną przez bagno i przez dno rzeki odsłonięte, gdy była susza, przykryto warstwą słomy, a milion termitów pokrył słomę swoim "cementem" w ciągu dwóch dni; ubito "cement" i narzucono kolejną warstwę słomy, horda termitów wykonała i ten obstalunek; pięć razy powtórzono operację, aż powstał "betonowy" szlak, tak twardy, iż przez dziesięciolecia nie poddał się tropikalnym ulewom.

Zachwyt Lerocque'a szybko skisł, gdy tłum, który ich zegnał przy zjeździe do "mostu", zaczął wiwatować na cześć "Safari ya bwana Lerocque!" (wyprawy pana Lerocque'a). "Co za skurwysyn nauczył ich wymawiać moje nazwisko?! - pomyślał Lerocque. - Któryś z tłumaczy, albo któryś z tych, co różnili się aż do świtu i jedna z dziewcząt rozpuściła!...". Wrzask przerodził się w skandowanie do

rytmu tanecznych podrygów; cała wieś zaczęła płaszać, krzycząc:

- Sa-fa-ri-ya-bwa-na-Le-rocque! Sa-fa-ri-ya-bwa-na-Le-rocque!

- Zawsze chciałem być sławny - mruknął z przekąsem do Downbridge'a. - Niech to piorun!... Jak ci będą tak wyć, to inni usłyszą o nas w całej Afryce, nawet pod piramidami! Tylko tego nam brakowało! Do samochodów, ruszać!

Za rzeką ciągnął się miejscami zielony, miejscami kamienisty płaskowyż, którego pochyłość była prawie niewidoczna. Zrobiwszy kilkanaście mil napotkali rozlewisko, a przy jego krańcu potok, płytki, lecz z grząskim dnem, pierwszy samochód zarył się w muł i trzeba go wyciągać za pomocą lin przyczepionych do ciężarówek.

- Nie przejdziemy - stwierdził Downbridge.

- To przejdziemy, puste wozy przejadą. Ładunek trzeba przenieść - odpowiedział Lerocque.

- Ciężarówki nawet puste nie przejadą.

- Ale przejadą landrovery i jeepy, i jeśli któraś z ciężarówek się zaryje, to ją wyciągną na tamten brzeg.

Rozładowali wszystkie samochody i ogarnęło ich przerażenie; stos skrzyń, pudła z amunicją, prowiant, broń, kanistry, zapasowe opony i cała reszta, leżąc w cieniu plandek wozów były niczym; teraz, leżąc w piachu, wyglądały jak Himalaje do przeniesienia na rękach. Zaczęto się kłócić, ludzie z SAS żądali, by "panów uczonych" też pogoniono do dźwigania, przynajmniej własnego sprzętu. Geolodzy zgadzali się dźwigać, lecz "proporcjonalnie", według zasady "wszyscy po równo", a nie "każdy swoje" (ich sprzęt zajmował cztery ciężarówki). "Casablanca" parsknął śmiechem:

- Afgańczycy mówią: "Ja emir i ty emir, więc kto będzie poganiał osły?"... Jeśli chodzi o mnie, to jest mi wszystko jedno, kto mnie będzie prznosił, byle nie pan Nortolt, mógłby po drodze szczypać... Zresztą, niechby nawet, ale mógłby też głośno myśleć, tego bym nie zniósł!

Nortolt spojrział na niego jak na psie gównu i rzucił pomysł:

- Widzieliście ciężar, który noszą na głowach te Murzynki? Spróbujemy tą metodą, jeśli głowa może udźwignąć więcej...

Lerocque pomyślał: "Debil! Ken ma słuszność...", i wyraził to z francuską elegancją, którą odziedziczył po tatusiu:

- Nie każda, kapitanie Nortolt, nie każda. Pańska głowa nadaje się do myślenia, nawet abstrakcyjnego, co usłyszeliśmy przed chwilą, lecz nie do dźwigania ciężarów. Murzyn ma to we krwi i w budowie czaszki, nawet murzyński brzdąc, kilkunastolatek, wsadzi na łeb trzydziestokilogramowy bagaż i poniesie przez dwadzieścia kilometrów, o czym pan nie może śnić. Gdy pańska narzeczona z wczorajszego wieczoru urodzi wam synka, on też nie będzie tragarzem-głowaczem, bo jak stwierdzono, kilka zaledwie kropel białej krwi odbiera tę zdolność...

Słuchając, Lorning cmokał w duchu; ów zachwyt sprawiły prześlicznie maskowane złośliwości w tym, co mówił Lerocque. Ze sceptycyzmu wobec inteligencji przyjaciela profesor nie zamierzał rezygnować, lecz uświadomił sobie coś bardzo ważnego. Że nawet głupawy Francuz ma tak cudowne, wrodzone poczucie humoru, które wszczepił we francuską krew błyskotliwy i złośliwy Wersal doby rokoka, iż czasami robi się z niego prawdziwy inteligent, i że brytyjski inteligent, aby mu w tym dorównać, musiałby bardzo dużo ćwiczyć i jeszcze nie miałby gwarancji sukcesu, albowiem jedyny nad Tamizą geniusz ciętego języka, Oskar Wilde, był pedałem, niczego więc nie mógł przekazać biologicznie następnym pokoleniom swych rodaków.

"Mina", mając dość głądzeń, chwycił dwa kanistry i przeniósł je przez nurt. Inni, już nie dyskutując i nie kłócąc się, poszli w jego ślad. Do wieczora przenieśli wszystko, przeciągnęli samochody i po drugiej stronie potoku rozbili nocleg. Byli tak zmęczeni, że nie chciało im się jeść. Gdyby ktoś przyprowadził im wczorajsze

dziewczyny lub nawet dwakroć piękniejsze, posłaliby ów burdel do stu diabłów. Zmęczenie sprawiło i to, że “erotomani”, dzięki którym czarne dziewczęta poczuły się dowartościowane, przestali przygryzać kilkunastu “impotentom”, którzy odmówili sobie erotycznych uciech (do “impotentów” należał również Fritz, chociaż miał wielką ochotę na wcześniej już skosztowany czarny owoc, lecz samozachowawczy instynkt go wstrzymał - nie była to obawa przed AIDS, tylko przed prezydentem i jego córką).

O wczesnym świecie “Chris” poszedł do strumienia, żeby się wykapać. Niebo było z bajki, miało różowy kolor, jakiego nie widział nigdy przedtem. Zanurkował w jedynym miejscu, gdzie głębokość przewyższała stojącego człowieka, a gdy wypłynął, usłyszał:

- Spierdalaj z mojej wanny, impotencie!

Obok pływał Farloon, który wcześniej wlaźł do tego dołka. Krzysztofeczko nic nie odrzekł, tylko splunął wodą, tak jakby pluł śliną pod nogi. “The Amber” zbliżył się do niego. Miał oczy jak rekin, który wacha ofiarę nim zacznie atak. - Natura poskąpiła kuśki. ale nie jesteś bez szans, benzyniarzu! - drwił. - Wiesz jak mógłbyś zadowolić dziewczynę? Pistoletem ze szlauchu od dystrybutora, w tym jesteś dobry. Przyszyj go sobie pod pępkiem i machaj, może jakąś ślepą skusisz. Kłopot w tym, że tu nie ma dobrych chirurgów, którzy mogą zrobić ci przeszczep...

- Twój kłopot to fakt. że tu nie ma dobrych dentystów, którzy mogą zrobić ci nowe zęby! - odwarknął Polak.

Tłukli się w wodzie i na brzegu, jak dwóch nagich gladiatorów podczas igrzysk. Doktor Morgan, który też miał ochotę na wczesną kąpiel, rozdzielił ich grożąc, że zawoła dowódcę wyprawy. Potem wrócił do obozu, przyniósł swój neseser, opatrzył im zakrwawienia i przypudrował sińce, żeby Lerocque nie mógł spostrzec i ukarać.

Lord Benton-Howley był esencją elitarności i symbolem „high-life'u”, jak skrzypiące siodło pod tyłkiem arystokratycznej amazonki. Był także wzorem dobrego wychowania - miał nienaganne maniery. Cuchnął koniem i “skrzypiał” (to jest używał wulgarnych słów) tylko na pokaz, dla “fraternizacji” (dla zjednywania sobie niektórych ludzi, na przykład z SAS, gdzie było wielu supermanów prostaków, z którymi należało gadać ich językiem) lub przez wymuszoną użyteczność, albowiem charakter jego zadań i kontaktów zmuszał czasami do użycia mocnego słowa. Zaczynając karierę nie robił tego, gdyż się tym brzydził, co niejednen z podwładnych odczuwał jako demonstrację wyższości i sam zachowywał dystans wobec “arystokratycznego bubka”; jego ówczesny szef zmusił go do mimikry, tłumacząc:

- W tym fachu nieraz język to klucz. Bądź lordem, kiedy nie musisz być woźnicą, lecz kiedy musisz być woźnica, to nim bądź! Każdy zawód i każda sztuka mają specyfikę swych własnych reguł, nie można ich lekceważyć lub ignorować, bo ludzie cię odrzucają. Jeśli robisz film o średniowieczu, to musisz pomalować świnie na czarno, w średniowieczu nie było różowych świnek.

Dlatego lord Edgar Benton-Howley kłął, lecz nigdy nie weszło mu to w krew - w przeciwieństwie do innych, którzy klną. nigdy nie zaklął w myślach. Aż do momentu, kiedy pomyślał: “O kurwa!”, usłyszawszy to, z czym przyszedł osobnik legitymujący się metalową plakietką w skórzanej ramce.

Ów człowiek był pracownikiem jednej z sekcji kontrwywiadu MI-5. a więc podwładnym Bentona. Lecz to nie dawało takich praw, jak włożenie do lordowskiego gabinetu bez zgody i bez telefonu z biura przepustek. A jednak wszedł.

Dlaczego moja sekretarka nie uprzedziła mnie o pańskiej obecności? - zdziwił się Benton.

Bo moja wizyta była dla niej zaskoczeniem - odparł intruz. Benton

podbiegł do drzwi, otworzył je i zobaczył sekretariat pełen ludzi grzebiących w szafach, szufladach i we wnętrznościach telefonów.

- Co to jest?! Co oni robią?! - wykrzyknął.

- Rewizję.

- Rewizję?!... Gdzie jest panna Goodward?

- W drodze do naszego biura. Tam ją przesłuchamy i odeślemy do aresztu.

- Do aresztu?!!

- Aresztowanych osadza się w areszcie, proszę pana.

Intruz mówił sucho, bez złośliwości, lecz chociaż miał poważny ton, w jego ostatnich słowach była złośliwość. Kim pan jest?

- Kapitan Crumb.

Benton wrócił do biurka i ciężko usiadł w fotelu.

- Za co ją aresztowano? - spytał.

Musiał spytać, choć pytanie było idiotyczne, nie aresztowano by za kradzież lub za mord sekretarki szefa wszystkich służb specjalnych bez uprzedzenia go o tym, tylko jedna rzecz mogła to spowodować.

- Za szpiegostwo - usłyszał zgodnie z oczekiwaniem. - Pracowała dla Amerykanów, ale może nie tylko dla Amerykanów... Musimy się dowiedzieć, czy pracowała tylko za dolary, czy i za ruble. To pierwsze nie tragedia, lecz jeśli...

"Wystarczy to pierwsze" - pomyślał Benton i zapytał: Od jakiego czasu?

- Trudno powiedzieć. Wpadła przypadkowo... Proszę mi wybaczyć, sir, ale nie wolno mi udzielać panu żadnych informacji. Na razie mam pana przesłuchać i dokonać rewizji w pańskim domu.

- Więc jestem podejrzany?

- To oczywiste, była pańską kochanką.

- I aresztowany...

- Nie. Jest pan "w dyspozycji prowadzącego dochodzenie" i zawieszono pana w czynnościach.

- Czy mogę zadzwonić do ministra...?

- Nie! - przerwał oficer. - Z domu również nie. Pański telefon prywatny będzie pod kontrolą, a pan nie będzie mógł wychodzić z domu aż do odwołania.

- Areszt domowy?

- Tak, sir.

Benton rozejrzał się po ścianach swego gabinetu. Ostatni raz patrzy się jak za pierwszym razem, są to jedyne dwa razy, kiedy człowiek zauważa przedmiot nie mechanicznie, lecz z zaciekawieniem, tak się wita i żegna. Zdjął z biurka stojącą ramkę, w której był na zdjęciu z rodziną. Crumb zareagował:

- Proszę to zostawić, sir! Niczego nie wolno panu brać. Zwrócimy po sprawdzeniu. Moi ludzie obszukają pana, lecz portfel chcę sam sprawdzić.

Benton wyjął portfel i zanim go oddał, wyłuskał zeń zdjęcie miss Goodward. Myśl o sięgnięciu po zapalniczkę nie była dobrą myślą - byłby to nazbyt teatralny gest. Darł wolno i starannie, wrzucił stos kawałków do popielniczki i powiedział:

- Przez jedną dziwkę!... Prawie tak samo jak Lambton, Profumo i Jellicoe! Prawie, bo ona nie była call-girl...

Kapitan Crumb pozwolił sobie na odejście od regulaminu:

- Ma pan słuszność, że prawie, lecz różnica polega na czymś innym, sir. Lambtona, Profuma i Jellicoe'a nie zdymisjonowano za to, że każdy z nich sypiał z jakąś dziewczyną, tylko za to, że ona sypiała z agentem obcego wywiadu. Miss Goodward nie była w łóżku tego głupka z CIA... Chyba że była w łóżku tego drugiego, jeśli w ogóle jest ten drugi. Jeśli jest, to nie będzie prawie, tylko dokładnie tak samo.

Na bezdrożu saharyjskim mogliby to brać za fatamorganę: dziesiątki mil umykały im spod kół, a góry na horyzoncie nie chciały

się przybliżyć ani o włos, wciąż mając przy sobie jak miniaturowy model, uciekając przed "safari ya bwana Lerocque". Podział na "erotomanów" i "impotentów" zakończył się nowym podziałem, na zdrowych i chorych. Gdy wyskoczyło z samochodów, ściągając w pośpiechu spodnie, trzech należących do "erotomańskiej" paczki, resztę seksualnych herosów opanował lęk - przypuszczano, że biegunka jest wenerycznym pokłosiem słodkiego "luluputu". Lecz gdy tak samo zaczęli się rozkładać "impotenci", można było odetchnąć z ulgą. Doktor Marie Morgan miał pełne ręce roboty; podejrzewał malarię, ale rzeczywistość okazała się łaskawsza, każdy z "rozwoleńców" chorował jedną dobę. Kolejny podział, o charakterze wokalistycznym, na tych, którzy znają "hymn" i na tych, którzy go nie znają, zakończył się w momencie, gdy pierwsi (stary "Lerocque gang") nauczyli drugich śpiewać "I'm gonna let nobody turn me round".

W połowie kotliny (którą przedtem brali za płaskowyż, lecz był to wynik optycznego złudzenia), już bliżej gór niż mokradel z "mostową" termitierą, znajdowała się wieś. Lerocque miał ją na swych mapach wraz z nazwą mieszkającego tu szczepu Huruo. Gdy znajdowali się kilka mil od niej, niebo przykryły ciężkie kłęby chmur i tropikalny deszcz runął na nich z taką siłą, jakby Pan Bóg zamienił się w strażaka i uruchomił baterie swych sikawek. Kłęli, nie wiedząc, iż to szczęśliwy traf - akt zmiłowania niebios.

Lerocque zdziwił się, gdy kolumnę samochodów przyjęto we wsi tak, jakby była oczekiwana lub jakby ciągle jeździły tędy samochody, ale złożył to na karb deszczu. Nie byli żadną sensacją, nie wzbudzili niczyjgo zainteresowania, nikt nie wybiegł im na spotkanie. Wieś wydawała się martwą. W wejściach do chat, których dachy były dachami ukradzionymi termitom z wielkich kopców o kształcie grzyba (taki dach jest dla Murzynów nie tylko wodoodpornym zwieńczeniem ich domostw, lecz i talizmanem dobrobytu),

ukazywała się czasami twarz dziecka lub kobiety, by równie szybko zniknąć. Nie widzieli mężczyzn.

Nad wsią górował potężny, trzciny dach, dźwigany przez wysokie pale. Był to rodzaj wiaty obok centralnego placu. Widząc tak olbrzymią zadaszoną przestrzeń, Lerocque zwrócił się do van Hongena:

- Byłoby dobrze przenocować pod tym. Wszystkie wozy się nie zmieszczą, ale będziemy mogli się obsuszyć i wygrzać przy ognisku.

- O niczym innym nie marzę - mruknął Fritz.

W centrum wiaty już paliło się ognisko, dookoła którego siedział w kucki tłum Murzynów, pokrzykując, rycząc ze śmiechu i machając rękami; coś obok ogniska absorbowało ich uwagę, przyjazd białych tylko na moment odwrócił im głowy. Lerocque spytał oficera łącznikowego: - Chciałbym wynająć tę wiatę, czy to się da zrobić?

- Nie wiem, wodzu - odparł Takebo. - Myślę, że tak.

- A jeśli się nie uda? - zapytał Fritz.

- To nie wynajmiemy, tylko zajmiemy! - rzekł "Mina" twardym głosem.

On, Takebo, Lorning, Gurt, Frost, Shelm, Haltrey i Jim Clayton wbiegli pod zadaszanie niczym grupa widzów, którzy się spóźniają, gdy już trwa spektakl. Do dwóch poprzeczek, jard nad ziemią, przywiązany był za ogon szczur wielki jak królik. Pazurami przednich łap muskał glinę. Nie mogąc się uwolnić, miotał się z furją, dotyk podłóża rozniecał w nim nadzieję. Każdy z jego spazmatycznych wysiłków, każde z szarpnięć wywoływało entuzjazm gromady. Takebo zaczął objaśniać, że to jest "Niene-Bale" (szczur-złodziej), pożeracz termitów, którego Murzyni nienawidzą i gdy tylko uda się im złapać go żywcem, to wieszają zwierzę za ogon, żeby ledwo dotykał pazurami do ziemi, a ono, nie potrafiąc się uwolnić, po pewnym czasie wpada w taką wściekłość, iż odgryza sobie łapy.

- Dlaczego tak go nienawidzą? - spytał Lerocąue.

- Bo uważają, że w to zwierzę wcieliła się dusza pewnego zbrodniarza. Był to jakiś bogacz, który niesprawiedliwie oskarżył swoją bibi...

- Co to jest bibi? - spytał Lorning.

- Bibi, to może być kochanka, żona, niewolnica-nałożnica, różnie, w zależności od akcentu z jakim się to wymawia - rzekł Takebo. - No więc to podanie mówi, że ów bogacz niesprawiedliwie oskarżył ją o zdradę i odrąbał jej dłonie...

W końcu szczur odgryzł sobie łapy. Kilku Murzynów przesunęło ognisko pod ofiarę i zwierzak zaczął się żywcem smażyć. Jego pisk dziurawił uszy, radość tłumu nie miała granic.

Gdy Takebo wyłożył, o co chodzi białym ludziom, wódz plemienia rozpoczął tyradę; mówiąc gestykulował i odsłaniał nieliczne zęby ni to w uśmiechu, ni w groźbach, nie mogli zgadnąć zanim Takebo nie przetłumaczył:

- On mówi, że nie chcą niczego od białego człowieka, biały człowiek może się tu rozgościć, będzie to dla nich zaszczytem. Mówi, że nie mogą wziąć zapłaty, bo nie bierze się zapłaty od bogów. Biały człowiek jest silny i niezwalczony jak bogowie, bo pomagają mu wiatr, ogień i woda, które tu przyjechały z białym człowiekiem i które tam stoją.

Takebo, uśmiechnąwszy się, wskazał na pierwszy z brzegu samochód i wyjaśnił do końca:

- Jemu chodzi o ogień z lamp samochodu, o powietrze, które syczy, gdy wyrywa się z opon i dymi z rur wydechowych i o wodę parującą z chłodnic lub sikającą pod wycieraczki. Powiedział, że nikt nie powinien się sprzeciwiać takiemu mocarzowi, któremu służy każdy żywioł, nie pomogą zaklęcia hoganów i czarowników, nie wstrzymają go zatrute strzały i jadowity napój z kory "tela", on jest twoim sługą, ty jesteś jego panem.

Tłum mężczyzn rozbiegł się do swoich chat. W dwie godziny później, gdy mechanicy zakończyli przegląd wozów i gdy zjedzono kolację, Lerocque rozstawił posterunki i zarządził nocleg. Bębnienie ulewy o dach przygrywało im do snu.

Rodzinie Bentona pozwolono wyjechać do wiejskiej rezydencji, on sam został w londyńskim mieszkaniu. Szybciej niż mógł przypuszczać odwiedził go człowiek, którego posadzono w gabinecie, jaki Benton zajmował przez kilka lat! Ten człowiek mu oznajmił:

- Pan jest chory.

- Dziękuję za wiadomość, panie Cracker, myślałem, że jestem tylko głupi - odparł Benton.

- Och, powiedzmy lekkomyślny... - próbował uśmiechnąć się Cracker. - Podejrzenie wobec pana jest bzdurą, to rzecz oczywista. Chodzi o to, co teraz należy zrobić. Pan jest chory na serce...

- To pan jest nie tylko moim następcą, również lekarzem, który diagnozuje bez badań? - przerwał mu Benton. - Zapewniam pana, że nie kochałem tej młodej damy, więc nie pękło mi serce.

Thomas Cracker zdziwił się, że bankrutowi dopisuje tak niewczesny humor:

- Cieszę się, że poczucie humoru nie opuściło pana w tak trudnej chwili...

- A cóż innego mi zostało? Zastrzelić się nie potrafię, mogę się tylko zadrwić na śmierć! Jak to powiedział Napoleon? "Od wielkości do śmieszności jeden krok". Najbardziej mnie teraz rozśmiesza zastanawianie: znaczki, monety, guziki czy stare żelazka? A może ekslibrisy lub nalepki od zapalek, co pan na to?... Chociaż, prawdę mówiąc, najbardziej adekwatne byłyby stare spluwaczki!

- Hmmm!... - chrząknął nowy szef specjalnych służb. - Przejdźmy

do kilku zagadnień, z którymi pozwoliłem sobie przyjść. Nie bez satysfakcji chcę pana zawiadomić, że udało nam się coś, co nie udawało się nigdy przedtem: środki masowego przekazu nic nie wiedzą. I zrobimy wszystko, żeby się nie dowiedziały, chcemy oszczędzić panu, milordzie...

- Chcecie sobie oszczędzić - przerwał Benton, sięgając po papieroś. - Taki skandal w przededniu wyborów sprawiłby, że moglibyście oddać władzę bez stawania do nich, bo szansa na sukces byłaby taka, jaką miałby hipopotam na torze w Ascott!

- No... tak... to jest druga strona medalu... - przyznał Cracker.

- Nie, to jest pierwsza strona medalu - uparł się Benton, a jego upór i tak był uprzejmością, bo pomyślał: "To jest jedyna strona medalu!".

- Oficjalnie pan wciąż jest szefem - ciągnął Cracker. - Jutro z zawałem serca odwiezę pana do naszej kliniki, po tygodniu zwróci się pan z prośbą o dymisję ze względu na stan zdrowia...

- Przyjmą?

- Przepraszam, gdzie przyjmą? Do kliniki? Ależ tak!

- Dymisję.

Cracker pomyślał, że to już nie dowcip, tylko bezczelność, jeśli było wymierzone w niego, lub masochizm, jeśli wymierzone w siebie.

- Przyjmą ze smutkiem - powiedział. - Druga rzecz: chcę pana prosić, aby wprowadził mnie pan w kilka spraw, w ogóle w system funkcjonowania urzędu...

- To znakomicie może zrobić mój zastępca.

- Czy on wie wszystko o wszystkim?

- O funkcjonowaniu urzędu, systemie koordynacji et cetera, wszystko. O kilku sprawach prawie wszystko, o tych powiem panu. Ale zacząć należałoby od sprawy, której dotyczy przypadek miss Goodward, to sprawa pałaca. Chodzi o operację "Czarne tango"...

- O tę wyprawę do Tangi?

- Tak. Wśród moich ludzi, którzy o niej wiedzą, operujemy takim

kryptonimem. "Black tango", od Tanga. Wszystkie dokumenty na jej temat mam u siebie w domu.

- Miał pan. Wczoraj zrobiono tu przecież rewizję i zabrano wszystkie dokumenty. Fatalna sprawa, zbyt wielu ludzi się o tym dowie! - zmartwił się Cracker. - Ale może w MI-5 jeszcze nikt tej teczki nie dotknął, spróbuję to zatrzymać!

Chciał sięgnąć po słuchawkę telefonu, lecz Benton zrobił przeczący ruch głową.

- Powiedziałem: mam. Trzeba było tu przysłać lepszych ludzi. Cracker po raz pierwszy roześmiał się głośno:

- Moje gratulacje!

- Moja prośba, panie Cracker: trzeba natychmiast wysłać kogoś do Matabele, żeby albo zawrócił chłopców, albo przynajmniej ostrzegł, iż jankesi wiedzą. Wiedzą od miss Goodward. Nie mam pojęcia, czy CIA podjęło kontrakcję, ale w obu przypadkach to grozi katastrofą. W pierwszym przypadku dojdzie do walk między ich agentami a naszymi, rozumie pan czym to się może skończyć na płaszczyźnie politycznej. W drugim, to jest, gdy nie spróbują aktywnie przeciwdziałać na miejscu, mogą wszcząć akcję prasową i dyplomatyczną, i to też będzie miało fatalne skutki. Pewne jest, iż wiedzą, dlatego musimy posłać tam naszego człowieka.

- Chyba zrzucić na spadochronie, bo Nyakobo przestał wpuszczać - zauważył Cracker.

- Jest coś, co można nazwać ostatnią szansą. Pojutrze wyrusza do Tangi delegacja naszych bankowców, omówić szczegóły kolejnych pożyczek dla Nyakobo. Nasz agent może być wśród nich.

- A kogo miałbym wysłać? - spytał Cracker. - Zna pan kogoś odpowiedniego?

- Znam, musi mi pan tylko zezwolić na kontakt z nim. Nie przez telefon, twarzą w twarz.

Gdy Jervis przyszedł i ujrzał go w szlafroku, wyraził zdumienie:

- Nigdy nie widziałem cię tak eleganckiego. To nowy mundur?

- Tak. Wejdz.

- Ładnie was ubierają! O tej porze w domu i w kapciach?

- Wczoraj zdjęto mnie z funkcji. Od dziś zaczyna się moja emerytura, Stan. To nie dowcip, mówię serio.

Jervis zareagował kwaśnym skrzywieniem ust, które miało oznaczać uśmiech.

- Witaj na pokładzie!

- Nie na twoim pokładzie, Stanley.

- Jak to? Obaj jesteśmy emerytami...

- Ty już nie. Przyjęto cię znowu do służby. Na dobry początek zrobisz wycieczkę do krainy swych marzeń.

- To też mówisz serio?

- Zawsze mówię serio, gdy wpędzam kogoś w kłopoty, Stan. Zgrywać się wypada mi tylko z moich własnych.

Tuż po przebudzeniu zobaczyli procesję Murzynów dźwigających wielkie, gliniane michy, w których była jakaś mamałyga o zielonkawym kolorze. Michy postawiono przed wiatą. Lerocque spytał:

- Co to jest?

- Mtama, posiłek bogów - odparł Takebo. - Przynieśli wam to na śniadanie. Jest w tym miód, szpinak mchicha, przecier ze słodkich kartofli...

- Niech to zabiorą!

- Wodzu, to święty poczęstunek... mogą się obrazić.

- Mam ich gdzieś!

- To jest bardzo smaczne... - próbował nalegać porucznik.

- Niech sami zjedzą. Nie będziemy zjeść żadnych tutejszych potraw, i tak moi ludzie dostają biegunki, od samego klimatu. Proszę im grzecznie podziękować i niech zaraz usuną to z przejścia.

Michy zabrano, a twarze Murzynów pokrył cień. Lerocque spojrział w niebo. Nad nimi było prawie czyste, w stronę horyzontu uciekały resztki chmur. Rozkazał związać nocleg i szykować śniadanie.

- Za pół godziny odjazd! Downbridge, tym, którzy jeszcze chrapią, powtórz to solidnym kopem!

Zbliżył się doń Takebo w towarzystwie czarownika.

- Wodzu, on chce odprawić modły za waszą pomyślność. Będzie palił rytualne zioła, których dym uleci w niebo i wybląga wam u bóstw szczęśliwą drogę.

- Powiedz mu, że to bardzo uprzejmie z jego strony, że nasza wdzięczność i tak dalej. Tylko niech już więcej nie zawraca mi dupy, mam mało czasu!

Czarownik podszedł do ogniska przed wiatą i rozpoczął taniec. Wywracał oczy, wznosił je ku niebu, śpiewał i krzyczał, aż podano mu koszyk z ziołami. Zaczepnął garść i sypnął w płomienie, z których uniosła się do góry cienka strużka dymu o niezwykle intensywnym, purpurowym kolorze. Miała fosforyzujący blask. Czarownik podniósł koszyk, by wysypać w ogień całą jego zawartość, gdy nagle pojawił się obok niego Jim Clayton...

Claytonowie nie opuścili na noc swego samochodu, była to ich rzecz, Lerocque nikogo nie zmuszał do spania pod wiatą. Gdy "Beatles" poszedł ich zbudzić, okazało się, że już są na nogach. Kilka jardów od ich wozu grupka Murzynów dyskutowała o czymś, a gdy któryś Clayton spoglądał w ich stronę, uśmiechali się do niego. Teraz, na widok modłów czarownika, Jim podbiegł ku ognisku, otworzył rozporek i siknął w płomienie, dusząc czerwoną nić. Jego brat stał na szoferce samochodu, z automatem wymierzonym w tubylców. Wszyscy osłupieli.

- Zdrada! - ryknął Joe Clayton. - Kapitanie, chcą nas wykończyć!

Lerocque był zbyt doświadczonym żołnierzem, by tracić czas na zadawanie jakichkolwiek pytań.

- Otoczyć wieś! Nortolt z tej strony, Haltrey tam! Downbridge, przeszukajcie każdy szalas, wszystkich pod wiatę, nawet dzieci! Piorunem!

Część pobiegła, odbezpieczając broń, inni wskoczyli do samochodów, by zaryglować drogę. W kilka minut zamknął się wokół wsi łańcuch, każde jego ogniwo było polem ostrzału karabinów maszynowych. Murzynów spędzono pod dach, tylko czarownik został przy wygaszonym ognisku, skamieniały, patrzący ku górom, jakby stamtąd oczekiwał zbawienia. Teraz dopiero Lerocque zapytał bliźniaków o co chodzi.

- Ten świecący dymek to miała być sygnalizacja dla kogoś tam w górach, kto już nas oczekuje, żeby wykopać nam grób! - powiedział Jim. - Wpierw chcieli nas otruć, to żarcie jest trucizną! Numer nie wyszedł, więc chcieli zrobić coś innego, mają to umówione z tamtymi, że ich zawiadomią o naszym zbliżaniu się. Dym z tych ziół cholernie świeci, widać go z bardzo daleka. Skurwysyny!

- A ty skąd o tym wiesz? Clayton spuścił wzrok.

- Się domyśliłem, panie kapitanie.

- Nie pierdol mi tu głupot! - wrzasnął "Mina". - Skąd o tym wiesz?!

- No... podsłuchaliśmy jak się namawiają...

- To znacie ich język?!

- No... niezupełnie...

- Gadaj!

- Dziewczyna... wzięliśmy jedną na drogę, z tamtej wsi... Ona zna ten język i po angielsku też umie... słyszała, co mówią...

Lerocque wskoczył do samochodu Claytonów i wyciągnął z niego przestraszoną Murzynkę.

- Więc to jest ta b i b i! Inteligentne dziecko! Na drogę! Będzie to

was kosztować, Clayton! Później pogadamy! Teraz porozmawiam z tym zaklinaczem szczęścia! "Beatles"! Zawiesić go tak jak wisiał wczoraj szczur! I rozpalcie ogień!

Torturowany czarownik nic nie powiedział, umarł z palącą się głową. Reszta Murzynów przysięgała, że "bibi" Claytonów kłamie, lecz kiedy kazano im zjeść poczęstunek dla białych, odmówili. Jednemu wepchnięto kilka łyżek do ust i rozpoczęło się czekanie. Po dwóch godzinach Murzyn był martwy. Lerocque naradził się z van Hongenem, Downbridge'em, Nortoltem i Haltreyem, po czym rozkazał, by grupa samochodów z geologami i ich obstawą wyruszyła na szlak. Pojechał z nimi van Hongen oraz "Beatles" jako dowódca.

- Zrób dziesięć mil, zatrzymaj się i czekaj na mnie - powiedział Lerocque.

Gdy odjechali, przystąpił do dialogu z kacykiem, który w pozycji szczura "Niene-Bale" okazał się bardzo rozmowny. W ten sposób Lerocque dowiedział się o Buso, lecz nie dowiedział się dlaczego chcą go zabić i skąd mają "cynk" o "Czarnym tangu". Nie to było teraz ważne, ważne było, aby nie dowiedzieli się, że on jest już blisko.

- Jaki mamy wybór? - spytał Haltreya. - Naszą jedyną szansą jest zaskoczyć tamtych. Jeśli ci ich zawiadomią, to nasza śmierć!

- Nad czym pan się zastanawia, kapitanie! - zdenerwował się Gurt.
- Cudem jesteśmy żywi, zawdzięczamy to Claytonom, niech Bóg błogosławi erotomanów! Te małpy nie zastanawiały się, czy podać nam truciznę, więc o co chodzi? Nawet bab nie możemy zostawić, bo też mogą dać sygnał. Albo zawróćmy do domciu, będziemy biedni, ale szlachetni, kurwa mać!

- Bien! - zdecydował Lerocque. - Z ckm-ów, niech to będzie błysk!

Ustawiono ciężkie karabiny maszynowe z czterech stron wiaty. Szczęk zabezpieczeń jak naciśnięcie guzika wyzwolił zbiorowy

płacz. “Mina” wziął głęboki oddech, by krzyknąć to cholerne słowo... i poczuł chłód metalu tam, gdzie kręgosłup przechodzi w czaszkę. Zza pleców dobiegł go głos Polaka:

- Niech wszyscy rzucą broń, bo rozwalę panu łeb!

- Chłopcze... - powiedział, nieruchomiejąc ze strachu - ... co robisz?!

- Albo w ciągu pięciu sekund wszyscy rzucą broń, albo strzelam! Nawet nie będę liczył! - ostrzegł Krzysztofeczko.

- Rzucić broń! - krzyknął “Mina”.

Broń poleciała na ziemię, cekaemiści odskoczyli od ckm-ów.

- Niech wszyscy się położą! - zakomenderował Wojtek. “Mina” nie musiał tego powtarzać, prawie wszyscy runęli na piach, który słońce już wysuszyło po wczorajszym deszczu; dwóch schowało się za samochodami, a Lorning stojąc wycedził:

- Nie będę się tytał, bo potem nie ma się tu jak domyć! Panie Polak, daj pan spokój!

Krzysztofeczko zgłupiał, a Lerocque wyczuł ten ułamek sekundy wahania, tak jak zwierzę wyczuwa coś za pomocą węchu, szarpnął głowę w bok od lufy i zadał cios, który zwalił Polaka z nóg. Nie zdążył poprawić, a inni nie zdążyli chwycić za swe żelastwo, seria z karabinu maszynowego przygwoździła wszystkich do ziemi. Na jeepie wyposażonym w ckm stał Farloon, jedną ręką trzymał spust, drugą granat, krzycząc:

- Koniec wstawania bez zezwoleń, panowie, na piachu albo do piachu, jak kto sobie życzy! Pan kapitan też na piach! Shelm, wyłaź z samochodu i kładź się, albo podrzucę ci to jajeczko!

Shelm ukazał się z podniesionymi rękami. “The Amber” zmienił rozkaz:

- Czekaj, nie kładź się! Leć do chłopców, którzy otaczają wiochę i powiedz im, że jak któryś ruszy się ze swojego miejsca, to dowódca wyprawy nażre się ołowiu!

- Ja to zrobię, Clint, jestem z wami! - zawołał Martin Delson.

- Dobra! Shelm na ziemię!

Shelm się położył, a Delson (spadochroniarz z Royal Marines) wsiadł do samochodu i odjechał. Farloon, widząc, iż Polak wstaje, krzyknął:

- Pozbieraj pukawki, benzyniarzu, a potem wiąż ich kolejno, zaczynając od kapitana! Tylko łaż tak, żebyś mi nie wszedł na linię!

Wojtek zaczął zbierać broń, Farloon zajął się Lorningiem, który wciąż stał:

- Pan profesor sam się położy, czy mam położyć pana profesora?

- Chłopcze - odpowiedział Lorning - co ty wyrabiasz najlepszego? Nie miałbyś pewnie nic przeciwko strzelaniu do zajęcy, czyli do zwierząt, bo taka rozwałka nazywa się polowaniem? Z Murzynów też próbowano zrobić ludzi. Było to robienie homunkulusa z krwi czarnych i z wiedzy białych, w retorcie idealizmu, który jest chorobą nieuleczalną jak najgorsza odmiana raka, nieustanne przerzuty od początku cywilizacji. Eksperyment się nie udał. Murzyn to pseudoczwłowiek, fałszywy homo sapiens, gipsowy marmur, stiuk! Odziej szympansa w smoking i naucz go jeść widelcami, będzie to samo. Powłoka ludzka, wewnątrz małpy! W twoim kraju dość długo trwał spór antropologów i psychologów o to, jak interpretować różnice pod względem przeciętnego ilorazu inteligencji między rasą białą a czarną. Przeważała opinia, że decydują warunki środowiskowe. Ale ostatnio jest u was więcej Murzynów bogatych niż biednych, dzieci tej czarnej burżuazji wychowywano w doskonałych szkołach, a wnuki w jeszcze lepszych i w luksusie. I co? Iloraz inteligencji ani drgnął. Wasz psycholog, profesor Artur Jensen, po wielu latach badań udowodnił, że różnica ma podłoże nie środowiskowe, tylko genetyczne! Chciano obalić jego twierdzenia, lecz wszystkie testy wykazywały to samo i krytycy nabierali wody w pysk! Więc czemu ty podskakujesz?

- Bo wśród nich jest trochę mężczyzn - odpowiedział Farloon, wskazując płaczącą gromadę. - Uwielbiam strzelać do kobiet i do dzieciaków, proszę bardzo, ale sprzeciwiam się trzebieeniu mojej płci. To jest solidarność płciowa, profesorze. Padnij!

"Casablanca" nie usłuchał.

- Ty, Amerykanin, jak będziesz tak...

"The Amber" puścił mu serię koło nóg i ten argument poskutkowało, Lorning się położył. Lecz w przeciwieństwie do innych nie na brzuchu, tylko na plecach, i założywszy ręce pod głowę przymknął oczy, powierzając twarz słońcu, jak rasowy bywalec plaż.

Krzysztofeczko i Farloon przez kwadrans rozmawiali z Lerocque'em. Później zamknęli "Minę" w jednym z szałasów, gdzie pilnował go Delson, a sami udali się do Haltreya i Nortolta, żeby im oznajmić, co ustalono. Mówił Farloon:

- My dwaj i Delson zostajemy tu, będziemy ich pilnować. Jeszcze dziś zrobią drewniane kraty, którymi obuduje się tę nawę. Materiał rozbiórkowy, z ich domostw. Zamkniemy ich i po południu będziecie mogli odjechać. Zostawiacie nam jeep, kilka spluw, trochę zarcia, trochę benzyny, kilkadziesiąt min i "Casablankę" jako zakładnika. Dostanie kulę w profesorski bambuch, jeśli spróbujecie nas zaatakować. Lerocque też zostaje i dla niego drugi jeep. Jutro go wypuścimy i dołączy do was. Acha, jeszcze jedno, ta b i b i również, tylko że ona nie dołączy, chcemy was uchronić od grzesznych pokus. A teraz będziecie pomagać Murzynom przy robieniu klatki, panowie. Praca uszlachetnia!

Grupę bankowców, gdy samolot wylądował w Matabele. przywitał pułkownik Oubu. Jervisa bardzo to ucieszyło, właśnie z nim chciał rozmawiać. Adiutant numer jeden obiecał, że odwiedzi go nazajutrz w pokoju hotelowym, za kwadrans dziewiąta.

Afrykańskie powietrze przypominało Jervisowi dawno minioną przeszłość, tak jak zapach czyichś perfum przypomina mężczyźnie młodzieńczy romans. Lecząc bał się, iż ten upał zabierze mu oddech ze starych płuc, a wyszło coś przeciwnego - poczuł się w rajach i pomyślał: "Ryba potrzebuje wody. Edgar, dzięki ci za to!". Gdyby był młodszy... gdyby był młodszy, to Lerocque byłby jego zastępcą, a on byłby wodzirejem "Czarnego tanga"! Ale dobre było dlań i to, jeszcze raz znajdował się w Afryce, już na pewno ostatni, lecz jednak! Gdyby wiedział, który z bogów sprawił ten cud, stałby się jego wyznawcą. Tak myślał, lecz gdyby mu powiedziano który...

Oubu zjawił się punktualnie.

- Mam tylko kwadrans - burknął. - W czym mogę panu pomóc?

- W jednym, trzeba zawrócić Lerocque'a - powiedział Jervis.

- Co się stało?

- Decyzje zapadły na wysokim szczyśle, nie znam przyczyn. Ale to chyba wam na rękę, nie widać było waszego entuzjazmu dla tej ekspedycji. I proszę się nie obawiać, nie będzie to miało żadnego wpływu na sprawy związane z pożyczką.

Oubu milczał przez chwilę, wpatrując się w gościa.

- Przykro mi, to się nie da zrobić. Są już daleko, jeden Bóg wie gdzie...

- Ale nie tylko Bóg wie w jakim kierunku podążają!

- Panie Jervis, to nie jest Brytania ze swoim atlasem dróg. To jest Afryka, kłębowisko bezdroży, stos. w którym pan chce znaleźć igłę. Tam, gdzie się udali, jest najbliższy kawałek już nie tylko tego kontynentu, lecz tego globu, wyjąwszy może pewne tereny nad Amazonką. - Ale to jest dwudziesty wiek, i to jest wasze państwo, i tam jest linia waszych granic, pułkownika! Kontrolujecie chyba swój obszar, wysyłacie żołnierzy...

Oubu uśmiechnął się.

- Dorywczo. Takich granic nie trzeba pilnować kordonem wojsk.

Pan chce, abym posłał żołnierzy w ślad za waszą wyprawą?

- Może samolot... - odpowiedział Jervis. Pułkownika to rozbawiło:

- Jeszcze lepiej! Drogi angielski przyjacielu! W tamtych stronach patrolujemy tylko szosę B-12 aż do zakładów Tanga Mining i do Kariduomo, gdzie jest najdalej wysunięty garnizon. Wszędzie indziej znajdują się bezdroża. W Kariduomo nie ma samolotów, a tych w Matabele prezydent nie da ruszyć.

- A może ma pan kontakt radiowy lub telefoniczny z jakimś posterunkiem na drogach do Keya? - spytał Jervis.

- Na bezdrożach do Keya, już panu to mówiłem. Nie mam, nie istnieje nic takiego. Prędzej mógłbym się połączyć z Panem Bogiem, wystarczy pójść do świątyni.

Teraz zamilkł Jervis. Zostało mu już tylko jedno. Przez chwilę zastanawiał się, jak to powiedzieć. Powiedział wprost:

- Niech mi pan da dwa terenowe samochody i obstawę.

- Z przykrością muszę panu odmówić! - rzekł twardo adiutant. - Jego Ekscelencja nie wyrazi na to zgody. Proszę nie nalegać, to strata czasu. Miejmy nadzieję, że wrócą cało...

Zlustrował zegarek.

- Ooo, miałem być tylko kwadrans, a już dziewięta minęła. Wstał.

- Gdybym mógł pomóc w jakiejś innej sprawie, jestem do usług. Mam nadzieję, iż z hotelu jest pan zadowolony?

- Niezupełnie - powiedział Jervis, również wstając.

- O co chodzi?

- O niski poziom personelu. Mój pokój źle wysprzątało. Zostały tu rzeczy po poprzednim lokatorze. Na przykład ta koperta - wskazał łaską. - Gdyby zechciał pan wyświadczyć mi grzeczność, pułkownikowi, i oddać ją w recepcji, nie musiałbym się sam fatygować.

Oubu podniósł z nocnej szafki pękatą kopertę i zajrzał do środka.

- Z przyjemnością to zrobię i przepraszam pana za niski poziom personelu, wyciągniemy konsekwencje wobec winnych.

Skierował się ku drzwiom. Chwytając klamkę powiedział:

- Myślę, że jednak mógłbym coś zrobić. Armijnych samochodów nie mogę panu dać, ale mógłbym pożyczyć dwa własne. Jeep i landrover.

- Ile to by kosztowało? - spytał Jervis.

- Ależ drogi przyjacielu, pan mnie obraża! Nic nie będzie kosztowało, robię to z czystej sympatii. Moim obowiązkiem jest zrekompensować naszemu gościowi niedbałość hotelowych służb. Potraktujmy to jako zadośćuczynienie za niski poziom personelu.

Wiata, otrzymując ściany z drewnianych krat, zmieniła się w klatkę. Trzymali tam mężczyzn i większość kobiet oraz całe ich potomstwo (kilka kobiet przygotowywało na zewnątrz jedzenie). Dookoła zakopali zygzakową linią miny, a wprost wejścia stał kulomiot, przy którym pełnili straż na zmianę. Żeby pokazać więźniom, czym grożą próby ucieczek, detonowali jedną z min; była to operacja zbędna, nie można bardziej sterroryzować kogoś, kto jest już kompletnie sterroryzowany. Tysiąc wybuchów dałoby mniejszy efekt niż śmierć czarownika, któremu przypisywano we wsi nieśmiertelność, bo nieśmiertelnym się reklamował. Plemię chciało tylko przeżyć.

Francuza wypuścili nad ranem. Nie wracał do tego, co się stało wczoraj, tak jakby nic się nie stało. Był wyspany, dawno temu się nauczył, że wypoczynek nocą to podstawa sprawności w ciągu dnia i żaden wczorajszy pech nie jest wart utraty snu dla roztrzasań czy biadoleń, zmęczeni mają więcej pechów. Jedyna rzecz, o której pomyślał przed oddaniem się Morfeuszowi, to że zaskoczono go już tak kiedyś w Biafrze, i że wówczas miał wyrok, i że Jervis... Śnił mu się Jervis. Rano rzekł do Polaka:

- Te czarnuchy muszą znać teren tamtych czarnuchów, tych Buso.

Wybierzcie dwóch, którzy najlepiej go znają, chcę ich zabrać.

Wybrali (pomagała im dziewczyna) i przywiązali do tylnych siedzeń w jeepie; wybór nie był trudny, tylko dwaj pomocnicy czarownika znali obszar Busonów. Sadowiąc się za kierownicą Lerocque powiedział:

- Na wczorajsze położyłem krzyż. Ale jeśli Lorningowi spadnie włos z głowy, to znajdę panów!

Farloon z szacunkiem wypluł gumę do zucia (już pozbawioną smaku) i odwinął: - Nasza lubić profesor Lorning bardzo-bardzo. Ale jeśli bwana Lerocque chceć nam zrobić kuku, to nasza zabrać profesorowi niejeden włos, tylko cały skalp!

- Nie będziecie tu tkwić w nieskończoność - rzekł "Mina". - Jeśli uda mi się rozpieprzyć tych Busonów, poinformuję was o tym raketami, wtedy wracajcie do Matabele. Będę wystrzeliwał co wieczór, kwadrans przed dwudziestą drugą.

- A jeśli to im uda się rozpieprzyć was? - spytał Farloon.

- To wtedy nasza leżeć w ziemi i mieć w dupie to, co się dzieć z waszą, bwana Farloon, i z całym tym bajzlem - odparł Lerocque i uruchomił silnik.

Patrząc jak jeep Francuza ginie w tumanach pyłu, Farloon rzekł do stojącego obok Krzysztofeczki:

- Pensja była, pensja się zmyła! Przez ciebie straciłem wielką forszę, cholerny benzyniarzu!

- Nikt cię nie prosił! Po coś się wtrącał? - spytał Krzysztofeczko. "The Amber" wsadził do ust kolejną porcję gumy.

- Z dwóch powodów. Jeden jest taki, że ktoś mi się nie podoba, a drugi jest taki, że ktoś mi się podoba. Ty mi się nie podobasz. Obiecałem ci, że kiedyś cię utłukę za tamten prysznic. Jak mógłbym to zrobić, gdyby to oni posłali cię do piachu? Sam cię w nim zakopię. A Claytonom chciałem odebrać tę bibi, bo ona mi się podoba.

- Jak już się zdecydujesz zakopywać mnie do piachu, to nie

zapomnij wypluć gumy - poradził mu "Chris".

- Bo co?!

- Bo mógłbym, w obronie własnej, wbić ci ją w przetyk i wtedy się udusisz, gringo.

- Mam czas - powiedział "The Amber". - Na razie jesteś mi potrzebny tutaj do pilnowania przedstawicieli czarnej rasy zamkniętych w klatce jak zwierzęta.

- A ty to co będziesz robił?

- Ja będę się kochał z przedstawicielką czarnej rasy, żeby nie pomyśleli, iż każdy z nas jest rasistą, benzyniarzu.

- Fatalna sprawa! - zasmucił się "Chris". - Ona jeszcze nie wie, co znaczy: rasista. Jak wasza kochać się z nią, bwana Farloon, to ona pomyśleć, że rasista to taka biały bwana, co nie umie tego dobrze robić.

Na dziesiątej mili Lerocque dogonił konwój i bezzwłocznie zwołał swój sztab, rozkładając mapę. Całą jej górną część zajmowały tereny masywu i płaskowyżu, który do niego prowadził: po prawej stronie obszar Busonów, w środku okręg Keya, po lewej prowincja Harel. Gdyby mieli załatwić tylko grupę partyzancką z Frontu Wyzwolenia Ludu, szlak już od rzeki z "mostem" termitów prowadziłby w lewo i busońskie zagrożenie nie miałyby miejsca. Lecz chcąc dostać się do Keyi najkrótszą drogą, nie można było Busonów ominąć.

- Czy przecinamy sam masyw? - spytał Haltrey.

- Nie - powiedział "Mina" - do tego trzeba byłoby alpinistów. Obrzeżem, najkrótsza droga lewym.

- A nie możemy najpierw rąbnąć FWL-owców? - włączył się Nortolt. - Wtedy poszlibyśmy stąd prostopadle w lewo, a potem w prawo do Keya, w ogóle nie dotykając terenów Buso...

- Nie, takie mam rozkazy, najpierw Keya - przerwał mu Lerocque. -

Mamy za dużą karawanę, jak zostawimy tam geologów z ich eskortą, od razu zrobi nam się lżej, zwiększy się nasza sprawność manewrowa. Zresztą teraz doszedł powód drugi. Musimy zniszczyć tych Buso, bo inaczej oni będą permanentnie oblegać rejon prac, uniemożliwiając geologom robotę. Moja propozycja: iść stąd w prawo, ale zupełnie w prawo, i dojść do gór w tym miejscu, a potem obrzeżami...

- Obejść cały masyw?! To tygodniowa nakładka, albo jeszcze dłuższa! - zauważył Haltrey.

- Ale tego Buso się nie spodziewają - rzekł Francuz. - Będą na nas czekać od tej strony i nie mogą się doczekać, zgłupieją, nie będą wiedzieli, co się z nami stało, mogą nawet pomyśleć, że musieliśmy zawrócić z jakiegoś powodu. A jak ktoś głupieje, to zaczyna robić błędy... W drogę!

Downbridge wsiadł z "Miną" do jednego wozu i spytał:

- Co z gówniarzami? Upilnują tych czarnych kapusiów?

- Upilnują. Poradzili sobie z nami, to myślisz, że z tamtymi sobie nie poradzą? Nawet to im nie przeszkadza, że stracili żołąd, ambitne gnoje!

- Polak nie stracił - mruknął "Beatles". - Wziął ode mnie pięćdziesiąt tysięcy, skurczybyk!

- Jak to, wziął?

- Pożyczyłem mu, cholera! Miał zwrócić z wypłaty.

- Nie moje zmartwienie, tylko twoje.

- Ale jak się z nimi rozliczyć, to już nie tylko moje! Też masz im za co podziękować, przecież nie odpuścisz!?

Lerocque zapatrzył się w rudo-zielony step, potem odwrócił głowę do Downbridge'a i szepnął:

- Downbridge, czy to te pięćdziesiąt kawałków tak cię zaćmiło? Nie pieprz głupot! My wszyscy powinniśmy im dziękować...

VI. "Czarne tango" 1

- To jest drzewo, śpiewać nie może, jeśli nie ma serca. Ty musisz dać mu serce! Musisz zabrać na bój drzewo w sercu swoim! Drzewo musi oddźwięczeć na głos twego męstwa! Drzewo musi nasiąknąć krwią twoich wrogów! Krwią, która płynie z ich ran! Krwią ich krwi! Ich ból musi stać się jego chwałą, a jego chwała twoją sławą! Od tej chwili drzewo nie będzie jak drzewo pnia, z którego jest odłupane, drzewo wejdzie do twojej rodziny. Będzie żyło z tobą i z twoim synem. Wtedy dźwięk, który wyda twoje serce, zabrzmi echem w uszach twojego syna i w głowie twojego syna, i w sercu twojego syna! I będzie żył wśród twojego ludu, a ty będziesz żył w nim...

Mamule obserwował, jak wódz Busonów wręcza nową włócznie najstarszemu synowi. Dwudziestolatek miał przed sobą debiut - musiał pierwszy raz samodzielnie poprowadzić kilkudziesięciu wojowników na patrol. Guccioni i Cadenas przyglądali się temu również; obaj rozumieli ceremonię, lecz z nich dwóch tylko Cadenas rozumiał słowa, znał język Buso nie gorzej niż Mamulewicz.

Julio Cadenas był Hiszpanem. W firmie Mamulewicza pracował wiele lat jako przewodnik wśród wielu przewodników, nie był ani gorszy ani lepszy od innych. Do momentu, kiedy stał się lepszy, bo zasłużył sobie na wdzięczność szefa. Uratować Polakowi życie byłoby mało na taką wdzięczność, wszyscy oni raz po raz wyciągali się ze śmiertelnych tarapatów, było to wpisane do ich zawodu, było czymś zwykłym, było codziennością, tak jak codziennością jest dla grotolazów wzajemna asekuracja. Cadenas zrobił coś niezwykłego. Powiedział Mamulewiczowi, że w Afryce jest średniowieczny zamek polskiego błędnego rycerza, prawdziwy zamek obronny, ze zwodzonym mostem, z basztami i blankami. Mamule nie uwierzył,

coś takiego nie mogło być prawdą. Pojechał z Juliem do kraju Bokassy, do Cesarstwa Środkowoafrykańskiego. Na stołecznym cmentarzu w Bandze Cadenas pokazał mu kamień grobowy; wśród wytartych napisów widniało słowo "Pologne", żaden dowód, polskie groby są wszędzie. Trzeba było jechać do misji katolickiej, która sąsiadowała z wioską i z plantacją kawy. Plantator i zakonnik nie znali tego Polaka, pamiętali tylko opowieść o powstańcu-Sybiraku, który zakończył swą katorgę ucieczką do francuskiej kolonii Ubangi-Szari i tu wybudował średniowieczny "chateau". Miał osiem połowic i jeździł wspaniałym cadillakiem bez silnika - samochód pchali i ciągnęli Negrowie. Zostało po nim sporo brzdąców z jasną skórą. W dżungli na wzgórzu pokazano Mamulewiczowi ruinę. Był to widok nie z tego świata. Zobaczył fosę, resztki zwodzonego mostu, bramę z opuszczaną kratą, mury baszt, strzepy krenelaży, wszystko zarośnięte, posiadłość ptaków i żmij. W wielkiej sali ostał się kominek wyższy od człowieka. Nie było już żadnych sprzętów, lecz każdy kącik mruczał coś, co chwytало za serce. Przez dwa dni Mamulewicz fotografował ów grób sarmackiego szaleństwa. Julio przestał być tylko jego podwładnym, stał się podwładnym i przyjacielem.

Wokół głazu totemicznego, na który wstąpił debiutant, rozpoczęła się orgia tańców.

- Popatrz, Elvis! Czy ciebie też tak fetowano kiedy tu wyruszałeś?- zażartował Polak. - To się nazywa wyprawić człowieka w bój!

- Nie - odparł Amerykanin - ze mną zatańczy grono oprawców, kiedy już będzie po wszystkim! Najpierw panowie dziennikarze, a potem panowie sędziowie...

- Przecież to operacja tajna!

- Właśnie dlatego! Tajność jest w moim kraju przestępstwem. Byłbym idiotą, gdybym się ludził, że to się nie wyda. Mój kraj, to chyba jedyne państwo, w którym im bardziej coś jest tajne, tym

łatwiej i szybciej staje się przedmiotem debat publicznych i trafia na pierwsze strony szmatławców! U nas, w Krajowej Radzie Bezpieczeństwa, chłopaki opowiadają sobie taki dowcip: "Jesteś Rosjaninem, Irańczykiem lub Tanzańczykiem. Pewnego dnia podchodzi do ciebie amerykański agent i prosi o pomoc w jakiejś tajnej operacji. Czy przyjmujesz jego propozycję? Nie, chyba że ubezpieczyłeś swoje życie bardzo wysoko i chcesz, aby żona należała do bogatych wdów, lub też bardzo, ale to bardzo pragniesz szybkiego rozgłosu".

- Psiakrew! - zaklął Mamulewicz. - Nie mogłeś tego opowiedzieć nim się zdecydowałem? Mógłbym się przynajmniej ubezpieczyć!

- Przecież nie masz żony - zauważył Julio.

- Ach, racja! - roześmiał się Polak. - A ty masz żonę, Elvis?

To znaczy, czy jeszcze ją masz, bo u was cholernie modne rozwody, a jeśli masz, to czy tę samą?

- Mam - odparł ponuro Guccioni. - Tę samą.

- Czemu się z góry łamiesz? To wcale nie musi wyjść na jaw! Nie ma reguł bez wyjątków.

- U nas musi, prędzej czy później, zawsze tak było. I zawsze tak będzie. Oni nie potrafią zrozumieć czegoś elementarnego, że jeśli się bierze udział w rozgrywce wielkomocarstwowej, nie można grać tylko w otwarte karty, trzeba grać tak jak przeciwnik, albo dać sobie z tym spokój! Oni, to nie znaczy tylko politycy i dziennikarze, to prawie cały naród! W oczach amerykańskiego społeczeństwa sama idea tajności ma jakąś moralną skazę, tajność kojarzy się im z nieprawością, z tyranią, powiedz im, Andrew, dlaczego, na Boga, nie z racją stanu!? Ja tego nie mogę zrozumieć! Nigdy na przykład nie wyraziliby zgody, żeby wyszło u nas coś takiego, jak angielska ustawa o tajemnicy państwowej. Ten Anglik, który się do nas zbliża, ma dupę zabezpieczoną, a czy angielskie społeczeństwo utraciło demokrację? Dba o nią tak samo jak my! Więc czemu?!

- Ja to rozumiem - powiedział Mamulewicz, przestając się uśmiechać. - W Anglii państwo jest dużo starsze niż demokracja. U was państwo i demokracja zaczęły się w tym samym momencie, w chwili narodzin. Dlatego demokracja nie chce ustąpić racji stanu.

- Więc to jest zła demokracja! - warknął jankes. - Likwidując tajność chce zapobiec kręťactwu, tak jak gilotyna zapobiega nawrotom bólów głowy!

Rozpoczął się trzeci etap „chrztu” przedbojowego - popis szamana, solo taneczne i wokalne z zaklęciami. Mamulewicz jak mało kto znał afrykańskich czarowników, wiedział, iż całym lub prawie całym ich „cudotwórstwem” rządzi zielarstwo, że znają tajemnice wszystkich tutejszych roślin, za pomocą których mogą te same choroby (na przykład wściekliznę) wywoływać i leczyć, mogą zwiększyć lub całkowicie zlikwidować mleczość u krów, kóz i kobiet, osłabić męźczyznę lub dodać mu wigoru, wprawić w odrętwienie lub w stan epilepsji, podczas której wypowiada się prorocze zdania, a najłatwiej zabić setką trucizn i zaklęć, i tylko uchronić przed kulą białego nie potrafią, inaczej kolonizacja nie należałaby do faktów historycznych, lecz do nieudanych prób.

Plemię Buso i plemię Huruo z rzadka się kontaktowały, powodem była hermetyczność tych pierwszych. Jedyne kontakty stanowił zasługę czarowników. Szaman Huruo potrzebował żółtek z jaj górskich ptaków i korzeni górskich roślin do swych mikstur, zaś „medicine-man” Buso flory kotlinnej i gadów, którym nie służy górski klimat. Mamulewicz wykorzystał ich zażyłość, posłał szamana Buso z Cadenasem do Huruonów, by z tamtej wsi dano znać, iż nadciąga wróg. Znaku wciąż nie było i nie było też powodu, aby się denerwować, a jednak Mamule czuł dziwny niepokój.

- Julio - zapytał Cadenasa - czy rozmawiali przy tobie?

- Kto?

- Nasz czarownik i tamten sztukmistrz.

- Nie, weszli do któregoś z chat. Ale nie było kłopotów...
- O czym mówicie? - wtrącił się Guccioni.
- O tym samym, o czym mówiliśmy przedtem. O tajnych układach, tajnych planach... O tajności.
- Nie ufasz tym zaklinaczom?
- Nie wiem... Daj mi wóz, Elvis, wezmę kilku ludzi i pojedę do Huruo, żeby się rozglądnać.
- A jak po drodze spotkasz Anglików?
- To powiem im: "Hallo!". Jestem zoologiem, fotografuję okazy fauny. Albo etnologiem. Albo...
- Jadę z tobą! - rzekł Cadenas.
- Nie, jesteś tu potrzebny Elvisowi, przecież nie będzie się na migi porozumiewał z Buso. Uczcie ich dalej obsługiwanie karabinów.
- Z karabinów to oni już umieją walić, Andrew.
- Chciałem powiedzieć: pistoletów maszynowych.
- Tak myślałem... Spróbuj sam! Oni nie chcą tego wziąć do ręki, mówią, że to dzięcioł "Tuk-tuk-tuk" i ryczą ze śmiechu. Nie dadzą się przekonać! - zapewnił Guccioni. - Stado baranów, cholera!
- Tak, biały mądralo?-. skoczył nań Mamulewicz. - Dać ci przykład białej ciemnoty?
- Następną korepetycję?... Z tej samej branży, jeśli łaska, bo mogę nie kupić.
- Z tej samej. Sto lat temu Wiedeń nie dał się przekonać do karabinów ładowanych od tyłu, twierdząc, że taki karabin zbyt szybko strzela, a to oznacza marnotrawienie naboju. Rezultat? Prusacy rozstrzelali Austriaków pod Sadovą. W przededniu ostatniej wojny światowej Londyn sprowadził kilka amerykańskich pistoletów maszynowych "Thompson", żeby je badać, lecz zrezygnował z tego rodzaju uzbrojenia argumentując, iż armia Wielkiej Brytanii nie może być wyposażona w broń gangsterską! Owoce tego kretynizmu zbierano na drogach do Dunkierki.

Guccioniego porwał śmiech:

- Stary, opowiedz to tym Negrom! Może ich przekonasz, bo nam się jakoś nie udaje!

Clint Farloon miał taki sam stosunek do kobiet, jaki ma większość mężczyzn póki się nie zakochają - adorował je metodą Braille'a. W samolocie, którym lecieli do stolicy Tangalandu, ujrzał Nelinę Nyakobo. Każdy z mężczyzn zobaczył tak kiedyś kobietę, i nawet jeśli ta kobieta należała już do kogoś, nie dla każdego wszystko okazywało się stracone. On nie miał żadnej szansy - Fritz van Hongen był rywalem nie do ogrania, nawet nie można było próbować. Gdyby myśli mogły zabić, na siedzeniu obok córki prezydenta lądowałby w Matabele trup.

Bibi (tak ją nazywał) przypominała mu tamtą. Z jej trzech etatów (tłumaczka dla ludzi Huruo, kochanka dla Farloona i kucharka dla czterech białych) tylko jeden był krytykowany i tylko przez profesora Lorninga, któremu kuchnia afrykańska denerwowała podniebienie, więc za każdym razem, skończywszy jeść, ogłaszał, że właśnie przystąpił do strajku głodowego. W piątym dniu swej niewoli, jedząc kolację, zagrzmał:

- Panie kowboj, jak to pańskie żebro nie zacznie po ludzku gotować...

- Żebro? - zdziwił się Farloon.

- Niewiasta jest żebrem mężczyzny, proszę się zapoznać z Biblią! - wydusił Lorning przez usta pełne posiłku.

- Ale Murzynka nie może być żebrem białego, sam pan powiedział, że Murzyni to małpy.

- Najnowsze badania dowodzą, młodzieńcze, iż małpa wywodzi się od człowieka! - Niech pan o tym pogada z Darwinem, panie Lorning, on mówi co innego.

- Darwin jest już na śmietniku, panie kowboju, nie będę dyskutował ze śmieciarzem.

- To pan go tam posłał, panie profesor?

- Posłały go tam nauka i logika, dla mnie to było oczywiste od początku.

- Co?

- Że to kretyn. Jak tylko przeczytałem tytuł jego dzieła, już ogarnął mnie śmiech. "O powstaniu gatunków drogą selekcji naturalnej"! Przecież selekcja jest z definicji procesem eliminowania, czyli zmniejszania różnorodności gatunków i indywidualów, zatem logicznie poprawny tytuł książki Darwina winien brzmieć nie "O powstaniu...", ale "O wyginięciu gatunków drogą naturalnej selekcji" i to zjawisko biologiczne jest dobrze obserwowalne! Pan D. nie miał powołania do logiki. Cała jego główna teza jest tautologią!

- Czym, do cholery? - zdumiał się "The Amber".

- Tautologią, młody człowieku, stwierdzeniem typu "masło maślane". Z tej teorii wynika, że przeżywają osobniki i gatunki przystosowane najlepiej, zaś przystosowanie się z samej definicji oznacza zdolność przetrwania i urządzenia się w danym środowisku.

- To są sztuczki semantyczne, panie Lorning - włączył się "Chris", odkładając *Beniowskiego*, gdyż dialog zaczął go interesować.

- Czy mógłby pan powalczyć z Darwinem bez uciekania się do nich?

- Nic łatwiejszego, przyjacielu - odpowiedział "Casablanca". - Ja stanowią najlepszy kontrdowód. Twierdzić, że profesor Lorning pochodzi od małpy, jest zbrodniczą głupotą.

- A gdyby ten kontrdowód nie zupełnie mnie przekonywał? - rzekł Krzysztofeczko, starając się mieć poważną minę.

- To wysunąłbym tysiąc innych! Chłopcze, ulegasz złudzeniu, pozwalasz się mamić tombakiem, to instynkt stadny, tłum zawsze się daje porwać kuglarzom! Ja wiem, ta teoria jest cudownie prosta i

atrakcyjna. Ale co z tego? Ma ona tyle ogromnych luk, że jest jak szwajcarski ser, w którym są prawie same dziury! Jedna z tych luk polega na tym, że skoro ewolucja jest procesem ciągłym, to dlaczego skamieniałe szczątki pokazują nam jedynie ustalone już, łatwo dające się zidentyfikować gatunki? Dlaczego brak bogactwa form pośrednich, stworzeń znajdujących się w połowie drogi między jednym a drugim gatunkiem? Powtarzaną często przez darwinistów i przez neodarwinistów odpowiedzią Darwina na tę wątpliwość jest twierdzenie, że skamieliny stanowią bardzo niedoskonały dowód, to jest, że gdy znajdziemy więcej kopalin, otrzymamy dowody potwierdzające jego teorię. Minęło prawie półtora wieku, półtora wieku zaciekle poszukiwań i niczego nie znaleziono! Gigantyczne luki, te niewytłumaczalne “skoki do przodu” w darwinowskim łańcuchu ewolucyjnym, są wciąż takie same jak za czasów Darwina!

- To nie przekreśla jego teorii - powiedział Wojtek.

- Ona sama się przekreśla! - huknął Lorning. - Ironią losu jest, że książka, która zyskała sławę wyjaśniając pochodzenie gatunków, w istocie nic nie wyjaśniała! Nie wyjaśniała tego tajemniczego procesu, w czasie którego żywe formy rozwijają się i przekraczają barierę powstawania wyraźnie nowego gatunku, niezdolnego już do krzyżowania się z członkami gatunku, z którego sam wyszedł. W naszym stuleciu zwolennicy teorii Darwina chcą się ratować przy pomocy odkryć genetycznych. Chodzi o genetyczne mutacje, na których, tłumacząc zjawisko większych “skoków do przodu”, opierają fundament swej wiary. Ta wiara zakłada, że mając dużo czasu mutacje w obrębie danego gatunku będą się kumulować i wejdą na taką drogę rozwoju, na której będzie się mógł odszczepić nowy gatunek. Niestety, synkowie, trzeba tym naukowym umysłem wciąż przypominać, że w i a r a to jeszcze nie to samo, co rzeczywisty dowód.

- No to skąd wziął się człowiek? - zapytał Amerykanin, który

niewiele zrozumiał.

- Aaa, to jest tajemnicą Pana Boga, z nim porozmawiaj, kowboju - odparł Lorning.

- Lecz to, że małpy pochodzą od ludzi, a nie ludzie od małp, to już chyba nie sekret, skoro pan tak gada?

- To nie sekret, synku, świadczą o tym badania antropologiczne, cytologiczne, paleontologiczne oraz inne.

”Casablanca” wstał, przeciągnął się i ziewając oznajmił:

- Idę spać. Jeśli nie zwiążecie mnie dzisiaj tak po chamsku jak wczoraj, to w nagrodę jutro obalę wam teorię Einsteina. Dobranoc.

Farloon spojrział na Krzysztofeczkę i mruknął:

- Zastanawiam się, jaka małpa mogłaby od ciebie pochodzić? Szympany są zbyt przystojne, goryle zbyt odważne... - A ja się zastanawiam, jaka małpa chciałaby od ciebie pochodzić! - przerwał mu Krzysztofeczko. - Idź zmień Delsona przy klatce, twój czas.

Jechali w prawo od poprzedniej trasy, czyli prostopadle do niej, a równoległe do gór. Lerocque uświadomił sobie, że obejść ich tak daleko jak pragnął nie zdoła, gdyż zabraknie mu benzyny. Miał duży zapas, lecz nie mógł precyzyjnie obliczyć dystansu - wyliczenia na mapie były bliższe wróżbom niż pomiarom. Zdecydował się skrócić łuk obejścia.

Nocleg rozbili na dnie płytkiego parowu. Sierżant Barry Leenock nie mógł spać, dręczył go seks. Onanizować się w namiocie było mu wstyd. Wyszedł i podreptał między samochody. Gdy chciał już wracać, ujrzał skuloną sylwetkę, przeskakującą bezgłośnie od wozu do wozu. Gdyby nie ten koci sposób poruszania się i gdyby głowa tamtego nie obracała się ciągle wokół jak czujny radar, mógłby nie nabrać podejrzeń, lecz nabrał ich i zaczął tamtego śledzić. Skulony facet manipulował przez chwilę przy ciężarówkach, później ciągnął

coś po ziemi i nagle w jego ręku błysnął płomyk; kilka sekund patrzył jak iskra sunie przez ciemność i zerwał się do biegu. Miał pecha, wybrał najgorszy kierunek, tam gdzie czekał Leenock. Barry ściął podpalacza z nóg i próbując go obezwładnić, ryknął o pomoc. Pierwszy nadbiegł Jeff Murray, który pełnił nocną straż.

- Lont! - krzyknął do niego Barry, dusząc ofiarę.

Iskra dosięgała klapy samochodu z amunicją. Murray pobiegł tam, co było nonsensem, nie mógł zdążyć. W ciemnościach, od strony namiotów, trzykrotnie rozbłysł płomień z czyjejs lufy. Ostatni pocisk ściął lont nieomal na krawędzi klapy i wszedł biegnącemu w pierś, zabijając. Strzelał Kanetopouliu.

- Od tej chwili - rozkazał "Mina" - każdy samochód z benzyną i amunicją ma własną straż! "Rolls Royce" i Barry podwojenie żołdu za ten tydzień.

Nikt nie miał nic przeciwko, dzięki tym dwóm ominęła ich apokalipsa. Jeff został pochowany nad ranem, a Lerocque zajął się porucznikiem Takebo, który próbował uczynić z "Czarnego tanga" kupkę popiołu. Rozwiesili go, przywiązując linki do przegubów i do kostek, nagiego, między zderzakami landrovera i jepea.

- Panie oficerze łącznikowy - wycedził Lerocque, mając śmierć w oczach - posiadam bardzo mało czasu!

- Będę gadał, tylko nie męczcie! - zaskowyczał Murzyn. - Powiem wszystko, wszystko, tylko nie męczcie! Wszystko powiem!

- Jak ci dosuniemy, też powiesz, dwa razy więcej niż wszystko! Kto ci kazał to zrobić?

- Bride, korespondent "New York Timesa"!

- Dla CIA?

- Nie wiem, chyba tak!

- Co wiedzą Amerykanie?

- Że jedziecie do Keya.

- Wiedzą po co?

- Nie wiem, może wiedzą, ale ja nie wiem! Mnie zapłacił Bride! Ja nic nie wiem, ja tylko...

- Posłuchaj - szepnął "Mina", schylając się nad wyprężonym w powietrzu, nagim ciałem - za często powtarzasz "nie wiem", to wzbudza moją złość! Jesteś kłamcą.

- Nieee! Mówię prawdę, prawdęęęę! - rozplakał się porucznik.

- Jesteś kłamcą, bo powiedziałaś, że nie życzysz sobie męża, a najwyraźniej życzysz ich sobie.

- Przysięgam, mówię całą prawdę! Przysięgam!

- Co wiesz o tych Buso?

- Nic... nic nie wiem! Naprawdę!...

- No widzisz! Znowu "nie wiem"! O tłumaczach też nic nie wiesz?

- Co o tłumaczach?

- Pracowali razem z tobą...

- Nie, oni nie są ludźmi Bride'a, nic nie wiedzieli.

- Ilu jankesów przeciw nam wysłano?

- Nie mam o tym pojęcia, panie kapitanie!

- Ale wiesz, że wysłano?

- Nie wiem, pierwszy raz słyszę o tym!

- Masz mi coś jeszcze do powiedzenia? - spytał Lerocque. Takebo dusił się od łez:

- Już nic... ja... ja nie chciałem... zmusili mnie... błagam, powiedziałem panu wszystko... ja chcę żyć! Ja...

Lerocque spojrział w niebo pełne chmur i nagle z piorunującą siłą spuścił kant wyprostowanej dłoni niczym tasak na brzuch rozciągniętego, tak jak karateka, który ćwiczy przecinając deskę. Przyjrzał się trupowi i szczeknął:

- Nie zakopywać! Ścierwojadom na żer!

W kwadrans później ruszyli. Wsiadając do samochodu Lerocque odezwał się do swoich oficerów:

- Jeśli któremuś z panów marzył się amerykański poker, to

przyjemność jest blisko.

- Po co pan nas straszy, kapitanie? - spytał Fritz. - Kto panu powiedział, że oni są tutaj?

- Nos, panie van Hongen.

- O ile wiem między pokerem europejskim i amerykańskim jest ta różnica, że w amerykańskim karty są odkryte... - rzekł Downbridge.

- Są odkrywane podczas gry - wyjaśnił mu Haltrey - cztery pierwsze. Piąta jest zakryta. Ona decyduje o tym, czy wygrałeś czy przegrałeś.

- Myślisz, że znamy już cztery pierwsze?

- Na to wygląda. Piątą jest obecność lub nieobecność jankesów tam gdzie idziemy. Żeby rozstrzygnąć grę, trzeba odkryć i tę piątą. Ale nie martw się, "Beatles", nawet ich obecność nie przesądza wyniku. W Stanach jest takie powiedzonko z saloonowych kasyn: "Colt to najwyższy układ kart".

Noc była samym chłodem i ciemnością. Z niewidzialnych przestrzeni i nierozpoznawalnych kierunków dobiegały dziwne głosy tego odłamku zwierzęcego świata, który budzi się wraz z zachodzącym słońcem i wyrusza na żer wówczas, gdy inni zasypiają. Dymy, iskrzące się modlitwy dwóch ognisk, ginęły w mrocznej czeluści nieba pozbawionego gwiazd. Martin Delson dorzucił płomieniom drew, obszedł klatkę, uważając, by nie zahaczyć o pas min, spojrzął na zegarek, sięgnął po papierosy i otworzył usta do krzyku, ale nie zdążył krzyknąć. Nóż przeciął mu gardło aż do połowy szyi.

Farloon spał z dziewczyną przypominającą mu inną dziewczynę. Pochyliło się nad nim dwóch Busonów. Mamulewicz szepnęła:

Tego nie zabijać!

Drewniana pałka odebrała jenkesowi przytomność. W tej samej

chwili rozległ się potężny huk, jakiś inny Buso wszedł na minę obok klatki. Wojtek wyskoczył ze swojego szafasu, trzymając odbezpieczoną broń. Dostał uderzenie w głowę nim zdążył nacisnąć spust, jęknął: “Matkooo Bos...!” i runął twarzą w piach. Ocknął się po południu w tym samym szafasie, w którym spędzał noc; na głowie miał kawałek szmaty, na przegubach rąk i na kostkach nóg sznurowe wiązania.

- Jesteś Polakiem? - - spytał po polsku Mamulewicz, tak jakby nie Polak mógł wzywać Matkę Boską w tym języku.

- Pić! - szepnął Wojtek.

Mamulewicz przytknął mu do ust manierkę i dalej pytał:

- Co tu robisz?

- Zwiedzam... - odpowiedział Krzysztofeczko słabym głosem.

- Ty gnoju! - wrzasnął nań pytający. - Pomagasz Anglikom! Gadaj gdzie reszta?!

- Poszli zrobić siusiu, wie pan, jak to na wycieczce, jedni na lewo, drudzy na prawo... niech pan ich poszuka w krzakach...

- Ty cholerny szczeniaku, jak ci nie wstyd!

- Czego mam się wstydzić?

- Polak, który pomaga Anglikom! Anglia wyrolowała nas tylokrotnie, nic o tym nie wiesz? To skurwysyński naród! Twój stary pewnie walczył we wrześniu, kiedy czekaliśmy na ich pomoc, do której byli zobowiązani, a wypięli się na nas dupą! Pomagasz im w jakiejś brudnej grze, za kilka funtów...

- A ty pomagasz Roskim za darmo? -spytał Wojtek.

- Żebyś wiedział! Ale nie Roskim, tylko Amerykańcom.

- To jeszcze lepiej. I Ruscy i Anglicy czasem wykonują polski hymn, robią to przy pomocy instrumentów, grając. Przez głowę by im nie przeszło, że można go wykonywać odbytnicą. Tylko w Ameryce się uważa, że jest to możliwe i Amerykanie bawią się tym do rozpuku. Kochany naród! Niech pan im dalej pomaga, panie wrażliwy na

narodową godność! A ode mnie niech się pan odpieprzy ze swoim patriotyzmem!

Mamulewicz wytrzeszczył wzrok, nic nie rozumiejąc.

- O czym ty gadasz, smarkaczu?

- O filmie Burta Reynoldsa "The End". W tym filmie się twierdzi, że polski hymn to nie jest coś do grania lub śpiewania, można go wykonywać tylko odbytnicą. Pierdzeniem! Polonia amerykańska zaskarżyła producentów, a sąd amerykański oddalił skargę argumentując, że może było to w złym guście, ale nie nosiło cech oszczerczo-zniesławiających! Ci, dla których tu pracujesz, pierdzą go tylko na twoje urodziny, czy i przy innych okazjach?

Gdzieś obok rozległ się cichy jęk. Krzysztofeczko z trudem przekręcił głowę. W drugim końcu szalasu leżeli Farloon i Lorning, profesor bez zmysłów, szmata na skroniach czerwieniała mu od krwi. Mamulewicz milczał, wpatrując się w klepisko. Weszła Bibi, w rękach miała duży koszyk, pełen owoców. Rzuciła okiem na Farloona i uśmiechając się pokazała kosz Mamulewiczowi. Brał ją za Huruonkę.

- Zostaw go tutaj - powiedział.

Schylając się wbiła mu nóż w bok aż po rękajeść, a kiedy znieruchomiał, przecięła sznury Farloonowi.

- Nie pilnowano cię? - spytał ją Clint, uwalniając Polaka.

- Pilnowały mnie kobiety, ale teraz się kłóca o to, co wasze... Wyjął leżącemu pistolet z kabury.

- Psiakrew, to za mało!

Murzynka opróżniła koszyk z owoców. Na dnie leżały ich UZI. Farloon pocałował ją:

- Jesteś boska!

- Tylko po jednym magazynku - zauważył Wojtek.

- Musi starczyć! - powiedział Clint.

Na placu przed wiatą toczył się bój o rzeczy znalezione w

bagażniku ich jeepa. Mężczyźni i kobiety wrywali sobie każdy przedmiot, gestykulując zawzięcie. Trzech Busonów stało przy jeepie Guccioniego. Farloon skosił ich za pomocą krótkiej serii, a Wojtek, strzelając w powietrze, biegał wokół rozpierzchniętych Huruonów, zaganiając stado niczym owczarek. Wpędziwszy wszystkich do klatki, przywrócił wraz z Farloonem wczorajszą rzeczywistość. Nadbiegła dziewczyna i szepnęła coś Farloonowi. Ten zawołał Krzysztofeczkę:

- Benzyniarzu, idź tam i namaść umierającego, bo ożył, ale zdaje się, że nie na długo. Ja tu zostanę.

- Kto, Lorning?

- Nie, twój rodak.

Mamulewicz siedział pod ścianą szałas i wyglądał jak człowiek zupełnie zdrowy, nie widać było żadnego krwawienia, miał tylko dziurę w koszuli. Uśmiechnął się na widok Wojtka.

- To ja miałem być górą, chłopcze, ale czasem pierwsi są ostatni... Moja wina, niepotrzebnie się pakowałem w cudzy interes... Ty też niepotrzebnie. Nas zawsze wyrolują...

"Chris" pochylił się nad nim.

- Niech pan pokaże ranę, trzeba ją...

- Zostaw, to nic nie da... mam wewnętrzny krwotok. Chcę cię o coś prosić... zrób mi krzyż.

- Zrobię.

- Bóg zapłać... Z Huruonami poszło wam łatwo, to rolnicy. Buso to plemię wojowników, więc uważaj... Jest tam u nich jeden gość, mój kumpel, nazywa się Julio Cadenas, uczciwy facet...

- Uczciwi faceci walczą jak uczciwi faceci, proszę pana - rzekł Krzysztofeczko - a nie za pomocą trucizn!

- Jakich trucizn?

- Przecież chcieliście nas wytruć! Ci Murzyni tutaj podali nam truciznę do żarcia!

Mamulewicz rozszerzył oczy i zatrząsł się, jakby nagle dotknął go mróz.

- A więc to tak?!... To czarownik, skurwiel, nic o tym nie wiedziałem... Sam to wymyślił? A może Guccioni się z nim dogadał, ale przez kogo?... Przez Julia!?

- Niech pan tyle nie mówi - rzekł "Chris". - Proszę pokazać mi tę ranę.

- Szkoda wysiłku, to na nic... już się kończy... Postuchaj!... Nawet jeśli przejdziecie przez Buso, na granicy Keya jest wąwóz... nazywają go "Krocze Kobiety". Jeden człowiek może w nim zatłuc kamieniami całą armię... tam też czekają... Lepiej żebyś nie szedł...

Krople potu zrosiły mu twarz tak raptownie jak ze ściśniętej gąbki, nerwowość wkradła się do płuc, jego oddech utracił rytm, łapał tlen haustami, umierał.

- Widziałem... że... masz... "Beniowskiego"... Prze... przeczytaj mi...

Wojtek sięgnął po książkę, brudną od murzyńskich stóp, które po niej deptały. Przeczytał kilka zdań:

"I przyszedł jako nędzarz do ogrodu Pokazać serce, które więcej warte

Niż to, co za nie dawali na świecie Ci, co kupują serca na tandecie..."

Spojrzał na umierającego, który wpatrywał się weń błyszczącym wzrokiem, coraz ciężiej łapiąc okruchy tlenu. Zgniecione kartki książki sprężynowały w rękach Wojtka, przelatując jedna za drugą. Unieruchomił je i znowu czytał:

"Kłębami dymu niechaj się otoczę,

Niech o młodości pomarzę pół senny.

Czuję jak pachną kochanki warkocze,

Widzę..."

Z ust Mamulewicza buchnął strumień krwi i głowa opadła mu na pierś. Krzysztofeczko wypuścił kilku Huruonów i kazał głęboko

kopać; zrobił krzyż i pomyślał o tabliczce z nazwiskiem, lecz go nie znał, więc wrócił do szałasu po książkę, żeby oderwać jedną ze stron, wybraną, którą zawiesił na krzyżu:

”I nie dziw, bo świat ich już był opalem
I tęczą, i gwiazd pełną i promieni,
Za którą złota stała Jeruzalem,
Drzew szmaragdowych pełna i kamieni,
Z których jest jeden męczeńskim koralem
I ciągle od krwi polskiej się czerwieni;
A bramy, co się przed polskimi berły
Odemkną, z lży są jednej, z jednej perły”

Guccioni wyjął dwie puszki konserw. Większą rzucił Cadenasowi, mówiąc:

- Ja otworzę bekon, ty otwórz chleb.
- Chleb? - zdziwił się Cadenas.
- Co, nigdy nie jadłeś konserwowego chleba?
- Nigdy, nawet nie wiedziałem, że coś takiego istnieje!
- Odtąd będziesz wiedział. Julio ugryzł kromkę.
- Magnifico, senior capitan!
- Na spodzie jest konserwowe masło. Podaj mi kawałek... Tu masz swoją porcję bekonu.

Rozkoszując się pieczywem Hiszpan nie przestał mówić:

- Najfajniejsza z przypowieści afrykańskich, w każdym razie dla mnie najfajniejsza, ma za temat właśnie chleb! Słyszałem ją od czarnych w Kongo. Pewien człowiek codziennie kupował sześć chlebów. Po co ci aż sześć chlebów, spytał go przyjaciel. Tamten mu odpowiedział: jeden zużywam, jeden wyrzucam, dwa idą na spłatę długów, a dwa pożyczam. Nie rozumiem, rzekł przyjaciel. To proste, mówi ten pierwszy. Jeden zjadam, jeden daję teściowej, dwa daję

rodzicom za to, że mnie wykarmili, a dwa ostatnie moim dzieciom, żeby zwróciły mi na starość.

- That's right! - zgodził się Amerykanin. - Wszyscy to robimy. Pomyśleć, że te czarnuchy potrafią tak to ująć w słowa!

Z zewnątrz dobiegł ich gwar, który początkowo zlekceważyli, lecz gwar się wzmacniał i nagle, wśród radosnych okrzyków, usłyszeli huk, potem drugi i jeszcze jeden.

- Palba świąteczna! - rzekł Julio. - Ale z jakiego powodu? Wybiegli przed chatę. Zbliżył się do nich pomocnik czarownika, machając rękami, podskakując i krzycząc w euforycznym uniesieniu.

- Co on gada? - spytał Guccioni.

Cadenas machnął dłonią i słuchał dalej. Murzyn pokazywał w stronę gór, wrzeszczał i tańczył, wprawiając się w coraz bardziej ekstatyczny trans. Kiedy odbiegł do swoich, już całe plemię tańczyło, śpiewając rytmiczną pieśń. Cadenas odwrócił się do Guccioniego, miał twarz rozpromienioną:

- Powinniśmy zatańczyć razem z nimi, kapitanie! Corrida się skończyła! Ole!

Jak to?

- Wytłukli Anglików!

- Kto wytłukł?!

- Syn wodza!

- Ten, co poszedł na swój pierwszy patrol?

- Ten! Nadział się na Anglików z tamtej strony, a raczej oni na niego...

- Z tamtej strony?! - zdziwił się jankes. - Mieli przyjść stąd!... Obeszli masyw, popatrz, popatrz! Spryciarze!

- Trochę za mali spryciarze jak na Buso! - parsknął Cadenas, zwierając radośnie pięść.

- Wszystkich? - nie mógł uwierzyć Guccioni.

- Co do jednego! Andrew nie gadał bzdur, zatrute strzały z łuków i

dmuchawek to straszna broń! Zwłaszcza w tych górach, kiedy Negr sobie siedzi za granitową skałą i możesz wypruć do niego sto magazynków, a on ma cię w dupie. Lecz jak ty zostaniesz raz draśnięty jego igłą, to święty Boże nie pomoże, jesteś mortuorio! Powiedziałem ci: no pasaran! no pasaran! La fiesta ingles esta fmita!

Po zboczu schodził długi sznur wojowników. Kilkunastu niosło wbite na ostrza włócznie głowy białych. Przy świętym kamieniu grad tych koszmarnych piłek runął na ziemię. Pieśń się wzmogła i taniec oszalał. Guccioni podszedł bliżej i poczuł, jak krew mu uderza do głowy, a przed oczami robi się ciemno. Z gardła wyrwał mu się ryk:

- Jesus Christ!... Jesus Christ!!!

Wszystko ucichło i wszyscy zamarli, jakby boski operator zatrzymał film i wyłączył dźwięk. Cadenas podbiegł do Guccioniego.

- Kapitanie!...

- Zamordowali moich ludzi! - jęknął kapitan. - To nie Anglicy, to są moi ludzie, których nająłem w Windhuk!! Szli tutaj, żeby nam pomóc!! Jesus Christ!!!

Cadenas, błądzący jak twarze uciętych głów, podszedł chwiejnym krokiem do czarownika i przetłumaczył wszystko. Czarownik usiadł na świętym kamieniu, reszta Murzynów przykucnęła wokół, tylko Hiszpan i Amerykanin stali. Kilka minut trwało milczenie. Potem szaman zaczął mówić. Mówił wolno, a Cadenas tłumaczył zdanie po zdaniu. Bał się, że jankes nie wytrzyma i przerwie, lecz Guccioni stał jak posąg i wzrokiem człowieka zahipnotyzowanego wpatrywał się w leżące głowy, tylko delikatne drżenie rąk zdradzało jego wściekłość. Czarownik opowiadał starą baśń:

- Górską łasicę pragnęła złupić gniazdo ptaka Hiriu kiedy ten odlatywał szukać strawy. Przeszkodziła jej w tym mysz, krzycząc: Hiriu, Hiriu, łasicę biegnie do twych jajek, chce ci je porwać! Hiriu wrócił, odpędził łasicę i rzekł do myszy: jestem twoim dłużnikiem, moją wdzięczność chcę wyrazić ofiarowując ci przyjaźń, zawrzyjmy

braterstwo krwi! Tak się stało. Któregoś dnia mysz weszła łasicy w drogę. Łasica chciała się zemścić. Rzuciła się w pogoń za myszą. Mysz uciekała bardzo długo i ogarnęło ją zmęczenie. Biegła krzycząc do wszystkich zwierząt napotkanych w trakcie ucieczki: Nueng, nueng! Łasica mnie złapie, jeśli Hiriu nie przyjdzie mi z pomocą! Zawiadomcie mojego przyjaciela! Niektóre ze zwierząt powiadomiły Hiriu, ale ten był zajęty przy swoich pisklętach, wezwał więc znajomego, ptaka Geri, i rzekł mu: leć natychmiast tam, gdzie walczą mysz z łasicą i ratuj moją przyjaciółkę!

Geri pofrunął i zdążył na czas. Uderzył biegnącą dziobem, zabił i kontent z siebie wrócił. No jak tam? - zapytał go Hiriu. - Czy pomogłeś mojej przyjaciółce? Oczywiście - rzekł Geri - zabiłem mysz! Wówczas Hiriu rozplakał się i powiedział: Cóżes ty zrobił?! Zabiłeś moją przyjaciółkę! Przecież to mysz była moją przyjaciółką! Geri odrzekł mu: Tego nie wiedziałem, w pośpiechu zapomniałeś mi to powiedzieć...

Jeśli sam Bóg zrobił błąd (jak twierdzą antyfemiści), to dlaczego nie mają robić błędów ludzie? Zwłaszcza gdy doskwiera im ból w czaszkach, które zetknęły się z pałkami, gdy brak im snu i namiętności do tego, co robią. Ludzie o głowach nie pobitych, wyspani i smakujący namiętność swych powołań, zrobili tyle błędów, że dzięki nim świat jest dyskoteką wszelakich cierpień, konwulsyjną orgią krzywd i nieprawości, lustrem malowideł Boscha, wszystko to jest koszmarną pomyłką gatunku. "The Amber" i "Chris" mieli swoje prawo do pomyłek, mając senność w stłuczonych głowach. Zapomnieli o czymś i to było błędem. Zapomnieli, że wojownik Buso stąpnął na którąś z min, a ta eksplodując zrobiła dziurę w pasie minowego "ogrodzenia". Huruonom dało to możliwość ucieczki przez lej po wybuchu, byleby strażnik nie

zauważył jak rozmontowują kratę obok; noc była ich sprzymierzeńcem, dłonie narzędziami. Uwagę Farloona odwrócili szarpiąc się i kłócąc w przeciwnym narożniku. Podszedł zobaczyć, co się stało, a gdy wrócił na swój posterunek wprost wejścia, kilku Huruonów skoczyło mu na kark. Śpiących Lorninga (który już doszedł do siebie) i Polaka, obezwładnili bez trudu.

Świat widziany z pozycji “do góry nogami” czasem wygląda komicznie. Ale nie wówczas, gdy powieszą człowieka za nogi jak szczura “Niene-Bale”, żeby go przysmażać. Wisieli niczym pęczek marchewek, w czwórkę, razem z dziewczyną, stykając się ciałami. Strach przed tym, co miało nastąpić, zabijał wszystko, nawet woń moczu, jakim zlewał się “Casablanca”. Czarne dzieci urządziły sobie zabawę, bujając powieszonych. Głowa Clinta stuknęła o głowę Krzysztofeczki, jakby obie chciały sobie popukać: ty głupku, zlitowałeś się i teraz skosztujesz swą zasraną szlachetność!

- Benzyniarzu!... - wycharczał Amerykanin.

- Co?! - Nie trzeba było przeszkadzać “Minie”! To było bez sensu!

- A ty nigdy nie zrobiłeś czegoś bez sensu?

- Raz.

- Co to było?

- Szukałem pewnej brunetki...

- I znalazłeś?

- Niestety tak... Po roku mogłem zrobić już tylko jedno, uciec do wojska. Gdybym się nie zaciągnął, nie byłoby mnie w Niemczech, potem w Anglii, a teraz tu!... O Boże, nie chcę tak zdechnąć, boję się cholernie!

- Ja też się boję, gringo! Nigdy się tak nie bałem! Chryste, niech to się już skończy!

- Przestańcie! - jęknął profesor. - Wszystko przez was!!... Dajcie się człowiekowi modlić! Polak, znasz jakąś modlitwę?

- Sprzedaj mu jakąś - wyszeptał Farloon. - On ci za to obali jakąś

teorię, Einsteina albo Newtona...

- Święty Patryku! - zaskomlał Lorning - pomóż mi obalić tylko fragment, prawo grawitacji, odetnij mnie i daj, bym uleciał w górę, a będziesz jedynym, którego nigdy nie dotknie moja złośliwość...

- Uchwycić się go zębami, Farloon, też pofruniesz... - rzekł Polak, zamykając oczy, tak jakby to mogło zgasić paniczny strach.

Wpychano pod nich chrust i suszone łąjno, żeby je zapalić, gdy wtem dobiegł wszystkich warkot silnika. Jeep z Jervisem i trzema żołnierzami wyhamował na placu. Czarny major podbiegł do plemiennej starszyny i spytał:

- Czemu chcecie zabić przyjaciół prezydenta Nyakobo, naszego pana i dobroczyńcy, władcy nieba i ziemi, ognia i wody, ludzi i zwierząt?

Tłum zadrżał od jednego wyrazu: Nyakobo. Kacyk wybełkotał:

- To są przyjaciele naszego króla?...

- To są jego przyjaciele, wodzu! On widział wszystko! On jest daleko stąd, lecz gdziekolwiek jest, jest wszędzie, widzi wszystko i czuwa nad wszystkim, widzi, co się dzieje w kopcu termitów, i w głębinach wód, i na szczycie góry, i w głowie każdego człowieka, i w jego sercu, i w każdej chacie królestwa, widzi wszystko! Posłał mnie tu, bym zadał wam pytanie: dlaczego lud Huruonów krzywdzi tych, których On darzy przyjaźnią? I powiedział: jeśli nieprawość jest w duszy tego ludu, wygubię ich do ostatniego dziecka i ostatniej matki, aby przestało istnieć to plemię!

Kacyk padł mu do kolan, a za nim uklęknął tłum Huruonów.

- Nie wiedzieliśmy, że to przyjaciele naszego króla! Pozwól nam żyć! - krzyknął, bijąc czołem.

Major wznosił oczy ku niebu i zawołał:

- Panie nasz i władco! Poblądzili przez nieświadomość, daruj im, wstrzymaj zastęp swoich duchów, które lecą tu na czarnych skrzydłach zemsty, niech zawrócą, ten lud będzie ci służył niczym

niewolnica!

”Geniusz! - pomyślał Jervis. - Gdyby Anglików można było tak przywołać do porządku, torysi mogliby rządzić bez końca!”. Major kazał Huruonom rozejść się do chat i zaczęto odcinać powieszonych. Leżąc na ubitej glinie, z uczuciem zmartwychwstania, Lorning zobaczył obok kant nogawki o nieskazitelnym profilu. Podniósł wzrok. Nad nim stał Jervis.

- Zbawco! - wyszeptał.

- Cóż za przyjemność znowu pana zobaczyć, profesorze! - mruknął Jervis, spoglądając na wilgotne od moczu nogawki leżącego. - Dziękuję za tak łaskawy awans.

- Za jaki awans?... - stropił się profesor.

- Kiedyś mianował mnie pan pedałem, który może sobie wsadzić w odbyt lufę pistoletu. Teraz jestem zbawcą, to duży skok.

- Ależ... niech mi pan nie przypomina... To był nietakt... Co ja mówię, to było chamstwo, musiałem być pijany!... Proszę mi darować i zawrzyjmy przymierze, sir Stanley...

Mówiąc to Lorning wyciągał do góry swą dłoń.

- Dżentelmen nie sprzymierza się z ludźmi, którzy szczają we własne spodnie - wycedził Jervis i odszedł ku żołnierzom, których dał mu Oubu.

Cierpienie uszlachetniło “Casablankę”, lecz obelżywość tej riposty sprawiła, że zmartwychwstał po raz wtóry - zmartwychwstał kompletnie. Krzyknął za odchodzącym:

- Rozumiem! Dżentelmen szczą w cudze spodnie! Dzięki za wiadomość! Przyjemnego szczania, sir Stanley!

Po obrzeżach masywu jechali dwukolumnowo. Kolumna geologów na zewnątrz, między nią a stokiem wojsko “Miny” jako tarcza. Od dwóch Huruonów, których wziął ze sobą, Lerocque wiedział, że

istnieje droga do wsi Buso. Czy można ją pokonać samochodami, tego nie był pewien, lecz pewien był, iż atak Busonów nastąpi w jej pobliżu. Formalnie nie miał szans. Jechał na odkrytej przestrzeni obok skalnych załomów, zza których można go było razić. Starczyłoby kilka lekkich działek, przenośnych wyrzutni raketowych lub bazook, żeby rozpieprzyć obie jego kolumny w mgnieniu oka. Lecz było rzeczą nader wątpliwą, czy Amerykanie przeczucili tu taki sprzęt, zresztą nie mógł mieć pewności, czy w ogóle są tutaj. A więc ogień z karabinów, w najgorszym razie maszynowych. Nie istniał przy tym sposób uniknięcia strat. Nie istniał też sposób ich wyliczenia. Z tym musiał się pogodzić. Lecz wiedział jedno - że gdy uda mu się przetrzymać pierwszy atak, to potem będą musieli martwić się atakujący. Przemyślał to wielokrotnie. Jego plan, najlepszy, jaki można było przyjąć w tych warunkach, mieścił się wewnątrz szatańskiej alternatywy: albo tamci rozbiją go i zepchną od jednego uderzenia, albo on krok po kroku wytlucze atakujących.

Jego kolumna była rozciągnięta na dużym dystansie, samochód daleko od samochodu. Kiedy ze zbocza runęły na nich pierwsze głazy, można było manewrować wozem, w przód lub w tył, unikając toczących się "pocisków", tak jak w dziecięcej grze "dwa ognie", gdy ten, w którego celują, musi uskoczyć z lotu piłki. Nie była to zabawa bez końca, po zboczu turlał się grad głazów, któreś musiały trafić. Jeden jeep i jeden landrover wywróciły się pokiereszowane, w kilku ciężarówkach koła od strony gór poszły w drzazgi, wreszcie kolumna stanęła i ludzie zaczęli wyskakiwać z samochodów lub wyczołgiwać się z tych, które rozbito. Wtedy rozległ się świst strzał, dziesiątki świstów zlanych w jedną cichą kanonadę. Czterech draśniętych w głowy i nogi padło, lecz u innych kuloodporne kamizelki zatrzymały truciznę śpiącą na ostrzach. Po chwili sfrunął ku zaatakowanym drugi deszcz z łuków i dmuchawek, kosztował

dwa trupy. Trzecie uderzenie wyrwało z szeregów kolejną dwójkę. Czwartego już nie było - rozpoczął się odwet "Gangu Lerocque'a". Plan Busonów był dobry, ale plan Francuza był jeszcze lepszy.

Nie oddano w kierunku napastników ani jednego strzału, byłoby to bezsensowne. Lerocque doskonale wiedział coś, o czym Julio Cadenas mówił Guccioniemu - do człowieka ukrytego za granitem można strzelać pestkami lub kulami, skutek będzie ten sam. Miał "Wunderwaffe". Lord Benton zaopatrzył "Czarne tango" w nowy rodzaj min, coś rewelacyjnego, małe jak konserwy, o potwornym rażeniu, każdą można zamienić w granat...". To, co jego lordowska mość powiedział Jervisowi, było prawdą - wystarczyło dodać takiej minie inny zapalnik oraz trzonek, by powstał granat, lub wydłużyć ją o tulejowy korpus, wtedy zamieniała się w pocisk. Do takich pocisków otrzymali nowy rodzaj mózdzierza-granatnika. Dziewięć tych rur zdołano ustawić w szeregu pod lawiną busońskich strzał.

Pierwsza salwa białych rozstrzygnęła pojedynek: na głowy Busonów spadło dziewięć "konserw" ze śmiercią, czyniąc z pasa o długości stukilkudziesięciu jardów i szerokości trzydziestu jardów cmentarz. Na pierwszej linii atakujących nikt nie przeżył. Druga linia przestała cokolwiek widzieć - między nimi a kolumną samochodów wzniósł się wał dymu, kłębiasta kurtyna, z wyżyn której leciał grad kamyków i szczątków ludzkich. Następną salwą Lerocque poszerzył cmentarz w głąb gór. Szedł stokiem za gromadami uciekających i wyprzedzał szybkość ich odwrotu, ryglował im trasy zbawienia, gdyż najszybsze nogi nie przegonią pocisków. Każda z salw zamieniała wielką połąć granitowej ojczyzny Buso w kilkadziesiąt ton żwiru, w makabryczną chmurę, w Sąd Ostateczny dla plemienia. Pod wieczór nie było już niczego, nawet wsi, przed którą Amerykanin chciał zatrzymać Anglików ckm-em. Zginął wówczas Roń Boster, a Gurt został lekko ranny. Lista strat byłaby niewielka dla korpusu, dla Lerocque dziewięciu ludzi (z

wcześniej poległym Murrayem) było hekatombą. Gdy nadto odliczył Farloona, Delsona i Chris... Christox... tego Polaka o cholernym nazwisku... Lecz Buso przestali istnieć! Mężczyzn wytlukli co do jednego, bombardując bronione domostwa; kilka kobiet zdołało ująć nim zrównał osadę z ziemią. Dwie wróciły szukać dzieci. Powiedziały mu o trzech białych gościach plemienia i o innych białych, których zabito przez pomyłkę. Znalazł ciało Guccioniego i przejrzał jego papiery. Było tam zdjęcie z kobietą o smutnym obliczu. "Koniec amerykańskiego rozdania - pomyślał. - Chcieliście to załatwić czarnuchami, nie wyszło! Trzeba było przysłać pułk w zielonym berecie!".

Przez dwie doby bawił się w grabarza (osiem pogrzebów), w szpital (kilku rannych) i w warsztat samochodowy (tylko jeden landrover i jedna ciężarówka poszły na złom). I nie zapomniał wystrzelić rakiet.

Dlaczego wszystko, co sprawia nam radość, wszystko, czemu przypisujemy urok piękna, wszystko, co odziewamy w szatę ideału, kończy się czymś brudnym, głupim, nędznym lub śmierzącym, dlaczego nietrwałość jest cechą absolutu, a wzniosłość i triumf nie są jego finałem? Miłość kona w znudzeniu, upodleniu lub zazdrości, dobroć w spektakularnych filantropiach, książka w składzie makulatury, poezja w ocenach szkolnych belferów, konie wyścigowe w jatkach rzeźników, demokracja w tłumie, wolność w ZOO, sława w megalomanii, wiedza w pysze, cacka na śmietniku... Powtórka z młodości Stanleya Jervisa zakończyła się biegunką, której nie mógł przepędzić farmakologicznie, choć łykał swoje lekarstwa i wywary z ziół Huruonów.

- Osobliwość! - drwił Lorning - dżentelmen zawarł przymierze ze sraczką we własnych w spodniach!

To było dla popisu przed dwoma buntownikami i w odwecie za

odtrąconą dłoń, lecz w myślach Lorning widział to inaczej: Jervis odbył wielką podróż, żeby zobaczyć się z Lerocque'm i nie zobaczy się z nim, będzie musiał zawrócić, po cóż więc ją odbył? Po to, tylko po to, żeby ich uratować w ostatniej chwili, rzecz jak z filmu lub jak z Pisma Świętego, czy to przypadek? "Nie, to Opatrzność. A więc istnieje Opatrzność? Dla bezpieczeństwa lepiej dotrzymać obietnicy świętemu Patrykowi, bo on pracuje w tej samej firmie..."

Postanowiono, że major odwiezie chorego Jervisa do Matabele, oni zaś - Farloon, Lorning i Krzysztofeczko - spróbują się połączyć z Lerocque'm.

- Macie tu list do niego - powiedział Jervis. - Nie wolno mu napażać jankesów, to rozkaz!

- Mamy mu coś ważniejszego do zakomunikowania - rzekł jankes.

- On już pokonał Busonów, dał nam o tym znać rakietami, ale nie wie, że czeka go jeszcze jedno gównu u wrót Keya...

Ich jeep miał silnik zdewastowany przez wieśniaków. Jeep, którym przyjechał Mamulewicz, był w dobrym stanie, lecz nie mógłby wziąć zapasu benzyny, dlatego Jervis oddał im duży landrover pułkownika Oubu, a dokładniej wymienił na ów jeep, który był dla niego dowodem obecności Amerykanów.

Clint i Wojtek zmieniali się za kierownicą co dwie godziny, Lorning i dziewczyna rezydowali z tyłu. Pierwszy przerwał milczenie "The Amber":

- Słuchaj... ten wasz hymn, no... to, o czym gadałeś z tym gościem, którego ciachnęła Bibi, to był pic, żeby go skołować, prawda?

- Nie.

Farloon zamilkł. Milczał długo, żując swą gumę (której zapas rozkradli mu Huruoni, lecz część zdołał im odebrać); Polak czuł, iż Farloon męczy się tym milczeniem, że chce coś z siebie wyrzucić, tylko przychodzi mu to z trudnością. W końcu jankes się przemógł:

- Słuchaj... nie pomyśl, że ci odpuściłem, nasze rachunki jeszcze

nie są skończone, benzyniarzu, zapłacisz mi za tamten prysznic!... Ale... ten hymn... To nie jest tak!... Ja tego filmu nie widziałem, Burt Reynolds to dla mnie gówno z wąsami, jeden z tych hollywoodzkich gnojków, którzy udają prawdziwych facetów i są nimi w oczach siusiumajtek i ciot po pięćdziesiątce, które nigdy nie miały mężów, co mogliby je dobrze wyruchać, więc one zasypiają z tym cacusiowatym wypierdkiem... Słuchaj, może i ktoś u nas śmieje się z waszego hymnu, u nas śmieją się ze wszystkiego, z prezydenta, z papieża... Ale to nie jest tak, że Amerykanie was nie lubią, ja nic takiego nie widziałem. U nas są na przykład szajbusy, co piją soki z glist i robaków, wrzucają robale do miksera, wyciskają z nich sok i piją, tak po prostu, widziałem to w telewizji, ale czy możesz powiedzieć, że to jest nasz ulubiony drink?... W naszych budach uczą o Pułaskim i Kościuszcze, że to byli kławi faceci z Polski, co dowodzili armią amerykańską, kiedy ta walczyła o wolność z Anglikami, a w Dniu Pułaskiego, kiedy amerykańscy Polacy defilują i tańczą na ulicach, Amerykanie oklaskują ten jubel, ja to widziałem w Chicago. Powiedz mi, czy u was, przy którymkolwiek ze świąt, można tańczyć na cześć Amerykanina?...

- W Polsce są tylko święta na cześć białych niedźwiedzi - rozległ się zza ich pleców zgryźliwy głos.- A tak w ogóle, panie Farloon, to gdyby Ameryka w osiemnastym wieku przegrała tę wojnę z Anglikami o wolność, to dzisiaj byłaby wolna od wielu kretyńskich chorób, takich jak mafia, baseball czy "keep smiling". Co zaś do pana, panie Polak, to myślę, że pański naród, który przegrał tyle wojen o swą wolność, przegrałby ich mniej, gdyby polscy generałowie nie byli głównym u was artykułem eksportowym. Jak się chce mieć mleko, nie można pozbywać się wszystkich krów. Tylko ja nie mam wobec pana długu, bo żaden polski generał nie pomógł Anglikom zwyciężyć w żadnej bitwie... - Za to pański nauczyciel historii ma wobec pana dług - przerwał "Casablance"

Krzysztofeczko. - Niech pan mu wytoczy proces o duże odszkodowanie, bo albo pana ołgał, albo nie dopilnował jak pan odrabia lekcje. Wygra pan bez trudu. Sąd, w każdym razie uczciwy sąd, doloży mu za samego generała Andersa.

- Przepraszam, za kogo? - spytał Lorning.

- Za polskiego generała, który na czele polskiego korpusu otworzył aliancom drogę na Rzym, zdobywając Monte Cassino, czego nie potrafiły dokonać armie brytyjskie. Niemcy rozpieprzyli kilka waszych fal szturmowych, trzeba było dopiero rzucić na tę górę Polaków. Wystarczył jeden polski atak.

Farloon odwrócił się w stronę Lorninga, pytając:

- Co jest, panie profesorze, czemu pan milczy? Było tak, czy nie?

- Owszem, synu - rzekł Lorning. - Monte Cassino to był wielki klasztor, który Niemcy zamienili w fortecę, a brytyjskie bombardowania zamieniły tę fortecę w ruinę. Ruina jak to ruina, wiesz co to jest ruina. Kupa gruzu i kurzu, brud i nieporządek. Ktoś musiał to posprzątać. Wysłano Polaków.

Lerocque nie wiedział, że ten wąż nosi nazwę "Krocze Kobiety", i że wódz plemienia Buso, w porozumieniu z Mamulewiczem i Guccionim, odesłał tam kilku wojowników; Farloon i Krzysztofeczko nie zdążyli zawiadomić Francuza. Ale gdy Francuz ujrzał tę szczelinę, ostrzegł go instynkt "psa wojny". Mógł ją ominąć, wchodząc do Keya dużym łukiem, lecz nie chciał tego robić z dwóch powodów. Pierwszym były czas i benzyna (zrobił już jeden łuk, obchodząc masyw Buso, stracił przy tym wiele czasu i wiele kanistrów), drugim konieczność likwidowania wszelkich zagrożeń. Cóż z tego, że ominąłby pułapkę, dalej byłaby ona pułapką, tym razem dla geologów, jeśli by chcieli wycofać się z Keya tą drogą przed jakimś niebezpieczeństwem. Musiał mieć pewność. Nakazał rozbić

obóz noclegowy milę od wąwozu, co zdziwiło van Hongena:

- O tej porze? Do wieczora jeszcze kilka godzin.

- Do przeżycia jeszcze kilkaset tysięcy godzin, panie van Hongen, nie warto umierać przez nieostrożność.

Rankiem kolumna samochodów ruszyła powoli ku wejściu w skalną szczelinę. Busońscy wojownicy obserwowali ją zza głazów, które miały runąć na głowy białym bwana. Im bliżej był pierwszy landrover, tym bardziej uwaga czarnych skupiała się na nim, a w dłoniach drżało im kilka drągów-dźwigni, od których lawina granitu miała eksplodować. Nic z tego nie wyszło. Spoza busońskich pleców eksplodował ogień karabinowy, kładąc trupem ostatnie egzemplarze dumnego plemienia. Shelm, Gurt i Haltrey wspięli się nocą na gzyms wąwozu, podpełzli jak na ćwiczeniach i trafili jak do tarcz.

Na dole słyhać było tylko huk wystrzałów, lecz kto strzelał, kto trafił i kto zabił, nie wiedziano. Lerocque wstrzymał kolumnę. Czekali z głowami uniesionymi do góry. Wysoko, pod niebem, nic się nie ruszało, prócz kilku spłoszonych ptaków. Nagle w tej ciszy ktoś zagwizdał i lekki wiatr zniósł ku samochodom odbijaną echem melodię "I'm gonna let nobody turn me round". "Mina" dał znak ręką - można było przekraczać wąwóz bez strachu.

Za wąwozem rozpościerał się obszar Keya. Van Hongen rzekł do "Miny":

- Proszę stanąć.

- Po co? - zdziwił się Francuz. - Musimy odzyskać utracony czas. Chyba że chce pan siusiu...

- Chcę się dorwać do moich pieniędzy, kapitanie. I to szybko. Ten utracony czas, to mój czas. Nie zamierzam tracić więcej czasu!

- O co panu chodzi?

- O tych z FWL. Chcę ich dostać!

- Wiem o tym, wkrótce ruszymy do prowincji Harel, ale najpierw trzeba zawieźć geologów tam, gdzie mają robić swoje badania, to

było uzgodnione!

- Było uzgodnione, że przyjadą do Keya! Już są w Keya. Dalej nic im nie grozi. Zresztą mają swą straż i saperów, nie potrzebują nianiek. Dojść na miejsce, założyć obozowisko i ubezpieczyć obszar badań polami minowymi mogą bez pańskich chłopców!

- Więc pan chce?...

- Tak. Oni jadą na wprost, my skręcamy ku Harel, dość tracenia czasu!

- To jest złamanie umowy, panie van Hongen!

- Mam inny punkt widzenia, panie Lerocque. Zgodziłem się na tych geologów, pojmując, że i Londyn musi mieć jakąś pieczeń z ogniska, które rozpalam moimi banknotami. To kosztowało już dziewięć trupów. Mnie kosztowało, panie Lerocque! Ja opłaciłem tych chłopców, żeby mi pomogli zemścić się na mordercach mojego brata, i co? Przez tych panów uczonych mam dziewięciu ludzi mniej! Głównym celem wyprawy był mój odwet, szansę, że mi się on uda, maleją z każdym zabitym! Mam iść do Harel w pojedynkę i strzelać? Ja nie umiem strzelać, Lerocque! Nie dam więcej tracić ludzi!

- Przecież sam pan powiedział, że niebezpieczeństwo już minęło i to jest prawda...

- Minęło zagrożenie ze strony Buso, ale każdy dzień w tym kraju to groźba innych niebezpieczeństw! Na przykład tutejszych chorób. Jedną udało się pokonać, ale kto mi zaręczy, że jak przyplącze się druga, to też damy sobie z nią radę? Czas gra przeciwko moim planom, Lerocque, nie mam już czasu! I nie mam ochoty na dyskusje z panem! Jeśli nie uda się rozwalić tej partyzantki, to będzie złamanie układu przez was, ja stracę wszystko, a Londyn, który już dzięki moim pieniądзом osiągnął wszystko, na czym mu zależało, wyrazi mi ubolewanie: "Sorry, mister van Hongen, what a pity!".

- Rozumiem pana - powiedział Lerocque - ale mam rozkaz, aby wejść na teren geologów i dopilnować...

- Kapitanie, koniec dyskusji! -warknął Fritz. - Idziemy do Harel! Pan mi podlega...

- W tej sprawie podlegam moim rozkazodawcom - przerwał Lerocque. - I ten rozkaz musi być wykonany!

- Już został wykonany, jesteśmy w Keya, zostawiamy tu geologów! Albo pan to zrozumie, albo pan zapłaci żołąd wszystkim swoim ludziom, bo ode mnie nie dostaną centa! Proszę im to powiedzieć!

Lerocque zatrzymał samochód. Był pod ścianą. Miał rozkaz Jersisa i miał świadomość, że jeśli Holender oznajmi ludziom, iż są tu za darmo, to on, wielki "Mina", zostanie sam, wszyscy obrócą się przeciwko niemu. Może tylko Downbridge nie poszedłby za tym gnojem, bo ma własny szmal... Nie wiedział, co mówić, wściekłość i bezsilność rozsadzały mu łeb. Wyręczył go van Hongen, mówiąc ugodowo:

- Proponuję kompromis, można z tego pata wyjść, panie Lerocque. Pan ma rozkaz osobistego dopilnowania spraw geologów. Niech pan z nimi jedzie, a ja z resztą ludzi udam się do Harel. Spotkamy się w Kariduomo, ten kto dotrze tam pierwszy, będzie czekał. Pod pańską nieobecność dowództwo przejmie pański zastępca, porucznik Downbridge, albo kapitan Nortolt.

- W porządku - zgodził się Lerocque.

Zgodził się, gdyż nie miał innego wyjścia, a zarazem miał świadomość, iż dla tych, którzy mu zaufali, odwet van Hongena jest niczym, najważniejszą jest sprawa geologów. Musiał ich osobiście zainstalować, dopilnowując wszystkiego.

- Jeszcze jedna rzecz, kapitanie... - rzekł Fritz, odziewając twarz w komplementujący uśmiech. - Kiedy pan mi ubywa z zespołu, to tak jakbym tracił dziesięciu ludzi, pan jest tyle wart. Bez pana mam tylko dwunastu, którzy potrafią się bić. Proszę mi oddać pięciu z

ochrony geologów.

- Trzech - powiedział "Mina".

- Tak nisko pan się ceni?

"Spierdalaj z powrotem na drzewo, gnojku!" - pomyślał Lerocque i wyskoczył z szoferki, żeby zawołać Downbridge'a.

Drogę przecięły im ślady wielu kół, prostopadłe do kierunku, w jakim zmierzali. Nie istniała wątpliwość, że to odcisk "safari ya bwana Lerocque", któż inny mógłby tu mieć tyle samochodów? Lecz odcisk koła nie jest odciskiem buta, o tym, w jaką stronę jechał samochód, mówi tylko znawcom opon. Farloon znał się na nich.

- Jadą od strony masywu! - powiedział bez wahań.

- Niemożliwe! - zdziwił się Krzysztofeczko. - Mieli najpierw jechać do Keya...

- Ale jadą od Keya!

Ruszyli tym śladem, cisnąc gaz. Przed nocą, zza niewielkiego wzniesienia, puszczone im obok szoferki serię z pm-u. Krzysztofeczko zgasił silnik, a Farloon zagwizdał "I'm gonna let nobody turn me round". Stanęli przed Nortoltem i Downbridge'em.

- Mamy wiadomość dla kapitana - rzekł Farloon.

- Jaką wiadomość?

- Jest taki wąwóz na drodze do Keyi, w którym Buso robią nam niespodziankę.

- Taki był ich zamiar, ale się nie powiódł. My zrobiliśmy im niespodziankę. Coś jeszcze?

- Gdzie Lerocque?

- Po co ci Lerocque?

- Chcemy z nim mówić.

- O czym? Chcesz go spytać ile piachu się nażarł, kiedy groziłeś mu spluwą? Powinieneś się cieszyć, że go tu nie ma, dostałbyś kulę w

łeb. Od nas też możesz ją dostać, ale chcemy dać wam szansę rehabilitacji...

Do namiotu wbiegł Jim Clayton, stanął przed Downbridge'em i zaczął się pieniść:

- Panie poruczniku! Ta dziewczyna jest nasza! Te skurwysyny nie będą...

- Spokój, sierzancie! - krzyknął Downbridge. - Jak jest wasza, to ją sobie weźcie, co ja mam do tego?

- Ona nie chce z nami iść! Pilnuje ją ten profesor, ja się z nim nie będę szarpał! Ja...

- To może ja mam się z nim szarpać? - zapytał Downbridge. Krzyk zwabił van Hongena.

- Ja to załatwię, poruczniku. Clayton i wy dwaj - wskazał Wojtka i Clinta - za mną!

Przy samochodzie, w którym siedziała Bibi, Fritz zapytał ją z kim chce jechać. Zeskoczyła na ziemię i podbiegła do Farloona.

- Chcecie coś jeszcze powiedzieć, sierzancie Clayton? - spytał van Hongen.

Bracia Clayton chcieli coś jeszcze powiedzieć, ale nie Holendrowi. Wraz z "Rolls Roycem", Gurtem, Shelmem, Frostem i Leenockiem udali się do "Szeryfa" i "Beatlesa". W imieniu wszystkich przemówił Grek:

- Panie kapitanie, panie poruczniku! Albo to jest wojsko, albo to jest tancbuda, w której wszystko można robić i nie ma żadnej dyscypliny! Ci dwaj wytarziali nas wszystkich w piachu, strzelali do nas, przepędzili nas ze wsi, rozkazy spełniają wtedy, kiedy chcą, a jak nie chcą, to łapią za sploty ośmieszając dowódców, przecież tak nie może być! Za to w każdej armii jest sąd, pluton i łopata!

- Chcecie im urządzić sąd i pogrzeb? - spytał Downbridge.

- A wy chcecie odpuścić? - warknął Frost. - To od dzisiaj ja też pieprzę rozkazy!

- Spróbuj! - rzekł Nortolt.

- Im wolno, a nam nie!?

- Nikomu nie wolno, ale zrozumcie, chłopcy, jest nas piętnastu, tylko piętnastu, to może być mało na tych z FWL. Z tymi dwoma będzie nas siedemnastu, a to są niezłe kozaki! Gramy tu o duży pieniądź, lecz żeby wygrać, musimy rozpieprzyć tę partyzantkę, inaczej bye-bye forse, ten lalusz nic nam nie da! Gramy też o własny tyłek. Te czarnuchy nie będą do nas strzelać z łuków tak jak Buso. Dwie lufy więcej to większa szansa na powrót do domu. Mówicie, że chcemy odpuścić? Kto wam to powiedział? Ja też nie zapomniałem, że położyli mnie na piachu jak gówno! Zróbmy najpierw swoje, a jak będzie po wszystkim, znajdziemy powód, żeby...

- Żeby jeszcze raz ich nagrodzić! - wybuchnął Shelm. - Pierwszą nagrodę dał im lalusz, mają kogo rąbać co noc, a my musimy trzepać konie w krzakach! Chcemy, żeby dziewczyna była wspólna!

- Okay! - rzekł Nortolt. - Co pan na to, poruczniku?

- Zgadzam się - powiedział Downbridge. - Van Hongen nie będzie się sprzeciwiał, jemu chodzi tylko o FWL.

Nie sprzeciwiał się również Clint, co zdziwiło Krzysztofeczkę. Spojrzał na Farloona, nic nie mówiąc, a ten wzruszył ramionami.

- Benzyniarzu, czy nie rozumiesz, że odtąd każdy sprzeciw to dla nas czapa? Ciesz się, że nie rozwalili nas za tamto!

- Nie mogą, jesteśmy im potrzebni, zobacz ilu ich jest - odpowiedział Wojtek. - Mieli trochę za dużo pogrzebów...

- Dobra, ale ja ślubu z nią nie brałem! Nie będę się o nią bił! Nie chcę jej od niego!

- Od kogo?

- Wziąłem ją sam od Claytonów, i tak było dobrze. Ale teraz on mi ją dał, nie wezmę od niego nic! Jako prezent od tego gogusia ona mnie nie interesuje!

- Co masz przeciwko niemu?

- Tylko jedno, dla niego i dla mnie świat jest za ciasny! Nienawidzę skurwysyna!

- Za co, do cholery!?

- Nie twój interes, benzyniarzu! Ty martw się tym, że i tobie mam coś do spłacenia!

- Gringo - powiedział Wojtek - czy na tym ciasnym świecie jest ktoś, kogo jeszcze nie nienawidzisz?

Farloon odwrócił się doń tyłem i zamknął oczy, żeby spojrzeć w twarz Nelinie Nyakobo.

Budowa bazy dla geologów, zaminowanie wszystkich dojsć (najgęstsze od strony granic), montaż sprzętu i penetracja sąsiedztw, zabrały Francuzowi około tygodnia. Szefa inżynierów zapewnił, że jak wróci do Anglii, dopilnuje, by Londyn nie opóźniał wysyłek z zaopatrzeniem - grupy dostawcze miały nadchodzić co kwartał (istniał też projekt komunikacji lotniczej, na który nie było wciąż zgody Matabele). Wziął jeden jeep, jeden landrover z kanistrami, trzech saperów i żywność, powiedział: "Good luck!" i ruszył w kierunku "Krocza Kobiety". Miał przed sobą daleką drogę. Lecz za sobą miał operację "Czarne tango".

Ten kryptonim dotyczył zainstalowania geologów, zemsta van Hongena mało obchodziła Londyn. Była deserem koniecznym ze względów finansowych, Holender płacił za wszystko. Ale jego szantaż wobec Lerocque'a był półprawdą. Fakt, że gdyby van Hongen oznajmił zespołowi, iż nie dostaną żołdu, uwierzyliby, on był kasjerem. Dlatego "Mina" musiał się ugiąć, nie przekonałby żadnego ze swych ludzi, że to nieprawda. A była to nieprawda, gdyż Jervis dysponował gwarancją bankową na wypłatę żołdu. Sukces lub klęska ekspedycji nie miały tu znaczenia, płacono za dniówkowy udział. Chyba że van Hongen chciałby się oprzeć na klauzuli, którą

wprowadził do kontraktu Loederer; według niej zółd ulegał zmniejszeniu o jedną trzecią, gdyby zemsta nie doszła do skutku z przyczyn obiektywnych, i o sto procent, gdy z przyczyn subiektywnych, zawinionych przez członków komanda. "Tylko jak van Hongen mógłby udowodnić, że przyczyny były subiektywne, że był to na przykład bunt przeciw jego zarządzeniom? Nie miałby świadków. Nie miałby ich pod warunkiem, że wszyscy członkowie «Gangu Lerocque'a» zachowaliby solidarność. A gdyby nie zachowali? Gdyby znalazł, a właściwie kupił, jedną parszywą owcę? Nic trudnego dla nababów... Tak, lecz z drugiej strony ta parszywa owca przed sparszywieniem musiałaby sobie uświadomić, że po sparszywieniu będzie żywą martwą owcą, z wyrokiem od każdego z nich, więc może wolałaby tego zaniechać..."

Mógł tak się bawić myślami w nieskończoność, raz za, raz przeciw, i znowu za, wte i we wte, to nie miało sensu. "Dobrze się stało jak się stało!" - pomyślał i wyciągnął mapę, szukając Kariduomo.

VII. "Czarne tango" 2

Gdyby śmierć przyszła do komendanta Okumy Garo, mówiąc mu, że wkrótce będzie się musiał z nią ożenić, on najpierw by się zdziwił:

- Czyż nie jesteś już moją żoną? Czyż nie jestem twoim mężem? Czyż nie płodzimy razem trupów? W okolicznych wioskach mordują tych, którzy chowają przede mną żywność. Zabijam każdego żołnierza, jakiego uda mi się dopaść. Co miesiąc odbieram życie jednemu zakładnikowi. Ja, twój mąż.

- Nie - odparłaby na to ona - jesteś tylko moim wyznawcą, a ja twoim bóstwem, składasz mi ofiary. Poślubić mnie możesz odchodząc ze mną do krainy cienia, gdzie mam tylu mężów, iż nie potrafiłbyś ich zliczyć.

Wówczas jego ogarnąłby strach, bo uwierzyłby jej (wykształcenie i ideologia nie zwalniają od przesądów), i ciekawość, bo nie wiedziałby dlaczego:

- Dlaczego już?

- Dlatego, że już nadchodzą ludzie, którzy chcą cię zabić - odpowiedziałaby śmierć.

- Nie tak łatwo mnie zabić - obruszyłby się komendant. - Mam dobrą kryjówkę i dobrych bojowników i jestem bardzo czujny. Trzeba być ptakiem, aby wysledzić mój obóz.

- Lub zdrajcą, aby go wskazać - roześmiałaby się ona.

- Czemu miano by mnie zdradzić?

- A czemu miano by cię nie zdradzić? - zapytałaby śmierć. - Wszyscy podlegają życiu i moim objęciom, wszystkim dotyka lęk i głód, wszyscy radują się, cierpią, marzą i płaczą po nocach, wszyscy pielęgnują nienawiść i miłość, każdy zdradza i każdy będzie zdradzony, czemu twój los miałby być wyjątkiem?

- Powiedz mi imię tego, który zdradzi - zapragnąłby Okuma Garo.

- Jego imię nigdy się nie zmienia, to Judasz - odpowiedziałaby śmierć.

- I to nienawiść każe mu...

- Nie, to rozkaz. Dano mu rozkaz, by zawiódł twoich wrogów do twojego schronienia, aby mogli wypełnić to, co zapisane jest w gwiazdach od niepamiętnej godziny, przez tego, który jest Przedwiecznym, Budowniczym wyroków, Sędzią przeznaczeń, i któremu służą wszystkie bóstwa wraz ze mną.

- Powiedz mi, kto dał mu ten rozkaz?

- Rozkaz dał mu ten, od którego ty bierzesz rozkazy i któremu służysz. On dał mu rozkaz. Dlatego musiałam przywdziać mą szatę.

- To kłamstwo! - rzekłby komendant. - Nie mówisz prawdy!

- Wielu nie mówi prawdy, lecz ja ją mówię, gdyż ja jestem prawdą, jedyną prawdą i niczym jak tylko prawdą, czemu głupio się unosisz?

- ofuknęłaby go śmierć. - Ten, kto kazał ci robić to, co robisz, kazał tamtemu zrobić swoje, abyś się spotkał ze mną. Innym, którzy go słuchali, kazał porwać dziewczynę, nie po to, aby stała się jej krzywdą, lecz aby oni mogli umrzeć. Wszystko to lalkowy teatr, w którym grasz nie znając celu, albowiem cel znają ci, którzy rodzą cel w swoich mózgach. Ty byłeś ich sługą, ich kapłanem, ich narzędziem, a teraz będziesz ich kozłem ofiarnym na nowy ołtarz, który pragną wznieść, aby im służył, tak jak wszystko, co przynależy do królestwa ich.

- To niemożliwe! - zakrzyknąłby Garo. - To niemożliwe! Dlaczego mieliby zapłacić mi za mą wierność tak podle?!

- A dlaczego mąż, któremu żona dotrzymywała wierności, odwraca się ku innym kobietom? Dlaczego pan, któremu pies wiernie służył, wyrzuca go na poniewierkę, gdy chce jechać w daleką podróż? Dlaczego koń, który przyniósł właścicielowi majątek, zwyciężając dłań w wyścigach, idzie na starość pod nóż? Dlaczego dłużnik nie

zwraca długu, przyjaciel okłamuje, ułaskawiony nienawidzi ułaskawiającego, ten, który zaznał dobrodziejstwa, płaci za nie nikczemnością? Garo, Garo, wierz mi, nie ma piekła poza tym światem, on nim jest, tu jest jedyne piekło, i nie ma diabła poza człowiekiem, on nim jest! Garo, przywdziej swą ślubną szatę i bądź gotów, tylko ja mogę cię wyzwolić, ja zaprowadzę cię do krainy spokojnych serc, gdzie panuje cisza, a namiętność, ból i nienawiść śpią wiecznym snem, nikogo nie raniąc, tam będziesz szczęśliwy!

Komendant Okuma Garo nie słuchałby już tego zbyt uważnie, wsłuchany w siebie samego; zakląłby jakimś brzydkim słowem, a nawet dwoma lub trzema słowami, i rzekłby po prostu:

- Wystawiono mnie, kurwa nędza! Wystawiono mnie...

A ponieważ nie był z tych, co się od razu łamią (nawet pod wpływem przesądów), zechciałby może rzucić przeznaczaniu... no, nie rękawicę, tych nie nosił, ale na przykład kilka taśm z nabojami, kilkadziesiąt zwłok nadchodzących wrogów lub też własną chyżość: mógłby próbować uciec. Mógłby próbować robić różne rzeczy, gdyby biała dama przyszła do niego we śnie i wyjawiała, co mu grozi, lecz ona mogłaby przyjść w tę noc, gdyby spał, on zaś był wtedy z czarną damą, którą wziął jako haracz z którejś z wiosek, i ta "bibi" nie dała mu spać. Dzień dopiero omroczył głowę komendanta snem, lecz przy słońcu zjawy nie nawiedzają śmiertelników, nie dowiedział się więc niczego i spał snem dziecka skazanego na śmierć.

Człowiek, który przyszedł do nich w ciemnościach, gdy rozbili obozowisko na granicy sawanny i podgórza, biegł kilka mil za kolumną samochodów, którą ujrzał kiedy, przejeżdżała obok jego wioski. Wiedział, że ci "bwana" polują na FWL. Zapytany skąd ta pewność, odparł, że powiedziały mu o tym duchy. Pragnął zaprowadzić białych do obozu Garo. Zapytano go więc, czemu chce

wydać partyzantów. Odparł, że bandyci porwali mu najmłodszą z żon. Zapytano go wreszcie, skąd wie, gdzie jest obóz. Powiedział, że uprawiając w górach myślistwo wyszedł kwaterę bandytów, do której można zbliżyć się niezauważonym górskimi ścieżkami lub też podjechać samochodem, bo prowadzi do niej droga, ale to jest niebezpieczne, w pobliżu kwatery droga znajduje się pod ostrzałem karabinów maszynowych. Nikt mu nie uwierzył, ów donos śmierdział prowokacją ("Chcą nas wciągnąć w pułapkę!"). Lecz donosiciel potrafił uwiarygodnić swoje słowa. Rzekł, iż po okolicy kręci się ciężarówką kilku bandytów, którzy rekwirują żywność we wsiach.

- Skąd mają wóz i benzynę? - zapytał Nortolt.
- Z sąsiedniego kraju - odparł Murzyn.
- A wiesz, gdzie są teraz?
- Nie wiem, ale wiem, którędy będą wracać.
- Ilu?
- Czterech. Dwóch w szoferce, dwóch z tyłu i każdy ma broń.

Wśród sinych, szlifowanych przez tysiąclecia deszczami i wiatrami głazów podgórskiego stoku, toczył się glinianą drogą wóz dziwnej marki; gdy go robiono, był już zabytkiem, produktem cywilizacji maruderów, lecz był nie do łatwego zdarcia, gdyż takim miał być. Za wzniesieniem, po którym trakt opadał, by znowu się pięć, FWL-owcy zobaczyli dziewczynę. Siedziała na kamieniu, wyjmując sobie cierń z nogi. Jej ciało lśniło w promieniach słońca, była tym, co wzbudza pożądanie mężczyzn. Wóz stanął. Trzech samców zeskoczyło na ziemię. Dziewczyna zaczęła uciekać. Gonili ją wśród skał i krzewów. Za wielkim głazem ujrzeni kilka luf w rękach białych. Jeden z Murzynów próbował odskoczyć, strzelono mu w plecy. Ten, który został w samochodzie, sięgnął po karabin. Leenock, ukryty po drugiej stronie traktu, skosił go krótką serią. Zapanowała cisza.

Mieli dwóch więźniów, dwa trupy i pewność, że donosiciel nie łże.

- Ile czasu trzeba, by podejść ich od tyłu? - spytał go Nortolt.

- Dwa dni - pokazał Murzyn, unosząc do góry dwa palce.

- Cholera, w tym słońcu ci dwaj złączą śmierdzieć! - stwierdził Downbridge, patrząc na zwłoki Murzynów.

- To nie bierzmy ich - rzekł Haltrey. - Przy wjeździe do obozu kierowca powie, że śpią. Nie ma zresztą pewności, czy ktoś zapyta. A z tyłu taka kupa owoców i suszonych mięs, że mogą spać nie widziani...

- Pamiętaj, że przy dojeździe będą nas widzieć z wysoka, ze skał - zauważył Nortolt. - Wolę, żeby ich wszystkich widziano. Musimy skrócić czas podejścia przez masyw!

Murzyn, zapytany o to, uśmiechnął się:

- Dwa dni, jedna noc. Biały człowiek ma słabe nogi i lubi dużo spać.

- My mamy mocne nogi i nie lubimy spać dużo - powiedział "Szeryf".

- Dzisiaj, potem noc, pół jutrzejszego dnia - zgodził się Murzyn.

Po czym narysował, palcem na piasku, jak wygląda obóz komendanta Garo. Składał się z dwóch sąsiadujących ze sobą części, połączonych wąskim przejściem wśród skał - z dwóch małych kotlin lub synklin (to już rzecz geologów), jakby kobieta położyła swe piersi na rozmiękczonej skałę, czyniąc dwa łagodne wgłębienia dla legowisk. Pierwsze z tych gniazd, do którego można było dojechać drogą z podnóża masywu, było placem ćwiczeń, zabaw i sjest, w drugim mieścił się magazyn i warsztat. Zakładników trzymano w niewielkiej jaskini, co było szczęśliwym trafem - nie groził im wybuch, rykoszet czy postrzał, nie musiano bać się o nich w czasie ataku.

Nortolt i Downbridge podzielili grupę na cztery zespoły. W ciężarówce, obok FWL-owców, "Szeryf" jako dowódca, bracia Clayton, Shelm, Frost i jeden ze spadochroniarzy Haltreya, Tom

Reeves (wybrano najmniejszych, by łatwiej mogli się ukryć). W zespole "alpinistycznym" Haltrey jako dowódca, Gurt, Krzysztofeczko, Farloon, Leenock i donosiciel-przewodnik. Downbridge, Kanetopouliu, doktor Morgan i jeden z tłumaczy mieli jechać za ciężarówką landroverem jako wsparcie i ubezpieczenie, w takiej odległości, by posterunek przy wjeździe do obozu nie dostrzegł ich nim padnie pierwszy strzał. Na miejscu, z resztą samochodów, miał zostać profesor, trzech żołnierzy wypożyczonych od ekipy geologicznej, drugi spadochroniarz Haltreya (tylko dwóch haltreyowców przeżyło walkę z Busonami, ten drugi miał lekką ranę), jeszcze jeden tłumacz i Fritz.

- Nie ma mowy! - rzekł van Hongen. - Ja też tam idę!

- Pan się nie umie bić - zauważył Nortolt.

- Bić się, to nie koniecznie znaczy strzelać. Dowódca nawet milcząc jest najważniejszym uczestnikiem boju.

- No tak, ale... ciężarówką nie może pan...

- Nie pojedę ciężarówką, tylko pójde z Haltreym w góry!

- Panie van Hongen - powiedział Downbridge - to już lepiej niech pan jedzie ze mną, zapraszam do landrovera. Ci, co idą w góry, będą mało spać, a dużo dźwigać, biorą kilka granatników, pociski, prowiant i osobistą broń, to jest cholerny wysiłek, tam są trudne przejścia, ten czarnuch mówił...

- Weźmiemy jeszcze jeden granatnik, ja go będę nioś!

- Nie możemy pana tak narażać! - zaproponował Haltrey. - Nie biorę odpowiedzialności...

- Nie musi pan, poruczniku! - przerwał Fritz. - Pełną odpowiedzialność ja ponoszę, bo jestem waszym dowódcą! Tracimy czas, gdzie mój granatnik?

Nie mógł inaczej, tylko osobiste uczestnictwo w eksterminacji FWL gwarantowało mu spuściznę po starym van Hongenie i oni mieli być gronem świadków.

Wypełniając powinności drugiego ze swych zajęć w Matabele Andrew Bride przekazał do centrali CIA to, co zdążył mu przekazać porucznik Takebo zanim "Gang Lerocque'a" ruszył ze stolicy Tangalandu, by tańczyć "Czarne tango". Jamesa Fostermana w tej depeszy, którą otrzymał tuż po rozszyfrowaniu, zainteresowała przede wszystkim liczebność ekipy brytyjskiej i obecność naukowców. Resztą zajęli się jego ludzie. Z dwóch kopii, które wykonano, pierwszą otrzymała sekcja afrykańska w pionie agentur zagranicznych Wydziału Operacyjnego, drugą służba kontroli informacji Wydziału ds. Wywiadu, gdzie pracował absolwent Yale, Rick Korm. Korm zauważył coś bardzo ważnego. Winien był przekazać to swemu szefowi, lecz był równie sprytny jak inteligentny i równie ambitny jak jego szef, toteż nie chciał oddać śmietany przełożonemu - poszedł z tym wprost do naczelnego dyrektora, ryzykując, gdyż omijać drabinę hierarchiczną mógł tylko w jednym szczególnym przypadku (był nim donos na przełożonego, gdy nabrało się podejrzeń wobec jego lojalności w stosunku do firmy i do państwa), a on szedł z czymś, co stanowiło rezultat jego rutynowych zajęć. Lecz Korm był wyznawcą ryzyka, gdyby nie to, nie wstąpiłby do Central Intelligence Agency.

- Człowiek, który steruje tą wyprawą i którego Nyakobo przyjął w swym pałacu, nazywa się van Hongen - powiedział Korm.

- To już sam przeczytałem w depeszy, nauczono mnie czytać! - burknął dyrektor.

- Jeden z zakładników, których rozwaliło FWL, inżynier Kreist, nazywał się van Hongen nim pozbył się tego nazwiska - dodał Korm takim tonem, jakby mówił: A mnie nauczono jeszcze główkować!

- Dlaczego przychodzisz z tym tu, nie masz zaufania do przełożonego?- zapytał Fosterman.

- Mam zaufanie tylko do mojej przyszłości, i wiem, że to cholernie ważna sprawa, ten skok Anglików, panie dyrektorze.

- Czemu twoim zdaniem taka ważna?

- Bo kiedy gra przeciwko nam wróg, to jest normalne, ale gdy sojusznik, to jest tysiąc razy gorsze, to duże gównno!

Fosterman przypomniał sobie stary dowcip o biologicznym zagrożeniu, jakie stanowi zdolna młodzież dla szefów: prezes firmy wzywa kierownika kadr i mówi: Panie Smith, proszę odszukać najzdolniejszego, najbardziej operatywnego i ambitnego wśród młodych pracowników naszej firmy i zwolnić go w ciągu dwudziestu czterech godzin!

- Musisz jeszcze trochę poczekać, synu... - uśmiechnął się z subtelną ironią.

- Wiem, panie dyrektorze - odparł Korm, wstał, ukłonił się i wyszedł.

Fosterman kazał sekretarce łączyć z szefem biura personalnego w Wydziale Administracyjnym. Powiedział do słuchawki:

- Burt, miałem ci zakomunikować kogo mamy na stolek wice w bezpieczeństwie wewnętrznym. Decyzja zapadła. Rick Korm z kontroli.

- Przecież to szczeniak! Dopiero do nas przyszedł! - zagrzmiało w głośniczku.

- Jedni dopiero do nas przychodzą, a inni zbyt długo u nas siedzą! - warknął groźnie Fosterman. - Ja, tak jak i on, przyszedłem tu przed trzema laty, uważasz, że się nie nadaję, Burt?

- Ależ skąd, szefie, ja tylko...

- Znajdź i przyslij mi Mellera.

- Tak jest!... Gdzie go szukać?

- Może w Hongkongu, a może siedzi u ciebie pod stołem, idioto! Znajdź!

Caspar Meller, niezbyt klasyczny podwójny agent (Mossadu i CIA,

a niezbyt klasyczny, bo żadna z firm nie miała nic przeciwko temu i w nagłych przypadkach wypożyczały go sobie), zwany przez pracowników Agencji "Hieną", dał się znaleźć po dwóch dniach - miał przebywać w Nowym Jorku, lecz dowiedziano się, że przebywa w Sewilli, podczas gdy on przebywał w Rzymie. Był to człowiek, który miał mnóstwo cudownych kontaktów w europejskich sferach bankowych, przemysłowych i policyjnych, lecz w sprawie, jaką mu zlecił Fosterman, kontaktem numer jeden okazała się znajomość Joszy Firbuca. Josza (pseudo "Palec") był to geniusz od zamków, zamki w naszymiokach, samochodach i kasach pancernych otwierał z tym samym wysiłkiem, z jakim każdy otwiera błyskawiczny zamek w swych spodniach. Meller ściągnął go z Tel Awiwu do Europy i Josza otworzył kasę pancerną w gabinecie mecenasa Loederera, podczas gdy ten przebywał w Brukseli (zabezpieczenie elektroniczne nic tu nie pomogło, gdyż Firbuc z elektroniką obchodził się jak Casanową z kobietą - zmuszał ją do uległości). Wśród papierów nie było nic ciekawego (najwyraźniej Loederer trzymał ważne dokumenty w innym miejscu), lecz uwagę Mellera i Fostermana zwróciło stare prawo jazdy z nazwiskiem Friederich Grahl.

Po tygodniu Meller wiedział już, że Grahl i van Hongen to jedna osoba. W kilka dni później dowiedział się, że Grahl był "permanentnym obibokiem, playboyem i przestępcą, kombinatorem-nieudacznikiem, od dziecka zamieszany w gangi i afery, bez stałego miejsca zamieszkania i zarobkowania, kilkakrotnie aresztowanym i wypuszczanym z braku dowodów, co stanowiło jedyny fart w jego pechowym życiu, pechowym aż do momentu, kiedy okazał się synem multimiliardera". Tych informacji, których dokładność i sensowność (zwłaszcza jeśli chodzi o problem "fartu" i "niefartu") nie była nazbyt imponująca, udzielił "Hienie" emerytowany komisarz policji zachodniemieckiej,

Helmut Rosnick, który aresztował dziewiętnastoletniego Grahla i od tego czasu przez kilka lat miewał na niego oko, gdy zachodziła potrzeba, to jest gdy Grahl ocierał się o konflikt z prawem. Meller zlecił Rosnickowi jedną rzecz: wydobyć z archiwów policyjnych całą przeszłość Grahla, i dał mu na to fundusz, Fosterman bowiem chciał mieć wszystko udokumentowane.

Szef CIA nie wiedział jeszcze, co z tym zrobi. Mógł od razu puścić w świat przez mass-media wiadomość, że w Tandze rozrabiają Brytyjczycy, których finansuje i którym przewodzi eks-kryminalista, co skompromitowałoby Londyn, lecz po pierwsze nie znał efektów brytyjskiej akcji i efektów kontrakcji Guccioniego, a po drugie musiałby mieć zgodę prezydenta. Istniało zbyt dużo niewiadomych, wolał uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Marsz przez góry do obozu FWL nie mógł zabrać grupie Haltreya więcej niż trzydzieści godzin “z zegarkiem w ręku”. Tak ustalono. Następne sześćdziesiąt minut mieli na wyszukanie sobie stanowisk i przygotowanie sprzętu. W trzydziestej drugiej godzinie Nortolt miał wjechać ciężarówką od strony drogi.

Szło im dobrze, w ciągu pierwszych piętnastu godzin zrobili aż dwie trzecie dystansu, mimo skalnych przeszkód i obciążeń na plecach; Murzyn, który ich prowadził, był tym zdziwiony. W nagrodę dał im czterogodzinny sen, ale nie wszyscy mogli zasnąć na rozkaz po takim wysiłku. “Chris” leżał i patrzył w gwiazdy, gdy wtem ktoś usiadł obok niego. Ujrzał czarną twarz, którą księżyc wyblyszczwał w mroku. Przewodnik szepnął:

- Ty jeden przez cały czas patrzysz na mnie z pogardą, brzydzę cię, innym jestem obojętny. Brzydzi cię zdrada, czy tak?

Krzysztofeczko nic nie odrzekł. Murzyn przybliżył swą twarz.

- Tak mną gardzisz, że nie chcesz mi odpowiedzieć?

- Człowieku, co mam ci odpowiedzieć? - szepnął Polak. - Nie chcę z nikim gadać, chcę spać.

- Kłamiesz, gdybyś chciał spać, to byś już spał, tak jak oni.

- A ty nie kłamiesz? Pieprzysz jakieś bzdury o porwaniu ci kobiety... Nie dlatego to robisz.

- Zgadza się, nie dlatego. Robię to za forszę i ponieważ ktoś mi to kazał zrobić.

- Kto?

- Nie twój interes.

- Jak nie mój, to po cholere przylazłeś gadać ze mną?

- Bo chcę ci coś opowiedzieć - rzekł Murzyn. - Dwadzieścia lat temu byłem w Ameryce i źle mnie tam traktowano, niczym psa. Aż przyszedł taki dzień, kiedy usłyszałem, jak Martin Luther King mówił do wielkiego czarnego tłumu: "I have a dream!". Powiedział: "Miałem sen! Śniłem, że kiedyś na czerwonych wzgórzach Georgii synowie dawnych niewolników i synowie dawnych panów będą mogli razem usiąść przy stole braterstwa. Śniłem, że przyjdzie dzień, kiedy stan Missisipi, w którym panują ucisk i niesprawiedliwość, stanie się oazą wolności i sprawiedliwości. Śniłem, że pewnego dnia czworo moich dzieci będzie żyło w kraju, który nie oceni ich według koloru skóry, ale według siły charakteru..." Pamiętam każde słowo... Sen Kinga się ziścił, chociaż on tego nie dożył. Tam dzisiaj panuje równość, biali wybierają czarnych burmistrzów w swych miastach, a dzień pamięci Kinga jest dniem wolnym od pracy i tylko na cześć Lincolna oraz Washingtona są podobne dni... A ja wróciłem tutaj, do mojego kraju i też miałem sen. Chciałem być wolnym czarnym w państwie czarnych. Ale nie znalazłem tu wolności. Tu jest tylko wolność gnębienia czarnych przez czarnych, gorsza niż kiedyś przemoc białych w Ameryce. Bito mnie, gnębiono mnie i poniżano mnie za to, że nie chcę być niewolnikiem w moim kraju. Więc uciekłem do

partyzantki, znowu miałem sen... I on się znowu nie ziścił! Wszędzie jest ta sama obluda, to samo kłamstwo, ta sama chytryść i niesprawiedliwość pod maską pięknych słów. Wtedy zrozumiałem, że wśród lisów trzeba być lisem, wśród skorpionów skorpionem, wśród hien hieną, nie oglądać się na innych, na uczciwość i dobroć, tylko zgarniać, zgarniać co się da, mieć serce z głazu i duszę z głazu, i zakopać sumienie głęboko w ziemi, i zakopać wstyd, a ręce wyciągać po złoto jak dwa koszyki, w których nie istnieją dna, oto co zrozumiałem! Tylko tak trzeba żyć, reszta jest głupotą, zbyt szybko mija życie...

- Dlaczego mi to mówisz? - zapytał Krzysztofeczko.

- Bo jak się już nie wierzy w żadnego z bogów, to człowiek może porozmawiać tylko z człowiekiem, żeby nie zwariować - mruknął Murzyn i odszedł w ciemność, by zwalić się na swoim legowisku.

"Chris" przymknął powieki, znowu je otworzył i znowu je przymknął, lecz to niczego nie zmieniało: miał przed sobą wciąż ten sam widok, twarz Miriam. "Cholera, niech to się już skończy, ten pieprzony rejs!" - przebiegło mu przez głowę na kształt modlitwy. Pragnął jednego: wrócić do Miriam i być tylko z nią, żeby nie zwariować.

"Zemsta jest rozkoszą bogów" (van Hongenów i maluczkich) albowiem każdy, kto ją czyni, ma coś z gniewnego boga, który zaspokaja pożądanie, jakkolwiek głupi byłby motyw. Ktoś powiedział, że "tylko frajerzy się mszczą". Zapewne, gdyż zemsta niczego nie zmienia, czasem pogarsza wszystko, jest hańbą (przejawem niskiego instynktu) i głupotą, rzadko bywa wyzwoleniem. To jedna z patologii. Ale czy można okiełznać potrzebę fizjologiczną? Istnieją w mózgu ośrodki agresji, seksu, głodu i pragnienia, musi więc istnieć również ośrodek mściwości, tych kilka zakonspirowanych, przed nauką komórek, które stanowią

kolebkę odwetu. Stamtąd idzie sygnał, dzięki któremu wydziela się substancja zemsty, produkująca w organizmie stan nienasycenia. Nie zaspokoić lub przynajmniej nie próbować zaspokoić tego głodu, to tak jak próbować nie jeść i nie pić. Tylko najwięksi z mędrców, których mądrość zawiera więcej rozsądku niż wiedzy, pojmują, że nie warto, zemsty dokona za nas życie, a jeśli chce się ujrzyć trupy swoich wrogów, wystarczy usiąść na brzegu rzeki i czekać, aż spłyną.

Wspomniane komórki w mózgu uruchamia przyczyna lub spłot przyczyn. Przyczyną może być potworność, jakieś okrucieństwo lub koszmarna krzywda, której nie napiętnował ludzki kodeks, bo on wymaga dowodów, a te nie zawsze są do zdobycia i przedstawienia; wtedy zbrodniarz unika kary i trudno się z tym pogodzić, trudno liczyć na Sąd Ostateczny, bo albo się nie wierzy w Boga, albo się w niego wierzy, a to oznacza również wiarę w jego nieskończone miłosierdzie, dzięki któremu łotr może się wywinąć. Tak rodzi się idea samosądu. Pomsta na wielkiej, nie ukaranej prawem zbrodni bywa wzniosłością i wówczas wszystko, co było wyżej powiedziane o głupocie i hańbie zemsty, o niskich instynktach i zaślepieniach, jej nie dotyczy. Lecz przyczyną większości odwetów jest urażona ambicja lub miłość własna, obnażona pycha lub nikczemność, obelga lub prawda rzucona w oczy. Większość hrabiów Monte-Christo to gówniarze, którzy chcą sobie samym udowodnić, że nie są gówniarzami, więc szukają odwetu na tych, którzy wytknęli im gówniarstwo, ośmieszyli, odsłonili, skompromitowali, zerwali maskę, pod jaką ukrywa się gówniarz. Te niskie, śmierdzące zemsty stanowią motłoch królestwa odwetu, w którym książętami są zemsty wielkie, a królem Czas. Sekretarz obrony, John Drews, był tam ciurą.

Drews chciał się zemścić na Fostermanie i szukając sposobu zaczął wzrokiem o wielki gmach - o zlokalizowaną na

stumetrowym waszyngtońskim wzgórzem Mount Alto (niemal 5 kilometrów na północny zachód od Białego Domu) ambasadę ZSRR. Na dachu rozległego kompleksu budynków rósł las anten, o których wiadano, iż w większości służą do wychwytywania z eteru rozmaitych ciekawych fal, i to stało się inspiracją dla głodnej wyobraźni Drewsa.

Swego czasu świat bawił się amerykańsko-rosyjskim ping-pongiem podsłuchowym. Najpierw Waszyngton podniósł krzyk, że gmach nowej ambasady USA w Moskwie jest jak faszerowany pstrąg - więcej w nim farszu z urządzeń podsłuchowych zainstalowanych przez KGB niż mięsa murów. I że jest to niedopuszczalne, skandaliczne, wielka granda, jak można tak postępować!? Po tygodniu ambasador rosyjski w USA zaprosił śmietankę dziennikarską do nowego gmachu ambasady ZSRR w Waszyngtonie i wskazał kilka ton CIA-owskich urządzeń podsłuchowych, upchanych dosłownie wszędzie, gdzie można cokolwiek wetknąć. Okazało się, że oba budynki, waszyngtoński i moskiewski, mają rój podsłuchowych "pchełek" w parapetach i progach, w rurach kanalizacyjnych i w przewodach elektrycznych, w żyrandolach i kinkietach, w sufitach i w klepce podłogowej, w izolacji ścian i fundamentów. w tapetach i klozetach, w ramach okiennych i futrynach drzwi - stawało się zagadką, czemu żaden z gmachów jeszcze nie runął, tak były podziurawione. Afera ucichła równie szybko jak wybuchła, wygrabiono "pchełki" z tysięcy zakamarków i każdy dalej starał się robić swoje w ramach wyścigu techniki i przebiegłości. Drews przypomniał sobie o tym i zawołał Gene'a Dorsey'a, człowieka, któremu załatwił wysoką funkcję w FBI. Powiedział mu:

- Gene, chcę mieć kogoś, kto robi w CIA w zespole podsłuchów. Chodzi o podsłuch na terenie ambasady sowieckiej.

- Dla pana wszystko. To się da załatwić, potrzebuję tylko trochę

czasu.

- To nie może być pierwszy lepszy, to musi być ktoś, na kogo znajdziesz potężny hak...

- Więc może być pierwszy lepszy - uśmiechnął się Dorsey.

- Jak to?

- Nie ma takiego człowieka, który nie ma w życiorysie czegoś, z czego można byłoby ukuć hak - zauważył Dorsey. - Trzeba to tylko odkryć. Sporo tych haków posiadamy już w kartotece, nasze komputery mają dużą pojemność.

- Na mnie też? - spytał Drews.

- To tajemnica służbowa - roześmiał się szeroko Dorsey. - Proszę być spokojnym. Dam panu jakiegoś chłopczyka z CIA i taki hak na niego, że będzie bardzo, bardzo grzecznie śpiewał.

Dotarli na miejsce mając półtoragodziny zapas, to był wyczyn. Nerwy nie dawały zmęczeniu dojść do głosu; najchętniej, zamiast wypoczywać, od razu przystąpiliby do działania. W dole widniały dwie sąsiadujące ze sobą kotliny; oni mieli się zająć magazynową, tę, do której prowadził trakt, miał opanować "Szeryf". Sylwetki ludzkie, na które spoglądali ze swych stanowisk, posiadały wymiar robaków. U góry, na obrzeżu kotlin, warowała straż, tylko dwaj zmęczeni słońcem ludzie. Haltrey zastanawiał się, czy ich nie zdjąć, lecz zrezygnował, gdyż było w tym duże ryzyko, a obaj znajdowali się po drugiej stronie obrzeża i nie mogli widzieć napastników ukrytych za zasłoną skał; nadto słońce świeciło tym dwóm w oczy znad miejsca, w którym Haltrey i Fritz nie odrywali się od lornetek.

Punktualność "Szeryfa" mogła budzić podziw - o naznaczonym czasie usłyszeli astmatyczny chrychot rury wydechowej. Kaszel samochodu niosło po górach i odbijało echem, jakby się rozdzwonił budzik, żeby przerwać letarg partyzanckiego koczowiska.

Posterunek nad wjazdem do pierwszej z kotlin obserwował ciężarówkę z wysokości skalnego występu, to jest „z lotu ptaka” - z tego punktu widać było zabitych Murzynów jak leżą między workami skuleni w swobodnych pozach, które człowiek przybiera do snu. „Spili się i narznęli tyle dziewczuch, że ledwo zipią, będą odsypiać przez cały dzień!” - pomyślał wartownik z zazdrością i z nadzieją, że przy kolejnej wyprawie po zapasy Garo jemu da obsługę wozu. Każdy z nich o tym marzył.

Gdy ciężarówka wjechała na plac, który był pępkiem gniazda FWL, otoczyła ją gromada rozradowanych bojowców. Później wszystko trwało sekundy. Samochód się zatrzymał, Nortolt zastrzelił dwóch Murzynów w szoferce, a bracia Clayton, Shelm i Frost wyskoczyli spod worków i otworzyli morderczy ogień do zaskoczonych, podczas gdy haltreyowiec Reeves zdejmował killkoma seriami posterunek nad wjazdem. Tamci nie mieli szans - grad pocisków z UZI, walonych z kilku i kilkunastu jardów, robił krwawą sieczkę. Z zakamarków obozu wyskoczyło paru spóźnionych, by natychmiast odebrać swoją śmierć. Paru innych zostało w szalaszach z bronią w rękę, lecz na szalasy spadła lawina granatów, zamieniając je w kurz. Wewnątrz jednego z tych domostw poległ, nie zdążywszy się na dobre przebudzić, komendant Garo, którego w poprzednią noc chciała ostrzec śmierć, lecz on nie dał jej szans. Przez kilka minut Nortolt i jego ludzie masakrowali za pomocą granatów każdy kąt obozowiska, chcąc się upewnić, że nie przeżył jakiś FWL-owiec, który mógłby oddać do nich strzał.

W tym samym czasie Haltrey ze swoimi robił swoje. Gdy Nortolt po raz pierwszy nacisnął spust, Gurt i Leenock skosili straż na obrzeżu kotlin, a potem przemówiły miotacze minowych pocisków. O dno kotliny magazynowej uderzyła kaskada „konserw”, zamieniając drugą część obozu w rumowisko. Musieli czekać, aż opadnie chmura pyłu i mieli czas ze zdziwieniem myśleć, jak łatwo

poszła im realizacja zamierzenia, któremu przypisywano najwyższą skalę trudności. Było już po wszystkim! Aż nie chciało się wierzyć, film dobiegał finału, zaś podstawową różnicą między nimi a kinem było to, że oni dopiero teraz mieli iść do kasy. Po wielki szmal!

Haltrey rozkazał spakować granatniki i zejść na dół. Pierwszy schodził Murzyn-donosiciel, sondując stromą ścieżkę, za nim Gurt, Krzysztofeczko, Leenock i Farloon. Van Hongen zatrzymał Haltreya na górze.

- O co chodzi? - spytał zdziwiony porucznik.

- O to, poruczniku, że ja nie umiem posługiwać się spluwami...

- Wiem, i co z tego? Nie musi pan.

- Jednak chciałem to teraz uczynić, tylko że gdybym sam strzelił w swoje ramię lub w bark, to mógłbym zrobić sobie krzywdę, a ponadto z tej odległości byłby ślad osmalenia, więc nikt nie chciałby mi uwierzyć, że zostałem ranny podczas walk... Ktoś powinien strzelić do mnie z kilku jardów...

- Pan jest szalony! - powiedział Haltrey.

- Liczę na pana, poruczniku...

- Nie!... Nie, nie, proszę to sobie wybić ze łba! Ja tego nie zrobię! Schodźmy na dół, musimy ich dogonić!

- Nawet za gazę podwyższoną o pięćdziesiąt procent? Haltrey zwilżył spieczone gardło śliną, a Fritz wykorzystał to wahanie:

- Musi pan tylko drasnąć mi naskórek, to drobiazg, ale żeby było dużo krwi... Proszę pana!

Gdy schodzący usłyszeli pojedynczy strzał, a potem serię z pm--u, Gurt i Leenock zaczęli się znowu wspinać. Na górze porucznik Haltrey opatrywał van Hongenowi ramię broczące krwią.

- Co jest, Kevin!?! - krzyknął Gurt.

- Któryś z tych bękartów wyskoczył zza skały i pan van Hongen go rąbnął, ale sam też dostał. Już w porządku, to lekka rana. Schodzimy!

Na dole obóz wyglądał jak kalabryjskie miasteczko po trzęsieniu ziemi.

- Wszyscy żyją? - spytał Nortolta Haltrey.
- Reeves nie żyje, dostał kilka odłamków...
- A u nas van Hongen jest ranny, ale to drobiazg.

Nortolt zrobił perskie oko (tak, aby Fritz tego nie spostrzegł) i szepnął Haltreyowi do ucha:

- Wiemy, jak tę ranę odniósł! Downbridge przyglądał się wam akurat przez lornetkę, macie pecha. Myślałem, że chcesz nam rąbnąć pracodawcę, ale potem się skapowałem, że produkujesz bohatera.

- Damned! - zaklął porucznik. - Czy wszyscy o tym wiedzą?
- Tylko ja, "Beatles" i doktor Morgan, bo akurat stał obok "Beatlesa", kiedy ten zauważył. Nie pękaj, Kevin, nie puścimy pary z ust. Bohaterów należy czcić i szanować...

Jakby dla potwierdzenia tego, co rzekł, uwolnieni zakładnicy wieszali się im na szyjach całując i płacząc lub obłąkańczo się śmiejąc. Wszyscy członkowie "Gangu Lerocque'a" poczuli się bohaterami.

Dwóch rannych FWL-owców przeżyło hekatombę. Doktor Morgan chciał się nimi zająć, lecz Nortolt nie pozwolił i wezwał Krzysztofeczkę oraz Farloona:

- Dobijcie ich!

Żaden nie zareagował, stali w pozycji na baczność i milczeli.

- To rozkaz! - krzyknął Downbridge, czekający wraz z resztą na wynik testu.

- Oni mają rozkaz w dupie! - podjudził Frost. - I nas wszystkich też.
- Zawsze mieli! - dodał Jim Clayton. - Chłopaki, uważać, bo znowu każą nam się położyć i poczęstują nas piachem!

- Nie będę strzępił gęby, mówię ostatni raz: dobijcie ich! - rzekł Nortolt. - Koniec zabaw w nieposłusznych urwisów, to jest wojsko.

Wykonać!

- W rakażca nie będę się bawił - odparł Krzysztofeczko. - Nie ten adres, panie kapitanie.

- A ty, Farloon? - zapytał "Szeryf.

- Co? - zdziwił się "The Amber".

- Ty też nie wykonasz rozkazu?

- Wykonam każdy rozkaz, panie kapitanie. Oprócz rozkazu wsadzenia rąk w gówno. Proszę nie nalegać.

- Wiesz, co znaczy niewykonanie rozkazu na wojnie?

- Nie wiem, może jak kiedyś wezmę udział w jakiejś wojnie, to się dowiem. Na razie nie miałem okazji, to nie jest wojna, pan kapitan jeszcze nie zauważył?

- Oddajcie broń! Związać pętałów, jutro staną przed sądem! - zadecydował Nortolt. - Shelm, kropnij czarnuchów i odjazd!

* * *

"Mina" osiągnął Kariduomo szybciej niż przypuszczał. Jechał przez płaską, zieloną, nie poprzecinaną parowami lub korytami rzek, pokojowo wobec niego nastawioną sawannę. Było w tym coś z turystyki. Ujrzał miasto, którego nikt w Europie nie nazwałby miastem, chociaż nazywało się stolicą regionu. Małe domostwa, bardziej przypominające szałas niż domy, wyglądały z daleka jak stado skulonych żółwi, które śpią w słońcu jeden obok drugiego. Z bliska przywodziło to na myśl południowoamerykański slums. Dopiero w centrum zobaczył kilkanaście piętrowych i dwupiętrowych budynków mieszczących urzędy, duży gmach więzienia, koszary oraz wille lokalnego „high-life'u” i prominenckiej biurokracji, zaś asfaltową „main-street” jeździły eleganckie samochody i spacerowały eleganckie dziewczęta, którym jakiś pijany lub obłąkany staruszek nachalnie pokazywał swój penis, co nie zwracało niczyjej uwagi. W jedynym hotelu, tak odrapanym i brudnym, że według kategorii zachodniego świata miałby

dwudziestą kategorię, recepcja świeciła pustką, a jedyny ruch wzniewały kapele muszek i leniwe śmigło wentylatora. Lerocque krzyknął:

- Jest tu kto?

W drzwiach obok schodów pojawił się facet w mundurze, który można było wziąć za uniform hotelowy.

- Słucham... - odezwał się po angielsku.

- Chcemy wynająć dwa pokoje. Jedynek i trzyosobowy - zadysponował Lerocque.

- Pokoje czekają na panów, ale nie tu, proszę tam - mężczyzna zrobił dłonią gest w stronę drzwi na zewnątrz.

Lerocque nie zrozumiał:

- Jak to tam? Gdzie?

- W pierdlu garnizonowym, panie Lerocque. Jedynek dla każdego.

Spod schodów wyjrzało kilka łuf i w drzwiach od ulicy zrobiło się ciemno, tak były zatłoczone mundurami.

- Broń! - oficer wyciągnął rękę, zbliżając się do nich. Komendant garnizonu, spasiony wieprz w mundurze z generalskimi naszywkami, zamknął się z "Miną" w okratowanym pokoju i usłyszawszy, że Lerocque ma prezydencką zgodę na swój rajd, burknął:

- Niech się pan tym lepiej nie chwali. Nyakobo to trup!

- Umarł?! - zdziwienie odebrało Lerocque'owi zimną krew, zapytał krzyżąc.

- Umrze, to kwestia dni. Mamy go dość... A gdzie są pańscy ludzie?

- U pana w celach, mnie pan o to pyta?

- Pytam o pozostałych! - rozgniewał się Murzyn. - Miał pan całą bandę. Gdzie oni są?!

- Tam gdzie FWL-owcy. Mają rozkaz wytłuc tych terrorystów.

- A potem przyjadą tutaj?... Dlaczego pan się odłączył?

- Nie lubię tłoku, generale.

- Panie Lerocque, moi chłopcy twardo biją!

Lerocque odzyskał już zimną krew i czuł, że tamten tylko straszy, a za całą tą gadaniną kryje się jakiś "bonus", ale nie mógł być pewien, cóż jest pewnego w takiej sytuacji? Zaryzykował:

- Niech pan postawi kogoś ze swoich chłopców w ringu, będzie z niego czempion, generale.

- Lerocque, pytam: czy pańska banda przyjedzie do Kariduomo?

- Powiedzmy, że tak. O co chodzi?

- O propozycje.

- Pan chce nam coś zaproponować? Śmiało, mówi pan z hersztem bandy. Ale najpierw jedno pytanie: czy pan jest hersztem tej bandy, która składa propozycję?

- Nie. Mam zwierzchników.

- Pan ma tylko jednego zwierzchnika, generale, prezydenta Nyakobo.

- Mam innych zwierzchników, Lerocque, takich, którzy nie życzą sobie, aby Nyakobo rządził naszym krajem!

- Acha! - Lerocque wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Pan chce, żebyśmy pomogli wysłać go na cmentarz? I co pan da za taką przysługę?

- Możliwość odbioru forsy, którą ma wam wypłacić Holender.

- A bez pańskiej zgody nie uczyni tego?

- Nie uczyni. Będzie zakładnikiem, potrzymam go tutaj aż do momentu, gdy obalimy Nyakobo.

- To musi pan najpierw złapać tego Holendra...

- Złapię go. Mam pewność, że oni tu przyjadą, inaczej pan by tu nie przyjechał. I mam coś jeszcze: ośmiuset żołnierzy. Daleko im do pańskich zabijaków, lecz jedna ich zaleta niweluje wszystkie wasze. Jest ich osiem razy sto!

"Gdybyś umiał tak myśleć, jak umiesz liczyć, draniu, to robiłbyś lepiej wszystko, co zamierzasz robić" - pomyślał "Mina", pytając:

- Skąd pan wie, że Holender płaci nam zółd?

- Wiem wszystko, kapitanie. Mamy swoich ludzi w stolicy i nawet w pałacu, Nyakobo jest bez szans.

- To po jaką cholere szuka pan u mnie pomocy?... Myślę, że on ma dużo szans. Ale nawet gdyby ich nie miał, też bym wam nie pomógł! Przyjechałem tu zarobić ciężką forszę, a on mnie wpuścił, więc jestem mu winien wdzięczność. Nie będę gryzł ręki, która się do mnie wyciągnęła!

- To pańskie ostatnie słowo? Tak.

Murzyn uczynił z oczu dwie wąskie szparki, świdrując Francuza.

- Lerocque - powiedział z namysłem - pan już zbyt dużo wie, abym mógł pana puścić żywym. Ale nie zabiję pana od razu, mam czas. Być może pańscy koledzy wykażą więcej rozsądku i pod ich wpływem zmieni pan zdanie. Póki się tu nie zjawia, niech pan przemyśli wszystko, dam panu najlepszą z cel. Gdyby miał pan jakieś specjalne życzenia...

- Mam - stwierdził Lerocque.

- Co to takiego?

- Żebym nie zachorował od talerza i od kutasa. Myślę o zdrowym żarciu i zdrowej nastolatce, która lubi się pieprzyć na okrągło.

Wieczorem strażnik wepchnął mu do celi "specjalne życzenie" numer dwa.

W obozowisku samochodowym doktor Morgan rozpoczął badanie, opatrywanie i leczenie zakładników (stan niektórych pozostawiał wiele do życzenia), zaś Nortolt urządził rozprawę. Downbridge (któremu poczęło zależeć na pięćdziesięciu tysiącach, jakie pożyczył "Chrisowi"), choć przedtem gardłował za "czapą", raptem zmienił zdanie, rozumiejąc, że dług można ściągnąć tylko od żywego dłużnika. Napotkał wszakże taki mur zawziętości u podwładnych,

że chcąc nie chcąc wszedł w skład sądu.

- Staniecie przed doraźnym sądem wojskowym, który będzie was sądził za terroryzm wobec kolegów, za grożenie bronią kadrze oficerskiej i za odmowę wykonania rozkazu w trakcie walk! - oznajmił Krzysztofeczce i Farloonowi "Szeryf".

- Źle zagram oskarżonego, panie kapitanie - bąknął Farloon. - Grywałem kiedyś w teatrze amatorskim, lecz w komediach żaden reżyser nie chciał mnie obsadzić, podobno nie nadają się do fars...

- To nie będzie komedia, Farloon - zareplikował Nortolt. - To będzie poważny, zgodny z prawem wojennym, uczciwy i sprawiedliwy proces. Możecie się bronić. Będziecie też mieli obrońcę. Niewielu było kandydatów do tej funkcji. Właściwie był tylko jeden chętny, profesor "Casablanca". Jako oskarżyciel wystąpi sierżant Joe Clayton. Skład sądu: porucznik Downbridge, sierżant Jim Clayton, "Rolls Royce". Haltrey i przewodniczący, czyli ja. Skład plutonu egzekucyjnego: Shelm, Leenock, Gurt, Frost i Murrody. Protokolantem będzie doktor. Możemy zaczynać, na miejsca, panowie, i szybciej do cholery, bo zaraz obiad!

Salą sądową był największy z namiotów; miał podwinięte boczne ściany, więc dawał cień, a nie dusił. Na rozkaz przewodniczącego jako pierwszy zabrał głos oskarżyciel:

- No... to jest tak: wszyscy wiedzą, jak było! Najpierw chcieli do nas strzelać i pogonili nas z tej wiochy! Chcieli rąbnąć dowódcę, a jak żołnierz chce rąbnąć swego dowódcę, to co to jest, kurwa? To jest burdel, a nie wojsko, za takie numery strzela się w łeb i nie potrzeba żadnego sądu, żeby gnojom wykopać dół! Cały ten sąd można potłuc o kant dupy...

- Sierżancie Clayton! - przywołał oskarżyciela do porządku Nortolt.

- Tak jest! - trzasnął obcasami Joe Clayton. - No to tyle... Aaa, zaraz! Jak żołnierz nie wykonuje rozkazu swojego dowódcy, to co to jest? Mieli rozkaz kropnąć czarnuchów! I co? I nic! Czy to jest, do kurwy

nędzy, w porządku!?! To jest, normalnie, bunt!... To ja skończyłem.

- Jeszcze jedno - odezwał się "Szeryf". - Jakiej kary dla oskarżonych żąda prokurator?

- Jak to jakiej? - zdziwił się bliźniak. - W łeb, do piachu i po wszystkim!

- Dziękuję oskarżeniu - rzekł Nortolt i zwrócił się ku Wojtkowi i Clintowi: - Czy przyznajecie się do zarzucanych wam czynów?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zapytał:

- Czy macie coś na swoją obronę?

A gdy znowu się nie doczekał, dał szansę Lorningowi:

- Czy obrona chce coś...

- Chce! - krzyknął Lorning.

- No to jazda, udzielam wam głosu.

Profesor stanął przed rozkładanymi krzeselkami, na których siedzieli sędziowie. Miał swoje okulary i swój kapelusz i wyglądał jak Chaplin, któremu ktoś podmienił melonik. Rzekł twardo: - Obrona chce najpierw zakwestionować uchybienia proceduralne, których niezgodność z prawem i jaskrawość czynią, że rozprawa ma charakter nielegalny, a więc nie powinna się odbywać! W składzie wysokiego sądu znalazł się brat oskarżyciela, co jest rzeczą niedopuszczalną, i to brat bliźniak, co jest niedopuszczalne w dwójnasób...

- Nonsens! - przerwał mu "Szeryf". - Powszechnie znane cechy charakteru sierżanta Jima Claytona, jego uczciwość, szlachetność i morale najwyższej próby, które zyskało mu ogólny szacunek, są gwarancją jego bezstronności w tym procesie!

- Ponadto - kontynuował "Casablanca" - wysoki sąd składa się z oficerów, którym oskarżeni grozili bronią, a więc z poszkodowanych, co jest sprzeczne z prawem, ofiara nie może sądzić winnego...

- Profesorze Lorning! - uniósł się kapitan. - Czy pan kwestionuje

bezstronność moją i moich kolegów!)? Jeśli tak, to potraktuję to jako obrazę trybunału, pan sobie za dużo pozwala!

- Nikogo nie chciałem obrazić - rzekł profesor - zgłaszam jedynie sprzeciw...

- Sprzeciw zostaje odrzucony! Czy ma pan coś jeszcze do powiedzenia?

Lorning wyczyścił nos brudną chustką i odparł:

- Mam... Chcę dowieść w moim przemówieniu...

- Niech pan dowodzi, czego pan chce, byle szybko! Oskarżyciel nie musiał niczego dowodzić, na własne oczy widzieliśmy i na własnej skórze odczuliśmy komplet dowodów! - zagrzemiał Nortolt. - Nie wiem, czy był gdzieś drugi proces, w którym sytuacja byłaby tak jasna!

- Procesy oparte na dowodach skazały tyluż niewinnych, co procesy oparte na poszlakach - skomentował to Lorning.

- Pan jest tu historykiem, czy obrońcą!?

- Obrońcą.

- No to rób pan, co do pana należy. Jazda!

Lorning wziął głęboki oddech.

- Wysoki sądzie... Pragnę rozpocząć od przypomnienia tego oczywistego faktu, że człowiek, czy chce, czy nie chce, uczy się od chwili narodzin aż do śmierci. Uczy się między innymi praw, obowiązków i zakazów, co można, co trzeba, a czego nie wolno. Powiadam: chce, czy nie chce, bo przynależność do określonego narodu lub do określonej cywilizacji wymusza na osobniku przyjęcie takich, a nie innych norm. Przykładowo katechizmy, podręczniki, kodeksy, czy jak je zwał, judajskie, wszystkie owe talmudy, miszny, tory i inne święte księgi Żydów, czego uczą? Nienawiści i pogardy do "innych", do "obcych", do myślących inaczej i pochodzących z innego szczepu, a więc propagują bezwzględność, brak skrupułów, rasizm, nietolerancję i zbrodnię. Lecz to, co dla nas jest zatrutym źródłem

nauk, dla nich jest normą bogobożną - oto względność praw w obrębie tego samego gatunku, bo wszyscy jesteśmy ludźmi. Lecz różnimy się światopoglądem. Czyż jest dla ludzi naszego światopoglądu do przyjęcia fakt, że Miszna zezwala kopulować już trzyletnie dziewczynki tylko dlatego, że Tora zapomniała określić wiek, od którego kobieta jest zdolna do stosunku, więc ustalający prawa lubieżnicy zezwolili na piśmie praktykować ów sadyzm, bo czymże innym było to, jak nie kaleczeniem maleńkich dziewczynek? Robiono to na masową skalę i z wielką ochotą, a rabinowie, strażnicy żydowskich praw, przodowali w tym. Budzi to nasz wstręt, prawda? U nich było apologetyzowane. Nasze prawa i nasze nauki wspierają się na dwóch słupach, dwóch wielkich kolumnach, na dwóch książkach o nieprzemijającym pięknie i znaczeniu. Pierwsza to cztery ewangelie, druga to rzymskie pandekty, bo cóż innego ponad naukę o miłosierdziu i naukę o praworządności? W ramach obu tych nauk chcę rozpatrzyć sprawę oskarżonych... Wysoki sądzie... Tak jak z samej definicji polityk jest hipokrytą, playboy jest impotentem uczuciowym, rakerz okrutnikiem, zaś alpinista człowiekiem bezsensownie odważnym, a meteorolog kłamcą lub bajazerem - tak z samej definicji żołnierz jest zabójcą. Ale zabójca nie musi być mordercą...

- Po raz drugi obraził pan członków trybunału! - zawarczał "Szeryf". - Czy to ma znaczyć, że każdy z nas jest mordercą, a ci dwaj nie są mordercami?

- To, co powiedziałem, ma tylko znaczyć, że problem winy bądź niewinności moich klientów jest rzeczą względną, zależy od punktu widzenia, ten zaś wypływa z ugruntowanych przekonań ludzi, którzy patrzą na sprawę. Według przekonania wielu obecnych w tym namiocie, ci dwaj są winni. To jest wasz punkt widzenia i macie doń prawo, jak również do swoich przekonań, ale chcę przypomnieć, że chociaż każdy ma swój punkt widzenia, nie każdy

dobrze z niego widzi, zaś co do przekonań, to jak powiedział Nietzsche, przekonania są wrogami prawdy bardziej niebezpiecznymi od kłamstw. Ugruntowane przekonania ogółu to świadectwo zbiorowej głupoty...

- Dość! - ryknął "Szeryf. - "Casablanca", po raz trzeci obraziłeś trybunał! Po raz trzeci i ostatni! Za następnym razem odbiorę ci głos! I streszczaj się!

Lorning poprawił sobie okulary i westchnął jak człowiek, który chce zademonstrować swą bezradność w obliczu zła.

- Nie, nie jest moim celem obrażanie wysokiego trybunału. Chcę tylko udowodnić, że jeśli większość jest o czymś przekonana, to wcale nie znaczy, iż ma rację. Większość kinomanów i czytelników zakochanych w westernach jest przekonana, że od początku dziewiętnastego wieku na Dzikim Zachodzie szaleli cudowni rewolwerowcy wyciągający spluwę, strzelający i trafiający z nieludzką szybkością, podczas gdy jest to bajkowa fikcja, bo dopiero w końcu lat siedemdziesiątych pojawiły się kabury i colty, których konstrukcja umożliwia taką zabawę. Większość ludzi jest przekonana, iż żyrafy mają więcej kręgów szyjnych od na przykład bawołów, bo szyja żyrafy jest najdłuższa, gdy w rzeczywistości mają po tyle samo, każdy ssak ma ich siedem. Większość prostaczków jest przekonana, że człek z brodą to człek mądry, a przecież broda nie jest świadectwem mądrości, koziół też ma brodę...

- Do rzeczy, Lorning, do rzeczy! - zniecierpliwił się szef zespołu sędziowskiego. - Ile mamy wysłuchiwać tych bzdur? Mówcie na temat, albo kończcie! Macie coś do powiedzenia na temat zbrodniczych postępów tej dwójki?

- Owszem. Chciałbym się tu powołać na genialnego pisarza, jednego z największych jakich wydała ludzkość, na Dostojewskiego, który w "Zbrodni i karze" głęboko zajrzał do duszy człowieka i ukazał skomplikowaną, niejednoznaczną materię przyczynowości w

dochodzeniu do postętku. Nie możemy tu, panowie sędziowie, ominąć psychiki zbrodniarza, jeśli chcemy sprawiedliwie rozważyć jego winę, same fakty i nasze przekonania o winie to zbyt mało...

Farloon nie wytrzymał:

- „Casablanca”, skończ już pieprzyć! Nie jestem zbrodniarzem i nie chcę takiej obrony, mam tego dość, cofam ci mandat!

- Okay! - ucieszył się Nortolt. - Zdymisjonowano cię, Lorning! Sąd uda się teraz na naradę, żeby uzgodnić treść werdyktu!

Sędziowie opuścili namiot. Downbridge, przysłuchując się rozprawie pomyślał, że należałoby też rąbnąć Lorninga. Morgana i zapewne jeszcze kilku innych, bo jeśli ktoś o tym wszystkim opowie w Anglii, to będzie to zabójczą reklamą dla właściciela „Elephant-World”. Więc gdy „Szeryf” zarządził głosowanie. „Beatles” głosował przeciw kropnięciu” winnych. Haltrey również. Przegłosowano ich w stosunku 3:2. Wrócili do namiotu i „Szeryf” ogłosił:

- Wyrok brzmi: śmierć! Kwadrans na modlitwę i przed pluton! „The Amber”, widząc, że to nie żarty, zablefował:

- Panie kapitanie, jak już pan nas odstrzeli, to niech pan od razu spierdala stąd do Pekinu, bo w Matabele czeka Jervis! Był u nas w tej wiosce, z której was przepędziliśmy, i powiedział, że jak ktoś nas ruszy za tamto, to dostanie czapę, nawet Lerocque! Dał nam list do Lerocque'a.

- Łżesz! - krzyknął Nortolt.

- Benzyniarzu, daj kapitanowi ten list! - zakomenderował jankes. Krzysztofeczko podał list „Szeryfowi”.

- Pismo sir Stanleya! - rzekł Downbridge.

On, „Szeryf”, bracia Clayton, Frost, Leenock, Gurt, Shelm i kilku innych mieli miny tak głupie jak pacjent z otwartą gębą na fotelu dentystycznym. Trybunał znów opuścił namiot. Gdy wrócili, kapitan rzekł:

- Biorąc pod uwagę zaistniałą okoliczność, a także udział obu

szeregowców w boju przeciw FWL, sąd postanowił zawiesić wykonanie kary i ponownie rozpatrzyć sprawę, gdy przyjdzie na to czas. W imieniu całego trybunału wyrażam nadzieję, że nienaganna od tej pory postawa w służbie obu szeregowców pozwoli przy ponownym rozpatrzeniu sprawy złagodzić wyrok za ich dawne przewinienia.

Bracia Clayton spojrzeli na siebie takim wzrokiem, jakby jeden chciał oskarżyć drugiego o to cholerne fatum, które sprawiało, że zawsze w ostatnim momencie wymykał się im z zębów kęs, jaki zamierzali ugryźć, przez co wciąż musieli dźwigać etykietę "The Last Moment Bad Luck Company".

Avery Goldween nie dlatego zwrócił się do służb antyterrorystycznych z izraelskiej szkoły ISDS (System Międzynarodowego Bezpieczeństwa i Obrony), że sam był Izraelitą (jego żydostwo było tylko genetyczne, zaś jego ojczyzną, narodowością i religią był wyłącznie Dolar), lecz dlatego, że w tych sprawach nikt na szerokim świecie nie mógł się równać z ISDS. W obozach ISDS ćwiczyli pod okiem najwybitniejszych "profesorów" Niemcy z GSG 9, Anglicy z SAS i Amerykanie z Delta Forces; dyplom ISDS równał się w swoich kategoriach dyplomowi Harvardu. Ludzie z International Security and Defense System całą tę konkurencję, która była przecież antyterrorystyczną śmietanką planety, a przybiegała do nich, by zdobyć zasób wyższych nauk, traktowali ze starannie maskowanym politowaniem. Nawet oddziały Delta, cacko Pentagonu. Dobrzy wujowie z Ameryki zawsze wydawali się ISDS-owcom gronem dętych ignorantów, a partactwo komandosów jankeskich przy uwieńczonej klęską próbie odbicia zakładników z ambasady w Teheranie rozbawiło ISDS do rozpuku. Izrael przeprowadził wówczas serię "gier wojennych" w celu wypróbowania różnych

wariantów misji ratunkowej, by dojść do wniosku, że szansę powodzenia miał tylko jeden wariant akcji: dokonanie niespodziewanego desantu na Kum, porwanie ajatollacha Chomeiniego i propozycja uwolnienia go za uwolnienie pojmanych Amerykanów. Waszyngton był innego zdania i ciężko opłacił swój błąd.

Avery Goldween był w sprawie Tangi innego zdania niż szef CIA, który będąc gojem potraktował go tak, jak święte pismo pozwala Żydom traktować gojów ("Wy jesteście ludźmi, zaś reszta narodów to bydło..." itd.). Goldween nie zapomniał o tym upokorzeniu. Ale ponieważ skok z wysokich pięter wieżowca nie był jego ulubionym hobby, bał się odsłonić i na spotkanie z mocną osobą w sztabie ISDS, Mosze Raldem, wysłał zaufanego człowieka, Levy'ego Hirszbauma. Spotkanie nastąpiło w Aleksandrii.

Rald został poproszony o ten kontakt przez wysokie kręgi żydowskiego lobby politycznego w USA, nie wiedział jednak, z kim konkretnie będzie miał do czynienia i o co chodzi. Zapytał więc o co chodzi.

- O duże pieniądze - rzekł Hirszbaum.

- Za co?

- Za usunięcie angielskich geologów i ich obstawy z pewnego bezludnego terenu w pewnym dzikim kraju.

- Gdzie?

- To nie jest ważne gdzie, panie Rald. Może w Azji, może w Afryce lub w Ameryce Południowej, przyjdzie czas o tym mówić, najpierw trzeba się dogadać.

- Czy brytyjscy geolodzy są tam oficjalnie?

- Gdyby tak było, mógłby pan o tym przeczytać w gazetach.

- Ale mają poparcie Downing Street.

- Mają, lecz ich rząd ukrywa to i jest w strachu, że owo poparcie mogłoby wyjść na jaw.

Rald pociągnął przez słomkę łyk koktajlu "Hatszepsut" i patrząc w

szkło wycedził:

- Od tysiąca lat Anglia nie przegrała żadnej wojny. Napoleon też dostał od nich w dupę. Ja mam być tym pierwszym, który im dosoli? Macie swoją Deltę w Fort Bragg, niech ona się tym zajmie.

- Mamy też Kaczora Donalda - odpowiedział Levy. - Delta nadaje się do tego tak jak on, a poza tym uruchomić ich może tylko prezydent.

- To jest właśnie informacja, od której powinien pan zacząć - mruknął Rald. - Kombinujecie coś poza rządem...

- Niezupełnie - wszedł mu w słowo Hirszbaum. - Wśród kombinujących są faceci z "Owalnego Pokoju".

- Czy zlecenie da nam wasz rząd?

- Nie, lecz inicjatywa Brytyjczyków jest półprywatna i w ten sam sposób chcemy im odpowiedzieć.

- To zwróćcie się do mafii w Palermo - rzekł Rald. - ISDS nie może przyjąć prywatnego zlecenia.

- Nawet za kilka zer?

- Nawet za cały Fort Knox. Musimy mieć zlecenie, które zaakceptuje nasza władza, a więc od waszego rządu lub od agencji rządowej, na przykład od CIA. Niech Fosterman wystąpi...

- Fosterman to karta bita - poinformował człowieka z ISDS goldweenowski negocjator. - Wkrótce go nie będzie.

Rald nie spodziewał się, że ujawnią mu aż taki hit. Udał, że nic go to nie obeszło i zachował kamienny spokój:

- To nie moja rzecz. Z tego, co pan mówi, rozumiem, iż Fosterman jest przeciwny waszym zamiarom i dlatego chcecie go wykosić. Z tego, co pan mówił przedtem, mogę wnioskować, że brytyjscy geolodzy rozgrzebują jakiś bajeczny Sezam. A z tego, co podpowiada mi rozsądek, wiem, iż kartą bitą jest taka karta, którą już przebito. Fosterman nie został jeszcze zdymisjonowany. Gdyby do tego doszło i gdyby jego następca był waszym człowiekiem - wówczas możemy

rozmawiać.

Przy pożegnaniu Hirszbaum rzekł:

- Tej rozmowy nie było, panie Rald.
- Jakiej rozmowy? - uśmiechnął się tamten. Do zobaczenia, zgłosimy się niedługo
- You're welcome - zapewnił negocjator.

W zakładach Tanga Mining kupili benzynę, której już było im brak. Dowódca straży przemysłowej powiadomił Kariduomo o ich przybyciu. Szosą B-12 dotarli do miasta, na którego obrzeżach czekał "powitalny komitet", złożony z kilku oficerów. Od nich usłyszeli:

- Wasz wódz jest w gościnie u naszego. Nocleg przygotowano wam w koszarach, na dziedzińcu zaparkujecie swój tabor.

Jadąc nędzną "main-street" w stronę koszar zauważyli, że na tyłach bud udających domy przemykają się żołnierze z bronią pochyłoną jak do ataku. Nie musiało to budzić zdziwienia, mogło być przejawem ostrożności komendanta garnizonu, lecz Nortolt wyskoczył z szoferki samochodu, który prowadził Dimitris i przesiadł się na ciężarówkę, w której jechał "Casablanca". Usiadł koło niego i rzekł:

- Wasza profesorska dosrojność wie, co o nim sędzę, nie ma czego kryć.

- Nie ma - potwierdził Lorning. - Wasza kapitańska wiejebność ma tu rację.

- Ale jest w tobie, "Casablanca" - kontynuował Nortolt-jedna rzecz, która mi się bardzo podoba.

- Umieram z ciekawości.

- Twój kapelusz...

Kapelusz Lorninga był szmelcem z filcu nieokreślonej barwy nim

zaczęło się “Czarne tango”, teraz zaś przypominał szmatę wyplutą przez hipopotama.

- W panu też jest coś, kapitanie, co mi się podoba - rzekł Lorning. - Ma pan bliźnię w kąciku ust, to od żyletki?

- Nie, od kastetu.

- Owo zranienie zdeformowało panu krój warg, nadając pańskiej twarzy inteligentny wygląd. Facet, który tak ją zoperował, winien wziąć od pana duże honorarium.

“Szeryf” pokiwał głową, jakby zgadzając się, że dowcip jest niezły.

- “Casablanca”, wziąć to może silny od słabego. Ja właśnie mam zamiar wziąć twój kapelusz. Pożyczam go sobie...

- ...rzekł pewien generał - dokończył profesor - kładąc sobie na łeb kapelusz cesarza Napoleona, żeby stać się też “bogiem wojny”, ale, cholera wie dlaczego, przegrał każdą z bitew, mimo że podczas każdej paradował w owym kapeluszu!

Gdy wjechali na dziedziniec koszar, zaryglowano bramę i wymierzono ku nim dziesiątki łuf; karabiny maszynowe stały na dachach jeden obok drugiego. Przez megafon rzucono im rozkaz:

- Wychodzić bez broni, z rękami w górze, i ustawić się w szeregu! Downbridge'a i Nortolta obmacano i zaprowadzono do gabinetu, gdzie czekali już generał i Lerocque. Nikt nie dotknął mocno wciśniętego na “szeryfową” głowę kapelusza, w którym “Szeryf” wyglądał jak głupek, ale tylko dla tych, co go znali. Salutując w stronę Lerocque'a, a ignorując generalski mundur, Downbridge zapytał:

- Czego oni od nas chcą, kapitanie?

- Żebyśmy pomogli obalić prezydenta Nyakobo.

- I co im pan powiedział?

- Że możemy obalić tych, którzy zechcą obalić prezydenta Nyakobo.

- Zrobicie to, co wam każę! - włączył się szef garnizonu. - Mam już

waszego Holendra!

- On mówi, że van Hongen nie będzie mógł nam zapłacić, bo on go tu przetrzyma aż do momentu, kiedy przy naszej pomocy zrobią koniec z Nyakobo - wyjaśnił "Mina".

Nortolt i Downbridge odwrócili się ku generalskim naszywkom.

- To greczny facet, ten generał - powiedział "Beatles". - Chce dać van Hongenowi lokum na tak długi okres!

- Tradycyjna tangalandzka gościnność - dodał Nortolt.

- W rewanżu powinienś mu okazać naszą tradycyjną grzeczność - zaproponował Downbridge.

- Co masz na myśli?

- Żebyś zdjął przed nim kapelusz.

- Masz słuszność - zgodził się "Szeryf".

Zdjął kapelusz lewą ręką. Na głowie miał puszkę, która wyglądała jak puszka konserw. Chwycił ją prawą ręką i wsadził palec wskazujący w mały otwór.

- Uważaj! - powiedział Downbridge. - To draństwo może rozpieprzyć nie tylko ten pokój, lecz cały ten budynek. Jak zamienialiśmy w żwir góry Busonów, wystarczyło kilka...

Generał podniósł się z wybałuszonymi oczami, mamrocząc:

- Nie zrobicie tego... to... to... sami byście zginęli...

- Co on gada? - spytał Nortolt.

- On się żegna z życiem - stwierdził Downbridge.

Lerocque podszedł do generała, zabrał mu broń i wymierzył ją w żołdaków stojących obok drzwi. Strach tak bardzo ich sparaliżował, iż nie mogli samodzielnie zdjąć z ramion pm-ów, pomógł im "Beatles". Generał opadł z powrotem na krzesło.

- Pojedziesz z nami do Matabele i wytłumaczysz prezydentowi o co ci chodziło, bo ja nie najlepiej zrozumiałem - rzekł "Mina".

- Dajcie mi spokój - szepnął gruby, przestraszony człowiek, chowając twarz w dłoniach - ja już mam tego dość! Wepchnęli mnie

w gównu... Porozmawiajcie z Oubu.

- To on tu jest? - spytał Lerocque.
- Możecie zadzwonić.
- No to wykręć numer, przyjacielu.

W dalekim Matabele szukano pułkownika Oubu przez kwadrans. Lerocque powiedział do słuchawki:

- Panie pułkowniku, jesteśmy w Kariduomo i mamy tu jednego generała, któremu nie podoba się prezydent. Chciał nas zmusić do zrobienia czegoś, co nam się nie podoba. Mamy go przywieźć do Matabele, czy rozwalić?

Słuchawka milczała przez kilka sekund, a potem wypłynął z niej skonfundowany głos:

- Zostawcie go w spokoju.
- Nie rozumiem... - zdumiał się teatralnie Lerocque.
- To dobry oficer - rzekł Oubu - tylko zbyt gorliwy. Chciał sprawdzić waszą lojalność wobec prezydenta...
- Uhhh... - mruknął Lerocque.
- Przy okazji... Załatwiliście tych z FWL?

Lerocque spojrział na Nortolta, a ten opuścił kciuk ku dołowi, jak cesarz lub konsul, który skazuje gladiatorów na śmierć.

- Co do jednego - odpowiedział "Mina".
- Moje gratulacje, pan prezydent się ucieszy. A bientot, monsieur Lerocque.

"Mina" odłożył słuchawkę i spostrzegł, że Nortolt wciąż trzyma palec wskazujący prawej ręki w otworze granatu.

- Wsadź sobie palec gdzie indziej - mruknął - bo naprawdę rozpieprzysz ten gmach!

Przez uchylone okno wdzierał się do gabinetu powiew zwiastujący deszcz, było czym oddychać. Lerocque wsparł dłonie o parapet i dopiero teraz poczuł, że jest bardzo zmęczony. "Nom de Dieu! - pomyślał - Enfin, c'est la fin de l'aventure... Co ja zrobię z taką forszą,

tego się nawet nie da przepić... Tylko jakieś babsko mogłoby tym sensownie gospodarować, ale żenić się na starość?... Żadna się nie zgodzi wziąć służącą Murzyneczkę, którą pan będzie dmuchał częściej niż panią... Zastrany los, je m'en fous!"

VIII. Taniec śmierci

4 listopada “inspektor armijny”, kapitan Mano, poinformował Jego Ekscelencję Generalissimusa Prezydenta Nyakobo, że istnieje spiszek wśród pałacowej służby i straży. W obu tych formacjach nie było nikogo poza współplemieńcami Dobroczyńcy Narodu, lecz nawet brat może zdradzić, więc wiadomość nie wywołała zdziwienia. To mogło być prawdą. I mogło nią nie być. Wielkich tyranów cechuje nieufność do wszystkich i do wszystkiego, im większa nieufność, tym mądrzejszy tyran i tym dłużej panuje. Nyakobo zapytał:

- Masz dowody?

- Mam zeznanie jednego z armijnych spiskowców. Był w kontakcie z kimś tutaj.

- Z kim?

- Tego nie wiem. Torturowaliśmy go, zdechł zanim zdążył wszystko wyśpiewać.

- Więc dowiedz się szybko!

- Tak jest, Panie.

Kapitan wyszedł, a Nyakobo wezwał majora Behulu. Majorowi wzięto przy bramie pistolet służbowy (nikt spoza pałacu nie mógł tu wejść z bronią) i obmacano go tak dokładnie, że poczuł dłoń macającego na jądrach. Stanąwszy przed prezydentem (a dokładniej powstawszy, gdyż musiał uklęknąć przy powitaniu), usłyszał to, co doniósł prezydentowi “armijny inspektor”, po czym już tylko odpowiadał z oczami wpatrzonymi w twarz prezydenta i emanującymi samą szczerość.

- Czy to prawda?

- Nie wiem, ale to może być prawda, Ekscelencjo.

- Ufasz kapitanowi?

- Nikomu nie ufam. Ekscelencjo, dlatego śledzę każdy jego krok. On się bardzo stara, wykrył już tyle spisków, ma w tym doświadczenie.

- I twoim zdaniem jest wierny?

- Nie wiem. Ekscelencjo.

- A jak sądzisz?

- Nie mogę takiej opinii opierać na wydumanych sądach, tylko na faktach, Ekscelencjo. Dopóki nie przyłapię go na czymś, nie będę mógł wysuwać oskarżeń przeciw niemu. Na razie nie zauważyłem, by w jakikolwiek sposób okazał się nielojalny lub mało gorliwy. Do wrogów czuje nienawiść i tępi ich zaciekle.

Nyakobo przyjrzał się majorowi; patrzył przez szparki oczu, znając wywoływany tym efekt, z twarzą sfinksa i z dziwnym, budzącym trwogę skurczem warg.

- A ty, Behulu? Czy ty jesteś wierny? Major zbladł, lecz odparł bezzwłocznie:

- Tak, Ekscelencjo.

- Jesteś tego pewien?

- Tego jestem pewien, Ekscelencjo.

- Na razie możesz odejść... Postarajcie się szybko ustalić, kto w pałacu knuje.

- Postaramy się, Ekscelencjo!

Gdy major opuścił pokój, zza kotary wyszedł pułkownik Oubu.

- Słyszałeś - rzekł Nyakobo.

- Tak, Panie Prezydencie.

- I co o tym myślisz?

- Że to jest rzecz straszna, Ekscelencjo.

- Powiedziałeś: straszna. Ale nie powiedziałeś, że niemożliwa... I masz rację. Możliwe jest wszystko...

- Nie jest możliwe, Ekscelencjo, by ludzie z naszego plemienia spiskowali przeciwko sobie samym! - krzyknął Oubu. - Twój koniec

równałby się ich końcowi, plemię Ourima przestałoby...

- Nie krzycz! - mruknął Nyakobo. - Tu ściany mogą mieć uszy. Wyjdźmy do ogrodu.

Spacerowali wśród klombów i krzewów.

- Jeszcze dziś - rozkazał prezydent - sprawdźcie wszystkie urządzenia, ściany, podłogi, sufity i sprzęty mojego gabinetu, moich sypialni i centralkę!

- Robimy to co miesiąc, ostatnio tydzień temu...

- Tydzień to dużo. Zrobisz, co powiedziałem!

- Natychmiast, Ekscelencjo! - Mówisz, że nie jest możliwe, by zdradził ktoś z naszych współplemieńców. To tak, jakbyś twierdził, że pies nie rzuci się na psa... To jest bardzo możliwe, tym bardziej, że oni mają najwięcej swobody. Jest taka prawidłowość, której nie da się obejść: tam, gdzie ktoś sprawuje rządy, tam ktoś inny spiskuje, władza jak ścierwo przyciąga hieny, które chcą ją pożreć. I jest druga prawidłowość: każdego można kupić lub skaptować, to tylko problem ceny, użytych środków i sprytu kupującego. Spójrz na historię: najwięcej spisków udaje się tam, gdzie spiskują swoi. Jaką mam pewność, że to nie ty stoisz na czele spisku?

To pytanie, jak również to, które zadał majorowi, należały do pytań, które od wieków zastępowały detektor kłamstw przed jego wynalezieniem (a według wielu są wciąż czymś lepszym, gdyż maszynę łatwiej oszukać niż pytającego, który posiada wyczulony zmysł "prześwietlania" ludzi) - każde z takich pytań jest jak nagły cios, wywołujący automatyczną reakcję.

- Ekscelencjo... na Boga!...- jęknął Oubu. Nyakobo zdawał się nie słyszeć, dalej mówił swoje:

- Jeśli Mano nie skłamał lub nie dał się ponieść urojeniu, to ja już pachnę trupem. Mogę nie dożyć kolacji, bo własny kucharz...

- Każdą potrawę się sprawdza przed podaniem Waszej Ekscelencji!- zaoponował pułkownik.

- A możesz tak sprawdzić sprawdzającego, byś miał stuprocentowe doń zaufanie? Ale zostawmy jądło... Każdy z moich strażników może mnie zastrzelić w każdej chwili!

- Nonsens, to elita, najwierniejsze grono, to można wykluczyć!

- Nie pieprz, pułkowniku, bo robi mi się niedobrze! - zdenerwował się Nyakobo. - A jak było z panią premier w Indiach, zastrzelił ją jej "goryl"!... Nawet pancerna kamizelka mi nie pomoże, choćbym w niej spał! Mnie teraz, jeśli Mano nie mówi głupot, została tylko jedna rzecz... wziąć tamtych. Niech mnie strzegą!

- Obcych!?! - zdumiał się Oubu.

- Kadafiego strzegli sami Kubańczycy i nie było mu wstyd, dlaczegóż miałbym się wstydzić ja? Wstyd to łajno, które wydalifem tysiąc lat temu! Sprawdziliśmy ich, są lojalni, bić się umieją lepiej niż najlepsi z nas, a strzec mnie będą dla własnego interesu, bo założyli tu interes! Gdzie są teraz?

- W Kariduomo.

- A ten ich dziadek z Londynu?

Leży w naszej klinice.

- Bierz się do roboty, Oubu, jeśli chcesz przeżyć tak jak ja chcę!

Klinika rządowa Tangi nie różniła się od pięciogwiazdkowych lecznic białego świata. Sir Stanley miał tu wszelkie luksusy, z czystością paznokci u doktorów i pielęgniarek włącznie. Wizyta pułkownika Oubu sprawiła mu przyjemność, jak każda wizyta każdemu pacjentowi (oprócz wizyty damy z kosą); szpitalne chorowanie jest kiepskim zajęciem, nie ma nic nudniejszego (oprócz słuchania przemówień wodzów uszczęśliwiających swe narody i rytuałów obowiązkowego seksu w zużytych małżeństwach).

- Łapiduchy mówią, że wraca panu zdrowie - zaczęła Oubu.

- Podobno - burknął Jervis.

- Mam nadzieję, że tu na personel pan nie narzeka...

- Tu nie... Mimo to wolałbym wrócić do hotelu.

- Życzę panu pełnego powrotu do zdrowia, do hotelu i do domu. A przyszedłem z gratulacjami. Banda pańskich komandosów wykonała zadanie, wszystkie zadania. I wbrew pańskim obawom nie doszło do wojny z Amerykanami. Pełny sukces...

- To dobrze - skwitował wiadomość Jervis.

- Ale sukces jest kobietą, bywa kapryśny, czasem trwa krótko... - dodał Oubu.

Jervis zeszytniał. "Czarny sługusie, to stąd te przyjacielskie odwiedziny, ta troskliwość o chorego!... Co znowu uknuł twój pan?... I skąd ta mała wie, że chodziło o Amerykanów? Przecież tego mu nie mówiłem!... Któryś z jego ludzi musiał podsłuchiwać moją rozmowę z Farloonem i z «Chrisem» w tej wiosce...". Odezwał się cierpko:

- Pułkowniku, niech pan zrezygnuje z popisów retorycznych, ze wstępów, zagadek i metafor, w pozycji leżącej źle oceniam kunszt słowa. Przejdźmy do rzeczy. Z czym pan przyszedł?

- Z prośbą.

- To już zgadłem sam, intryguje mnie zawartość tej prośby.

- Chodzi o to, by pan nam pożyczył swoich chłopców.

- W jakim celu?

- Dla bezpośredniej ochrony prezydenta. Grozi mu niebezpieczeństwo.

- W pałacu!?

- Właśnie w pałacu.

Jervis spojrział na śmigło wentylatora pod sufitem; ciężło powietrze jak klinga głodna głów przeznaczonych do dekapitacji. Powiedział:

- Nie chcemy brnąć w labirynt waszych wewnętrznych spraw...

- To nie jest tylko nasza sprawa, także i wasza - zaoponował pułkownik. - Bo jeśli prezydent Nyakobo upadnie, razem z nim

może fiknąć wasze prawo do poszukiwań geologicznych w Keya! Spiskowcy mogą mieć innych kontrahentów... Wiemy, że jest spiszek, nie znamy jeszcze członków tej konspiracji, trwa śledztwo. Pomóżcie nam przynajmniej do jego zakończenia.

Jervis nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz wiedział, że dzwonić w tej sprawie do Londynu nie pozwolą. Musiał decydować sam.

- Panu chyba mało zależy na tych geologach! - zniecierpliwił się Oubu. - Spełni pan moją prośbę, czy nie!?

- Jak można nie spełnić pańskiej prośby leżąc na pańskim łóżku, w pańskim mieście, pod pańską opieką? - westchnął Jervis. - Pan ma tak ujmujący sposób proszenia, pułkowniku...

"Każdego można kupić lub skaptować" rzekł Nyakobo. Miał słuszość, choć ktoś mógłby mu zarzucić, że niepotrzebnie zdublował czasownik, ale tylko z pozoru niepotrzebnie, bo można kaptować nie kupując, lecz zastraszając. To się nazywa szantaż. Tak właśnie postąpił Gene Dorsey z FBI, znajdując sekretarzowi obrony "chłopczyka z działu podsłuchów CIA" i taki na niego "hak", żeby "chłopczyk" musiał "bardzo, bardzo grzecznie śpiewać". "Chłopczykiem" był Ralf Guzmano i pierwszą nutę wyśpiewał barytonem ("Nie dam się zastraszyć, czego pan się czepia?!"), ale był to jego ostatni wokal w tej tonacji.

- Gdybyś był taki czyścioch, którego nie można złamać, to byś nie przyszedł na to spotkanie! - uciszył go Dorsey. - Pedalów...

- Dlaczego pan mnie wrabia w pedalstwo?! - jęknął "chłopczyk". - Ja nie jestem pedałem!

- Wiemy o tym. Może jesteś tylko biseksem, a może nawet i to nie. Wszystko to jest bez znaczenia. Masz przyjaciół pedalów i to wystarczy.

Dorsey otworzył aktówkę i sięgnął po kilka zdjęć, na których

Guzmano figurował w różnych miejscach ze znajomymi.

- To są dwaj moi kumple ze studiów! - rzekł Guzmano. - Czy mam ich przegonić, bo są homoseksualistami? Przecież to nie grzech, to nie jest zabronione przez prawo!

- Powiesz to Fostermanowi?

Guzmano zamilkł i spuścił wzrok.

- To nawet by nie doszło do Fostermana - kontynuował szantażujący.- Twój bezpośredni boss i twoi kołesie z pokoju, w którym pracujesz, wykopaliby cię na zbity pysk, tak bardzo boją się AIDS. Nie mówiąc już o tym, że pederasta nie może pracować w CIA, gdyż jest zbyt podatny na szantażowanie przez wrogów. To też jest prawo, wewnętrzne prawo Agencji!

- Aleja nie jestem homoseksualistą! - wyszeptał Ralf.

- My za pomocą odpowiednich zdjęć i świadków możemy udowodnić, że Ziemia jest płaska! Będziesz skończony w CIA i poza CIA, wszędzie, nie dostaniesz żadnej roboty, żarcie będziesz wyciągał ze śmietników i spał na ulicy!

- Więc... więc co mam zrobić!?! - rozplakał się Guzmano. - Przegnać przyjaciół!?

- To byłoby chamstwem. Zachowaj sobie swoich pedalskich kumpli! My chcemy tylko, żebyś nam powiedział jedną rzecz. Po kilku aferach z wykryciem podsłuchu w ambasadzie rosyjskiej u nas i w naszej u nich, zawarto specjalną umowę i zlikwidowano podsłuch w obu ambasadach. Oba kraje zabrały swój "cyrk z pchełkami", co do jednej, czy tak?

- Tak, do tego zobowiązywała nas umowa, którą podpisał wiceprezydent.

- Rosjan mogliście zrobić w bólu, ale nie FBI! - rzekł Gene. - Wiemy, iż Fosterman nie podporządkował się w pełni i zostawił kilka zabawek w budynku ich ambasady!

Był to blef, lecz się udał, gdyż Guzmano odparł automatycznie:

- Oni na pewno zrobili ten sam numer! My zostawiliśmy podsłuch tylko w trzech miejscach, ale w takich, że nie odkryją go nigdy! Sprawdzają swój gmach nieomal codziennie i nie mogą wyniuchać, choć stosują najnowocześniejszą aparaturę. Dyrektor wie, jaką kompromitacją byłoby wykrycie tego, ale się nie boi, bo te trzy pudełeczka to cud techniki dwudziestego pierwszego wieku, mają wbudowane systemy antywykrywalnicze, coś jak antyradar...

- Chcemy, żebyś nam dostarczył rysunki ze wskazaniem miejsc! - powiedział Gene.

- O Boże! - zakrztusił się śliną Guzmano. - Za takie coś...

- Za takie coś nic cię nie spotka! Bez tego czegoś idziesz na bruk i do końca zaszranego egzystencji będziesz wegetował wśród szmat, które wyją ze szczęścia, gdy zimą uda się im znaleźć miejsce przy kratkach wylotowych kanału ogrzewczego!

Tamten schował twarz w dłoniach i szepnął przez palce:

- Czy pan to robi dla Ruskich?

- Nie, synku, nie dla Ruskich - odparł Dorsey, lecz jednocześnie pomyślał: "Wszyscy pracujemy dla Ruskich, od wielu lat, bawiąc się z nimi w grzeczności i w konferencje, dając się rolować i mamić, czekając, aż obudzimy się jako wyspa na czerwonym oceanie aż po horyzont z każdej strony!".

Kolumnę zatrzymał helikopter, siadając tuż przed nią, na asfalczyszy B-12, między Kariduomo a Matabele. Pilot wręczył "Minie" list od Jervisa. Odleciał za pół godziny, z van Hongenem, Gurtem, Haltreyem i Shelmem.

W pałacu Gurt i Shelm zajęli miejsca wewnątrz prezydenckiej "jaskini"; był to ów gabinet, gdzie znajdowała się centralka dyspozycyjna ("mózg" elektroniczny kraju i pałacowego systemu obrony, bazującego na polach min), do której klucze miało tylko

dwóch ludzi: prezydent Nyakobo i pułkownik Oubu. Haltrey dostał krzesło przy drzwiach prezydenckiej sypialni, mając pod obstrzałem cały korytarz pierwszego piętra.

- Trzech wystarczy. Sam ich widok sparaliżuje zdrajców - powiedział van Hongenowi Nyakobo.

- Kiedy Lerocque wróci tutaj, będę mógł dać panu więcej ludzi - odparł Holender.

- Jeszcze ze dwóch, najwyżej trzech. Nie chcę zbyt wielu obcych w pałacu. Chodzi o efekt psychologiczny i to na krótko. W ciągu tygodnia moi policjanci rozszyfrują spis, wyłowią konspiratorów i będą po wszystkim.

- A jak nie rozszyfrują? - spytał Fritz.

- Nie ma obawy! Nasza policja stosuje metody bardzo tradycyjne, którym można zarzucić przestarzałość i niehumanitarność. ale nie można im odmówić cudownej skuteczności. Na wszelki wypadek mój adiutant wymienił całą straż pałacową, tych poprzednich się teraz przesłuchuje, ale nie wymienił służby, tego się nie da zrobić tak raz dwa...

W kilka godzin po przybyciu do stolicy Fritz rozmawiał już przez telefon z Loedererem. Krótko opisał pogrom FWL, podał dokładną listę strat "Gangu Lerocque'a" i zażądał przekazania do Matabele, na konto z jego nazwiskiem w Banku Państwowym Tangalandu, olbrzymiej sumy.

- W jakim celu? - spytał Loederer.

- W celu zrekompensowania pewnych szkód, jakie tutaj wyrządziłszy podczas naszego przedsięwzięcia...

- Mogę to załatwić formalnie, wystarczy, że da mi pan adres poszkodowanego.

- Rzecz w tym, iż ja chcę to załatwić nieformalnie - odparł Fritz. - Nadto mam tu pewne zobowiązania o charakterze... nazwijmy go prywatnym...

- Panie van Hongen, to...

- Panie Loederer, pan może mi odmówić, to pańskie prawo, ale nie radziłbym korzystać z tego prawa! - rzekł van Hongen. - Mój brat jest pomszczony, tak jak mój ojciec tego chciał, nie przeżył ani jeden człowiek z FWL, a ja odniosłem ranę podczas tej rzezi. Będzie pan to miał szybko potwierdzone przez moich komandosów, przez zakładników, których uwolniłem, przez rząd Tangi i przez Londyn. Inaczej mówiąc: w ciągu tygodnia stanę się formalnie jedynym pełnoprawnym zarządcą majątku, który nieformalnie już jest mój. Ode mnie będzie zależało, jak się potoczy pańska dalsza kariera, Herr Loederer, nawet gdyby wybrał pan niezależność, gdyż ręce tak bogate jak moje to bardzo długie ręce!

Mecenas Loederer mógł sobie być adwokatem rzetelnym, ale nie był samobójcą - groźba z ust przyszłego pracodawcy uwolniła go od wahań. Zaś prezydent Nyakobo mógł sobie być facetem twardym, lecz nie był skałą dla własnego dziecka - groźba z ust córki ("zabiję się!!!") przyprowadziła go o szok, lecz zarazem uwolniła od wahań co do przyszłego zięcia, z czego był w końcu zadowolony. Od niego van Hongen się dowiedział, iż Nelina jest brzemienną.

- W ciągu dwóch tygodni weźmiecie ślub! - zażądał Nyakobo.

- O niczym innym nie marzę, drogi teściu - uśmiechnął się Fritz.

- Co z obietnicą przepisania części twego majątku?

- Jak tylko Loederer załatwi ostatnią formalność. To pójdzie szybko. Na razie wysyła mi specjalne premie dla chłopaków. Transfer mojego posagu zrealizujemy przed ślubem, proszę być spokojnym. A potem zrobimy z tego kraju takie чудо, że świat oniemieje! Zbudujemy nowy Tangaland, teściu, to będzie Vanhongenland. Przysięgam, że to zrobię!

Konstanty Iwanowicz Tylenkow, drugi sekretarz ambasady ZSRR w Waszyngtonie, miał lat 43 i jako dyplomata był człowiekiem

sprawdzonym. Pracował już w Kopenhadze, w Wiedniu, w Bonn i w Tokio, a więc wszędzie tam, gdzie na sporą grupę dyplomatów czyhają rozliczne mamidła (od super-magnetofonów i szynek bez kolejki, po stada cudownych dziewczyn, aut i podróży bez kłopotów) i nigdzie nie znęcił go zdradliwy poler kapitalizmu. Do żony, dzieci, brata, siostry i starych rodziców w obwodzie zabajkalskim pisywał często, wysyłał im drobne prezenty i odwiedzał kiedy miał urlop. Przejawiał nienaganną postawę ideową, fizyczną (uprawiał jogging) i estetyczną (był wzorem znormalizowanej elegancji antyimportowej). Miał jedno hobby: kolekcjonował odznaki bohatera pracy socjalistycznej.

Dorsey zaczął go w pasażu handlowym, gdzie Tylenkow obrzucał pogardliwym spojrzeniem elektroniczne produkty Zachodu.

- Jestem pracownikiem FBI - powiedział Amerykanin - i chcę ubić z panem interes, panie Tylenkow.

- Nie! - sprzeciwił się Rosjanin - nie ma mowy! Nie idę na to! Proszę mnie zostawić w spokoju!

- Pan mnie źle zrozumiał, chcę panu opylić pewną tajną informację, która bardzo zainteresuje pańskiego szefa.

- Mój szef ma powyżej uszu tak prymitywnych prowokacji!

- To nie jest prowokacja, panie Tylenkow - rzekł Dorsey, wyjmując z kieszeni niewielką kartkę. - Tu ma pan rysunek z zaznaczonym miejscem podsłuchu w piwnicach pańskiej ambasady. Żaden z waszych ekspertów od bezpieczeństwa nie znalazłby tego. Proszę to sprawdzić i jeśli chce pan otrzymać jeszcze kilka takich obrazków, proszę tu przyjść jutro, o tej samej porze, bez asysty, bez fotoaparatu i bez ukrytego mikrofonu, bo inaczej figa! See you later!

Tylenkow przyszedł na spotkanie z punktualnością, z jaką stawiał się do pracy odkąd zaczął pracować w dwóch ministerstwach (MSZ i MSW). Dorsey "prześwietlił" go (nie tykając ubrania) wykrywaczem magnetofonów oraz innych cudniek szpiegowskich, po czym rzekł:

- W waszym budynku jest jeszcze kilka takich punktów. Tu ma pan dwa następne.

Tylenkow wziął dwie kartki, pytając:

- Kiedy reszta?

- Jak z tych trzech pierwszych zrobicie skandal międzynarodowy. ONZ, Światowa Rada Pokoju, oficjalny protest waszych władz, dzika kampania prasowa, oskarżenie Białego Domu o krętactwo i łamanie umów, et cetera, et cetera, już wy najlepiej wiecie jak się to robi.

Konstanty Iwanowicz Tylenkow zbaraniał, lecz twarz go nie zdradziła, był doświadczonym dyplomata.

- Sądzi pan, że nie zrobilibyśmy tego?

- Wszystko możliwe, w tych sprawach nigdy nic nie wiadomo, może z jakichś powodów nie chcielibyście hałasu, albo odłożylibyście to na później, a to mi nie odpowiada - rzekł Gene.

- Dlaczego? - spytał Rosjanin, licząc na cud pod postacią odpowiedzi automatycznej (tzw. "wyrwania się"), ale cud się nie zdarzył (może dlatego, że Konstanty Iwanowicz był zawodowym ateistą).

- Nie twoja sprawa - mruknął Dorsey. - Zróbcie od razu wielki grzmot, a dostaniecie resztę. Umowa stoi?

- Stoi - zgodził się Tylenkow.

Ambasador, dowiedziawszy się o warunkach kontraktu, rzekł:

- To nic innego, Konstanty Iwanowiczu, jak rozgrywka między partiami, Demokratyczną i Republikańską. Sami widzicie do czego prowadzi wielopartyjność, oto zgubny efekt pluralistycznego zwyrodnienia ich systemu.

- Święte słowa, towarzyszu ambasadorze! - przytaknął Konstanty Iwanowicz.

W Tamuono Mike Murrody wymienił u sklepikarza zdobyczny pistolet na "tranzystor", ale przegrał go w karty, zbyt ufać

potędze “fulla-maxa” - Farloon miał “karetę”. Pomiędzy Tamuono a stolicą, “The Amber” złowił „hard-rock” jakiejś rozgłośni, przekręcił gałkę do oporu i zatopił się w rozkoszy mierzanej wulkaniczną potęgą decybelów. Po kilku minutach obecni w tym samym wozie Lorning, Krzysztofeczko, doktor Morgan i trzech eks-zakładników - ogłuchli. Profesor zasłonił sobie narządy słuchu przy pomocy rąk; dał tym dobry wzór reszcie, wyjąwszy Polaka, który ryknął jankesowi w ucho, przekrzykując “heavy-metal”:

- Nie możesz ciszej?!
- To ci przeszkadza, benzyniarzu?! - odkrzyknął zapytany.
- Przesz-ka-dza! Po-pę-ka-ją nam bę-ben-ki!
- Zawsze możecie opuścić lokal!
- Gringo, ostatni raz proszę!
- Dzięki Bogu, bo to mnie przeszkadza!

Dłoń Krzysztofeczki spadła na radio, wyrwała je z farloonowych palców i wyrzuciła na asfalt, pod oponę samochodu, który jechał za nimi. Trzask miążdżonego koncertu splótł się z eksplozją w oczach, w ustach i w pięściach Farloona. “Chris” oddawał wet za wet. W ciasnocie wozu trudno było robić uniki, każdy cios trafiał, lecz padło ich niewiele, gdyż doktor strzelił na twarze bokserów jakiś znieczulający spray, który przy nozdrzach działał obezwładniająco i zamroczył obu. Minął pewien czas nim poczęli przychodzić do siebie. Gdzieś z daleka, falująco, jak przez kotarę, która się coraz bardziej rozsuwa, nadbiegł ku nim głos “Casablanki” dyskutującego z doktorem:

- ...Przysięgam panu, panie Morgan, że wszystko już było, możemy tylko epigonić, nowelizować, przerabiać i upupiać dawne wartości. Czymże innym jest bowiem ten ich “ciężki rock” jak nie spłyconym, zwulgaryzowanym wagneryzmem? To zbarbaryzowany i umasowiony Wagner, jeszcze jedno signum temporis tych nędznych czasów, w których żyjemy! Pan, jako lekarz, winien znać

odpowieź na pytanie: dlaczego oni to robią? Czemu tak chętnie zadają ból swemu ciału? Normalny człowiek nie kaleczy sobie rąk, nóg, pośladków czy nosa! Dlaczego oni dziurawią sobie uszy? Co to jest, pokolenie masochistów?

W naszej generacji...

- W naszej generacji, profesorze, jest tyluż "masochistów" perforujących sobie wątroby i płuca wódką i nikotyną - przerwał mu medyk - lub zarzynających swe arterie tłuszczami cholesterolowymi. Z naukowego punktu widzenia jedno wydaje się pewne: to nie uszy tych młodych potrzebują decybelów, lecz ich "libido", uszy pełnią rolę przekaźnika, odbieracza...

- Cudownie, doktoru! - podniecił się Lorning. - Pan tylko potwierdza moją diagnozę kulturową tej generacji, zgadzam się z panem, tak, "libido"! Ale jakie? Rozbudzone przez ów rytmiczny hałas zbyt wcześnie i schamiałe, do czego prowadzi? Do holocaustu prawdziwych uczuć, do zaniku instynktów miłosnych i rodzinnych, do grobu czułości i tkliwości, ta młodzież to elektroniczne maszynki do wzajemnego pierdolenia się i nic ponadto! Rock wzbudza pożądanie seksualne, zgoda, ale nigdy miłość, i nawet nie erotykę - to zwykła pornografia! Miast kochań, pokochań lub zakochań - obsługiwane seksualne, rekordy pieprzenia, sztafety i wymiany jednostek genitalnych! Miast związków - tak zwane partnerstwa, miast czułych słów - ruchy biologiczne, ergo: barbarzyński świat ducha, który jawi się czymś na kształt ponurej groteski. Nawet semantyka jest dowodem: miłości się nie wyznaje lub czuje, tylko się ją uprawia! Ten język doskonale oddał coś, czemu pan chce przeczyć: zerwanie z przeszłością u tych gnojów. Romeo i Julia nie mają żadnego sensu dla dziewczyn i chłopaków tej generacji. Abelard i Heloiza, czy Otello ze swą zazdrością, są dla nich śmieszni. Trzy czwarte literatury straciło rację bytu! A kultura bez książek jest niczym, gdyż to one podsumowują całość ludzkich doświadczeń, od

Biblii aż po Balzaka! Nie da się tego zastąpić "hard-rockiem".

Morgan, przytłoczony ową elokwencją, nie porzucił wszakże swojego bastionu:

- Ma pan rację i jej pan nie ma, profesorze. Znam wielu młodych ludzi, którzy co prawda Balzakiem i Homerem się nudzą, lecz Joyce'a i Kafkę, albo Dostojewskiego, czytają z wypiekami i ta literatura kształtuje im światopogląd...

- Do czorta z Dostojewskim, proszę mi tu nie przywoływać grafomanów! - zaperzył się Lorning. - I jaki światopogląd!? O nich nawet nie można powiedzieć, tak jak mówiło się o innych pokoleniach, że światopogląd jest wyznaniem wiary. U nich jest to co najwyżej suma wideoprzesądów, które się w nich nawarstwiają, i przede wszystkim mód, które się zmieniają, za wyjątkiem jednej: jest nią właśnie mechaniczna ruja, stymulowana decybelami z płyt, taśm i mikrofonów koncertowych! Beznadziejność, bo to jest epidemia, gangrena, nie widać ratunku...

- Widać, widać, aż za bardzo - pokręcił głową lekarz. - AIDS umoralnia miliony lepiej niż wszyscy kaznodzieje globu...

- Ba! - prychnął Lorning. - Klin klinem, a to mi terapia! Tresowanie szympansov pałką! Nie pamiętam już który car nauczył swego syna oglady wsadzając mu w odbytnicę koniec pręta rozżarzonego do białości. Operacja się udała, tylko że pacjent zdechł!

Morgan miał już chyba dość tego dyskusowania.

- Panie Lorning... W ciągu tych kilku tysięcy lat zmieniła się muzyka, stroje, rytuały form towarzyskich i różne inne rzeczy, lecz biologia nie, młodzież zawsze była taka sama i do tego samego pchała ją młoda krew, tylko nie zawsze uzewnętrzniało się to tak orgiastycznie i masowo jak teraz, to po prostu inna wolność, a my widzimy to w skali jednej wioski, jaką stał się glob przez nasze mass-media.

Polak przyjrzał się Farloonowi, sprawdzając, czy tamten nie zechce

znowu wszcząć wymiany ciosów, i sięgnął po *Beniowskiego*:

*”Czy przysięgaliście jako upiory
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
Kochankę swoją w noc poślubną napaść,
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?”*

*Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte
I całe życie się przeszłością smucić?...”*

Ręka Farloona uderzyła książkę niczym łeb atakującej kobry i *Beniowski* wylądował na asfalcie. Kierowca, któremu Wojtek dał znak, zwolnił. Krzysztofeczko chwycił plecak i zeskoczywszy z wozu, odszukał swój skarb, lecz już nie wrócił na stare miejsce, zabrał się ostatnią ciężarówką.

- Ch... ci w dupę! - zazgrzytał Farloon.

- Sam pan widzi, doktorku - rzekł Lorning. - Takim językiem posługuje się ta generacja, to jest język genitaliów. Wie pan, jakich określeń wobec narządów płciowych używali w swej poezji i literaturze Chińczycy? “Tłuczek” i “moździerz”. Pokoleniom rockowym obca jest metaforyczna delikatność w tej materii. Chamstwo, prostactwo, barbarzyństwo, oto ich cywilizacja, kurwa nędza!

Jadąc do letniej rezydencji pierwszego obywatela Stanów Zjednoczonych John Drews słuchał, co mówiło radio. Radio mówiło tylko o jednym - o skandalu z podsłuchem w ambasadzie i o protestach rosyjskich; w niemal każdym zdaniu tych protestów czkawką odbijało się stwierdzenie o “braku elementarnej wiarygodności

rzędu USA!”... Wywołał taką drakę, jaką zamierzał wywołać, a nawet większą, tak dużą, iż przejmowało go to niepokojem.

Zajechał na ukwiecony podjazd, wbiegł po schodach portykowych, minął westybul, gdzie czekało kilku doradców, i znalazł się w gabinetowym przedsionku; tam zatrzymał go wrzask dochodzący przez drzwi. Poznał głos wiceprezydenta, znany mu dobrze, ale nie znany w ten sposób - wiceprezydent ryczał, co zdarzyło mu się chyba pierwszy raz w rozmowach z prezydentem; Drews nastawił ucho:

- ...O nie, o nie! Tak, to prawda, ja to podpisałem, ale trudno, żebym dopilnowywał realizacji wszystkich umów, na których złożyłem podpis! Może miałem zmuszać naszych monterów do przysięg, że wszystko zabrali?!... Albo chodzić po sowieckiej ambasadzie i opukiwać każdy mur, każdy kąt, każdy sufit?! Do diabła, jak możesz mi teraz...

- Uspokój się, Brian, nie to miałem na myśli... - wymamrotał prezydent.

- Powiem ci, co ja mam na myśli! Twoja druga kadencja kończy się, zaliczyłeś wszystko, teraz mój czas! Więc nie dam się wrobić w takie szamba, bo straciłbym nominację, gorzej, nie mógłbym nawet myśleć o wysunięciu mojej kandydatury! Chcę z tego wyjść czyściuteńki jak kryształ, mam prawo tego żądać, nic tu nie zawiniłem...

Drews wkroczył do gabinetu bez pukania.

- Witaj, John! - ucieszył się prezydent. - Czekaliśmy na ciebie. Co ty o tym wszystkim sądzisz?

- Że to jest granda, panie prezydencie!

- Co? To, co dzienniki wypisują?

- To. co one wypisują, jest czystą prawdą - powiedział Drews, mocno akcentując wyrazy. - Granda polega na tym, że nieodpowiedzialni ludzie, obdarzeni przez pana zaufaniem, podważają

autorytet urzędu prezydenckiego, kompromitują naszą politykę międzynarodową i druzgocą wiarygodność Stanów Zjednoczonych nie tylko w oczach naszych wrogów, lecz i naszych sojuszników. Staliśmy się pośmiewiskiem, to jest rzecz niewybaczalna!

- Tak... - wybąkał prezydent - masz słuszość...

- O kim myślisz, o Jamesie? - spytał wiceprezydent. - Chcemy go tu wezwać, żeby się wytłumaczył...

- Jego tłumaczenia naszej sytuacji nie poprawią! - zareplikował Drews. - Będzie próbował zwalić wszystko na nieposłuszny personel Agencji, na jakichś gnojków podwładnych, już to słyszę! Scenariusz wyglądałby następująco: James nam to wmawia, nam oczywiście głupio mu nie uwierzyć, jak można nie wierzyć kochanemu Jamesowi, więc zwalniamy i stawiamy przed sądem kilku jego podwładnych, których on już zblatował, żeby śpiewali przeciwko sobie samym, ale ponieważ najgłupszy dziennikarze nie uwierzą, iż w CIA ktokolwiek zrobiłby coś takiego bez zgody szefa, więc prasa robi z nas bandę hochsztaplerów i cwaniaczków niskiego lotu, którym się wydawało, że tak beznadziejnie głupio zdołają wykiwać społeczeństwo - i to już finał, jesteśmy ugotowani, skończeni na amen! A przecież są jeszcze Ruscy! Mamy zatykać im gębę dymisją kilku monterów z CIA? Wolne żarty! Owszem, trzeba i im i opinii publicznej jakiś żer dać, rzucić jakiegoś kozła ofiarnego, ale to musi być tłusty kozioł, nie płotka!

- Kogo proponujesz?

- A kogo tu można proponować? Rosjan zadowoli tylko jedna z dwóch osób. Brian, bo podpisał umowę, ale chcemy przecież wygrać kolejne wybory, a nikt lepiej niż on nie nadaje się na pańskiego następcę. I do tego jest niewinny! Więc niech da głowę winowajca!

Wiceprezydent miał ten sam pogląd:

- Cały czas to mówię, Fosterman nawarzył tego piwa!

- Chciał dobrze... - szepnął prezydent. - Ale muszę się z wami

zgodzić. Jeszcze dziś zdymisjonuję Fostermana. I w ciągu kilku godzin będę musiał znaleźć nowego dyrektora CIA... Łeb mi pęka od tych spraw! Macie jakąś propozycję?

- Leonard Halderson! - wystrzelił natychmiast Drews, patrząc znacząco ponad głowę siedzącego prezydenta w oczy stojącego wiceprezydenta.

Wdzięczność jest piękną cechą, zwłaszcza gdy jej urodę podsyca nadzieja dalszych usług - wiceprezydent przejawiał entuzjazm:

- Genialne, John, to najlepszy facet, jakiego można sobie wyobrazić na tym stanowisku!

Tego samego dnia wieczorem Drews zajechał pod dom "najlepszego faceta, jakiego można sobie wyobrazić na tym stanowisku".

- Leo jest w wannie... - oznajmiła pani Halderson.

- To mi nie przeszkadza, Molly - rzekł Drews i wdarł się do łazienki.

- Cześć! - zdumiał się Halderson. - Chcesz razem popływać?

- Nie w tej balii, pływaku, w czymś poważniejszym. Mam ofertę.

- Wal!

- Mogę ci załatwić krzesło Fostermana.

- A co z nim?

- Właśnie dostał kopa w zadek.

- Od kogo?

- Ode mnie. Prezydent usłuchał mojej rady i polecił mi znaleźć kogoś. Chcesz?

- Chcę. A ty co chcesz? - spytał Halderson.

- Żebyś zaczął urzędowanie od sprawy "Tangaland" i wynajął komando z ISDS do kopnięcia w zadek angielskich cwaniaczków, którzy robią nam koło pióra w tym kraju...

Halderson ścisnęła gąbkę tak, iż wybuchnęła pianą, i odparł:

- Myślę, że to się da zrobić, Johnny...

Zakwaterowano ich w tym samym hangarze lotniska; nazajutrz miał po nich przylecieć "Galaxy". Claytonów Lerocque odkomenderował do służby pałacowej; pojechał z nimi Nortolt. Wieczorem wrócił w towarzystwie van Hongena i pułkownika Oubu. "Miny" już nie było, wybrał się do szpitala, złożyć Jervisowi meldunek.

- Czy musicie brać ciężki sprzęt i ciężką broń? - zapytał pułkownik, patrząc na skrzynie wyładowywane z samochodów.

- Nie rozumiem... - zdziwił się "Szeryf. - ...A co mamy z tym zrobić?

- Naród tangijski z wdzięcznością przyjąłby podarunek od przyjaciół...- rzekł Oubu. Nortolt spojrział na van Hongena, ten zaś wzruszył ramionami:

- Sprzęt ja opłaciłem, ale ciężka broń należy do Londynu. Można to załatwić, tylko po co? Pułkowniku, niech pan zrozumie, już niedługo uzbrowimy wasze wojska w taką broń, jakiej nie mają nawet Afrykanerzy, ja ją kupię, stać mnie na każdą z zabawek do mordowania wrogów. Po cholere panu zużyty szmelc?

- Może się przydać w tych dniach, wie pan...

- Wiem! Jeśli tak panu zależy, przekręcę jutro rano do Londynu.

Londyn znał już wynik operacji "Czarne tango". W rządzie JKM nikogo nie opanowała z tego powodu euforia, gdyż czas był na nią niewłaściwy. Mając przed sobą ostatnie dni kampanii wyborczej, przy niebezpiecznie równo bujających się szalach zwycięstwa, każdy z ministrów walczył i to ich przede wszystkim absorbowało. Kiedy indziej klepaliby się po plecach, gdyż opanowanie terenów Keyi stanowiło piękną zdobycz; w sytuacji, gdy nowoczesne technologie światłowodowe, kompozytowe i ceramiczne lat osiemdziesiątych spowodowały na rynku surowców klęskę nadmiaru, i gdy przy tej dominacji podaży nad popytem kraje surowcowe poczęły

bankrutować, a importerzy dusić się - tylko złoto i uran nic nie straciły ze swej atrakcyjności. Mając Keyę - Anglia miała skarb. Ale o tym teraz nie myślano, najważniejszym gwiazdozbiorem kosmosu stał się zestaw wyborczych urn. Jedyna rzecz w operacji afrykańskiej pasjonująca ministrów streszczała się w pytaniu: czy zagrać kartą pt. "Rząd JKM nie zostawia bezkarnymi zbrodni popełnionych na obywatelach Królestwa - mordercy Anglika w Tangalandzie zostali ukarani!?" Przeważył pogląd, iż z decyzją należy poczekać do ostatniego sondażu opinii publicznej, na trzy dni przed terminem wyborów.

Lerocque wrócił późno. Czarni żołnierze, pełniący straż wokół hangaru, zaświecili mu w oczy latarką i pozwolili wejść. Stąpał ostrożnie, by nie nadepnąć któregoś z ciał towarzyszy, aż odnalazł swoje legowisko. Panowała wyjątkowa cisza, tylko dwóch ludzi chrapało, Farloon i Downbridge; nigdy przedtem nie spali tak cicho w gromadzie, zawsze był to koncert chrapań, a teraz nawet chór afrykańskich świerszczy zza ścian hangaru produkował symfonię mocniejszą. Lerocque winien był się zdziwić, lecz na zdziwienia trzeba mieć świeży umysł, a on czuł zmęczenie i ten charakterystyczny odpływ gotowości psychicznej po wykonaniu czegoś, co absorbowało człowieka przez bardzo długi czas. Zatopił się w sen z szybkością kamienia upuszczonego do studni.

Nad lotniskiem wisiała duszna afrykańska noc. Lampy wyznaczające krawędź pasów startowych z daleka nie różniły się od gwiazd, tak iż niebo i ziemia zatraciły swą granicę, łącząc się w jedną ciemność upstrzoną złotymi punkcikami. Tylko na płycie centralnej reflektor wrywał z mroku stado myśliwców bombardujących, które też spały, ale tak jak śpią ptaki drapieżne, gotowe zerwać się, uderzyć i zabijać.

W pałacu prezydenckim nikt nie spał dobrze, nawet panna Nyakobo, do której sypialni ojciec wpuścił przyszłego zięcia,

uważając, że już nie ma czego mu bronić. Jej tęsknota i głód seksualny przeżyły rozczarowanie, erotyczny geniusz Fritza gdzieś się ulotnił; leżąc obok kochanki i na kochance myślał o czymś innym, markując zapał, co wyczuje najgłupsza z kobiet i co jest obelgą najgorszą ze wszystkich w łóżku, lecz prawdziwa miłość może wygładzić największą z fałd, toteż Nelina nie robiła mu wyrzutów - musiał czuć zmęczenie po tych strasznych przejściach z bandytami i raniono go i zabito mu tylu kolegów... Sama jego obecność w jej ramionach napawała ją szczęściem.

Tej nocy Andrew Bride zakończył swą karierę korespondenta "NYT" i agenta CIA w stolicy Tangi. Kilku policjantów wyciągnęło go z łóżka, przyłało mu "w obronie własnej" i zawiozło do celi w gmachu Narodowego Bezpieczeństwa.

- Chcę się skontaktować z ambasadą Stanów Zjednoczonych! - rzekł Bride oficerowi dyżurnemu.

- Aż Panem Bogiem nie? - usłyszał.

- O co jestem oskarżony?!

- O zamiar wysadzenia w powietrze kilku samochodów rączkami porucznika Takebo, wiesz coś o tym?

- Nie, to prowokacja! Żądam...

- Stul pysk, jutro będziesz mógł się wyłgiwać jak cię wezmą w obroty na przesłuchaniu. Zmyśl dobre bajeczki, bo moi kumple przesłuchują ostro. A teraz czas spać!

Gdzieś nad horyzontem szarość przeniknęła do czerni, pojawiły się pierwsze różowe pasma i blask gwiazdozbiorów zmatowiał, jakby boskie palce wyłączyły im prąd. Kończyła się projekcja nocy niczym ostatni seans filmu, po którym wraca rzeczywistość z całym okrucieństwem swych barw.

14 listopada wczesnym ranem (przed pobudką) trzy dywizje plemienne Tangalandu uderzyły ze swych koszar na pałac prezydencki.

Nyakobo wyskoczył z betów i spojrział oknem przez szparę między krawędziami kotar. Nie widział napastników, widział jak jego gwardziści odpierają atak, jak walą z ciężkiego sprzętu w stronę drzew rosnących za parkanem. Potem usłyszał serie strzałów spoza drzwi, od strony korytarza. Kazał zamilknąć wyjącej przeraźliwie nałożnicy (i dla lepszego efektu wałną ją w twarz, przez co głowa o mało nie zleciała jej z karku), po czym ubrał pancerną kamizelkę i kuloodporny garnitur, odbezpieczył pm i wyleciał na korytarz. Podbiegli doń (każdy z innej strony) van Hongen i pułkownik Oubu. Nyakobo ryknął:

- Co się dzieje!?

- Bunt! - wyszeptał zbielełymi wargami adiutant, który wyglądał jak facet z wodewilu lub z filmowej komedii, gdyż był w pidżamie.

Nyakobo odwrócił się do van Hongena:

- Co z Neliną?! Wszystko w porządku? Mów!

- Kazałem jej wejść pod łóżko - odparł Fritz.

Z głębi pałacu wciąż dochodziły odgłosy wymiany ognia. Rozległ się tupot butów i pojawił się Gurt.

- Strzelają do nas! - krzyknął.

- To strzelajcie do nich! - rzekł van Hongen.

- Z tymi tu poradzimy sobie, ale jak wedrą się ci z zewnątrz... Jest nas za mało!

- Ci z zewnątrz są bez szans - powiedział Oubu. - Mają lekką broń i niewiele amunicji, a gwardia ma wszystkiego pod dostatkiem. Na szczęście nie zdradziła, walczy, i chyba zaraz przejdzie do kontrataku...

- Nie musi! - rzekł Nyakobo ze złym błyskiem w oczach. - Przerobimy tych skurwysynów na miał kilkoma przyciskami w dyspozytorce. Masz klucz?

- W sypialni... - wymamrotał Oubu - już idę...

- Nie trzeba - rzekł Nyakobo.

Cofnął się do pokoju, wziął swój klucz od centralki, wrócił na korytarz, i umarł. Pięć kul wystrzelonych przez Gurta odbiło się od pancernego stroju, rzucając słoniowe ciało na ścianę, szósta weszła w krtań. W tej samej chwili van Hongen wykopnął browninga z ręki Oubu; pułkownik rzucił się na niego, ale karatece tej klasy nie mógł poradzić; Holender jednym uderzeniem obezwładnił przeciwnika, podniósł prezydencką broń i kluczyk, krzyknął do Gurta: "Prowadź go!" i ruszył przodem.

Idąc stąpali obok trupów czarnych ochroniarzy Nyakoba. Pałac wciąż rozbrzmiewał hukami wystrzałów, urywanym, coraz rzadziej - bracia Clayton, Haltrey i Shelm dobijali straż. W głębi korytarza ukazało się kilku biegnących Murzynów w panterkach; Fritz skosił ich, trzymając po jedną ręką przy biodrze, ruchem pełnym owej morderczej nonszalancji, jaką lubi się popisywać elita zawodowców; Gurt wybałuszył oczy. Nadbiegł Jim Clayton, wołając:

- Po balu! To już wszyscy!
- Ci w gabinecie też? - spytał van Hongen.
- Ci na samym początku, Haltrey tam czeka.

Stanąwszy przy centralce van Hongen dobrał klucz, otworzył pudło z pancernego szkła i dalej był bezradny: żaden przycisk nie miał opisu, trzeba było znać system. Powiedział do pułkownika:

- Uruchom to i pokaż, które przyciski są od pól minowych dziedzińca i ogrodu, tylko się nie pomył, nie chciałbym wysadzić w powietrze ludzi z tamtej strony sztachet!

Oubu milczał, patrząc w okno. Van Hongen zwałił go na ziemię, przytrzymał i rozkazał Claytonowi:

- Popraw mu słuch, nożem!

Jim wyjął nóż i oderznął pułkownikowi lewe ucho. Oubu zawył i zemdłał. Stojący przy oknie Gurt krzyknął:

- Biegnie tu dwóch oficerów!
- Pewnie chcą się zapytać prezydenta, co robić dalej - mruknął

Fritz.

- Shelm i Joe są przy wejściu, załatwią gnojów - rzekł Jim Clayton.

- Gurt, zejdź do nich! - rozkazał van Hongen.

"G.G." wybiegł z gabinetu, a Fritz podniósł adiutanta, który już odzyskał przytomność.

- Potem oberżniemy ci prawe ucho - powiedział mu do prawego ucha - potem nosek, potem pałę, i tak aż do skutku. No jak, gramy w to? Nie każ mi czekać, widziałeś, że nie jestem z tych, co powtarzają prośbę!

Gdy Oubu wskazał mu przyciski, van Hongen dodał: - Jeśli skłamałeś lub pomyliłeś się, będziesz cierpieć długo...

- Przysięgam, to te! - jęknął adiutant.

Fritz dotknął palcami klawiatury na blacie; serce biło mu mocno, dawno już nie czuł takiego strachu: tym jednym ruchem wygrywał lub przegrywał całą wielką grę, którą on i jego rozkazodawca prowadzili od tylu lat. Jeśli Oubu nie powiedział mu prawdy, to ten ruch oznaczał samobójstwo.

Wziął głęboki oddech i wcisnął pięć guzików. Ogród, dziedziniec pałacowy i cały pas przylegający do sztachet od wewnątrz, a także strefa forteczna na zewnątrz parkanu - podniosły się i zamieniły w obłok burego pyłu wraz z gwardią prezydenta Nyakobo. Dym unosił się coraz wyżej; grad odłamków, ludzkich kończyn, kawałków drzew, murów i metalu uderzył w pałacowe ściany i w okna już pozbawione szyb, a potem zaczął rzednąć i opadać.

Kilkaset jardów od prezydenckiego gabinetu kapitan Mano podniósł się z ziemi, strzepnął z ubrania kurz i pomaszerował w stronę pałacu, wiodąc swój trójplemienny hufiec.

Za kwadrans piąta Nortolt wstał i sięgnął po buty. Jakby tym jednym ruchem pociągnął linkę łączącą go z sześcioma

mężczyznami: Leenock, Murrody, Frost, Kanetopouliu, Gurcal (saper, jeden z trzech, których Lerocque zabrał z obozu geologów do Kariduomo) i Bowerman (żołnierz z ochrony geologów, jeden z trzech, których van Hongen "wytargował" od Lerocque'a na wyprawę przeciw FWL) - również wstali, starając się robić jak najmniej hałasu. Kilka minut zabrało im wiązanie (sznurami) i kneblowanie (plastrami opatrunkowymi) dwóch saperów, dwóch żołnierzy ochrony, czterech zakładników (reszta znajdowała się w szpitalu), oraz Krzysztofeczki, Morgana, Downbridge'a, Farloona, Lerocque'a i Lorninga. Przed krzyknięciem ostrzegał każdego z wiązanych wymierzony weń pistolet, na którego krańcu znajdował się tłumik. Nim oplastrowano mu usta, Lerocque szepnął:

- Czyście zwariowali?!... Co jest?!

- Jest duży pieniądz do wzięcia, Lerocque - rzekł "Szeryf" - ale nie dla wszystkich, tylko dla mądrych.

- Jaki pieniądz?! Co wy wyprawiacie, do diabła! Pieniądz za "Czarne tango" czeka na was w Anglii...

- Nie, kochasiu - przerwał mu Nortolt - już nie czeka. Van Hongen wypłacił nam wczoraj co do jednego penny, plus premie, i oferował trzy razy to samo za pomoc w rozpieprzeniu tego reżimu. Razem tyle, że światowe grono milionerów powiększy się właśnie o nas!

- W rozpieprzeniu reżimu?... - zdumiał się Lerocque. - Daliście się kupić do czegoś takiego...

- Każdy by się dał, za wyjątkiem Downbridge'a, bo on ma własne miliony, a tobie nie można było zaufać, bo trzymasz z Jervisem... Nie bój nic, załatwimy to szybko, jestem nie mniej od ciebie doświadczony w takich grach.

- Człowieku - powiedział Lerocque - Londyn ci tego nie odpuści...

- Mam w dupie Londyn, będę milionerem południowoamerykańskim lub singapurskim, to już moja sprawa!

- Nortolt, opanuj się, bo przysięgam, że zrobię wszystko...

- Zrobić to pan może kupę w krzakach, i też tylko kiedy ja na to pozwolę, pamięta pan, kapitanie Lerocque? - uśmiechnął się "Szeryf", powtarzając słowa tamtego, które padły w tym samym hangarze przed dwoma miesiącami. - Gurcal, opłastruj mu ryło!

Po czym rzekł do Farloona i Krzysztofeczki:

- Boys, wasza ostatnia szansa. Za tamten numer straciliście wypłatę, ale możecie ją odzyskać z nawiązką. Decydujcie od ręki, nie ma czasu! No jak?

- Ja mogę decydować tylko za siebie, nie za tego głupka - rzekł Farloon.

- Okay - kiwnął głową "Szeryf" - więc jesteś z nami?

- Jestem - potwierdził Farloon.

- Dobra, wstawaj.

- Moment, muszę się najpierw wyspać, jest dopiero przed piątą - Farloon spojrział na zegarek. - Jestem z wami, ale będę spał. To znaczy będę z wami leżąc.

- Wiązać! - warknął "Szeryf" i zwrócił się do Polaka: - A ty co powiesz?

Krzysztofeczko nic nie powiedział, odwrócił głowę jak człowiek, którego coś mierzi, więc pragnie zmienić widok.

Powiązawszy wszystkich, których należało związać, Nortolt i jego ludzie zajęli się wyrzutniami min-pocisków. Dokładnie piąta jeden od strony miasta nadbiegł huk szturmowej fali kapitana Mano. "Szeryf" wyskoczył przed hangar i zrąbał serią z UZI strażników. Dwieście jardów dalej na płycie lotniska wbiegli już piloci, pędząc do swych maszyn. Żaden nie dobiegł. Lecące z nieba "konserwy" uczyniły z samolotów i z pasa startowego rumowisko. Ale Nortolt się przeliczył. Brygada ochrony aeroportu, początkowo zdezorientowana, wzięła się w garść, skupiła ogień na hangarze i przeszła do ataków; dwa pierwsze Nortolt odrzucił, lecz rozumiał, iż nie na długo przy tej dysproporcji sił. Kazał uwolnić wszystkich,

których przedtem związał, krzycząc:

- Teraz musicie, bo nie wyjdziemy stąd żywi!

- Nic już nie mów, idioto, i nikomu nie rozkazuj, przejmuję dowodzenie! - rzekł "Mina" odzyskawszy broń. - Gurcal, Murrody i Brown, od tyłu, weźcie dwa granatniki! Farloon, Leenock i Frost zajmijcie budynek strażników! Bowerman, Nortolt i Peterson, karabiny maszynowe na każdy z tych trzech spychaczy obok pasa startowego! Dimitris, widzisz te worki za budynkiem strażników?

Greki spojrzeli lornetką na stanowisko przeciwlotniczego działka ułożone z worków wypełnionych piachem.

- Yes, sir! Ale to cholerny dystans!

- Musicie się tam przebić! Ty, Polak i Bradley! Osłonimy was.

- Yes, sir! Możemy wziąć jeep?

- Chcesz to zrobić wozem?

- Lepiej jeżdżę niż biegam, sir!

- No to próbuj!

Przebili się za zasłoną z eksplozji, które Francuz wywołał gradem "konserw". Teraz mieli atakujących w szachu. Lecz "Mina" wiedział, że jeśli brygadier dowodzący tamtą stroną i dysponujący czołgami nie straci ducha - to któryś z kolejnych ataków się powiedzie. "Na jego miejscu załatwiłbym to w dziesięć minut" - pomyślał.

Bliźniak Jima Clayтона wbiegł po schodach na pałacowe piętro, a bojąc się, że jakiś kumpel usłyszawszy kroki wygarnie z pm-u w głąb korytarza, zagwizdał: "I'm gonna let nobody turn me..."

- To ty, Gurt? - krzyknął Haltrey.

- To ja, do cholery! - odkrzyknął Clayton.

- Właż, co jest?

- Idzie tu banda Negrów, tylko jak ich rozpoznać, czy to nasi? Van Hongen wyjrzał przez okno i rzekł:

- Nasi. Ten na przedzie to dowódca. Macie mu oddawać honory wojskowe.

- Znaczą się salutować? - zapytał Joe.

- Tak, poruczniku - powiedział Holender.

- Ja jestem sierżant, a nie porucznik... - przypomniał mu Clayton.

- Awansowaliście. Każdy z was awansował. On podpisze wam akty nominacji.

Na podeście schodów Mano i van Hongen padli sobie w objęcia.

- Gratulacje, towarzyszu, to wielkie dzieło!

- Bez was, towarzyszu, nie moglibyśmy go dokonać.

- Nie moglibyście go dokonać bez poparcia, jakie lud... Tę pogwarkę przerwał im odgłos bitwy na lotnisku.

- Mina, pędź tam z jedną dywizją i zrób porządek! - rozkazał swemu zastępcy kapitan Mano i od razu się poprawił. - Czekaj! Weź po jednym pułku z każdej dywizji.

Po czym udał się z eskortą do gmachu radia, wyrecytować w uszy narodu tradycyjny tekst, którego talmudyczna posągowość idzie w parze z rytualną niezmiennością, dźwięczy dzwonem i nie zna granicznych słupów:

- "Rodacy, obywatele, bracia! Nadszedł długo oczekiwany dzień wolności, naród pozbył się kajdanów, zdruzgotał barbarzyńską dyktaturę, przegnał marionetki amerykańskiego imperializmu i jest gotów do budowy nowego, demokratycznego ustroju, w którym prawa obywatelskie, dobrobyt klas uciskanych, równość i szczęście dla każdego staną się fundamentem! Odtąd lud sam będzie sprawował rządy i decydował o swych losach...". Itd., itp.

Tymczasem żołnierze trójdywizyjnej armii zwiedzali wnętrze pałacu, przed tym zwiedzaniem przypominające muzeum, a po pierwszych dziesięciu minutach zwiedzania tak zwaną "perzynę", które to słowo ma w gazetach bezpośrednią styczność z pożarami, tajfunami i trąbami powietrznymi. Pseudorokokowy farsz tych

murów, meble, dywany, żyrandole, obrazy i sztukateria, kinkiety i bibeloty, ulegały rozszczępieniu niczym pluton w pracowni fizyka lub na poligonie doświadczalnym, zamieniając się w cząsteczki elementarne według praw rewolucyjnej fizyki, której wyższość nad kwantową można zmierzyć i określić w jednostkach zwanych “gniewami ludu”. Dwa “gniewy ludu” to wartość większa od jednego “gniewu ludu”, a trzy “gniewy ludu” to więcej niż dwa, jak w szkole. Osiągnąwszy stopień zapału mierzony czwartym “gniewem ludu” żołnierze przystąpili do gwałcenia, wymierzając sprawiedliwość kariatydom dyktatury, kucharkom, sprzątaczkom, nałożnicom Nyakoba i Nelinie, którą znowu ułożono w łóżku, pod jakim się wcześniej skryła. Nikt z oficerów nie próbował nawet powściągać tej furii (która zresztą u każdego wyzwoliciela opadała na poziom dwóch “gniewów ludu” po zaspokojeniu seksualnym, lecz znowu zaczęła rosnąć, gdy żołnierze odkryli w piwnicach prezydencki magazyn butelek z napisami: “Product of Scotland”, “Produit de Flandre” etc.); van Hongen kazał chronić tylko jedno miejsce, wstęp do dyspozytorki. Przed cudowną klawiaturą, ponownie zamkniętą na klucz, stał Haltrey w towarzystwie Gurta i Jima Claytona, a drugi Clayton i Shelm w drzwiach gabinetu, trzymając odbezpieczone UZI na wypadek, gdyby gniew ludu chciał i tutaj zapuścić swój nos.

Major Mila zdążył, ale nie dla wszystkich. Samo zbliżenie się do lotniska trzech jego pułków tak przeraziło ourimską brygadę, iż poczęła wiać, lecz Murrody, Brown, Nortolt i Leenock nie mogli się już tym ucieszyć, a Bowerman stracił nogę; Downbridge, Lerocque i Gurcal byli powierzchownie ranni. Profesor przyjrzał się zakrwawionemu ciału “Szeryfa”, mrużąc:

- Coś ci powiem, doświadczony zabijako. Ludzie na ogół zwą doświadczeniem własną głupotę. Niech cię jasna cholera!

Farloon podniósł lornetkę zabitego i spojrział na odległe worki z piachem, gdzie Kanetopouliu, Bradley i Polak stanowili ich najdalej

wysunięty "fort". Dwa ciężkie karabiny maszynowe i jeden granatnik pracowały tam bez wytchnienia tak długo, aż któryś z czołgów trafił, rozpieprzając placówkę i zamieniając ją w chmurę piachu. "The Amber" wyteżał wzrok przyklejony do szkieł lornetki, lecz nic się tam nie ruszało. Zaczął biec, najszybciej jak mógł. Tylko człowiek, który nie trenując próbuje pokonać sprintem dwieście jardów, wie, co to znaczy. Już druga pięćdziesiątka zabiera tlen z płuc, druga setka jest katorgą; nogi przemieniają się w bolące drewno, a płuca w zepsutą harmonię. Lecz nie zwolnił, biegł z wyszczerzonymi zębami, jakby tylko to mogło go uratować.

Z Greka został but na oderwanej nodze. Bradley miał wnętrzności obok ciała. Krzysztofeczko, ubabrany piachem i krwią, leżał oddychając spokojnie, z przymkniętymi powiekami i z dłonią zaciśniętą na rękojeści noża.

- Co jest, benzyniarzu? - wycharczał Amerykanin, z trudem łapiąc powietrze.

- Nic nie jest, gringo - odparł "Chris".

- Dostałeś?

- Dostałem.

- Gdzie?

- W kręgosłup.

- O, kurwa!! - jęknął "The Amber". - Ale... tylko nie pękaj, wyciągniemy cię z tego! Leż, zaraz przyjadą tu, żeby cię zabrać...

Delikatnie uniósł głowę Krzysztofeczki, włożył pod nią swą kurtkę, otarł mu pot z czoła i trzy razy wystrzelił z pistoletu, mierząc w niebo, jakby to ono było winne. Potem czekał, aż przyjadą po nich, milcząc, wpatrzony w oblicze "benzyniarza", tak białe, jakby już cała krew wyciekła na zewnątrz.

Bundeskomisarz Helmut Rosnick przez ostatnie kilkanaście lat swej policyjnej kariery pracował w wydziale do zwalczania

prostytycji, co się sprowadzało do zwalczania stręczycielstwa. Likwidował nielegalne burdele, odbywał atrakcyjne wycieczki do ciepłych krajów południowoamerykańskich, afrykańskich i azjatyckich (tropiąc kanały, którymi przerzucano młodzież żeńską do tamtejszych zamtuzów) i zarabiał dużo pieniędzy, gdyż szefowie burdelowego rynku oraz bossowie handlu żywym towarem nie mieli węża w kieszeni. Czasami musiał zamknąć jakiś “niezrzeszony” lokal, który był konkurencją dla giganta seks-biznesu, lub aresztować jakąś plotkę, którą “wystawił” mu gigant, bez tego nie miałby nagród, awansów i zaufania zwierzchników, którym było to potrzebne do statystyki, dla ich własnych karier. Na emeryturę przeszedł mając kilka kont w europejskich bankach i nigdy nie zaniechał schylić się po feniga leżącego na ulicy - to weszło mu w krew. Zlecenie od Caspara Mellera przyjął bez oporów (wchodziły tu także w grę stare zobowiązania wobec “Hieny”), a ponieważ wszystko, co robił dla dobrych przyjaciół i dla dobrego zysku, robił solidnie, teraz też nie pożałował solidności.

Fritza Grahla pamiętał jak mało kogo. Zawinił tu wynalazek lustra. Dzień po dniu mógł Rosnick młody, Rosnick w średnim wieku i stary Rosnick przyglądać się sobie ze zdziwieniem. Zdumiewał go fakt, iż Pan Bóg, który jest bardzo miłosierny, człowiekowi tak mądrymu i pobożnemu jak on dał gębę bardziej szpetną niż ma goryl. Nienawidził przystojniaków. Takim “przystojniaczkiem” był Grahl. Aresztując dziewiętnastoletniego Grahla Rosnick dobrze dał mu w kość, nim go wypuścił z braku dowodów. Za to, że musiał go wypuścić, też dał mu w kość.

Teraz ruszył jego śladem do tyłu, ku coraz wcześniejszej młodości Grahla. Był w Dortmundzie, w Monachium, w Hamburgu i w kilku mniejszych miejscowościach, przeglądając stare akta policyjne, stare zdjęcia i stenogramy, robiąc ksero- i fotokopie, aż trafił do Kassel. Tam go olśniło.

Olśniony emeryt Rosnick nawiązał kontakt z mecenasem Loedererem, mówiąc mu przez telefon, że chce porozmawiać o Herr Grahlu. A gdy już się spotkali w gabinecie Loederera, eks-policjant rzekł:

- Panie Loederer, jestem gliną, który kiedyś aresztował pana Grahla.

- Pan Grahl nazywa się teraz van Hongen i jest spadkobiercą wielkiego rodu! - rzekł mecenas.

- Co pan powie? - uśmiechnął się półleżący w fotelu Rosnick. - Spadkobiercą wielkiego rodu! A dopiero co był łachudrą, złodziejem, sutenerem i tak zwaną męską dziwką, popatrz pan!

- O co panu chodzi?

- O szmalec, o cóż by innego.

- To szantaż?

- I to jaki, Herr Loederer! Ktoś mnie poprosił, żeby zbadać całą przeszłość pańskiego pupila. Zrobiłem to. I muszę to dać temu komuś. Za sto tysięcy marek dam mu to dopiero za miesiąc. Za okrągły milion nie dam mu tego nigdy, to co wiem pozostanie naszą słodką tajemnicą, pańską, moją i tego chłopczyka.

- Pan chce milion marek!?! - wyszeptał mecenas, tak jak się szepcze z nabożnym podziwem dla czyjegóż geniuszu lub kabotynizmu.

- Za całkowite milczenie - kiwnął głową Rosnick. Adwokata porwał śmiech i mówił poprzez ten śmiech:

- Panie Rosnick... panie Rosnick!... Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!... Mam inną propozycję... dwie marki! Dam panu dwie marki! Wie pan za co? Jedną za to, żeby pan stąd wyszedł! A drugą za to, żeby pan powiedział to, co pan wie nie tylko pańskiemu zleceniodawcy, ale nawet dziennikarzom!

Komisarz wstał i rzekł:

- Jak pan sobie życzy. To nie będzie wcale śmieszne, zwłaszcza panu Grahlowi nie będzie do śmiechu.

- Nie ma już Grahla, jest Frederic van Hongen, mój panie! Ujawnione grzeszki młodości takim rekinom nie szkodzą, będzie mu z tym nawet do twarzy. Pańską rewelacją może pan sobie wytrzeć tyłek, dlatego radzę panu...

- Czyjej młodości? - przerwał szantażysta. - Czy pan zna jego młodość?

- Znam, znam, wiem wszystko. Wyjdź pan, bo wezwę policjantów!

- To najlepiej tych od daktyloskopii, niech też zobaczą cud jedyny na świecie.

- Jaki cud? - zdumiał się adwokat.

- Cud polegający na tym, że jeden człowiek ma dwa rodzaje odcisków palców. Numer do księgi rekordów Guinnessa. Proszę!

Mówiąc to Rosnick rzucił na biurko fotografie z odciskami palców, potem znowu usiadł i zapalił.

- Co pan mi tu pokazuje?! - krzyknął skonsternowany Loederer.

- Wynik moich prac, łaskawco. Byłem w każdym miejscu gdzie aresztowano Grahla, zbierając dokumenty. Między siedemnastym a dziewiętnastym rokiem życia zatrzymano go trzykrotnie. Między jedenastym a piętnastym czterokrotnie. Między piętnastym a siedemnastym ani razu. Zniknął na dwa lata. Odciski palców wzięte przed tą dziurą i po niej są różne. A człowiek niby ten sam. Przynajmniej imię i nazwisko...

- To jakaś pomyłka! - rzekł Loederer.

- Nie ma tu żadnej pomyłki. W Duisburgu, gdzie aresztowano piętnastoletniego Grahla, ktoś skradł z archiwum policyjnego wszystkie dokumenty o nim. Została tylko jedna rzecz, odciski palców. Dokumenty można było usunąć, bo znajdowały się w oddzielnej teczce wśród tysięcy innych teczek, nikt tego nie zauważył. Z odciskami było inaczej, wklejono je do albumu odcisków, gdzie na każdej stronie jest ich dwadzieścia, więc złodziej wyrwijając tylko te zrobiłby ślad. Mógłby oczywiście wyrwać całą

stronę lub usunąć album, ale to wywołałoby aferę. Sądził, że nikomu nie przyjdzie do głowy zajmować się odciskami palców nieletniego i że nikt nie zauważy różnic, w końcu odciski palców są tak do siebie podobne, a wtedy nie zaśmiecano odciskami małolatów systemu komputerowego. Ten ktoś miał w zasadzie słuszną, tylko nie przeczuł, że w wiele lat po tym ktoś inny najmie komisarza Rosnicka, i że komisarz, mając dużo czasu i bystry łeb, zrobi porównanie odcisków piętnastoletniego i dziewiętnastoletniego Grahla. Jak zobaczyłem, że są różne, pomyślałem, że to błąd, wynik bałaganu, komuś się przestawiło, może temu, co opisywał, a może temu, co wklejał. No to sprawdziłem odciski kolesiów Grahla z tej samej bandy, w tym samym albumie. Żaden nie pasował do odcisków siedemnastolatka i dziewiętnastolatka. Żeby się upewnić, potrzebowałem innych jego odcisków sprzed owej dziury w życiorysie między piętnastym a siedemnastym rokiem życia. Miałem fart, znalazły się w Kassel. Były identyczne jak w Duisburgu, lecz inne niż wszystkie po siedemnastym roku życia. Skończyłem, panie Loederer.

- Co to znaczy?! - wyszeptał Loederer.

- To znaczy, że między piętnastym a siedemnastym rokiem życia pierwszy Grahl, nieślubny syn Jensa van Hongena II, zniknął, a zastąpił go ktoś inny. Jako spadkobierca jest to uzurpator... Czekał na odpowiedź, mój panie!

Loederera sparaliżowało. W końcu powiedział:

- Proszę o kilka dni...

- Daję panu tydzień - zgodził się Rosnick, wstając. - Wyrazy szacunku.

W nocy Loederer zadzwonił do lorda Bentona-Howleya.

- Oszukano nas - rzekł. - Van Hongen to człowiek podstawiony...

- Przez kogo?

- Nie wiem...

Kilkanaście sekund obaj milczeli, potem lord Benton mruknął:

- Przekażę komu trzeba. Dobranoc, panie Loederer.

Na kolejne rendez-vous z Hirszbaumem Rald nie zamierzał włączyć się aż do Egiptu. To człowiek Goldweena musiał wybrać się na pustynię, pod poligon ISDS, do namiotu, obok którego stał Arab i wywracał ku niebu oczy fanatyka, a wewnątrz siedział Rald i robił jakieś notatki.

- Chcę powrócić do spraw, o których już wspomniałem - rzekł emisariusz.

- "Nie ma powrotu do tej samej rzeki" - odpowiedział mu starą sentencją Mosze Rald.

- Nowy szef CIA chce z wami rozmawiać - nie zraził się Hirszbaum.

- O Tandze?

- Skąd pan wie, że o Tandze?!

- Jestem domyślny.

- No więc tak... o Tandze. Mam z wami uzgodnić formę zlecenia...

- Jakiego zlecenia?

- Tego, o którym mówiliśmy! Na wykopanie Anglików z Tangalandu.

Rald odłożył notatki i wypił łyk czegoś, co miał w tekturowej szklance.

- Niech pan powie swoim szefom, że nie warto płacić za rzecz, która już się stała. Anglicy lada moment dostaną kopa z Tangalandu, obalono tam rząd...

- Co takiego?! - krzyknął Hirszbaum. - Kiedy?!

- Wczoraj. Jeszcze o tym nie wiecie, bo wasza ambasada ma zablokowaną łączność, a może już wiecie, tylko pan jest spóźniony, nie zdążono pana poinformować przed wejściem do samolotu.

Levy oddychał ciężko, nastawiając twarz do małego wentylatora, który się kręcił na biurku między nim a Raldem.

- Kto? - spytał.

- A kto to zawsze robi? Armia.

- Jaką orientację mają buntownicy?

- To już nie buntownicy, to władcy. Buntownikami są ci, którzy przegrywają, zwycięzcy to bohaterowie. "Błogosławieni zwycięzcy, albowiem ich będą nazywać budowniczymi pokoju" - zacytował drugą sentencję komandos.

- Pan mi nie odpowiedział! Jaką mają orientację?

- Taką, jaką ich zleceniodawcy, z którymi ja nie będę się mocował, za wysokie progi na nasze nogi. A wy jak chcecie, wasza sprawa. Będziecie tam teraz mieli do czynienia z demokracją tak zwaną ludową, to jest taką, w której rządzi lud wybierany przez samego siebie, bez względu na to, czy mu to odpowiada, czy nie odpowiada. Najtrudniejszy przeciwnik, z prozachodnią dyktaturą nie ma tylu kłopotów.

- Cholera! - zaklął Levy. - A co z Nyakobem?

- Umarł. Miażdżycza ołowiowa, jak my tu mówimy... Nie powinien się pan zbyt zamartwiać, was tam nie będzie, ale i Anglików również, a o to wam chodziło. Wie pan, panie Hirszbaum, ja się urodziłem w Polsce. W tym kraju jest takie powiedzonko: "Gdzie się bije dwóch, tam trzeci korzysta". Następnym etapem podnoszenia zachodniego sojuszu na wyższy poziom winna być wojna między Stanami Zjednoczonymi a krajami EWG. Ekonomiczną już prowadzicie, zafundujcie sobie militarną, trzeci czeka.

"Spółka pechowej ostatniej chwili", Clayton i Clayton, sprawiła, że trzeba było urządzić jeszcze jeden pogrzeb. Jim, Joe i urodziwa czarna dama w wieku poborowym wybrali się do pałacowego

ogrodu, nie zupełnie za jej zgodą. Murzynka wyrwała się z rąk pijanych bliźniaków, a ci nie zdołali jej dogonić, gdyż goniąc wpadli na minę, jedną z kilku, które zapomniały eksplodować, gdy van Hongen wcisnął guzik od pola minowego. Szczątki pozbierano do worków i zrobiono im pogrzeb w niezbyt uroczystej ciszy, przerywanej odgłosami salw plutonów egzekucyjnych generalissimusa Mano. Spośród tych białych, co przeżyli, brakowało na pogrzebie tylko Farloona.

Profesor znalazł go pod lotniskiem, gdzie był ich mały cmentarz. Lorning wybrał się tam ze złośliwą chętką, chciał położyć Nortoltowi na grobie swój kapelusz, ten zarekwirowany przez "Szeryfa" w Kariduomo. Bezbrzeżną pustkę ożywiała sylwetka jednego człowieka. Nad grobem Krzysztofeczki stał Farloon.

"Casablanca" przyozdobił kapeluszem bambusowy krzyż i mrucnął:

- Masz tu swą maskotkę, znaj pana! Wciśnij na łeb, tak żeby nie było widać gęby, to może Pietrek cię nie pozna i wpuści do raj!

Następnie zbliżył się do Farloona, szydząc:

- Zagwiżdż mu wasz hymn, "Nikommu nie dam się wyrolować!", to go podtrzymasz na duchu!

"The Amber" nie poruszył się, stał z lekko rozkraczonymi nogami nad kopczykiem "benzyniarza", zdając się nie słyszeć.

- Gdzie jest ta jego książka? - zapytał Lorning.

- Wrzuciłem mu do grobu.

W głosie jankesa było coś takiego, że stary człowiek zrobił dwa kroki w przód, by zajrzeć młodemu w twarz.

- Czemu płaczesz? Że umarł? Przecież się nie lubiliście! Nie było dnia, żebyś nie warczał na niego...

- Że za szybko umarł. Nie zdążyłem mu dobrze przysunąć... - odrzekł Farloon, starając się uspokoić drżenie warg.

Nadchodził czas jeszcze głębszej, uroczystej ciszy wieczoru, która

nawet gruboskórnym odbiera ochotę do czegokolwiek prócz milczenia. Zbliżała się do nich miękka ciemność i w miarę jak sawannowy step zasypiał bez szelestu, ziemię ogarniał powoli smutek przenikający ludzi, rośliny i zwierzęta. Bez słońca ów step wydawał się jeszcze bardziej martwy i opuszczony, przerażający w swym bezruchu, za którym nie było niczego.

“Czy takie dzieci są nadzieją tego świata na zbawienie? - pomyślał «Casablanca». - Ilu jest takich uciekinierów z menażerii Dostojewskiego, dzięki którym to, co ma łamać, zrównywać, glajszachtować i podlić, zostaje odrzucone i wydane na pośmiewisko? Fiodor słusznie zauważył, że manipulując czymś, co w człowieku najgorsze, można z nim wiele zrobić, chociaż jeszcze częściej on sam robi z siebie bydlaka, a że to najgorsze zdominowało ludzi gdzieś u dalekich źródeł, u samych zarań, świat jest taki, a nie inny. I oto przychodzi dwóch gnojów, jak dwóch heroldów czegoś innego, żeby odsłonić gips, pierze i łajno, którymi wypchane są autorytety, mega-rzeźby i potęgi, idee i rozkazy, prawdy dogmatyczne i objawione, nie dający się ugiąć złu przystrojonemu w prawo, głupocie wytapetowanej pseudomądrością, sile bazującej na okrucieństwach i uszminkowanej pseudosłusznościami... Fiodor, nie w każdej duszy jest czarno jak w kałamarzu, popatrz, cóż za dziw! Nie są anielskimi wymoczkami rodem z gabinetu literackich nieprawdopodobieństw lub ze szpitala letargików i nawiedzonych jak twój Myszkin, są krzepcy, wulgarni i zdrowi, tak prości, że przy twoim księciu można ich wziąć za prostaków, a noszą w sobie tę samą świętość... Kto ich tego nauczał, skąd zaczerpnęli swą siłę, z jakich genów, z jakich atawizmów, z czyich ról odegranych przed wiekami dla godności ludzkiej, żeby całkiem nie zdechła i żeby tliła się wciąż?...”

Rozejrzał się dookoła: najłżejszy wiatr nie kołysał wierzchołkami krzewów. Cofnął się o krok, o dwa i o trzy, tyłem, odwrócił się i

poszedł do jeepa. Wsiadając, jeszcze raz spojrzął ku grobom. Dalekie krwawienie horyzontu czyniło sylwetkę czuwającego nad zmarłym teatralną, wydobywaną z ciemności magicznym światłem, statuą wartownika rzeczy, które odchodzą bez powrotu, choć bardziej niż cokolwiek innego z ziemskich spraw zasługiwały na nieśmiertelność.

W dużym ceglanym budynku młody oficer przemierzał korytarz, niosąc pod pachą teczkę z dokumentami rozszyfrowanymi dla urzędnika wyższego. Nim wszedł do gabinetu, zatrzymał go widok koleżanki pracującej przy ścianie, którą zamieniono w gigantyczny obraz świata, w dwukolistą mapę z granicami wszystkich krajów pomalowanych na trzy kolory. Dziewczyna miała w jednym ręku farbę, w drugim pędzelek, przemalowując szybko któreś z państw. Raz-dwa-trzy i po wszystkim. "Jakie to łatwe!" - pomyślał oficer i wszedł do gabinetu.

Zakończenie

Ze stacji autobusowej pomaszerował ku zielonym obrzeżom St. Albans, przekraczając mostek na rzece Colne. Błądził i pytał mijających go ludzi o drogę, bez pośpiechu i bez zniecierpliwienia, jakby się bojąc, że znajdzie zbyt szybko. W końcu odszukał ów maleńki, piętrowy domek, najstarszy w sąsiedztwie, relikw innych czasów, jak z zapomnianej bajki, której symbol tylko przez przypadek oparł się żarłocznemu głodowi inwestorów. Pchnął niedomkniętą, zardzewiałą furtkę i ścieżką wskroś ogrodu poszedł ku drewnianym schodom na werandę, gdzie były drzwi.

Miriam przez krótką chwilę nie mogła go poznać. Kiedyś już widziała tę twarz, tylko nie tak spaloną słońcem, tę brodę i sylwetkę Krisa Kristofersona, i te same oczy, choć wówczas był w nich gniew, a teraz jakaś dziwna nieśmiałość i strach. Nagle przypomniała sobie i mógłby już nic nie mówić-jego wzrok i jej intuicja, którą uprzedził wciąż ten sam koszmar podczas wielu samotnych nocy, powiedziały jej wszystko. Ale coś trzeba było mówić.

- Pan jest tym... ze stacji benzynowej...
- Tak, proszę pani, nazywam się Farloon.
- Był pan razem z nim?
- Tak. W Afryce, daleko na południu. Wróciłem dzisiaj...
- Jak umarł?
- Strzelając do ludzi, do których wcale nie chciał strzelać, ale tak wyszło...
- Mówił coś?
- Kazał to oddać pani... jest tam list. Dodałem kilka jego drobiazgów i pieniądze...

Położył jej u stóp torbę podróżną. Pragnął już odejść, gdy zapytała:

- Dlaczego właśnie pan?
 - Bo byłem jego przyjacielem.
 - Pan?!
 - Tak. To był jedyny facet, jakiego udało mi się zauważyć, ale nie mogłem, a potem już nie zdążyłem mu...
 - On mi też nie powiedział tego słowa, to nie jest konieczne, panie Farloon...
 - Wiem. Proszę mi już pozwolić odejść - rzekł Clint, bojąc się, iż za chwilę nie będzie mógł normalnie wymawiać słów.
- Na ulicy zaczął biec, tak jak biegł przez lotnisko do rozwalonego "fortu", gdzie było trzech ludzi i każdym oddechem błagał opatrność tylko o jeden cud, a teraz niczego nie pragnął poza tym, by torturując ciało brakiem oddechu, rozerwać styczność serca z mózgiem-przywrócić sercu rolę zwykłego mięśnia, który ból czerpie z żył, a nie ze wspomnień.

KONIEC

Posłowie na temat formy i treści

Pani Czytelniczko i panie Czytelniku. Jeżeli jesteś wielbicieleką (wielbicielem) Joyce'a czy Prousta, to nie jesteś wielbicieleką (wielbicielem) tego typu literatury, do którego należy "Konkwista". Zgódź się jednak ze mną, iż nie ma w literaturze właściwszej formy sprzedawania prawd politycznych niż ta, którą zastosowałem dla "Konkwisty". Proustem można rozbebeszyć człowieka aż do zakamarków, które ktoś kiedyś nazwał duszą; do krojenia politycznej anatomii i wyciągania na światło dzienne duszy politycznej, trzeba używać innych skalpelów. Intymność jaźni oraz intymność gier politycznych domagają się różnych opakowań na literackim straganie. Miłość można wmówić serenadą, ale spróbujcie skaptować wyborców serenadą. "Prawda jest kwestią formy" (Oskar Eljot Wilde).

Gatunki literackie są również kwestią czasów, w których żyją. Raymond Chandler stwierdził w 1949 roku (i nikt mu nie zaprzeczył), że nawet Szekspir, gdyby żył w XX wieku, przystosowałby się do niego pisząc scenariusze dla Hollywoodu i "kryminały": "Zamiast mówić: «Ten środek przekazu jest niedobry», korzystałby z niego i ulepszałby go (...), ponieważ nie chciałby tkwić w kącie".

I jeszcze jedno: literacka konstrukcja z zakresu tajnej polityki, gry wywiadów, terroryzmu, bandytyzmu etc. - zdaje się często ludziom czymś nazbyt wydumany, surrealistycznym i bajkowym, w praktyce "nie do zrobienia", czy nawet "nie do pomyślenia". A potem bierze się do ręki którąś z gazet, gdzie zamieszczono opis jakiejś "gry", jakiegoś "skoku", jakiejś tajnej misji, operacji itp. (opis i tak niepełny, gdyż w tych przedsięwzięciach "źródło" nigdy nie ujawnia

wszystkich sekretów) - i okazuje się, że egzotyka rzeczywistości pobiła na głowę "surrealizm" fabuły literackiej, gdyż życie przejawia o wiele większą, bardziej okrutną i bardziej wyrafinowaną fantazję niż bajkopisarz. Historyczne sprawozdania z pojedynków szpiegowskich i politycznych, z działań "szarych eminencji" i "komandosów" ery nowożytnej, dawno już zepchnęły w cień Dumasa, a podrzędnych pisarzy na oślą ławkę.

"Nie do pomyślenia". Gdy w 1973 roku opublikowałem w prasie nowelę o psychicznych zawłościach natury ludzkiej poddanej ciśnieniu strachu, o tym jak łamie się i odradza sterroryzowany zakładnik podczas napadu na bank ("Śmierć motyla") - zarzucono mi absurdalność w konstruowaniu krwawej jatki, gdyż bandyci co kwadrans mordowali jednego z zakładników, chcąc zmusić policję i władze do spełnienia ich żądań. Takie hurtowe egzekucje "na raty" były wówczas makabrą "niemożliwą", nikt tego nie znał i nie chciał, jakby "niechcenie" mogło powstrzymać dającą się przewidzieć eskalację bezwzględności raczkującego dopiero terroryzmu. Gdy w 1980 roku rzecz ukazała się w edycji książkowej (zbiór pt. "Perfidia"), podobne jatki zakładników, rozstrzeliwanych regularnie, z zimną krwią, miały już autentyczny precedens. Dzisiaj jest to chleb powszedni terrorystów, gangsterów i mass-mediów. "Nie do pomyślenia" stało się "normalką". Miał rację Nabokov pisząc: "Literatura nie mówi prawdy, lecz ją wymyśla". Ja sam zaś napisałem w jednej z moich książek: "Życie kopiuje sztukę w znacznie większym stopniu, niż się nam wydaje. Dobrze o tym wiedząc Grecy ustawiali posąg Hermesa lub Apollina w komnacie panny młodej, by płodziła dzieci przypatrując się arcydziełom..."

"Nie do pomyślenia". To, co ma wymiar tak baśniowy, że aż "nie do pomyślenia", często w życiu staje się jedynym sposobem na sukces,

jedyną drogą, najlepszym z wyjść. Pozorna komplikacja jest w istocie prostotą genialnego wynalazku, instrumentem o sile szklanych paciorków dla dzikich - najprostszą z dróg do celu tam, gdzie drogi na otwartych przestrzeniach są zabarykadowane. Gdy w 1977 roku niemieccy terroryści (RAF) porwali Hansa Martina Schleyera (prezesa Federalnego Zrzeszenia Niemieckich Związków Pracodawców) - kanclerz Schmidt, szukając w sytuacji nieomal beznadziejnej sposobu na odbicie uprowadzonego, zażądał od członków kryzysowego sztabu i od przedstawicieli policji, by "nie krępując się prawem, konstytucją i możliwościami pomyśleli o czymś nie do pomyślenia", gdyż tylko to daje cię szansy Powiedział wprost:

- "Chcę usłyszeć propozycje egzotyczne!".

I dwie takie wysunięto; obie bazowały na "arcyliterackich" mistyfikacjach, które miano rozegrać w Izraelu bądź w Togo. Szef Federalnego Urzędu Kryminalnego, Horst Herold, stwierdził, iż "tak niebywały pic musi się udać!" ("Der Spiegel", 31.VIII.1987). Nie udało się z braku czasu. Ale inne, tyle innych "niebywałych piców" udało się, udają i wciąż będą się udawać.

Człowiek jest niezdolny do tego, by nie być do wszystkiego zdolnym.

ISBN 83-7021-058-9

Współudział w druku
AGENCJA PROMOCYJNA CZAS W GDAŃSKU



WYDAWNICTWO POLONIA